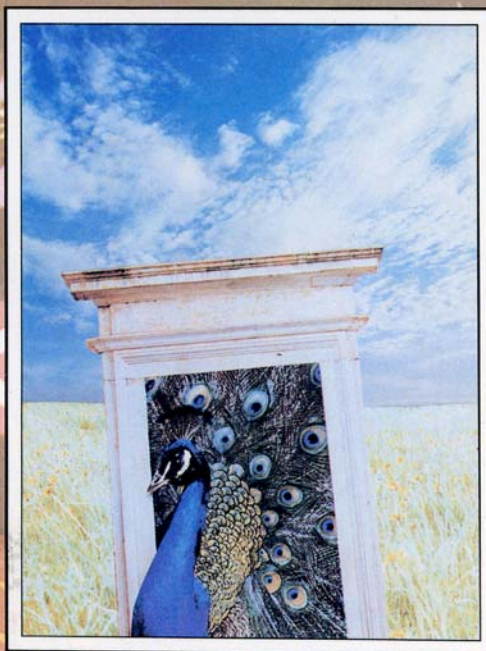


Mary Wesley

Hebe zaprzęgająca pawie



Mary Wesley
Hebe zaprzęgająca pawie

Przełożyła DANUTA DOWJAT

Fragmenty wierszy przełożył Robert Stiller

Prolog

— Hebe! — zawołał starzec.

— Tak?

— Zanieś te listy na pocztę.

Siedział w pokoju, pisząc listy, jakby nie działo się nic szczególnego. Tak pożytecznie wypełniał chwile oczekiwania na przybycie starszych wnuczek i ich mężów. Ruchem ręki wskazał stos kopert. Hebe zgarnęła je. Nawet na nią nie spojrział.

— Zamknij za sobą drzwi.

Całe swoje życie słyszała, jak to powtarzał: „Zamknij za sobą drzwi”, ponieważ do szafu doprowadzali go ludzie zostawiający otwarte drzwi.

Biorąc listy, Hebe patrzyła na jego profil, dokładnie taki sam, jaki można było zobaczyć na niezliczonych portretach przodków, które ozdabiały ściany holu, pokoju stołowego i wisiąły wzdłuż schodów. Zastanawiała się, czyby go zaskoczyło, gdyby powiedziała: „Kocham cię i współczuję ci, rozumiem, co czujesz, ale czy choć raz mógłbyś spróbować zrozumieć mnie?”. Ściskając listy w drżących dłoniach, pomyślała, że ma ogromną ochotę go uderzyć. Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Jej babka odpoczywała na sofie w salonie. Drzwi zostawiła uchylone, by widzieć, co się dzieje w domu, ale słysząc szcęk klamki, nawet nie podniosła wzroku.

Hebe zbiegła po schodach do ogrodu i skręciła po spalonej skwarem, pożółkłej trawie w lewo, w stronę sadu, gdzie nikt nie mógł jej dostrzec z okien domu z różowej cegły. W sadzie zdjęła buty, włosy odrzuciła do tyłu i poszła boso ścieżką wiodącą przez cmentarz przy kościele, w kierunku skrzynki pocztowej na murze.

Przystanęła, by popatrzeć na motyle o barwach szylkretu, krążące wokół stokrotek rosnących w nie skoszonej trawie i wygrzewające się w słońcu na nagrobkach. Niektóre tablice były pochylone. „Twoi rodzice przewróciliby się w grobie” — powtarzał jej dziadek. Miał zwyczaj powtarzania w kółko tego samego. Czy zmarli, spoczywający tutaj, rzeczywiście przewrócili się w grobach, bo ich krewna narobiła sobie kłopotów? „Kłopoty” to łagodne określenie w porównaniu z tymi, którymi ją obdarzano — „dziwka”, „kłamczucha”, „zakała rodziny”, „flądra”. Hebe wpatrywała się w nagrobki. Była zupełnie otepiała, wyczerpana kłótnią, która z małymi przerwami trwała od chwili, gdy po wizycie u lekarza wyznała im prawdę. Posypały się oskarżenia, przykre uwagi i setki dręczących pytań.

Hebe usiadła na podwiniętych nogach, twarz zakryła długimi włosami. Jeśli się cierpliwie poczekało, bardzo często można tu było zobaczyć jeża lub ropuchę. W ponurym nastroju zaczęła zrywać stokrotki i wetknawszy je między palce nóg, przyjrzała się swojemu dziełu. Niezbyt ją to rozbawiło. Zerknęła przez okulary na napis obok niej i powiodła palcem po literach: „Zginął na posterunku”. „Żałosny głupiec” — pomyślała, używając ulubionego wyrażenia jednego ze szwagrów. Wyjęła kwiatki spomiędzy palców i złożyła na płycie. W hołdzie tym, którzy

wypełniają swe obowiązki. Podniosła się i skierowała do domu okreśną drogą przez podwórko przy stajni. Klacz rozplodowa dziadka parskła w jedynym zajętym tu boksie. Hebe pogładziła jej miękkie chrapy, czuła słodki zapach oddechu zwierzęcia.

— Jak się masz? — dmuchnęła klaczy w nozdrza.

Koń zakręcił się nerwowo, kopiąc zadnią nogą. Z rogu boksu popatrzyły na nią dziwne, zezowate oczy kozy.

— Przyzwyczaj się. Zawsze to dla niej jakieś towarzystwo — mężczyzna, który był tu zatrudniony do różnych drobnych prac stanął obok Hebe, dźwigając wiadro wody.

— Gdzie jest jej źrebak?

— Urodził się muł. Twój dziadek nie był zadowolony.

— Jak to się stało?

— Uciekła wyłamując sztachety w płocie. Pewnie sparzyła się z osłem Foresta — roześmiał się i postawił wiadro w rogu pomieszczenia. Klacz położyła uszy po sobie. — No, nic — powiedział, wysuwając się zrecznie z boksu i zamykając drzwi na zatyczkę. — Szybko zapomni.

Hebe z nienawiścią przyglądała się odchodzącemu.

— Masz — zwróciła się do kozy. — Wyślij je.

Koza złapała zębami listy i zaczęła je przeżuwać.

— A więc załatwił twojego źrebaka — powiedziała Hebe do klaczy. — A dla mnie szykuje skrobankę.

Usłyszała samochody na podjeździe. To jej szwagrowie — Robert, Delian i Marcus, mężowie jej sióstr, Ann, Beaty i Cary, za kierownicami jaguara, range rovera (kupuj wyroby brytyjskie) i alfa romeo (możesz sobie pozwolić na zagraniczny samochód, jeśli pracujesz w Brukseli). Hebe wsunęła się do domu i schowała w korytarzu, żeby słyszeć naradę starszych i mądrzejszych. Była to czysta formalność, która miała usankcjonować wcześniej podjętą decyzję. Usiadła na schodach, ciasno owijając spódnice wokół kolan. Wszyscy w jej rodzinie mówili wyraźnie — nigdy nie trzeba ich było napominać, żeby nie mamrotali pod nosem. A ponieważ dziadkowie byli trochę przygłusi, więc zebrani odrobinę podnosili głos.

Popijali drinki. Słyszała stuk kieliszków, szuranie stóp, skrzyp krzesła, kiedy dziadek na nim usiadł.

— No więc — zaczął. Stary pies dziadka podniósł się z ganku, na którym leżał przez całe popołudnie. Przeszedł przez korytarz i zaskrobał do drzwi salonu. — Wpuście psa — polecił dziadek. Drzwi otworzyły się i pies wszedł do środka. Dziadek poczekał, aż je z powrotem zamkną. — No więc — powtórzył.

Robert, mąż najstarszej z wnuczek, rozpoczął rodzinną naradę. Oświadczył, że przede wszystkim trzeba ocalić dobre imię rodziny. Zaproponował prywatną klinikę. Chociaż droga, ale taki wydatek się opłaci, skoro sprawa zostanie załatwiona od ręki, bez niepotrzebnego zamieszania.

Po drugie, choć to mniej ważne, im szybciej się za to wezmą, tym mniejsza szansa — tu Robert przełknął ślinę — by ktoś spośród jego wyborców czy ludzi z Marcus Bank (w zarządzie zasiadały osoby o bardzo konserwatywnych poglądach) nabrali jakichś podejrzeń.

Hebe usłyszała, jak wtrącił się Delian.

— Czy nie powinniśmy wziąć pod uwagę innych rozwiązań?

— w jego tenorowym głosie słychać było wahanie. — Przecież takie historie zdarzają się i w innych rodzinach, w świecie sztuki, nawet polityki.

— Delian, już to rozważaliśmy. Gdybyśmy znali tego człowieka, gdyby się okazał na poziomie, moglibyśmy dojść do porozumienia. Ale nic nie wiemy. Nie ma możliwości uzyskania od niego pomocy finansowej. I nie wchodzi w grę zostawienie wszystkiego własnemu losowi.

— To był pewnie jakiś hipis, najprawdopodobniej czarny. Dlatego nie chce nam powiedzieć, kim jest.

Hebe od wielu dni słyszała różne wersje dotyczące tego tematu.

— W większości rodzin coś się ukrywa — spróbował jeszcze raz Delian. W jego głosie pojawiła się nuta prowokacji. — Weźmy choćby Biblię. Ten biedny, stary Józef...

— On wiedział, kto jest ojcem! — zawołała Cara.

— Delian, nie pozwalaj sobie na bluźnierstwo — ostro uciął dziadek. — Trzymaj się tematu, proszę. Nie czas na niesmaczne dowcipy.

Nagle głosy wybuchnęły z większą siłą, niczym szczekanie sfory psów myśliwskich, która trafiła na świeży trop. Głos Ann górował nad pozostałymi.

— Musimy myśleć o naszych dzieciach, Delian. Nie chcę, żeby im przybył jakiś dziwaczny kuzynek. Cara na pewno się ze mną zgodzi, a twoja żona, Beata, lada moment urodzi swoje pierwsze. Musisz wziąć to pod uwagę.

Hebe ogarnęła szalona ochota, by wybuchnąć śmiechem. Zdjęła okulary i zaczęła przecierać szkła skrajem spódnicy.

— I kto u licha — ciągnęła Ann — poślubi Hebe obarczoną kolorowym dzieckiem? Naprawdę musimy zrobić to, co dla niej najlepsze. Przecież nie jesteśmy bezdusznymi egoistami. Niech Robert zdecyduje, co jest najlepsze dla całej rodziny i dla Hebe.

Przez kilka minut zebrana rodzina wyrażała swoje opinie. Hebe słyszała urywki zdań, w których brzmiały słowa: „nieostrożna”, „egoizm”, „kłamie”, „jeszcze nie jest za późno”, „szybko się załatwi”, „zapomni, nim się obejrzy”. W końcu Robert przekrzyczał chór głosów, stosując metody wypracowane podczas gorących dyskusji politycznych.

— Może byśmy dali spokój narzekaniom? Od ręki zadzwonię do doktora Armitage. Wieczorem muszę wracać do Londynu, a jutro lecę do Nowego Jorku.

Wyczerpał się limit czasu, który chciał poświęcić tej sprawie. Wszyscy umilkli. Hebe słyszała, jak dzwoni, ustala szczegóły. Pokój w klinice. Operacja po południu. Do domu następnego dnia. Wspaniale!

Słuchając, jak Robert w cywilizowany sposób wybawia ich z niezręcznej sytuacji, nie dopuszczając do skandalu towarzyskiego, pomyślała: „Kocham tych ludzi, przecież to moja rodzina, oni mnie nie odrzucają, tylko zadbali, bym spełniała ich wyobrażenia o porządnej dziewczynie”. Przez otwarte drzwi powiał wiatr. Spłowiełe niebo zwiastowało od dawna wyczekiwany deszcz. Zapadał zmrok, robiło się chłodno. Po drugiej stronie drzwi ponownie zabrzmiał głos Roberta.

— A więc postanowione. Delian, czy możesz ją rano odwiedzić?

— Oczywiście.

— Dobrze, świetnie — słysząc było, jak Robert zacierał suche dłonie. — W takim razie musimy się zbierać. Ann, gotowa?

— Może jeszcze się czegoś napijecie? — dobiegł głos babki.

„Boi się zostać ze mną sama, ale nawet nie kiwnęła palcem w mojej obronie” — pomyślała Hebe.

— Nie, dziękuję, powinniśmy już jechać.

Hebe wbiegła po schodach, zmuszając do wysiłku zdrętwiałe nogi. Wpadła do swojego pokoju nad gankiem i zatrzasnęła drzwi. Dziś już do niej nie przyjdą, będą myśleć, że poszła spać. Owładnięta rozpaczą włożyła sweter, zmieniła buty, z szuflady toaletki wyjęła perły i pierścionki po matce (Ann, Beata i Cara wybrały już cenniejszą biżuterię) i wepchnęła je do torebki. Policzyła pieniądze — wszystkiego siedemnaście funtów — zgasiła światło i stanęła przy otwartym oknie nasłuchując. Na liściach winobluszczu zaszumiły pierwsze krople deszczu. Na

dole ktoś otworzył drzwi. Podjazd zalała smuga światła. Rozbrzmiał chór radosnych pożegnań: „Do widzenia, do widzenia”, „Dobrze, że to postanowione”, „Bardzo dziękuję”, „Nie ma za co”, „Do szybkiego”, „Uważaj na drodze”, „Urocza noc”, „Co jest uroczego w deszczu”, „Potrzebny jest roślinom”, „Dobranoc, dobranoc, jedźcie z Bogiem”.

Patrzyła, jak Robert i Ann całują dziadków, wsiadają do jaguara i odjeżdżają.

Potem Marcus i Cara wsiedli do range rovera, a samotny Delian zajął miejsce w alfa romeo.

— Ucałuj od nas Beatę! — zawołali dziadkowie. Beata nie brała udziału w naradzie. Była w ciąży, mogłaby się za bardzo przejąć. Nie wolno było ryzykować poronienia.

Światła reflektorów przecinały strugi letniego deszczu, gdy samochody wolno pokonywały drogę wiodącą do głównej szosy.

— Czas do łóżka — dziadek skierował się w stronę domu. — Mamy za sobą bardzo męczący tydzień.

Czyżby ten koszmar trwał zaledwie tydzień?

— Że też coś takiego musiało się przytrafić właśnie nam!

— Porządny chłop z tego Roberta. Ma głowę na karku. Zapamiętaj moje słowa, jeszcze daleko zajdzie.

Hebe zaczekała, aż dziadek wypuści psa na wieczorną przebieżkę, a potem z ganku przywoła go łagodnym tonem, którego nie używał wobec żadnych innych stworzeń. Trzasnęły drzwi. Pies ułożył się w swoim koszyku i ktoś zamknął za nim kuchenne drzwi. Zgasiwszy za sobą światło, starzec poszedł na górę po skrzypiących pod jego stopami schodach. Szafkowy zegar w korytarzu wybił jedenastą.

— Późno już — usłyszała głos dziadka i drzwi sypialni zamknęły się. Dom zaległa cisza. Hebe czekała.

Ogarnęło ją wielkie zmęczenie, a sen kusił nieprzepraczenie. Cóż znaczy parę godzin? Ale jeśli się nie obudzi? Maleństwo w jej łonie poruszyło się. Na palcach zeszła po schodach, wymacała swój płaszcz w stosie innych rzuconych na stół w korytarzu i weszła do kuchni. Pies w koszu pomachał ogonem. Pochyliła się, by go pogłaskać. Jego uszy były gładkie jak jedwab. Zamruczał i kłapnął zębami.

— Cześć, Smut.

Zawahała się, gdy poczuła na sobie krople deszczu. Nad gankiem dziadek podsunął okno wysoko do góry.

— Co za wspaniała ulewa. W najlepszym momencie, bo ci głupcy z wodociągów mieli zabronić podlewania ogrodów.

Babcia odpowiedziała coś niewyraźnie.

— Z Roberta cwany gość. Załatwił rzecz od ręki. I dlaczego ta idiotka nie może być taka jak jej siostry...?

— Biedna...

— Biedne zero. Wychowaliśmy zmiję na własnym łonie.

— Mój aparat słuchowy coś szwankuje. Nie słyszałam...

— Mówiłem, że wychowaliśmy na własnym łonie zmiję. *Façon de parler*.

— Żmije to podobno wspaniałe matki — słabo zaprotestowała babcia.

— Ale jej nie damy szansy pokazania, jaka z niej dobra matka — powiedział dziadek i z trzaskiem zamknął okno.

Hebe włożyła buty, postawiła kołnierz płaszcza i wyszła na deszcz. Miała nadzieję, że nigdy więcej już nie usłyszy tych głosów.

Rozdział pierwszy

Dwie młode matki szły obok siebie, pchając podwójne wózki. W każdym siedziało po dwoje dzieci. Młodsze ssały smoczki, starsze obojętnie siedziały pod plastikowymi osłonami, chroniącymi je przed mżawką. Kobiety zatrzymywały się przed wystawami sklepów i wymieniały między sobą uwagi. Zajęły całą szerokość chodnika. Obie były ciężarne. Aby je wyminąć, trzeba było zejść na ulicę lub przecisnąć się pod ścianą.

Hebe ogarniała coraz większa wściekłość. Chciała je popchnąć, krzyknąć, aby zrobiły przejście, odwrócić ich uwagę od wystaw. Jej złość potęgował jeszcze fakt, że obie były w zaawansowanej ciąży. Kiedy oczekiwała na urodzenie Silasa, zawsze starała się zajmować jak najmniej miejsca. Nigdy nie pozwoliła mu ssać smoczka. Zresztą nigdy też nie miał wózka. Dźwigała go w nosidelkach tuż przy sercu.

Opanowana nieprzyjawnymi myślami, podążała za kobietami, obserwując z niechęcią kaczkowate ruchy, automatyczne obroty głów, gwałtowne wybuchy bezmyślnego śmiechu. Rumieniec złości zalał jej twarz, a okulary zasnuła mgiełka. Poczekała, aż znacznie ją wyprzedzą, zdjęła okulary i przetarła, z przyjemnością dotykając palcami śliskich szkielec.

Zagadane kobiety dotarły do rogu ulicy i wjechały wózkami na jezdnię. Nadjeżdżający samochód zakreślił z piskiem hamulców, o włos omijając dzieci, a kierowca niemal dostał ataku serca.

- Patrz, gdzie leziesz!
- Idiota, zabiłby mojego Kevina.
- Patrz, gdzie idziesz, ty...

Hebe szybko je minęła, uśmiechając się z mściwą satysfakcją. Niosąc okulary w rękę, by jak najmniej widzieć z nie lubianej ulicy, zastanawiała się, czy to jej brak cierpliwości i współczucia spowodował pecha na kobiety. Poczowała przypływ siły, irracjonalny, choć przyjemny, gdy przyspieszyła kroku, by wspiąć się na wzgórze.

Bez okularów widziała tylko plamy ciemnych cegieł. Każdy dom dorównywał brzydotą sąsiadowi. Szerokie, solidne, obrzydliwe budynki, czerwone ściany, okna obramowane rzędem beżowych cegieł.

Szła pod górę, co było męczące nawet dla młodych i zdrowych, ale stanowiło nie lada uciechę dla niez mordowanych dzieciaków pędzących na rowerach. Wdychając wilgotne, słonawe powietrze, nagle poczuła dziwny, trudny do określenia zapach: mieszaninę kawy, pieprzu i dymu. Zapach towarzyszący napadom koszmarne go lęku, który ją prześladował. Ogarnął ją strach tak obeh władniający, że stała trzymając w ręce okulary. Dłoń przycisnęła do piersi, a potem zakryła nią oczy, aby odciąć się od widoku wznoszących się wokół budynków, które rosły, zasłaniając niebo i pochylały się do przodu, aby patrzeć niewidzącymi, ciemnymi oczami ryb z głębin morskich. Słyszała okrzyki i wybuchy śmiechu, niezrozumiałe go war niewidzialnego, przeraźliwie radosnego tłumu, który ją otaczał, zamykał w potwornym kokonie. Oblała się potem i dygotała, nie mogąc zrobić kroku, a głosy rozpoczęły swą litanię.

„Kim jest ten mężczyzna? To może być zupełne zero. Kim jest ten mężczyzna? Nie odpowiadaj dziadkowi w ten sposób. Długowłosej nicpoń. Brudne nogi. Brodaty. Jesteś dziwką. Twoje siostry nigdy... Kim był... Gitary... Nie odpowiadaj takim tonem. Kolczyki, marihuana, heroina. Pewnie jakiś komunista. Brudne paznokcie. Kim był ten mężczyzna? Nie umie poprawnie mówić. Nie kręć. Musisz mieć zabieg. Co powiedzą twoi szwagrowie? Kim on był? Przecież musisz wiedzieć. Nie zachowuj się impertynencko. Gdzie to się stało? A może to

czarny? Tyle poświęceń, daliśmy ci wszystko. Nie waż się tak odzywać. Nie kłam. Gdyby nie konieczność zachowania dyskrecji, zrobiłabyś to w normalnym szpitalu. Co to znaczy, że jest za późno? Który miesiąc? Oczywiście, że wiesz. Tylko pomyśl o swoich przyjaciółkach. Ja wcale nie krzyczę. Twoje siostry. Babcia przez ciebie płacze. Przynajmniej się zachowuj na poziomie. A tyle dla ciebie zrobiliśmy. W odpowiednim środowisku. Kim on był? Może jakiś kryminalista. Może chory na coś. Może czarny. To niewybaczone. Kto..., kto..., kto?''

Wiedziała, że jeśli to przetrzyma, koszmar zniknie, a ona wróci do siebie, niczym człowiek budzący się z narkozy.

— Nie oszalałam — powiedziała głośno, otwierając oczy, i natychmiast się rozejrzała, czy ktoś zwrócił na nią uwagę. Potem ruszyła w górę ulicy, zmuszając się do biegu. Gdy dotarła do drzwi swojego domu, jej serce waliło jak młotem. Ciężko dyszała. Szukając klucza nagle poczuła delikatny zapach. Co to było? Może to gra wyobraźni, ale przyniósł ukojenie po ataku panicznego lęku, a nawet poczucie szczęścia, które przypisała uldze, po uwolnieniu się ze szponów paraliżującego strachu. Gra wyobraźni. Była bezpieczna na dobrze znanej, brzydkiej ulicy, oddalona od głosów mamroczących znane oskarżenia z dziwacznym akcentem w obcym mieście, uwolniona od koszmaru wścibskich oczu oraz szczelnie otaczających murów, ciemności i tego zapachu połączonego z głosami. Gdyby tylko zdołała opanować strach, może odczułaby też odrobinę radości, która zawsze jej umykała. Znalazła klucz i ogarnął ją wstyd, że zazdrościła tym kobietom z dziećmi, wózkami i normalnym życiem. Zakładając okulary pomyślała, że może to zazdrość spowodowała na nią atak lęku. Otworzyła drzwi i usłyszała telefon dzwoniący w głębi domu. Serce biło już wolniej. Gdzieś poza spojrzeniem martwych ryb i brutalnymi pytaniami z nawiedzającego ją koszmaru była przytłumiona, ożywcza radość. „Epileptycy pewnie też tak to odczuwają” — pomyślała i głęboko wciągnęła woń swego domu: czosnek, kwiaty z targu, zioła. Telefon zamilkł.

Na powitanie przybiegła Trip. Kotka, której futro miało barwę szylkretu, szybkimi, mocnymi pchnięciami ocierała się łbem o jej kostki i łaskotała wąsami. Hebe podniosła ją do góry.

— Głodna?

Kotka zamruczała w odpowiedzi i łapką dotknęła jej policzka, w ostatniej chwili chowając pazurki, by nie zadrapać do krwi.

W głębi ulicy, Jim Huxtable rozmawiający z Hannah Somerton założył na głowę kapelusz, który do tej pory trzymał w dłoniach, i tak się zagapił, że urwał zdanie w pół słowa.

— Kim jest ta dziewczyna?

— Nazywa się Hebe. Sąsiadka — powiedziała Hannah, podkreślając swoją zażyłość z Hebe.

— Hebe, młoda dziewica w koronie z kwiecica, odziana w bogaty, wielobarwny strój.

— W kurtkę ze sklepu ze starzyzną — Hannah próbowała zdobyć jego zainteresowanie.

— Córka Jupitera i Junony.

Hebe otworzyła drzwi i zniknęła za nimi.

— Czyja? — zapytała Hannah, zastanawiając się, o czym ten człowiek mówi.

— Hebe to łacińska wersja imienia Veronica — powiedział patrząc na Hannah. — Prowadziła zaprzęg z pawi. Upadając przybrała nieobyczajną pozę.

— Myślałam, że po łacinie Veronica to kępka. Krzaki — poprawiła się Hannah, bojąc się, że to zabrzmiało dwuznacznie.

— Ach, tak... — Jim przyjrzał się drobnej, jasnowłosej Hannah o uroczych, zielonych oczach. Kusilo go, by ją lepiej poznać, przekonać się, jaka jest w łóżku.

— Daleko jej do dziewicy, ma dwunastoletniego syna — roześmiała się Hannah, pokazując

równe zęby. — Jest kucharką.

— Naprawdę? Muszę już uciekać. Gdyby przypomniał ci się ktoś mający coś ciekawego do sprzedania, proszę, oto moja wizytówka. Z numerem telefonu.

Hannah przestała go już interesować.

— Dzięki. Zadzwoń, jeśli coś mi przyjdzie do głowy.

— Z góry dziękuję — powiedział, zamierzając już odejść.

— Czy widziałeś kolekcję przycisków do papieru mojej ciotki?

— próbowała podtrzymać rozmowę. Naprawdę interesujący mężczyźni to rarytas.

— Tak, ale nie chce się z nimi rozstać.

— Śliczne, prawda? — zapytała, starając się go zatrzymać.

— Bardzo ładne — odpowiedział i zrobił parę kroków.

Podobał się jej jego sposób chodzenia. Europejski krok. Amerykański był zupełnie inny. Włosy, teraz schowane pod kapeluszem, miał siwe, a oczy ciemnoszare. Przechodząc przez ulicę żałowała, że tak mało wie o antykach. Może wtedy zdołałaby go jakoś zatrzymać. Spojrzała na wizytówkę: „James Huxtable”. Londyński numer telefonu, adres w dzielnicy Fulham. Otworzyła drzwi domu Hebe i weszła do środka.

— Bardzo szybko szłaś ulicą — powiedziała, patrząc na nią pytająco.

— Mówią, że to dobre na serce — Hebe przerwała tok dręczących myśli i zapanowała nad swoim lękiem, aż do następnego ataku.

— Dlaczego się tak śpieszyłaś? — naciskała zaciekawiona Hannah.

— Muszę się przebrać. Przemokłam do suchej nitki.

„Czemu ona tak tu wpadła bez zaproszenia?” — zastanawiała się.

— Dwie idiotki wtargnęły z wózkami na ulicę i niewiele brakowało, żeby kierowca rozjechał dzieci — zdjęła kurtkę i strzepnęła ją. Trip szybko schowała się pod krzesło, chroniąc się przed kroplami wody. — Miały strasznie dużo dzieci.

— Nie takie samotne matki, jak my. Może nastawić wodę?

— wzięła czajnik, wstawiła do zlewu i odkręciła kran. Hebe z niechęcią pomyślała, że Hannah rządzi się w jej kuchni niczym u siebie.

— Muszę się przebrać.

— Gdzie byłaś?

— Na spacerze.

Nie miała zamiaru z nikim dzielić radości spaceru. Włóczęga po polach i bagnach, krople wody spadające z drzew, szum wiatru, beczenie owiec, gdzieś wysoko krzyk myszolowów — rozkosz samotności.

— Gdybyś mi powiedziała, poszłabym z tobą. „No pewnie” — pomyślała Hebe, wchodząc w milczeniu po schodach.

— Długo można mówić o samotnym wychowywaniu dziecka — zawołała za nią Hannah.

— Tak — przytaknęła ściągając sweter.

— Edward się spóźnia z alimentami — krzyknęła Hannah z dołu.

— Jak zawsze — odkrzyknęła Hebe.

— Napisałam do mojego adwokata.

— Jak zawsze.

— Co?

„Pisze tak co miesiąc” — pomyślała Hebe, rozczesując mokre włosy. To zdumiewające, że mnie pieniędzy tak po prostu nigdy nie brakuje. I przynajmniej unikam długich korowodów. Wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. „Zupełnie nie jestem do nich podobna

— uznała przyglądając się swojej twarzy. — I mówię też inaczej”. To pewnie oni recytują za

tymi ciemnymi oknami nielitościwe oskarżenia. Wpatrywała się w swoje wysokie czoło, pełne wargi, ciemne oczy.

Bernard Quigley kiedyś powiedział: „Twoja twarz to skarb. Wyglądasz uczciwie”. I wybuchnął urywanym, starczym śmiechem.

— Zalałam herbatę — zawołała Hannah z dołu.

— Dzięki, napiję się kawy — odrzyknęła Hebe i zaraz skarciła się za snobizm. Czemu Hannah nie miałyby mówić „zalać herbatę”, jeśli tak się jej podoba?

— Chcesz z ekspresu, neskę, czy parzoną? Jak poszło w pracy? Bardzo nudno?

— Może być parzona. Dobrze płacą.

— Kiedy szykuje ci się następna?

Te niestanne pytania. Hebe włożyła sweter i wróciła do kuchni.

— Jeszcze się nie zdecydowałam — wzięła podany kubek i z niechęcią przyglądała się, jak Hannah, czując się jak u siebie w domu, nalewa herbatę i rozsiada się przy stole. Natychmiast skarciła się za te nieprzyjemne myśli. — Po wakacjach, gdy Silas wróci do szkoły

— odpowiedziała ciepłym tonem.

— I kiedyż to panicz Silas zaszczyci nas swoją obecnością? — zapytała Hannah lekkim tonem, w którym jednak pobrzmiwała zazdrość, bo Silas chodził do prywatnej szkoły, podczas gdy jej syn, Giles, uczęszczał do państwowej.

— Pojutrze. A kiedy Giles wraca z wycieczki do Paryża?

— Jutro.

— Mam nadzieję, że się dobrze bawi. Silas bardzo za nim tęskni.

— A może już o nim zapomniał?

— Nie gadaj głupstw — rzuciła ostro Hebe.

— Edwarda Krulla byłoby stać na taki wydatek...

— Oczywiście, tylko że nie chce. Już mi mówiłaś. Hannah zesztyniała słysząc tę uwagę.

— Widziałas faceta, z którym wcześniej rozmawiałam?

— Zdjęłam okulary. Nikogo nie widziałam.

— Pośrednik. Chodzi od domu do domu. Całkiem niezły. Zajrzał do cioci Amy.

— Takich ludzi nazywają „pukaczami”. Czy pokazała mu swoją kolekcję?

— Obejrzał wszystkie przyciski do papieru. Musiał jej się spodobać, bo inaczej nie wyjęłaby ich z kredensu. Zamieniłam z nim parę zdań o tym i owym, wiesz, jak to jest.

— Nie wiem.

— Och, jesteś taka skryta. Nigdy się nie zatrzymasz, żeby pogadać. Dużo tracisz. Zaprosiłam go do środka, żeby zobaczył, czy nie mam czegoś interesującego. Spodobał mi się.

— Mógł być złodziejem.

— Był bardzo miły. A potem zobaczył cię z daleka i zapytał, kim jesteś i jak masz na imię. Wyglądało, jakby cię znał.

— Już ci mówiłam, że go nie widziałam. Zdjęłam okulary.

— Szedł ulicą, ale się odwrócił i gapił się, jak idę do ciebie. Szkoda, że go nie poznałaś, może byś się z nim zaprzyjaźniła.

— Nie sądzę.

— Mówił w taki sposób... no wiesz, o co mi chodzi.

— Nie wiem.

— Wiesz. Mówił jak ludzie, dla których pracujesz.

— Skąd wiesz, jak oni mówią? — zirytowała się Hebe.

— Tylko się domyślam, ale chyba mam rację. Sama tak mówisz.

— Czyżby potrzebował kucharki? — kpila Hebe.

— Już ci wspominałam, szukał antyków, ale ... — Hannah zmrużyła zielone oczy — sprawiał wrażenie...

— Bogatego? — roześmiała się Hebe. — Rezydencja za miastem?

— Pewnego siebie — odparła Hannah z uśmiechem, nie obrażając się za kpiny.

— Wyglądał na pewnego siebie, dopóki nie zobaczył ciebie. To go zaniepokoiło, jakby zaintrygowało.

Hebe pomyślała, że może obcy był znajomym którejś z jej klientek.

— Jak wyglądał? — zapytała podejrzliwie.

— Wysoki, włosy przyprószone siwizną, szare oczy. Póki się nie zjawiłaś, sądziłam, że mu się podobam. Och, już to mówiłam...

— Możliwe, przecież jesteś śliczna.

— Naprawdę tak myślisz? — ucieszyła się Hannah. — Słowo honoru?

— Pewnie — odparła Hebe serdecznie.

— O, jeszcze jedno. Zna łacinę i nosi kapelusz.

— Łacinę?

— Powiedział, że Hebe to po łacinie Veronica, nazwa krzewu. Rzadko widuje się mężczyzn w kapeluszach. I mówił też coś o powożeniu pawiami.

Hebe dopiła kawę jednym haustem.

— Nie ciekawi cię to? Czasem się zastanawiam, czy nie jesteś lesbijką — mówiła dalej Hannah.

Hebe wstawiła kubek do zlewu i odwróciła się do niej tyłem, żeby ukryć szeroki uśmiech.

— Przypuszczam, że ojciec Silasa to była twoja jedyna wielka miłość.

— Czytasz romansidła? — zapytała Hebe chłodno. Ale nie chcąc jej sprawić przykrości, dodała: — Ciężko pracuję na życie, moja droga. Muszę posprzątać na powitanie Silasa, więc...

— Może ci pomóc? Czy wolisz, żebym już poszła?

— Nie, tylko że mam mnóstwo do zrobienia.

Trudno się pozbyć Hannah, która potrafiła przesiadywać u niej godzinami. Życie było o wiele łatwiejsze, nim do sąsiedniego domu sprowadziła się siostrzenica Amy Tremayne i nie zaczęła się narzucać ze swoją przyjaźnią.

— Dobra, więc cię zostawię. Daj znać, gdybyś potrzebowała pomocy.

Hannah wstała. Hebe sięgnęła po imbryk z herbatą. — Nie, ja to zrobię — Hannah wzięła czajnik i wyrzuciwszy fusy umyła go z aptekarską dokładnością. — Wystarczy, że zawołasz. Mam przecież tylko Gilesa i ciocię Amy.

„Czy ona się nigdy nie wyniesie” — pomyślała Hebe.

— Może powinnam go zapytać, gdzie się zatrzymał. Zaprosić na drinka albo co. Wyglądał na samotnego.

— Niektórzy ludzie lubią samotność.

— Powinnam go poznać z Georgem Scoopem — Hannah puściła tę aluzję mimo uszu.

Hebe powstrzymała się od pytania o pana Scoopa, żeby nie zaczynać nowego tematu.

— Kiedy wyjechałaś, zaczęłam się spotykać z Georgem. Tylko że on spędza całe dnie, wpatrując się w cudze szczęki. Czy na ciebie zawód dentysty, a właściwie stomatologa, nie działa odpychająco?

Hebe milczała. Nie uszło jednak jej uwagi, że Hannah przeszła ze swoim dentystą na ty.

— Jest przystojny — Hannah uznała, że powinna powiedzieć coś na temat George'a. — Ma dobrych pacjentów. Poznałam go, kiedy robił mi zęby. Koło czterdziestki, raczej oszczędny.

— Już mi wspominałaś.

— Zabrał mnie na kolację. Zaprosiłam go do siebie. Oglądaliśmy telewizję, ale on... hmm...

pewnie dlatego, że tak się przejmując pracą, ciągle robi uwagi.

— Jakie uwagi?

— O zębach. Kiedy się śmieją, przygląda się plombom, mówi, że powinni zmienić protezy albo że mają brudne zęby. Nie używa słowa „brud”, tylko...

— Kamień nazębny.

— Tak. Podziwia panią Thatcher i monsieur Mitteranda, że zrobili porządek z uzębieniem. Ani na chwilę nie zapomina o swojej pracy.

— Żyje nią.

Hannah nie spodobał się ironiczny ton Hebe, więc urwała rozmowę na ten temat.

— No, daj znać, gdybym ci mogła w czymś pomóc — powiedziała, nadal zwlekając z wyjściem.

— Dziękuję — Hebe odprowadziła ją do drzwi i zamknęła je za nią.

O, jak dobrze być samej! Zadzwoił telefon, burząc wytęsknioną ciszę. Kot zjeżył się i skoczył na parapet. Hebe podniosła słuchawkę.

— Halo?

— Allo, allo. Jakiego koloru są twoje majteczki? — zapytał głos z silnym francuskim akcentem.

— Pomyłka — powiedziała Hebe i odłożyła słuchawkę.

W górze ulicy Jim Huxtable usiadł na ławce, ufundowanej przez radnego, żeby uczcić pamięć rodziców, którzy tu mieszkali, kiedy postawiono pierwsze domy. Wchodząc z trudem na wzgórze, zawsze narzekali na ból w nogach i duszność. Po ich śmierci syn ufundował ławkę i wygrawerował na przyczepionej tabliczce ich nazwiska. Niegrzeczni chłopcy wyryli wulgarnie napisy, a przechodzące psy zbecześciły ją jeszcze bardziej. Jim Huxtable zatrzymał się tu, mając nadzieję, że być może uda mu się jeszcze raz zobaczyć ciemnowłosą dziewczynę. Hebe, ładne imię — „usługująca bogom”. Na tej okropnej ulicy nie znajdzie wielu pawi do swego zaprzęgu. Jeśli dobrze pamiętał, to popadła w tarapaty, bo upadając przyjęła nieobyczajną pozę. Poglądy starożytnych na dobre obyczaje niewiele się różniły od panujących obecnie. Zastanawiał się, skąd Bernard wiedział o kolekcji przycisków do papieru u tej starej kobiety.

W dole ulicy trzasnęły drzwi i na chodniku pojawiła się zielonooka dziewczyna. Nie chciał z nią rozmawiać. Zmęczony i głodny szybko wspiał się na wzgórze do swojego samochodu i zaklął, gdy silnik nie chciał zapalić.

Hannah przeszła przez ulicę podskakując na jednej nodze. Między podskokami postanowiła, że wyjdzie ponownie za mąż.

Hebe na myśl o Hannah wybuchnęła śmiechem. Lesbijka! Co ona jeszcze wykombinuje? Pomyślała o Silasie, który jutro będzie w domu: brązowe oczy, na szczęście wolne od krótkowzroczności, wąski, garbaty nos, brązowe włosy, jak sierść gniadego konia. Skąd się wzięły te włosy i nos? Nie ode mnie i nie od nich. Pamiętała, jak go nosiła i jak bardzo kochała jeszcze nie narodzone dziecko. Była tak bardzo szczęśliwa, czując tę bezcenną bliskość, po której dziś nie zostało śladu. Czy to zazdrość o napotkane młode kobiety spowodowała atak panicznego lęku? Może darzyły swoje nie narodzone maleństwa takimi samymi uczuciami, jak ona Silasa? Chyba nie, skoro każda miała w wózku dotykalaną rzeczywistość, w którą się przerodziły ich dzieci. Nie przepadała za dziećmi, ale Silasa, kiedy był niemowlęciem, kochała gorąco.

Pomyślała o tym, co łączyło Hannah i Gileasa: wygodna bliskość. Tego jej zazdrościła. Skąd przysła jej do głowy ta „wielka miłość”? Co za banał.

Trip krążyła wokół zlewu, wyraźnie dając do zrozumienia, że nadal jest głodna. Hebe wyjęła z

szafki puszkę kociego jedzenia. Patrzyła, jak Trip zajada, a później, jak się myje przed wyjściem na nocne łowy. Kotka siedziała, słuchając dźwięków dobiegających z sąsiednich ogródków, by się upewnić, że jest bezpiecznie. Hebe obserwowała zwierzątko myśląc o tym, jak bardzo kocha je Silas. Trip podbiegła do ogrodzenia z tyłu domu i zniknęła po drugiej stronie. Hebe leżąc w łóżku, podliczała w pamięci swoje dochody. Suma okazała się zadowalająca. Jeśli dalej będzie tyle pracowała, wystarczy na opłacenie szkoły Silasa, choć z natury rzeczy jej zarobki były niepewne. Starsze panie nie żyją wiecznie, a inne prace miały charakter dorywczy. „Ale są bardzo przyjemne” — pomyślała, z rozkoszą moszcząc się w dużym łóżku, poprawiając kołdrę nogami. „Ciesz się dzisiejszą nocą, skoro żaden Herkules nie wsuwa ci się pomiędzy uda” — przyszło jej na myśl.

Rozdział drugi

Na dole zadzwieczał telefon. Hebe nie podnosiła słuchawki. Wibrujący, natarczywy sygnał dźwięczał dłuższą chwilę, aż zamilkł. Leżała myśląc o jutrze, o Silasie, o jego wakacjach.

Trip sprofanowała ogródek sąsiadów, robiąc zgrabny zawijasek. Delikatnym ruchem łapki zakopała odchody i wdrapała się na ogrodzenie. Padał deszcz. Z płotu przeskoczyła na okno, wpadła do sypialni i przemaszerowała przez łóżko, by się schować pod kołdrę. Hebe poczuła przy policzku mokre futerko i zapaliła nocną lampkę. „Teraz na pewno nie usnę” — pomyślała. Przyniosła ręcznik i wytarła zwierzątko, które mruczając szukało ciepła.

— To Silas cię tego nauczył. Jutro już będziesz mogła zwinąć się przy nim.

Telefon zadzwonił po raz trzeci. Rozzłoszczona pobiegła na dół i podniosła słuchawkę.

— Tak? — spytała ostro.

— Masz duże cycki? — zabrzmiał głos z silnym cockneyowskim akcentem.

— Już mówiłam, że to pomyłka — odparła zirytowana.

— Jaki kolor majteczek? — błagalnie zapytał ktoś, starając się wymawiać z francuska.

— Nawet nie potrafisz dobrze naśladować akcentu — powiedziała. Odłożyła słuchawkę i przykryła telefon jaśkiem. Wróciła do łóżka, a kot przesunął się, robiąc jej miejsce.

Na ratuszowym zegarze wybiła właśnie północ, gdy po raz kolejny ktoś jej zakłócił spokój. Przy oknie coś zachrobotało, na podłodze ze stukiem wylądowała para stóp i dał się słyszeć odgłos rozdzieranego materiału.

— Cholera! Rozerwałem sobie spódnice.

— Na Boga, Terry, dwa razy ci mówiłam, że to pomyłka. Dwa razy!

— Tylko popatrz na moją spódnice.

Hebe zapaliła nocną lampkę.

— Terry, chcę się przespać. Silas wraca jutro do domu.

Terry oglądał rozdarcie.

— Myślisz, że to się da zaszyć? — zapytał. Był krótkowłosy, szczupły, o szerokich ramionach i długich nogach. Miał na sobie plisowaną spódnice z czerwonej bawełny, a do tego bluzę w kolorze kwiatu fuksji. — Myślisz, że się da zaszyć? — powtórzył gładząc ramię Hebe.

— Ja ci tego nie zrobię — podciągnęła kołdrę pod samą szyję.

— Wiesz, po co dzwoniłem? Udało mi się z inną dziewczyną, bez najmniejszych kłopotów — mówił podekscytowany. — To dzięki tobie.

— Nie mogłeś z tym poczekać?

— Słuchaj... — zdjął spódnice i wsunął się do łóżka. — Co ty tutaj masz? Trip, to tylko ja,

nie drap. Cholerny mały potworze, posuń się, zrób mi miejsce. Ona jest mokra.

— Terry — oponowała. — Przecież ci mówiłam...

— Słuchaj, kochanie — objął ją ramionami i ułożył się wygodnie, prostując nogi.

Trip, rozzłoszczona na intruza, wysunęła się z łóżka i skoczyła na krzesło, gdzie Hebe ułożyła swoje ubranie.

Przytulił się do Hebe.

— Nie przyszedłem tu, żeby z tobą spać — pocałował ją w kark.

— Ale tu nie chodzi o spanie...

— Najokropniejsze wyrażenie z możliwych. Proszę o buzi.

— Tylko że mnie się właśnie chce spać.

— Nie słyszałaś, co powiedziałem? Udało mi się z inną dziewczyną. Bez kłopotów. Miałaś rację. Żadnych spódnic. Majteczek. Robiłem, tak jak mnie nauczyłaś. Przyszedłem, żeby ci podziękować, myślałem, że się ucieszysz — Terry był rozdrażniony.

— Cieszę się. Tylko, że chciałabym się przespać. Mówiłam ci, że to kwestia nastawienia, a teraz może być...

— Dobra, posłuchaj tego:

Ona dostarczać umie niższych uciech
Niż ty: wygodnych, we właściwszej mierze.
Przeto gdy śnię, iż cię posiadam...

— To jest Donne, a ten wiersz się kończy: „I sen, który zamyka zmysły, wszystko to zamyka”. Teraz właśnie tego bym pragnął.

Roześmiał się.

— Chyba się na mnie nie gniewasz?

— Zakochałeś się w tej dziewczynie?

— To tylko zabawka na jeden wieczór. Mam coś innego na oku.

— Ktoś specjalny?

— Może.

Wyciągnął rękę i podniósł z podłogi książkę. — Poczytajmy trochę. Poczytasz mi, ostatni raz?

— Ty czytaj — poddała się.

— Dobra. „Opiewam drogę nieśmiertelnej duszy...” — zaczął Terry. Jego młody głos opadał i wносił się, w miarowym rytmie. Hebe przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, kiedy zobaczyła go, jak zakładał alarm przeciwwłamaniowy w oddziale Midland Bank i zauważyła, że czyta Miliona. Zaczęli rozmawiać o poezji, wkrótce przerodziło się to w głośne czytanie wierszy po tym, jak przestawali się kochać. Chodził na wieczorowe zajęcia z literatury angielskiej. Nie wiedziała, jaki związek miała dla niego poezja z zakładaniem damskich ubrań. Noszenie spódnic i majtek sprawiało wrażenie nieszkodliwego odchylenia. Podejrzewała, że robi to, by wzbudzić jej ciekawość. Wyglądało na to, że ten okres się skończył. Lubiła słuchać wierszy czytanych przez młodzieńca, do którego bardziej pasowałaby dyskoteka niż recytowanie Donne’a kotu, bo do niej w tej chwili to nie docierało. Dźwięk własnego głosu wkrótce go uspił. Słuchała jego oddechu przypominając sobie, jak odkrył ten fragment: „Jedynie Feniks wśród ptaków niewinny, bo nie istnieje Feniks inny, Gdyby Natura ich stworzyła dwoje, jak szpak i gołąb, czyniliby swoje”. Przez jakiś czas nazywał ją swoim Feniksem. „Może tym właśnie jestem”

— pomyślała. Zegar ratuszowy wybił wpół do pierwszej.

— Terry, miej litość — potrząsnęła nim. — Obudź się.

Popatrzył na nią zdumiony.

— Czas na ciebie.

Zaspany, myślami był gdzieś daleko. Niechętnie wstał z łóżka.

— Nie masz przypadkiem jakichś slipek?

— Silasa będą za małe.

— To pójdę bez niczego. Pożyczyłabyś mi dzinsy. Oddam na sto procent.

— Na pewno nie potrzebujesz...?

— Nie. Spódnice i majtki zostawię ci na pamiątkę. Już mi bez nich dobrze.

Zapomniał o poezji Donne'a.

— Cieszę się — Hebe patrzyła, jak z trudem wkłada jej dzinsy, które zdjęła kładąc się do łóżka.

— Trochę ciasne, ale co tam. Jestem... Jaki jestem? — spytał uradowany, spoglądając na Hebe.

— Normalny — powiedziała z uśmiechem.

— Coś w tym guście.

Włożył rękę do kieszeni koszuli. — To dla ciebie — wcisnął jej w dłoń gruby zwitek banknotów. — Uczciwie zarobione. Jak ci się tego udało dokonać? Od dziś będę jak każdy inny.

Pochylił się, by ją pocałować. — Pa, kochanie.

— Dzięki, Terry — Hebe spojrzała na pieniądze. — Ale to za dużo.

— Nie. Myślę cały czas o tej dziewczynie. Nie chcesz wiedzieć kto to?

Czuła, że bardzo chce jej to powiedzieć.

— Nie — odpowiedziała, myśląc, że teraz musi sobie radzić sam.

— Z nią pierwszą zrobię to normalnie — oświadczył zapinając suwak spodni.

— Bez ozdóbek? — spytała rozbawiona.

— Kpisz sobie ze mnie — przytulił ją po przyjacielsku.

— Idź już. Muszę się wyspać — próbowała się go pozbyć.

— No, musiałem ci to powiedzieć. Terapeuci długo próbowali, a tobie wystarczyły zaledwie dwa lata.

Hebe przeliczyła banknoty.

— Ale to strasznie dużo pieniędzy, Terry — powiedziała zdziwiona tak dużą sumą.

— Już nigdy się nie spotkamy, przynajmniej nie w ten sposób. Chcę, żebyś to miała.

— Dzięki — bała się powiedzieć coś więcej.

— Jak wyjedziesz, zajmę się Trip. Będziemy w kontakcie — znów się pochylił, by ją pocałować. — A teraz do widzenia.

Podszedł do okna i wspiął się na parapet. — W dzinsach znacznie łatwiej — powiedział i parsknął śmiechem.

Słyszała, jak wylądował na grządce kwiatowej. Zgasiwszy lampkę, podeszła do okna. Widziała, jak zakłada buty, przez ogrodzenie wydostaje się na ścieżkę za ogródkami i biegnie wybijając rytm stopami niczym pałeczkami werbla.

— Tak odchodzi zadowolony klient — powiedziała do kota, wrzucając spódnice i majtki do kosza na śmieci. — Boże, muszę iść spać.

Wróciła do łóżka. Będzie tęskniła za Terryem, za wspólnym czytaniem wierszy. Może za część tego pożegnalnego honorarium kupi sobie coś specjalnego, a resztę odłoży na szkołę Silasa. Pomyślała o Terryem z sympatią. „Czy ta nowa dziewczyna potrafi go uszczęśliwić? Czy będą razem czytali wiersze, jak my? Dlaczego się martwię?” — zapytała samą siebie, słuchając mruczenia kotki. Przecież sama go tego nauczyła:

Wolni spotkawszy się, odejdźmy wolni,

Oboje władać swoim sercem zdolni.

Jeśli on to rozumiał, czemu ja nie umiem się z tym pogodzić? Jesteśmy przyjaciółmi. Można żyć bez metafizycznych poematów. Silas też da sobie bez nich radę. Zapadła w drzemkę, wspominając przyjemne chwile spędzone z Terryem w ciągu ostatnich lat — niemal uniwersytecki kurs literatury angielskiej, dochodowe zajęcie, pełny sukces. Na początku uważała go za milczka, póki nie odkryła w nim niespokojnego ducha. Polubiła go dla niego samego, nie tylko za kolor skóry, który w odpowiednim świetle przypominał odcień batoników Mars. Przez ułamek sekundy pozwoliła, by przed oczami wyobraźni zamajaczyła postać dziadka, ale szybko usunęła go ze swoich myśli.

Miała do siebie pretensję, bo nie wymogła na Terryem obietnicy, że przyzna się nowej dziewczynie do małych odchyłek. Przecież nigdy się nie przyzwyczai do slipek, nigdy się do końca nie zmieni. Dziewczyna będzie miała z niego pociechę, jeśli go właściwie potraktuje. Terry był inteligentny i troskliwy, czego się nie dało powiedzieć o większości płatnych kochanków. Słowo „opłata” przywiodło jej na myśl Silasa. Czy semestr w szkole bardzo go zmienił?

Rozdział trzeci

Hannah usiadła przed lustrem, by pomalować paznokcie. Do cięższych robót zakładała gumowe rękawiczki, nie tak jak ta szalona Hebe, która się tym nie przejmowała. Twierdziła nawet, że wyrabianie ciasta najlepiej czyści paznokcie, a brud dodaje wypiekom smaku. Hannah zastanawiała się, co by na to powiedział prawdziwy znawca kuchni. Kiedyś Hebe wspomniała, że pracując w hotelu na wybrzeżu dostała od francuskiego kucharza najlepsze rady dotyczące gotowania. Mówiąc to Hebe się roześmiała, jakby te rady były czymś zabawnym. Hannah malując paznokcie rozważała, czy pośrednik skupujący antyki zatrzymał się w hotelu. Kiedyś jadła tam kolację z Georgem. Może hotel okazał się dla pośrednika za drogi. Szedł od domu do domu, pukając do drzwi. Dziwne, że Amy go wpuściła. Hannah stała przy oknie, czekając na powrót Hebe. Kiedy wyszedł od ciotki Amy, od razu go zagadnęła. Wyszczotkowała włosy. Uniosła wargę niczym rżący koń i podziwiała zęby, stojące w równym szeregu jak żołnierze na paradzie. Czy nieznajomy je zauważył? George świetnie się spisał. Czy Jim Huxtable byłby zainteresowany jej wizytami u George'a, który przez rok zrobił porządek z jej pokrzywionymi zębami? Czy chciałby wiedzieć, że sprzedała jedyną cenną rzecz, zaręczynowy pierścionek od Edwarda, żeby za nie zapłacić? Radość zakłóciło rozdrażnienie. Edward nigdy nie przysyłał jej alimentów na czas. Ta opieszałość przypominała o jej związku z nim, a wołałaby o tym zapomnieć. Nowe zęby, nowy mężczyzna. Edwardzie, niech cię szlag trafi! Cieszyła się z przeprowadzonej sędownie zmiany nazwiska na Somerton. Czy Giles wreszcie przestanie się upierać i również zmieni swoje? Trwał przy Krullu tylko po to, by ją drażnić i straszyć, że ucieknie do ojca. Chciała, aby zrozumiał, że Somerton brzmi lepiej niż Krull.

Może dzięki przyjaźni z Silasem dotrze to do niego i może przejmie od Hebe i Silasa ich wymowę samogłosek. Zerkając na swoje odbicie w lustrze, Hannah ułożyła usta i powtarzała: a, e, i, o, u, jak uczono ją na lekcjach wymowy, które wołała nazywać zajęciami z logopedii. Hebe przychodziło to naturalnie, a Silas wprawiał się w swojej szkole. Pomyślała o dziwnym stylu życia Hebe, która pracowała jako kucharka u bogatych kobiet. Nigdy nie wspominała o swoich pracodawcach. Nigdy nie mówiła o ojcu Silasa. Nawet gdy Hannah opowiedziała jej o

Edwardzie, nie zrewanżowała się swoją historią. Matka Hannah i ciocia Amy były siostrami. Matka wyszła za mąż za człowieka stojącego wyżej w hierarchii społecznej niż Amy, którą łączyło coś tajemniczego z Hebe. Dziewczyna lubiła Amy i podobnie jak ona była skryta. Hannah zdała sobie sprawę, że wie o niej równie mało, jak o ciotce Amy. Jej rodzice zawsze określali ją jako „tą biedną żyjącą samotnie, starą pannę” i dodawali, że powinna ją odwiedzać, skoro jest jej jedyną krewną. Kiedy rok temu znaleźli się razem z Gilesem w sąsiedztwie, zajrzeli do niej i zostali serdecznie przyjęci. Ponieważ Hannah żyjąc w Ameryce nie zapuściła tam korzeni, więc uznała za naturalne, że właśnie tu się przeniosą. Posłała Gilesa do szkoły i zajmowała się ciotką. Bardzo ją polubiła. Zaczęła błądzić myślami po różnych sprawach.

„Muszę powtórnie wyjść za mąż, spróbować jeszcze raz” — stwierdziła. Chociaż związek z Edwardem pozostawił nie zagojone rany, a niezależność miała swoje dobre strony, to jednak Hannah wolała stan małżeński. Jak na kogoś żyjącego z zasiłków dla samotnej matki i z dodatku na dziecko oraz zajmującego się od czasu do czasu gotowaniem u ludzi, Hebe radziła sobie nadspodziewanie dobrze. Ciekawe, ile te staruszki jej płacą? Hannah dmuchała na szybko wysychający lakier. Jak rozwiązała problem seksu? Choć znajomość z Georgem dawała jej dużo radości, to Hannah jeszcze nie zdecydowała, czy związać się z nim na stałe. George w łóżku poruszał wyłącznie trywialne tematy. „Stomatologia wcale mnie nie podnieca” — rozmyślała. Na pewno znalazłby się ktoś zabawniejszy od niego. Czas sprawdzić, czy ciotka Amy nie potrzebuje czegoś przed snem. Hannah spojrzała w kierunku domu Hebe. We wszystkich oknach było ciemno.

Daleko, pośród wzgórz, Jim Huxtable usiadł z Bernardem Quigleyem przed jego domem, dopijając butelkę bordo, którą otworzyli do kolacji.

— Zastanawiałem się, skąd wiedziałeś o kolekcji przycisków do papierów u tej staruszki. Dziś mają ogromną wartość.

— Co? — starzec przyłożył dłoń do ucha.

— Przecież nie jesteś głuchy — odparł Jim cierpliwie i czekał na odpowiedź.

— Chciałem sprawdzić, czy je nadal ma i czy byłaby skłonna je sprzedać — odpowiedział niechętnie.

— Zaprosiła mnie, żebym jeszcze kiedyś ją odwiedził, więc może zmieni zdanie — Jim popatrzył na gospodarza, trzymającego na kolanach kotkę, którą głaskał powykręcany od reumatyzmu palcami. Kotka głośno mruczała. W wilgotnym, ciężkim powietrzu czuć było zapach kapryfolium i woń psa Bernarda, Feathersa, leżącego u jego stóp.

— Twój pies trochę cuchnie — zauważył Jim.

— Wytarzał się w czymś śmierdzącym. Możesz go jutro wymyć.

— Dzięki — Jim nie przyjął pomysłu z radością.

— Nie sprzeda — powiedział zadumany starzec, wracając do przycisków. — Za bardzo je lubi.

Jim przypomniał sobie o głupawym pomysle Bernarda, który namawiał go, żeby chodził od domu do domu. — Nie kupuję w ten sposób.

— Tam nic nie mają do sprzedania, nawet najmniejszych dupereli.

— Jeśli o tym wiedziałeś, to czemu dałeś mi takie zadanie?

Starzec nie odpowiedział.

— W sąsiedztwie twojej znajomej spotkałem dziewczynę. Gadatliwa, powłóczyście spojrzenia.

— To jej siostrzenica — roześmiał się Bernard.

— Ulicą nadeszła inna dziewczyna, która mi kogoś przypomina. Kim ona może być?

Mieszka naprzeciwko twojej panny Tremayne, wygląda na krótkowidza. Trzymała w ręce okulary. Może znasz ją przypadkiem?

— Nie, nie znam.

W dawnym znaczeniu tego słowa poznać kogoś znaczyło kochać się z tą osobą. Bernard wspominał stare czasy, czułość i śmiech wymieszane z namiętnością. Jakże rozkoszne byłoby przeżycie tego z Hebe. Urodziła się za późno, pomyślał zazdrosny o młodszego od siebie mężczyznę. Pamiętał, jak wykorzystując naiwność Hebe, zapłacił jej za biżuterię matki dwa razy więcej, niż naprawdę były warte te błyskotki. Z kieszonki kamizelki wyjął tabakierkę, zażył tabaki i kichnął. Kot zeskoczył mu z kolan.

Jim obserwując Bernarda pomyślał, że o zmierzchu, w świetle zwykle łaskawym dla rysów starych ludzi, wygląda on jak skamieniały ptak.

— Dlaczego się nigdy nie ożeniłeś? — zapytał.

Bernard się zamyślił.

— Nie mogłem się zdecydować. Ani rezygnować ze wszystkiego. *Embarras de choix* *. A ty? Jeśli nie będziesz uważał, skończysz jako stary kawaler, choć nie powiem, żebym ci to odradzał. Miałaś dużo dziewcząt, co?

— Można tak powiedzieć.

— Nie chciałeś się z żadną z nich związać na stałe? Jim milczał.

— Gdybyś miał okazję kupić te przyciski do papieru...

— Tak?

— Idę spać. Zobaczymy się rano, nim wyjedziesz — Bernard z trudem podniósł się z krzesła. Jim wstał, a tamten pstryknął palcami na psa. — No, chłopcze, czas spać. Mógłbyś je ofiarować tej dziewczynie. Pewnie dlatego niosła okulary w ręce, że nie chciała nic widzieć — w głosie starca brzmiała czułość.

— A więc jednak ją znasz? — zapytał Jim nie spodziewając się odpowiedzi. Postanowił wstąpić do dziewczyny o imieniu Hebe i spytać, czy nie ma do sprzedania antyków. Chciał się przekonać, dlaczego jest godna kolekcji przycisków. W ten sposób zyska sposobność, by się jej przyjrzeć. Jeśli nie będzie marudził po drodze, powinien dotrzeć do Londynu przed wieczorem.

Hannah weszła do domu Amy Tremayne, również myśląc o Hebe.

— Ciociu, to ja. Jak się masz?

— Ciagle żyję.

— Mogę wejść?

— Zwykle to robisz.

— Co sądzisz o pukaczu? — zapytała nie zważając na zniechęcający początek.

— Myślę, że to dość ciekawy człowiek. Z Londynu.

— Coś mu sprzedałaś? — Hannah rozejrzała się po zagraconym pokoju ciotki, który tak trudno było porządnie odkurzyć.

— Nie — odparła Amy zrzędliwie. — Widziałam, jak z nim rozmawiałaś.

— Czemu nie? Pokazałaś mu swoje przyciski do papieru?

— Są w kredensie.

— Wiem. Sama je tam włożyłam. Tyle jest zachodu z ich czyszczeniem.

— Jak zobaczył Hebe, od razy przestał z tobą rozmawiać — zachichotała Amy.

— Myślisz, że ją zna? — Hannah spojrzała na ciotkę pytająco.

* franc.: trudny wybór (przyp. tłum.).

- Wyglądało, jakby mu się spodobała bardziej ode mnie.
- Coś powiedział? — staruszka zerknęła podejrzliwie.
- Tylko się wpatrywał. Może zna męża Hebe — Hannah próbowała coś wyciągnąć od ciotki.
- Ona przecież nie nosi obrączki.
- To znaczy, że nigdy nie była mężatką? — Hannah skorzystała ze sposobności, by pociągnąć ciotkę za język.
- W dzisiejszych czasach nie byłoby w tym nic dziwnego — rzuciła sucho.
- Och, ciociu!
- Och, ciociu — przedrzeźniała ją staruszka.
- Może jej kochanek umarł, nim mógł się z nią ożenić.
- Ona ci to powiedziała? — Amy uniosła brwi.
- Ona mi nigdy nic nie mówi. Wyobrażałam sobie, że przeżyła wielką miłość, a on umarł zaraz po ślubie albo zanim mogli się pobrać.
- A może się go pozbyła, jak ty biednego Krulla.
- Bogatego Krulla — poprawiła Hannah ze śmiechem.
- Oj, wy dziewczęta! Porzucić zupełnie przyzwoitego męża. Do niczego się nie potraficie przywiązać.
- Jeśli jest panną, to może adoptowała Silasa? — naciskała Hannah.
- Z tak podobnymi oczami? Może to jej brat? — zażartowała Amy złośliwie. — Idę spać, jeśli nie masz nic ciekawszego do powiedzenia.

Z trudem wstała z krzesła. Jej twarz okalały gęste białe włosy, oczy w sieci zmarszczek zachowały dawną urodę.

— Może coś ciepłego do picia? Kakao? — zaproponowała Hannah, mając nadzieję, że usłyszy jeszcze jakieś plotki.

— Poproszę o herbatę z whisky. Tylko mocną — powiedziała Amy i poszła na górę do sypialni. Jeżeli Hebe postanowiła trzymać język za zębami, ona na pewno nie będzie tego rozgłaszać. Amy pogardzała Hannah, która każdemu opowiadała o swoim życiu. W opowiadaniu historie urastały do dużych rozmiarów, najlepiej więc milczeć. Wyplątując się z pantalonów, o które w tych czasach było coraz trudniej, Amy westchnęła zastanawiając się, czy mądrze zrobiła wysyłając Hebe do Lucy Duff, Louisy Fox, a na początku do tego starego łajdaka, Bernarda. Już za późno, a zresztą dziecko — jak zawsze nazywała Hebe w myślach — musiało z czegoś żyć. Mimo wszystko Bernard jej nie oszukał. Znalazł jej pracę w hotelu na wybrzeżu i poznał z francuskim kucharzem. I choć z początku Amy tego nie pochwałała, w końcu okazało się to użyteczne.

Hannah przyniosła gorący napój.

— Zrobiłam mocną. Amy oparta na poduszkach sączyła napój. Hannah patrzyła na nią z czułością.

— Hebe pracuje, żeby opłacić szkołę Silasa. Musi ją kosztować fortunę.

— Gdybyś została z Krullem, Giles też by mógł tam chodzić. Jeśli wyjdiesz po raz drugi za mąż, stracisz alimenty — Amy posłała jej znad szklanki szydery uśmiech.

— A kto mówi, że tego chcę? — broniła się Hannah.

— Myślisz o tym bez przerwy. Rozważasz za i przeciw. Powinnaś, czy nie?

— Myślałam, że rozmawiamy o Hebe — powiedziała rozdrażniona Hannah.

— A ja myślałam o twoim powtórnym zamążpójściu. Obserwowałam cię dziś po południu. Nie możesz w nieskończoność brać pieniędzy od Krulla i przesiadywać nic nie robiąc i nic z

siebie nie dając. To nie w porządku.

— Nie masz prawa tak mówić! — krzyknęła Hannah, wybuchając gniewem. — Nigdy nie wyszłaś za mąż, zawsze byłaś sama, nie wiesz, jak to jest.

Staruszka milczała. W końcu wpatrując się w Hannah powiedziała cicho:

— Nikt z nas nie powinien być sam, to nienaturalne — w wielkim łóżku sprawiała wrażenie bardzo drobnej.

— Lepsze to, niż związać się z kimś, kogo się nie chce — wymamrotała Hannah tak, by ciotka jej nie usłyszała, niezadowolona, że została zmuszona do bronienia swoich racji.

— Dobrze cię słyszałam. Jesteś równie zła jak dziwka, którą podsłuchałam w Paryżu. Ona...

— Byłaś w Paryżu? — zawołała zdumiona Hannah.

— Ta dziwka... — Amy wymówiła to z naciskiem — ta dziwka opowiedziała drugiej o kliencie, który właśnie jej zapłacił, i któremu powiedziała: *Et moi, je soulage moi-même**. Nie wiem, czy ty też — staruszka chciała zdrwić ze swojej siostrzenicy. — Jakże ta dziewczyna się śmiała.

— Mam nadzieję, że Giles podczas szkolnej wycieczki nie nauczy się takiego francuskiego — zachichotała Hannah.

Amy uniosła brwi.

— Kiedy wraca?

— Jutro.

— Przyślij go do mnie.

— Sam przyjdzie. Kocha cię tak bardzo jak ja.

— Ho, ho — Amy nie czekając, aż Hannah dojdzie do podestu, zgasła światło i ułożyła się na poduszkach.

— Stara cholera — pomyślała Hannah szukając po omacku wyłącznika. — Zabiję się, spadając na dół! — krzyknęła, ale Amy milczała. Próbując znaleźć kontakt, Hannah pomyślała, że Giles tak szybko dorósł. Niedługo zniknie z jej życia.

Czekając aż zmorzy ją sen, Amy zastanawiała się, czy jej popołudniowy gość trafił do niej przypadkiem. Podziwiał jej skarby, mówił ze znajomością przedmiotu, znał ich wartość. Nie zgadzając się na sprzedanie, okrasila odmowę uprzejmym zaproszeniem na przyszłość. Rozmawiali o Francji. Trzymał przyciski w długich palcach tak, żeby lśniły w świetle. Powiedział, że szklane kwiaty są trwalsze od bukietu ze świeżych.

Czyż one nie są urocze? Przyciski do papieru sprawiły, że pomyślała o swojej tajemnicy, ukrytej niczym kwiaty w szkle. Niech Hannah lituje się nad ciotką, starą panną, która miała nudne życie. Nigdy się nie dowie o czasach, gdy była *la fille Anglaise***. W końcu straciła do tego serce, wróciła do pracy w Anglii, do nudnej, ale pewnej pracy sekretarki.

Amy patrzyła, jak Hannah uwodziła Jima Huxtable, jak rozmawiali, dopóki zerknąwszy w dół ulicy nie dostrzegł czegoś, co go zaniepokoiło. Amy postanowiła, że jeśli znów przyjdzie, sprzeda mu jeden z przycisków. Te skarby nasunęły jej na myśl Hotel d'Angleterre przed pięćdziesięciu laty. Jakaż to była radość, gdy budziło ją światło przenikające przez czerwone aksamitne zasłony, uściski i pocałunki, bliskość, a potem kawa i croissanty. Ta czułość, ten śmiech, upominki. Nie chciała myśleć o nich jako formie zapłaty, skoro wtedy jej nie oczekiwała. Bawiło ją, że Hannah, marząc o romantycznej miłości, uważała ją za „biedną staruszkę”, podczas gdy Hebe, traktując miłość z dystansem, jako folgowanie słabości innych, dawno już, całkiem słusznie, uznała ją za emerytowaną damę z półświatka.

* franc.: A ja sama zarabiam na sobie (przyp. tłum.).

** franc.: kurtyzana (przyp. tłum.).

Siedząc w domu, zaniepokojona Hannah rozważała, czy powinna wyjść za George'a. Chciała poślubić mężczyznę, który będzie mówił „rhegaty”, a nie „regaty”, jak George.

Rozdział czwarty

Mungo Duff z trudem znalazł miejsce, by zaparkować samochód na wielopoziomowym parkingu, wpadając we wściekłość, kiedy odkrył, że nie ma drobnych do maszyny wydającej bilety. Był upalny dzień. Zmęczyło go zwiedzanie katedr. Alison się uparła, żeby tak uprzyjemnić czas przyjaciółom z Santa Barbara, państwu Drew, którzy przyjechali na dwa tygodnie. Nim wygrzebał drobne, wrócił do maszyny i wetknął bilet za wycieraczkę, bardziej chciało mu się wypić coś w barze hotelu „Clarence” niż włączyć się po katedrze w Exeter, słuchając swojej wszystkowiedzącej żony i jeszcze mądrzejszych gości. „Jednak obowiązki wzywają” — powiedział sobie. Wczoraj Winchester, Stonehenge, Salisbury i Sherborne, a jutro powrót do domu i czas na odpoczynek. Przechodząc przez ulicę w stronę kościoła, kątem oka zobaczył zamaszty ruch spódnicy. Kołyszący krok i ruch pośladków wydały mu się znajome. Starając się w myślach dopasować twarz do tych pośladków, podszedł do żony i swoich gości stojących w głównej nawie, wpatrzonych w sklepienie. Wieczorem Alison będzie narzekała na zeszywniały kark i dobrze jej tak. Usiadł na krześle, wyciągnął nogi i czekał. Niech Alison się uwija. To jej zależy na zaproszeniu do Santa Barbara, nie mnie. Miejmy nadzieję, że Drewowie zatrzymają ją na dłużej. Dlaczego, tak jak innym porządny Amerykanom, nie wystarczył im Oxford, Cambridge, dom Anne Hathaway i Westminster Abbey? Patrząc z tyłu na żonę sunącą wzdłuż nawy, porównywał jej pośladki i tyleczek jej przyjaciółki Patsy Drew z dostrzeżonym przed chwilą na ulicy.

— O, Mungo.

Cholera! Alison właśnie go zobaczyła, a już niemal sobie przypomniał, kto to był.

— Tak? — podszedł do żony.

— Kochanie, zostań z nimi. Tylko zajrzę do sklepu z butami, tuż za rogiem. Mają wyprzedaż — szeptwała do niego Alison na boku.

— To twoi goście, nie moi — wysyczał.

— Kochanie, nie bądź taki drobiazgowy.

— Chyba czas na lunch? — odparł wymijająco.

— Już niedługo. No, bądź miły. Pośpieszę się.

— O, Boże!

— Jeśli po powrocie was tu nie zastanę, spotkamy się w barze.

— Czyli wrócisz za sto lat.

— Och, nie. — Stąpając szybko w swoich drogich sandałach, oddaliła się, by skorzystać z okazji i kupić parę, albo raczej dwie, przecenionych pięknych pantofli i zadać szyku w Ameryce. Kiedy, dawno temu, byli w sobie zakochani, żartował, że buty to jej fetysz. Teraz uważał to za manię. Wtedy kochał jej sprężysty krok i porównywał ją do szkockiego kuca, ale dziś patrząc na nią zastanawiał się, czy nie ma zbyt krótkich nóg i czy jej sylwetka, teraz bez zarzutu, za kilka lat nie zacznie przypominać baryłki. Naburmuszony, podszedł do gości.

— Wyjątkowo śliczna katedra. Porównywaliśmy ją do budowli w Durham i Lincoln.

Patsy Drew miała niespożyte siły. Co ta Alison w niej widzi?

— Ta jest przytulniejsza — wydusił Mungo.

— Przytulniejsza?

- Sympatyczniejsza, mniejsza. Mniej chodzenia.
- Zmęczyliśmy cię? — zapytał z troską Eli, młodszy i bardziej wysportowany od Mungo.

To dzięki uprawianiu joggingu.

- Na Boga, nie! — powiedział, przypominając sobie o dobrych manierach.
- Dla nas to wszystko nowe. Wy to macie na co dzień — stwierdziła Patsy ze skruchą.
- Mówiąc szczerze, to nigdy wcześniej nie byłem w Exeter.
- Chyba nie sądzisz, że ci uwierzymy?

„Czemu ona musi być taka rozkoszna?” — pomyślał.

- Tylko przejeżdżałem pociągiem.
- Ale tak blisko mieszkasz.
- Dla Anglika dwieście mil to wcale nie jest blisko.

Oboje się roześmiali, doceniając jego angielskie poczucie humoru.

— Może byśmy sobie darowali resztę na korzyść lunchu — podsunął Eli. — Wtedy zaliczylibyśmy Bath w drodze do domu, a może nawet uda nam się zmieścić Wells.

- Koniecznie — wtrąciła Patsy. — Wells jest obowiązkowe.
- Tak samo, jak coś do picia — mruknął Mungo ruszając w stronę wyjścia z katedry. —

Alison powiedziała, że spotkamy się w barze.

Gdy szli przez dziedziniec w stronę hotelu „Clarence”, Mungo znów zobaczył w przelocie tajemnicze pośladki. Zniknęły w drzwiach wejściowych, ale gdy weszli do holu, nie było tam nikogo.

W barze Mungo zamówił napoje i usadził gości w wygodnych fotelach. Nie widział tu nikogo znajomego.

— Lepiej pójde i zarezerwuję stolik — wyjaśnił ruszając w stronę restauracji. Wszedłszy tam, rozejrzał się dookoła, ale nie zobaczył żadnej znanej twarzy. Zerknął do pozostałych barów, ale bez powodzenia. Zamówił stolik i wracając spotkał Alison.

- Coś kupiłaś?
- Trzy pary.
- O, Boże!
- Potrzebuję tego na wyjazd do Stanów.
- Chcę — kwaśno poprawił Mungo.
- I chcę, oczywiście. Czy zamówiłeś dla mnie coś do picia?
- Jeszcze nie. Nie wiedziałem, na co będziesz miała ochotę.
- Zawsze piję wódkę.
- Nieprawda, często pijesz sherry, a kiedy jesteś w nastroju a’la Europejka, zamawiasz campari.

— Mungo, kochanie, zachowujesz się jak typowy mąż.

Alison zawsze tak mówiła, gdy w powietrzu wisiała kłótnia. Szybko się zmytygował:

— Przepraszam, bardzo przepraszam.

— Patsy, moja droga, nie miałabyś ochoty się odświeżyć? — Alison pochylając się ucałowała Patsy, jakby się nie widziały od tygodnia. Mungo skrzywił się na ten amerykański sposób bycia.

— A tymczasem zamów dla mnie wódkę z lodem — rzuciła Alison.

— Oczywiście — odparł, walcząc z pokusą odpowiedzenia „jasne”. Zastanawiał się, czy Alison już kręci z Eli, czy planuje to na przyszłość.

Kobiety ruszyły na poszukiwanie tego, co Patsy nazywała wychodkiem. Mungo napił się whisky i czekał, aż ogarnie go uczucie świeżości, dzięki któremu przetrwa lunch i popołudnie.

— Kelner od win twierdzi, że mają tu dobre bordo — zwrócił się do Eli. Musi się trochę

upić, by przetrwać taki dzień.

Hebe rozebrała się w damskiej toalecie. Jakże ją irytował brak przymierzalni w sklepie sieci domów towarowych „Marks & Spencer”. Od lat, przed wyjściem na spotkanie Silasa wracającego ze szkoły, brała kupione przez siebie ubrania do hotelu „Clarence”, mierzyła je w damskiej toalecie i jeśli na nią nie pasowały, natychmiast zwracała. Z powodu swej krótkowzroczności nie zauważyła, że u „Marksa & Spencera” były już przymierzalnie. Część toalety z lustrami i umywalkami była pusta. Hebe, zostawiwszy ubranie i torby z zakupami w kabinie, wróciła tam, żeby przymierzyć kostiumy bikini. Sprawdziła już dwa i właśnie miała włożyć trzeci, gdy nagle weszły Alison i Patsy.

Alison wybałuszyła oczy. Patsy otworzyła ze zdumienia usta. Hebe wskoczyła do kabiny i zamknęła drzwi na haczyk. Ze wstydu aż skamieniała. Wytężyła słuch.

Alison i Patsy weszły do kabin. Słyszała zatrzaśnięcie drzwi, siusianie, szelest papieru, szum wody, otwarcie drzwi; słyszała jak wychodzą, myją ręce, opuszczają toaletę i jak na korytarzu jednocześnie zaczynają mówić do siebie.

Podczas ubierania się i pakowania kostiumów drżały jej ręce. Zapomniała już, który na nią pasował. Uczesała się, stojąc w ciasnej kabinie i założywszy okulary, chwilę nasłuchiwała. Czy powiedzą coś portierowi, złożą skargę w recepcji? Nigdy nie była w „Clarence” na kolacji czy drinku; nikt jej tu nie znał. Z udaną beztróską przemierzyła korytarz wiodący do holu. Idąc powtarzała w myślach: nie śpiesz się, staraj się wyglądać normalnie. Nie spodziewała się spotkania z Mungo, podążającym szybkim krokiem do męskiej toalety. Upuściła pakunki, gdy podniosła dłonie, by zakryć twarz.

— Co ty tu robisz? — Mungo po wypiciu dwóch podwójnych whisky nie wierzył własnym oczom. Stał, by pozbierać jej rzeczy. Hebe też się schyliła i ich twarze znalazły się obok siebie.

— A co ty tu robisz? — oskarżycielsko spytała Hebe. — Czemu nie jesteś w domu?

— Alison sprowadziła nam na kark amerykańskie małżeństwo. Mają hysia na punkcie katedr: wczoraj Winchester, Stonhenge, Sherborne, dziś Exeter, Wells, Bath i jeśli zauważą, jak blisko jest do Glanstonbury, to bez wątpienia i...

— Jesteś pijany — wyrwała mu pakunki. — Okropnie cuchnie ci z ust.

— Mam w czubie. Mieszkasz tutaj?

— Nie, nie.

— W okolicy? — patrzył na nią z góry. Wydawał się jej wyższy, niż go zapamiętała.

— O nie — wycofywała się.

— Alison wyjeżdża do Ameryki na dłuższy pobyt. Ma kogoś na oku.

— No to co?

— To możemy być razem, kochanie — powiedział głośno Mungo.

— Nie nazywaj mnie tak — wysyczała Hebe.

— Nie usłyszysz mnie, jest w barze — chwycił ją za dłoń trzymającą kostiumy, ale w palcach została mu tylko torba. — Och — podążył za nią. — Weź to. — Złapał ją za ramię. — A więc to twój tyłeczek widziałem wcześniej. Nie mogłem sobie przypomnieć.

— O czym ty mówisz? — zabrała pakunek i ruszyła szybkim krokiem.

— Od kiedy nosisz okulary?

— Do widzenia. — Hebe przebiegła ulicę i wskoczyła do przejeżdżającego autobusu. Spojrzawszy do tyłu zobaczyła, jak ciemnowłose, potargany Mungo, przewyższający o głowę otaczających go ludzi, patrzy za nią z szaleństwem w błękitnych, trochę zezujących oczach. Pozostawiony na chodniku Mungo przypomniał sobie, że szedł do toalety. Gdy wrócił do baru, żona i znajomi zaśmiewali się z opowiadania Patsy, która opisywała swoją konsternację, kiedy

spotkała nagą dziewczynę w damskim klozecie.

— Miała na sobie tylko okulary — Patsy i Alison zaniósł się śmiechem.

— Życie w prowincjonalnym mieście katedralnym. Lepsze to niż Trollope* — parsknął Eli.

— Ona nie jest taka — wtrącił Mungo, który się przesłyszał.

— Kto nie jest? — Alison rzuciła mu badawcze spojrzenie.

Mungo wyczuł niebezpieczeństwo.

— Ta dziewczyna — odparł. — Wiesz, kogo mam na myśli. Gotuje u mamy. Chyba ją widziałem na ulicy. Nie pamiętasz, jak ma na imię? — spytał Alison. — Czy mieszka gdzieś w okolicy?

— Wydaje mi się, że pochodzi z Londynu. Nie pamiętam jej imienia — Alison wyglądała na znudzoną. — Kochanie, nie zamawiaj już nic więcej do picia. Chyba powinniśmy wreszcie sięść do lunchu.

— Oczywiście, lepiej się pośpieszmy, skoro się wybieramy do Bath i Wells. A może by zajrzeć również do Glastonbury? — zawołał Mungo z ulgą w głosie.

Za kierownicą usiadła Alison, ponieważ pod względem ilości wypitego alkoholu nie mogła się równać ze swoim mężem. Ostatecznie postanowili, że darują sobie Glastonbury. Patsy słyszała, że to ulubione miejsce pobytu hipisów i narkomanów.

— Mamy własnych w Kalifornii — powiedziała.

Mungo, udając, że śpi na tylnym siedzeniu, głowił się nad tym, co Hebe robiła w Exeter. Cóż za skryta dziewczyna. Nie cierpiał kontaktowania się z nią za pośrednictwem londyńskiego adresu. Może jednak mieszka w tych okolicach? Czemu z niej nie wydusił adresu? Gdy tylko Alison ustali ostatecznie datę pobytu w Ameryce, mógłby napisać do Hebe i skłonić ją, by się z nim spotkała. Może wybraliby się za granicę. Przecież jej torbę wypełniały kostiumy kąpielowe. Przez chwilę marzył o wakacjach nad Morzem Śródziemnym, ale gdy wpływ wina, które wypił po dwóch whisky, zaczął ustępować, ze smutkiem przypominał sobie, że tańczy, jak mu Hebe zagra. Zawsze to ona ustala terminy i miejsce: kawalerkę przy Solan Avenue.

Alison, siedząc za kierownicą, tak przesunęła lusterko, by zerknąć na swoje odbicie. Nie była zadowolona z wyglądu. Włosy, o naturalnych złotorudych splotach, potrzebowały fryzjera. Intensywnie błękitne oczy były bez zarzutu, ale powinna, jak radziła Patsy, przyciemnić jasne brwi. „Czas, bym o sobie zadbała” — stwierdziła wjeżdżając na autostradę M5. Ponownie przekreśliła lusterko, by spojrzeć na Mungo na tylnym siedzeniu. Z rozbawieniem pomyślała, jak wiele razy przedtem, że choć nigdy nie chodził do Eton, zachowuje się z pewnością siebie charakterystyczną dla absolwentów ekskluzywnych szkół prywatnych, gdy tymczasem ona, mimo swojej wrodzonej władczości, w głębi ducha była niepewna i nie znalazła celu w życiu. „Muszę to zmienić” — postanowiła wjeżdżając na pas szybkiego ruchu. Zastanawiała się, jak często Mungo tracił pewność siebie. Dostrzegła zmianę w jego zachowaniu, gdy podczas lunchu wspomniano kucharkę jego matki. — A więc to tak! — powiedziała Alison do siebie, wysuwając dolną wargę.

— W Stanach pójde do fryzjera — rzuciła przez ramię do Patsy.

— Wysyłamy chłopców do Eton — zwróciła się do Eli siedzącego przy niej.

— Doprawdy? — na Elim nie zrobiło to wrażenia. — W Stanach maksymalna prędkość wynosi pięćdziesiąt mil, a u was?

— Siedemdziesiąt — Alison przyśpieszyła, aż wskazówka prędkościomierza sięgnęła liczby osiemdziesiąt.

*Anthony Trollope — ang. powieściopisarz, autor książek o wiktoriańskiej Anglii; gra słów: ang. trollop ulicznica (przyp. red.).

Rozdział piąty

Hebe przejechała milę autobusem i weszła z powrotem na górę przeklinając Munga. Nie sądziła, by Alison ją rozpoznała. Minęły lata od ich pierwszego spotkania, gdy zaczęła pracować dla matki Mungo. W tamtych czasach nosiła grzywkę, a teraz okulary jeszcze bardziej zmieniły jej wygląd. Z wysiłkiem usunęła Munga i jego żonę ze swoich myśli. Planowała, że spędzi ten dzień spokojnie, na zakupach, ale teraz stracił dla niej cały urok. Najważniejsze, by zdążyła na pociąg przywozący Silasa ze szkoły, z jego innego życia. Ledwie wystarczyło jej czasu, by oddać kostiumy i odebrać pieniądze. Zmusiła się do spokoju. Postanowiła bez pośpiechu zabrać samochód z parkingu, wolno pojechać na stację, porządnie zaparkować, przyczesać włosy, poprawić spódnice, uspokoić się, skoncentrować się na Silasie.

Hebe zawsze się obawiała, że spędziwszy cały semestr z dala od niej, Silas się zmieni i nie będzie już do niej należał, przestanie ją akceptować. Obawiała się, że będzie się czuł zażenowany, gdyby zbyt jawnie okazała mu swoje uczucia. Chodziła po peronie tam i z powrotem w bolesnym oczekiwaniu.

Zdziwiła się, gdy pociąg przyjechał punktualnie. Wmówiła sobie, że się spóźni. Kiedy Silas ją objął, niemal się rozplakała, czując ulgę. Zapakowali jego rzeczy do samochodu, usiadł przy niej i gdy odjeżdżali westchnął z głębi serca:

— Jak to dobrze wracać do domu.

Ogarnęła ją przemożna radość, że ma tak wspaniałe dziecko. Kochała jego kasztanowe włosy, szerokie usta, wąski, garbaty nos, spojrzenie pełne udawanej arogancji.

— Wyrosłeś.

— A czego się spodziewałaś? — odparł. Jej radość zniknęła.

— Co chcesz robić w wakacje? — spytała. Niemalże zapytała: „Co będziemy robili w wakacje?”.

— Pomyślałem, że mógłbym z Gilesem powęszyć po okolicy. W wielu miejscach jeszcze nie byliśmy — Silas był zły sam na siebie, ale chciał zaznaczyć swoją niezależność.

— Mogłabym was wozić samochodem — mimowolnie włączyła siebie w jego życie.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wolelibyśmy jeździć autobusem — spojrzał na nią kątem oka.

— Oczywiście, że nie mam — odparła ostro. — Dlaczego miałabym mieć?

„Moje zadanie to gotować, wypłacać kieszonkowe, być pod ręką, kiedy potrzeba” — pomyślała. „Na litość boską, nie czepiaj się go tak kurczowo, nie bądź zachłanna” — napomniała siebie.

— Jeden z chłopców chciał mnie podwieźć. Jego ojciec bierze go do Kornwalii — powiedział Silas. — Właściwie na wyspy Scilly.

— Dlaczego się nie zgodziłeś?

— Wolę pociąg. Lubię wyglądać na ciebie czekającą na peronie.

I długą wspólną jazdę do domu.

— Och, kochanie — serce w niej podskoczyło.

— Oczywiście, zaoszczędziłbym na bilecie.

— Do diabła z oszczędzaniem! — zawołała Hebe i oboje się roześmiali, kpiąc sobie z rujnującej ceny biletu.

— Jak twoja praca? Kiedy wróciłaś do domu? Jesteś zadowolona?

— To jedyne, co potrafię robić, no i dobrze płacą. Masz mi za złe, że tym się zajmuję? — spytała obawiając się jego krytyki.

— Dlaczego miałbym mieć za złe? — Silas był naprawdę zdumiony. — Siostra jednego z chłopców gotuje podczas przyjęć po polowaniach. Mówił, że niektórzy faceci się do niej przystawiają i zwykle kończy się to w łóżku.

Och, co Silas wiedział o łóżku? To na pewno tylko książkowa wiedza.

— Powiedziałem mu, że pracujesz wyłącznie dla starszych pań, bo więcej płacą. Ma jej to powtórzyć. Mamo, chyba ci to nie popsuje interesu, co?

— Oczywiście, że nie. Pracy starczy dla wszystkich.

— Nigdy cię nie zamawiają podczas wakacji?

— Nie zgodziłabym się — odparła szybko. — Tylko w czasie wakacji możemy być razem.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś coś wzięła na tydzień.

— O czym ty mówisz?

— Skoro wysyłasz mnie do szkoły z internatem, równie dobrze mógłbym zostawać sam w domu, kiedy pracujesz.

O mój Boże! Jak to przykro słyszeć coś takiego.

Silas, który już od dłuższego czasu o tym myślał, przestraszył się, że może powiedział za wiele.

Hebe zastanawiała się, czy traci więź z Silasem. Czy w ogóle kiedykolwiek ona istniała?

— Dobrze ci w szkole? — zadała mu głupie pytanie.

— W porządku.

— I co to za odpowiedź! — zawołała rozdrażniona.

— Bardzo mi tam dobrze — kłamał, mając już w tym wprawę, zdobytą w swym dwunastoletnim życiu. — Mam wielu przyjaciół — dodał, wiedząc, że takie oświadczenie ją uspokoi. — Co słyszeć na naszej ulicy? — zapytał słodkim głosem, choć wiedział, że ona uważa ją za brzydką.

— Brzydka jak zawsze. — Zerknęła na niego zastanawiając się, po kim ma garbaty nos. — Ale ty ją kiedyś lubieś.

— I nadal lubię. Mnóstwo na niej tajemniczych ludzi.

— Hannah, Giles, Amy Tremayne.

— I inni. Chyba nigdy się z nimi nie poznałaś. Nie sądzisz, że mogłabyś ich polubić?

— Raczej nie — odpowiedziała Hebe z przekonaniem. — Nie jestem towarzyska. I rzadko bywam w domu.

— Uważasz, że ta ulica jest za brzydka, by mógł na niej mieszkać ktoś ciekawy. Słyszałem, jak to mówiłaś do Hannah.

— W twoich ustach to brzmi, jakbyś uważał mnie za snobkę.

— Gdybyśmy mieszkali na innej ulicy, wcale nie byłibyśmy inni.

— Silas bronił ulicy, która fascynowała go swą mroczną urodą.

— Byłabym inna w osiemnastowiecznej rezydencji albo w wiejskim domku — odparła Hebe, myśląc jak się zmienia, gdy wyjeżdża do pracy. — Oczywiście, gdyby były piękne.

— To nasz dom, i jesteś w nim ty.

Hebe bała się odezwać. Drażni się ze mną, a za chwilę mówi coś cudownego. Szkoda, że nie znam lepiej mego tajemniczego dziecka.

— Cieszę się, że go lubisz — rzuciła. — I gdyby jakimś cudem, w środku wakacji pojawiła się praca, to mógłbyś sprawdzić, czy sobie sam poradzisz — zażartowała.

— Świetnie dam sobie radę — odparł poważnie.

— Wtedy płacą podwójnie — nie wierzyła, że to ona wypowiada te słowa. Czyby to było

dla niego dobre poznać smak samotności?

— Byłbyś sam — dodała, oczekując protestu.

— W razie potrzeby dostałbym coś do jedzenia od Hannah czy Amy — drażnił się z nią Silas, myśląc, że ta samotność byłaby wspaniała, tak różna od samotności w szkole.

Dojeżdżali do pnącej się ostro w górę ulicy i Hebe z lękiem myślała, że nigdy nie zrozumie Silasa. Wtem przypomniała sobie koszmar, który ją dopadł wczoraj i zatrzymując się przy drzwiach domu, zdała sobie sprawę, że pracując u ludzi, rzadko doświadcza tego panicznego lęku. Z rozbawieniem pomyślała o swoim spotkaniu z Mungiem i roześmiała się, zatrzymując się przy drzwiach, myśląc z przyjemnością, że w jakiś sposób ją pociąga.

— Dotarliśmy, mój ty cudzie — powiedziała. Silas też się roześmiał, uradowany z powrotu i zadowolony, że najwidoczniej nie sprawił matce przykrości. — Przebiorę się — powiedział, gdy wnosili jego bagaże na górę. — I poszukam Gilesa — gorączkowo chciał zająć swoje miejsce w najbliższym otoczeniu.

— Zrobię podwieczorek — Hebe z przykrością myślała o swoim skrepowaniu w obecności Silasa, który odnosił się do niej z dystansem. Widać wziął po niej skryty i pełen rezerwy charakter. Na wspomnienie nieszczęsnego spotkania z Mungiem pożałowała, że nie może się podzielić z synem tą zabawną historią.

Zszedł na dół ubrany w dżinsy i podkoszulek.

— Nie będziesz mi miała za złe, jeśli teraz pójdę poszukać Gilesa?

— Na półce nad kominkiem leży list do ciebie.

Otworzył kopertę.

— Och, świetnie! — zawołał. — Cudownie! Matka Michaela Reevesa zaprosiła mnie, żebym do nich przyjechał. Fantastycznie!

— Kto to jest Michael Reeves? — przeszedł ją zimny dreszcz.

— Kolega ze szkoły. Wynajmują domek na wyspach Scilly. Żeglują. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, prawda? Tylko na trzy tygodnie.

— Trzy tygodnie? — starała się mówić spokojnie. — Kiedy?

— Będzie obłędnie — Silas był uszczęśliwiony. — Trzy tygodnie żeglowania. Tylko pomyśl, nigdy wcześniej nie pływałem.

— Kiedy? — ogarnął ją chłód. Nawet nie pomyślał, że mógłby nie pojechać.

— Prosi, żebyś napisała, jaki termin ci odpowiada. Jest całkiem przyjemna. Przyjechała na dzień sportu w połowie semestru.

— Ja pracowałam i nie mogłam się wyrwać — Hebe unikała uczestniczenia w szkolnych wydarzeniach.

— Pozwolisz, prawda? — wyglądał na zaniepokojonego. — To ten chłopiec, który zaproponował, że mnie tu podwiezie.

— Aha — ogarnęło ją gorzkie rozczarowanie.

— Na pewno nie masz nic przeciwko temu? — Silas był przekonany, że pojedzie, ani przez chwilę w to nie wątpił.

— Oczywiście, że nie. Bardzo miło ze strony pani Reeves.

„Nie wolno mi się go kurczowo trzymać” — pomyślała.

— Muszę do niej napisać. Będziesz się świetnie bawił.

— Może byśmy zadzwonili? — Silas chciał jak najszybciej ustalić termin, chwycić okazję i nie wypuszczać jej z rąk.

— Oczywiście, kochanie, zadzwonimy wieczorem — poddała się.

— Dobrze. To znikam, żeby poszukać Gilesa. — Wybiegł z domu, zostawiając wszystkie drzwi otwarte, spragniony wrażeń.

Przez parę minut czuła się pogrążona w rozpacz. Po dłuższym namyśle podjęła decyzję. Będzie pracować. Nie u Munga. To za szybko, pomyślałby, że umocnił swoją pozycję. Lepsza będzie pani Fox. Praca bez problemów i całkiem niezłe pieniądze. Gdy wrócił Silas, prowadząc ze sobą Gilesa, uśmiechnęła się do nich.

- I jak Paryż?
- Wspaniale — Giles był męską wersją Hannah.
- Może napijesz się herbaty?
- Już piłem — Giles w uśmiechu odsłonił krzywe zęby. Czy George Scoop zrobiłby z nimi porządek za darmo, gdyby Hannah go poślubiła?
- Może jednak?
- Dzięki — Giles lubił matkę przyjaciela i uważał go za szczęściarza. — Szkoda, że moja matka nie jest kucharką.
- Bardzo pożyteczny zawód — Hebe podała mu kawałek ciasta.
- Kiedy będziesz na Scillach, pojedę do pani Fox w Wiltshire — zwróciła się do Silasa.
- Kim jest pani Fox?
- Jedna ze starszych dam, które od czasu do czasu pozwalają sobie na wynajęcie kucharki, bo to im poprawia nastrój.
- Wrócisz, nim przyjadę ze Scilly?
- Wrócę — powiedziała. — Oczywiście, że wrócę.

Rozdział szósty

Po wyjeździe Eli i Patsy, Mungo zaczął się kłócić z Alison, przewrotnie oskarżając ją o egoizm, skoro zamierza go zostawić samego. Choć z niepokojem oczekiwał na jej wyjazd do Santa Barbara, nie chciał, by się tam dobrze bawiła, choć równocześnie miał nadzieję, że go zdradzi z Elim. Musi wyjeżdżać z poczuciem wdzięczności, że zgodził się na rozstanie i powróciwszy troszczyć się o niego jeszcze czulej, dręczona wyrzutami sumienia. Jeśli zdoła odnaleźć Hebe, powita Alison z otwartymi ramionami. Jeśli mu się nie powiedzie, to będzie mógł odgrywać rolę skrzywdzonego męża. Miał nadzieję, że Eli ją rozczaruje w łóżku. Alistair i Ian wybierali się w odwiedziny do kolegi — następny powód do wzajemnego obwiniania, bo Alison zaplanowała ich wakacje bez porozumienia z nim.

- Dorosną, nie znając własnych rodziców — protestował. — Równie dobrze moglibyśmy być po rozwodzie.
- Często myślę, że dzieci rozwiedzionych rodziców widują ich częściej, niż te z pełnych rodzin, ale czy to dobrze? — odparła Alison.
- Co dobrego miałaby im przynieść twoja obecność, kiedy jesteś w takim nastroju? To ważne — dodała, żeby go jeszcze bardziej rozdrażnić — by obracali się wśród odpowiednich ludzi. Wtedy poznają właściwe dziewczęta. Na to nigdy nie jest za wcześnie.
- Więc dobrze, jedź, baw się dobrze. Zostaw mnie samego.
- Ciebie też zaprosili — mówiła mu to już wcześniej.
- Doskonale wiesz, że w tej chwili nie mogę zostawić firmy.
- Wcale nie wiem. Często ją zostawiasz i wyskakujesz do Londynu. A w firmie świetnie sobie radzą.
- Jestem z nimi w kontakcie. I robię tam interesy — powiedział Mungo myśląc, jak niewiele interesów robił, gdy, jak to określała Alison, „wyskakiwał” do Londynu. Parę rozmów

telefonicznych, jakiś lunch. Resztę czasu spędzał z Hebe. Przeklinał bezlitosny, jednokierunkowy system porozumiewania z Hebe, te niezobowiązujące rozmowy, kiedy dzwoniła, proponując termin. Dlaczego to znoszę? — zapytał samego siebie i nawet nie zadał sobie trudu, by na to odpowiedzieć. Przecież to Hebe dyktowała warunki. — I ja za to płacę — jęknął.

— Wiesz doskonale, że sama płacę za siebie — Alison spojrzała na niego wyniośle.

— Nie mówiłem o pieniądzach. Miałem na myśli samotność.

— Pojedź odwiedzić matkę, to raczej ona jest samotna — Alison nie okazywała mu zrozumienia. — Pewnie będzie u niej ta kobieta, która jej gotuje.

— Nie przypuszczam — odparł Mungo, który już wcześniej sprawdził, że matka spodziewa się Hebe dopiero jesienią. „Nie, najdroższy — powiedziała jego matka, odpowiadając na jego następne pytanie.

— Nie wiem, gdzie ona mieszka. Panna Thomson pisze pod adresem w Londynie, a ktoś przesyła listy do niej. Jak wiesz, przyjeżdża trzy razy do roku, a panna Thomson ma wtedy wolne”.

— Panna Thomson nie ma teraz urlopu — wyjaśnił żonie.

— Czemu nie możesz pojechać, kiedy jest tam panna Thomson?

— Goście sprawiają jej za dużo kłopotu.

— Nie wierzę. Mnie zawsze serdecznie wita.

— A w to ja z kolei nie wierzę — postanowił się z nią spierać.

— Wierz, w co ci się podoba. I tak nie popsujesz mi wakacji. Mungo, leżąc w łóżku, myślał o Hebe. Co ona robiła w Exeter?

Czyż rok temu, kiedy po odpracowaniu dwóch tygodni u jego matki pozwoiliła mu się zabrać na tydzień do Devonshire, nie twierdziła, że jest tu po raz pierwszy? Czyż nie wykrzykiwała z zachwytu, kiedy wiózł ją drogami, których skraje pokrywał puszysty dywan traw aż lśniący od firletek i dzwonek? Czyżby udawała? Co robiła w „Clarence”? Może zatrzymała się tam z innym mężczyzną? Mungo jęknął przypomniałszy sobie, jak długie nogi i ręce Hebe oplatały go w rozkosznym, choć niedbałym uścisku.

— Boli cię brzuch? — spytała z sąsiedniego łóżka na wpół obudzona Alison.

— Nie, nie.

— To daj człowiekowi pospać. Za dużo wypiełeś wczoraj podczas lunchu. Zawsze ci to szkodzi.

— Nie mogę się doczekać, kiedy pojedziesz do Ameryki — wykrzyknął.

— Dobrze, już dobrze — Alison wyciągnęła się w łóżku, zadowolona, że została właściwie oceniona. Dobrze mu robi jej wyjazd. Cieszyła się, że się złościł, bo zostawia go samego. Świetnie wiedziała, że Mungo spędza z Hebe sześć tygodni w roku, tygodni, podczas których podobno miał robić interesy w Londynie. Słyszała od znajomych, że go widywano wtedy z dziewczyną, ale ponieważ wracał w tak łagodnym nastroju, już dawno uznała, że Londyn dobrze mu robi. Z kimkolwiek się spotykał, ta osoba nie stanowiła zagrożenia. W czasie jego nieobecności odnawiała część domu lub jechała z przyjaciółką za granicę oglądać obrazy i katedry. Najwyższy czas, by coś zmieniła w tym układzie. Jeśli Mungo mógł złamać zasady, tym bardziej mogła to zrobić ona.

Gdy Alison spała, Mungo się głowił, jak odnaleźć Hebe. Przez moment nawet pomyślał o wynajęciu prywatnego detektywa, ale uznał to za zbyt kłopotliwe. Przecież Hebe go nie oszukiwała. Jedyne, co go irytowało, to jej cholerna tajemniczość. Nie mogąc usnąć, wrócił myślą do ich pierwszego spotkania. Gdy tak upajał się wspomnieniami, leżąc na sąsiednim łóżku Alison sapnęła i odwróciła się do niego tyłem. To dzięki niej poznał Hebe i na myśl, że jej powinien być za to wdzięczny, aż jęknął, bo Alison była dobrą żoną, choć trochę władczą.

Wspaniała gospodyni, dobra matka, wyjątkowo dobra synowa, te wszystkie cechy, razem z jej żądzą władzy, sprawiły, że Hebe znalazła się w jego życiu. Pomyślał, że ta historia rozbawiłaby jego dawno zmarłego ojca. Ojciec, szczęśliwy w małżeństwie, nigdy nie zszedł ze ścieżki cnoty i niesłuchanie go bawiły upadki przyjaciół. Wspominał ze szczerą radością ich nieślubne dzieci, na które musieli łożyć, nieprzyjemne starania o załatwienie zabiegu, niebezpieczne dolegliwości — zawsze tym mianem określał choroby weneryczne — wysokie koszty utrzymywania kochanek. Mungo pomyślał, że ojciec sprzeniewierzył się swoim zasadom, niespodziewanie umierając, pozostawiając matce bogactwo i samotność w ich dużym domu, który on odziedziczył we właściwym czasie i jeśli go urząd podatkowy nie zgębi, przekaże swoim synom, właśnie przygotowującym się do wstąpienia do Eton, ponieważ Alison nie uznała jego dawnej szkoły za wystarczająco dobrą.

Leżał, słuchając oddechu żony i myślał o dniu śmierci ojca, kiedy to Alison wzięła wszystko w swoje ręce, przygotowała cały pogrzeb, nawet nie starając się sprawić wrażenia, że to Mungo się tym zajął. Pisała i odpowiadała na listy, niestrudzenie pocieszała i uspokajała. Znalazła gosposię, która poprowadziła duży dom i gotowała za niewygórowaną pensję, mieszkanie z kolorowym telewizorem i samochód do dyspozycji oraz miała z góry ustalone wolne dni i urlopy. Alison, opisując teściowej warunki umowy, podkreśliła, że to właśnie dzięki dwutygodniowym urlopom trzy razy do roku panna Thomson jest zadowolona. Następnie wróciwszy do domu wyjaśniała nie znającym się na rzeczy synowym, jak to wspaniale zatrudnić podczas nieobecności panny Thomson doskonałą kucharkę, żeby Lucy mogła zapraszać gości, nie drażniąc gosposi, która wolała spokój i codzienną rutynę. „I proszę — zwykła mówić Alison — jak mi się cudownie trafiło. Polecono mi kobietę. Przyjeżdża podczas urlopu panny Thomson i wszyscy są zadowoleni”.

— Czy to drogo kosztuje? — pytano Alison. — Hmm, warto tyle zapłacić — odpowiadała Alison, nie zdradzając wysokości pensji kucharki. — Ma się czasem trochę szczęścia — mówiła Alison cichym głosem, od którego Mungo aż coś chwyciło za gardło, bo szczęście Alison było także i jego szczęściem.

Kiedy siedem lat temu odwiedził matkę bez uprzedzenia, ta powiedziała:

— Kochanie, jak miło cię widzieć. Idź, powiedz kucharce, że zostaniesz na obiedzie. Panna Thomson wyjechała na urlop.

— Czyżbyśmy jeszcze mieli kucharki w tych czasach? — spytał rozbawiony.

— Alison ci nie wspominała? Znajdziesz ją w kuchni, uprzedź, że przyjechałeś.

A w kuchni była Hebe. Mungo, słuchając oddechu Alison, pomyślał, jak to źle, że Hebe pojawia się tylko wtedy, gdy wyjeżdża panna Thomson, a nie wtedy gdy Alison postanawia odwiedzić Santa Barbara, co dałoby mu wspaniałą okazję do spotkania, cudowną szansę, która miała go właśnie ominąć. Może przypadkiem matka ma jeszcze inny adres niż ten pośredni, który i on znał. Mógłby powiedzieć, że ma przyjaciela, którego matka również potrzebuje kucharki na krótki czas, bo się znalazła w podobnej sytuacji. Może mógłby zdobyć adres Hebe dzięki innemu sprytnemu podstępowi. Jakież to głupie nie wiedzieć, gdzie ona mieszka. Leżąc bezsennie, wspominał Hebe i ich pierwsze spotkanie.

Poszedł do kuchni, spodziewając się zaniedbanej kobiety w średnim wieku, a zobaczył Hebe wałkującą w skupieniu ciasto. Nie słyszała jego kroków. Miał dość czasu, by się dokładnie przyjrzeć tej wysokiej dziewczynie w różowej sukience w paski i białym fartuchu, co wyglądało na parodię tradycyjnego stroju kucharki. Lśniące ciemne włosy spływały jej do ramion. Miała pełne usta i tak ciemne i ogromne oczy, jakich nigdy wcześniej nie widział. Uśmiechnęła się, a on po prostu się w niej zakochał i postanowił ją zdobyć.

Z początku wyglądało to na trudne zadanie. Przede wszystkim Mungo zapytał matkę przy

obiedzie — najlepszym, jaki kiedykolwiek jadł pod jej dachem — gdzie znalazła tak doskonałą kucharkę. Ze zdziwieniem dowiedział się, że to odkrycie Alison, choć naturalnie, o tym mu nie powiedziano.

— Droga Alison — rzekła matka Mungo. — Naraziła się na takie kłopoty. Rozmawiała przynajmniej z sześcioma osobami. Tylko ta dziewczyna zgodziła się zastępować pannę Thomson. Ona planuje wyjazdy wiosną, latem i jesienią. Najwidoczniej to odpowiada Hebe.

Alison wzięła na siebie większość kłopotów. Teraz matka już się nie musi więcej kłopotać.

Mungo zwrócił uwagę na powtarzający się wyraz „kłopoty” i zastanawiał się, czy matka naprawdę lubi Alison tak bardzo, jak sama twierdzi.

— Więc panie Thomson pozostaje tylko przygotować się do wyjazdu.

— Sądzę, że i tak by to zrobiła.

— Tak, mój drogi — pani Duff nie lubiła się zbyt rozwódzić.

— Skąd ona pochodzi?

— Nie pytałam. Nie lubię węszenia.

— Czy przedstawiła referencje?

— Wydaje mi się, że Alison sprawdziła jej związki z jakąś kobietą pracującą dla twojego ojca, bardzo porządna osoba. Wygląda na to...

— Co? — Mungo wiedział, czemu matka się zawahała. Ciekawe, czy opisze Hebe jako jedną z nich, damę, może użyje eufemizmu, choćby „miła dziewczyna”.

— Hmm, że jest wykształcona, kochanie.

— Wiele dziewcząt jest wykształconych.

— Świetnie wiesz, o czym mówię.

— Nawet służba.

— Ona nie należy do służby — sprzeciwiła się pani Duff.

— To kim jest?

— Kochanie, nie nudź — powiedziała zmieniając temat.

Podczas dwóch dni spędzonych z matką, Mungo często próbował nawiązać z Hebe rozmowę. Była uprzejma, ale nieustannie zajęta. Wbrew obyczajom panny Thomson, nie siadała z nimi do stołu i gdy skończyła pracę, znikła gdzieś samochodem. Kiedy nie zdołał już wynaleźć żadnego nowego pretekstu do odwiedzenia kuchni, wyjechał po dwóch dniach postanowiwszy, że nie będzie sobie zaprzęcał nią głowy. Jednak pozostała w jego myślach i wrócił do matki po tygodniu pod pozorem, że w jej zeznaniu podatkowe wkradł się błąd. Lucy odgadła jego prawdziwe intencje i w głębi duszy życzyła mu szczęścia. Choć korzystała z umiejętności i energii Alison, wcale jej za to nie lubiła. Niech Mungo ma trochę radości.

Znalazł Hebe w kuchni przygotowującą obiad i nie owijał niczego w bawełnę.

— Wróciłem, żeby się zapytać, czybyś się ze mną nie przespała.

Hebe zerknęła znad mieszanego sosu.

— Nie tutaj.

— Dlaczego?

— Nie w domu twojej matki.

— Ale się zgadzasz? — wpatrywał się w nią.

— Kiedy skończę pracę, możemy pojechać do hotelu.

— Ty się... O mój Boże! — z radości nie wierzył własnym uszom.

— Wtedy zobaczę, jak to będzie...

— Zobaczysz, jak to będzie?

— Zobaczę — cierpliwie tłumaczyła Hebe — czy mi odpowiada spanie z tobą. Jeśli tak i będziesz chciał się ze mną spotykać, to zawrzemy umowę.

— Och — rozczarował go jej spokojny ton.
— Nie robię tego za darmo. Muszę zarabiać na życie. Jestem bardzo droga.
— Więc jesteś prostytutką? — Mungo był zdumiony i zaintrygowany.
— Jestem kucharką, ale jeśli chcesz, to cię wypróbuję.
— Ty mnie wypróbujesz! — zakrzyknął.
— To ty mnie poprosiłeś, nie ja ciebie — wydawała się taka spokojna i daleka.
— Proszę — Mungo objął ją ramieniem i próbował ucałować w kark.
— Uważaj na sos — odepchnęła go łokciem. Widział, że się uśmiecha. — Spędzimy razem parę dni, zobaczymy, jak pójdzie — pomieszała w garnku. — I jeśli będę zadowolona, omówimy stronę finansową.

— Jeśli ty będziesz zadowolona?
— Ty na pewno będziesz. Już ja się tym zajmę.

Czyżby sobie z niego kpiła?

— Jestem bardzo drogą kucharką — powiedziała. — To samo dotyczy i łóżka.

Mungo nie żałował jej grosza. Ale przeszkadzała mu jej tajemniczość. Od czasu pierwszego spotkania nie dowiedział się wiele. Nie wiedział, skąd pochodzi ani gdzie jedzie po rozstaniu z nim. Spotkanie w Exeter stanowiło właściwie pierwszy ślad. Dlaczego nosiła okulary? Co robiła w Exeter? — pytał samego siebie, bezskutecznie próbując zasnąć. Wiedział, że gotowała u innych ludzi, miała innych kochanków. Zajęczał ze złości i rozpacz.

— Przestań mnie budzić. Jak nie możesz zasnąć, połóż się w garderobie — skarciła go Alison. — Weź coś na trawienie.

— Budzi mnie twoje sapanie.

— Ja nie chrapię.

— Powiedziałem sapanie, nie chrapanie, głupia krowo.

Rozwścieczony wstał z łóżka i wyszedł z pokoju. Czy Eli potrafi znieść sapanie Alison? Układając się na łóżku w garderobie, postanowił jeszcze raz przepytac matkę. Przecież musi coś wiedzieć o przeszłości Hebe.

Rozdział siódmy

Gdy Louisa Fox podniosła słuchawkę, natychmiast rozpoznała głos Hebe.

— Hebe, jak miło cię słyszeć.

— Zastanawiałam się, czy chciałabyś mnie w sierpniu. Ktoś właśnie zrezygnował i...

— Pomyślałaś, żeby przyjechać do mnie?

— Tak, ja...

— Kiedy przyjedziesz? — zapytała Louisa z radością. — To dopiero będzie uczta.

— Odpowiadałoby ci od siódmego do dwudziestego pierwszego? Masz pod ręką swój notesik?

— Nie potrzebuję. W sierpniu pędzę spokojne życie. Będziemy tylko we dwie.

— Och, to dobrze. Przyjadę wieczorem i przywiozę coś na kolację.

— Czekam z niecierpliwością. Opowiesz mi wszystkie najnowsze ploteczki.

„Tak jakby ta dziewczyna kiedykolwiek coś opowiadała” — pomyślała Louisa Fox. Włączyła telewizor na wiadomości wieczorne i zastanawiała się, czy zadzwonić do Lucy Duff. Gdy to rozważała, spiker przeprowadził ją przez światowe tragedie do prognozy pogody. Wykręciła numer Lucy.

— To ty, Lucy? Słuchaj, w sierpniu przyjeżdża do mnie mój skarb. Prawda, jakie mam szczęście?

— Myślałam, że nigdy się nie zgadza na sierpień. Ja nie mogę jej namówić. Przypuszczałam, że spędza wakacje z dzieckiem albo ma inną pracę. Panna Thomson musi planować urlop wiosną, wczesnym latem i jesienią. Była u mnie w maju. Dwa błogie tygodnie obżarstwa. Czy mogę do ciebie przyjechać?

— Raczej nie. Poproszę, żeby załadowała mi do pełna zamrażarkę. Przyjedź później. Czy Mungo cię odwiedził, kiedy była u ciebie?

— Nie, Alison krótko go trzyma.

— Uwięzowanego?

Obie kobiety roześmiały się.

— Niewykluczone — powiedziała matka Mungo. — Dick, syn Maggie Cook-Popham przysięga, że widział go w Londynie z Hebe.

— Naprawdę? Gdzie?

— Spacerujących w Kew Gardens.

— Kiedy ona pracowała u Maggie? Nie mów, że jej chłopiec...

— Założę się, że próbował, chociaż, gdyby mu się udało, cały świat by o tym usłyszał, a to by się...

— Nie spodobało Hebe. Czy Mungo kiedykolwiek...?

— Nie puścił pary z ust. Nie śmiałby, obawiając się, że coś mi się wymknie przy Alison, jakby mnie nie znał.

— Jakby ciebie nie znał — stare kobiety, choć tak oddalone od siebie, równocześnie wybuchnęły śmiechem.

— Nie jesteśmy takie jak Maggie — powiedziała Lucy. — Chociaż, w wypadku spraw bez znaczenia, powiedzieć o nich Maggie to oszczędzić na znaczkach.

— Czy nie powinnaś spróbować ściągnąć Hebe na wakacje? Twoim wnukom na pewno smakowałyby jej pyszności. Skoro przyjeżdża do mnie w sierpniu, może nie jest zajęta podczas wakacji, jak sądziłaś — zasugerowała Louisa.

— Nie wpuszczę więcej za próg tych bestii! — zawołała Lucy.

— Dopiero jak trochę dorosną.

— Na Boga, dlaczego?

— Oderwali wszystkie guziczki od moich wiktoriańskich krzesel.

— Okropne — Louisa stłumiła śmiech. — Co ich opętało? Pomyślała, że Lucy musiała się w jakiś sposób narazić tym małym bestiom.

— Alison wyjeżdża. Zdaje się, że ich wysyła do znajomych. Mungo zupełnie nie daje sobie z nimi rady. Krzyczy, a oni się śmieją. Pojadą do ludzi, którzy potrafią ich krótko trzymać.

— Może będą spokojniejsi, jak podrosną.

— Trzeba w to wierzyć — Lucy nie wydawała się przekonana.

— Musimy pamiętać o twoim rachunku telefonicznym — stwierdziła, dając przyjaciółce do zrozumienia, że już bardzo długo rozmawiają.

— Do widzenia — powiedziała Louisa i położyła słuchawkę. „Tylko bogaci przypominają o rachunkach” — pomyślała. Mungo będzie kiedyś bogaty. Miał szczęście, jeśli rzeczywiście nawiązał romans z Hebe. Teraz to już stara historia i nie ma sensu mówić o niej Lucy. Zabolaloby ją, gdyby się dowiedziała, że nie była pierwsza. Ojciec Mungo najpierw ją, Louise, poprosił o rękę, nim oświadczył się Lucy. „Mungo może by się nigdy nie urodził, skoro jestem bezpłodna, a jeśli mam rację i Hebe to wnuczka Christophera, to i jej by też nie było na świecie” — myślała. „Dziwne, że Lucy nigdy nie zauważyła niezwykłego podobieństwa Hebe do

Christophera Ruttera, pompatycznego, wyniosłego, choć prawego człowieka, który dawno temu mi się oświadczył i przyjął odmowę z gniewnym zdumieniem. Poślubił w końcu dziewczynę dorównującą mu uczciwością”. Obliczywszy lata, uznała, że Hebe to zapewne jego wnuczka, dziecko córki, która zginęła w katastrofie lotniczej. Louisa nie wspomniała przyjaciółce o swych podejrzeniach co do pochodzenia Hebe, bo Lucy choć ganiła innych za plotkowanie, sama w nim przodowała. Hebe z sobie tylko znanych względów nigdy nie mówiła o rodzinie czy znajomych, nawet o Bernardzie, który przypadkiem ją poznał, kiedy zamieszkał w tej samej okolicy. Nie zamierzała mówić dziewczynie o swojej przyjaźni z Bernardem. Wiedziała, że lubił towarzystwo Hebe i że ją kocha. Lucy z lubością przyjęłaby wszelkie plotki dotyczące Christophera Ruttera. Przyjaciółka, rekomendując jej Hebe, napomknęła, że dorywczo gotuje także dla Maggie Cook-Popham i użyła wyrażenia, którego tak nie lubił Mungo: „Jest nie tylko cudowną kucharką, ale również damą”. Louisa szanowała powściągliwość Hebe, która nigdy nie rozmawiała o swoich klientach. Sądziła, że jeździ od jednej pracy do drugiej. Żartując na temat Munga z jego matką, nie myślała, że mogło to być dla dziewczyny jakimś źródłem dochodów. Jej zdaniem romans Hebe i Munga to rozrywka dla dziewczyny i uczciwie zasłużona frajda dla Munga, ożenionego z Alison rządzącą wszystkim dookoła. Różnica między stawką kochanki i kucharki wprowadziłaby ją w prawdziwe zdumienie.

Louisa oczekiwała na przyjazd Hebe, myśląc o jej wpaniałych potrawach i błogosławiąc dzień, w którym za namową Lucy postanowiła wypróbować możliwości tej dziewczyny. Pomyślała z zazdrością, że przyjaciółkę stać na usługi panny Thomson, gdy ona z trudem może sobie pozwolić raz czy dwa razy do roku na zapłacenie niebotycznego honorarium Hebe. Nie zdawała sobie sprawy, że dziewczyna przez sympatię bierze od niej mniej niż od Lucy, a Maggie Cook-Popham, która nie wzbudziła w niej ani przyjaznych uczuć, ani zaufania, płaci jeszcze więcej.

Gdy Louisa dzwoniła do Lucy Duff, z góry ciesząc się na posiłki ugotowane przez Hebe, dziewczyna radowała się krótkim czasem spędzonym z Silasem przed jego wyjazdem na wyspy Scilly. Z radością obserwowała, jak się odpręża po swoim pobycie w szkole, szczęśliwa, że syn ma przyjaciela w Gilesie. Choć z początku decyzja Silasa sprawiła jej przykrość, teraz i ona cieszyła się na dwutygodniowy pobyt w Wiltshire. Lepiej w tym czasie czymś się zająć niż przesiadywać w domu i zastanawiać się, czy dziecko się dobrze bawi. Spotkanie z Mungiem zaniepokoiło ją. Może zdołał się jakoś dowiedzieć, gdzie mieszka? Jeśli wyjedzie do Wiltshire, będzie mu trudniej ją odnaleźć. Lubiła Louise Fox, przepadała za jej domem, z przyjemnością dla niej pracowała. Ale nie wzięła pod uwagę panny Thomson, która z niechęcią słuchała aluzji o dziewczynie przychodzącej na jej miejsce, gotującej wyszukane dania i nie protestującej, gdy Lucy zapraszała przyjaciół. Ona za tym nie przepadała, czując się męczennicą, gdy musiała podać gościowi coś do picia, drugie śniadanie czy podwieczorek. Obawiała się Hebe, z niechęcią przyjmowała określenia, jakimi obdarzała ją Lucy, takie jak „mój skarb”, czy jeszcze gorzej — „moja dama-kucharka”. Rozmowa Louisy z Lucy, podsłuchana przez drugi aparat, bardzo ją rozzłościła. Zazdrość o Hebe rozbudziła uśpioną skłonność do spiskowania. Przygotowując kolację, do której miała wkrótce zasiąść z pracodawczynią, panna Thomson rozważała możliwość, którą szybko odrzuciła jako absurdalną: Mungo i Alison się rozwodzą, Mungo żeni się z Hebe, ta na stałe zajmuje jej miejsce albo w przebiegły sposób pozbawia ją pracy. Panna Thomson oszczędzała, by na emeryturze osiąść na hiszpańskim wybrzeżu. Obawiając się, że jej plany, zostaną pokrzyżowane, postanowiła trochę pomieszać szyki Hebe. Wzięła kartę pocztową i zaadresowawszy ją do Alison, napisała: „Szanowna Pani Duff. Gdyby chciała pani pilnie skontaktować się z H. Rutter, kucharką, to będzie ona pracowała u pani Fox, w Wiltshire od 7 do

21 bm. Oddana A. Thomson”.

Czytając jeszcze raz kartkę, panna Thomson miała nadzieję, że Alison będzie się głowiła, co też u licha oznacza ta pocztówka. Jeśli uzna ją za ostrzeżenie, to podwoi czujność, przy odrobinie szczęścia zatruje Hebe życie, dzięki czemu ona w spokoju oszczędzi wystarczającą sumę. Otwierając puszkę z zupą, pomyślała, że pocztówka nikomu nie wyrządzi szkody, bo nie ma w niej nic konkretnego, ale powinna skłonić Alison do większej baczności.

Kartka została wrzucona do skrzynki w godzinę po wyjeździe Alison do Stanów. Mungo aż podskoczył z radości, gdy ją przeczytał.

Rozdział ósmy

Hebe weszła do domu Amy, myśląc o niej z sympatią.

— Witaj, moja droga — powiedziała całując Amy. — Wysłałam chłopców na cały dzień. Dałam im kanapki.

— Na deszcz?

— Co tam deszcz. Gdzie Hannah?

— Poszła na lekcję wymowy — Amy uśmiechnęła się szeroko.

— Zmieniła już zęby, nazwisko, teraz kolej na sposób mówienia.

— Jeśli jej to sprawia przyjemność — Hebe usiadła obok Amy. Rozejrzawszy się dookoła, zauważyła, że kolekcja schowana przez Hannah do kredensu wróciła na parapet, a tęczowe przyciski lśniły w słońcu.

— Gdzie kupiłaś te śliczności? — pogładziła staruszkę po dłoni.

— Dostałam, nie kupiłam.

— Aha.

— Wiesz, że teraz nabrały wartości — dodała z zadowoleniem.

— Gdzie jutro jedziesz?

— Do pani Fox. Lepiej zarobić parę groszy, niż siedzieć w ponurym nastroju, kiedy Silas wyjedzie.

— Kto się zajmie Trip? Chcesz, żebym ją karmiła?

— Nie, poprosiłam Terry’ego.

— Ach, Terry’ego — kpiła Amy.

— Przyniosłam pieniądze za czynsz — Hebe podała staruszce kopertę.

Amy przeliczyła pieniądze.

— Płacisz za rok z góry, czy co? Stanowczo za dużo.

— Dostałam premię. Proszę, weź.

— Od kogo? — ciemne oczy Amy błysnęły, kiedy patrzyła na Hebe. — Chyba nie od tego Maura?

— A właśnie że od Terry’ego — uśmiechnęła się szeroko. — Prezent pożegnalny.

— Zostawia cię, co? — spytała zaciekawiona.

— Jesteśmy nadal przyjaciółmi. Tylko on... hmm... idzie dalej.

— Dziwadło z niego?

— Trochę szalony...

— Lubisz go, prawda?

— Potrafi mnie rozśmieszyć. Czytamy razem wiersze.

— Już mi mówiłaś. Wiersze o miłości.

— Inne też. Zdał maturę.
— Za pierwszym razem oblał?
— Też swoją oblałam! — Hebe wyglądała na zmartwioną.
— Wzięłaś go na złość staruszkowi? Nie mogłaś się oprzeć temu połączeniu: Murzyn i nie zdane egzaminy.

— Od tego się zaczęło — niechętnie przyznała Hebe. — A potem został dobrym przyjacielem.

— Co robi? Nadal zakłada alarmy?
— Pracuje na swoim. Sam dla siebie.
— Jak ty.
— Jak ja — ze spokojem popatrzyła Amy w oczy i dodała cicho.
— Jak my.

Amy uściśniła jej dłoń.

— Brałam się za to zupełnie inaczej niż ty. Nie czytałam wierszy ani nie grałam w backgammona. Tańczyłam, jak mi zagrano. Że też tobie wszystko uchodzi na sucho!

Hebe odwróciła wzrok i milczała.

— Takie urocze dziewczyny jak wy powinny znaleźć sobie mężów. Hannah chce po raz drugi wyjść za mąż.

— Za swojego dentystę.

— Ale uważa go za nudziarza. Edward Krull też taki był, nie chce powtórzyć tego samego błędu.

— Och, wiesz coś o nim? — Hebe nie spodziewała się żadnych plotek i nie zdziwiła się, że Amy nie odpowiedziała. Siedziała w małym saloniku w domu, który był jej domem w ciężkich czasach i w którym znalazła schronienie aż do urodzenia Silasa. Później Amy wynajęła jej dom po drugiej stronie ulicy. — Co ja bym bez ciebie zrobiła?

— Jakoś byś sobie poradziła.

— Uratowałaś nas.

— Nie przesadzaj. Gdyby nie ja, trafiłby się ktoś inny. Wpakowałaś się w tarapaty, ot i tyle.

— Tarapaty — Hebe pomyślała, że to zbyt łagodne określenie.

— Ale nie było nikogo innego. Nie, Amy, uratowałaś nas, a potem skierowałaś mnie na właściwą drogę.

— Nieliczni nazwaliby to właściwą drogą — roześmiała się Amy.

— Poznałaś mnie z Bernardem.

— Stary łajdak. Poradziłybyśmy sobie bez niego — prychnęła Amy.

— Odkupił moje rzeczy, nie oszukał mnie, znalazł mi pracę w hotelu.

— Też mi praca. Pewno, że nie oszukał. Zupełnie niepotrzebnie zapoznał cię z tym Hippolyte. Mogłaś przecież pracować u Lucy Duff i Louisy Fox.

— Przecież u nich pracuję.

— Porządni ludzie. Byłam u nich sekretarką, nim...

— Mój dziadek — powiedziała niechętnie Hebe.

— Sądziłam, że nie lubisz o nim wspominać.

— Bo nie lubię.

— No, dobrze. Czego cię ten kucharz nauczył, o czym się nie dowiedziałaś na kursie Cordon Bleu?

— Robienia sufletów — Hebe przypomniała sobie słowa Hippolyte: „Śmieję się, bądź odprężona, lekka, pracuj z przyjemnością, a będziesz apetyczna, chętna, by jeszcze dawać”. — Nauczył mnie, jak robić suflety — wyjaśniła poważnie.

— Ho, ho — powiedziała Amy bez przekonania.

— Zostawię panią Cook-Popham — zmieniła temat Hebe. — Nie lubię jej syna. Wystarczą mi panie Fox i Duff oraz przypadkowe zlecenia.

— Nie ufam przypadkowym zleceniom.

— A mnie sprawiają przyjemność — powiedziała Hebe myśląc ciepło o Mungu i Hippolyte i żalując Terry'ego. — To dzięki nim dobrze zarabiam, jak...

— Jak o tym dobrze wiem. Ale to nie trwa wiecznie — powiedziała ze smutkiem Amy, pamiętając dotąd rozkosz budzenia się w podwójnym łożu „Hotele d'Angleterre”, śmiech, promienie wschodzącego słońca przenikające przez czerwone aksamitne zasłony, kawę i croissanty.

— Szybko mija — powiedziała wspominając z goryczą swój samotny powrót do domu w Londynie, felczera w Battersea, ból i rozpacz.

— Dlatego zostałam sekretarką.

— I pracowałam u państwa Duff, Fox i u mojego dziadka — chłodno dodała Hebe. Pamiętała Amy w roli sekretarki, ale z trudnością mogła sobie wyobrazić jej paryską karierę. Zastanawiała się, kim był mężczyzna, który ją zawiódł, i przez ułamek sekundy w jej uszach znów zabrzmiały tamte głosy pytające: „Kim był ten mężczyzna?” i „Idź na zabieg”.

— Może zrobię herbaty? — zaproponowała, żeby zmienić nastrój.

— Tak, kochanie.

Amy patrzyła, jak Hebe włącza czajnik i ustawia filiżanki. Po raz setny zastanawiała się, kim jest ojciec Silasa. Gdyby nie widziała narodzin chłopca, mogłaby pomyśleć, że ten człowiek nigdy nie istniał. Jej dziadkom nie udało się poznać prawdy. Głupcy, zawsze się jej czepiali. „Nie mruż po nosem... Nie przerywaj”... Ciągłe zakazy. „Stój prosto... Nie garb się”.

„A więc Amy miała zabieg” — myślała Hebe, ogrzewając imbryczek, sypiąc liście herbaty i sięgając po czajnik. Gdyby się na to nie zdecydowała, jej dziecko byłoby starsze ode mnie, w średnim wieku. Podawała Amy filiżankę.

— Żyję skromnie. Tak jest lepiej — broniła się. — Praca jak praca.

— Tak — Amy wzięła filiżankę. — Chyba tak najlepiej.

— Zaoszczędziłam dużo pieniędzy.

— Miło mieć okrągłą sumkę na koncie — zgodziła się Amy.

— Silas chodzi do szkoły. To jest ważne.

— Tak — myśli Amy pobiegły w przeszłość. „Dlaczego się tak przeraziłam?” — spytała samą siebie. A głośno zawołała:

— Łajdak!

— Kto? — spytała zaskoczona Hebe.

— Pokochałam łajdaka. Ten typ mężczyzn się nie żeni.

— Jak wiesz, moim zdaniem miłości należy unikać.

Ton głosu Hebe rozśmieszył Amy.

— Cóż — powiedziała — mam ciebie, mam Silasa, a ostatnio Gilesa i Hannah. Ona wierzy w miłość. Dlatego zmieniła nazwisko, zęby i uczy się mówić. Hannah wierzy w małżeństwo, ale brak jej *chien*. Może w małżeństwie nie potrzeba *chien*.

— Co to jest *chien*?

— Tego nie można określić, jakby zapach, w moich czasach nazywano to *sex-appeal*.

— Zapach? — Hebe patrzyła w zamyśleniu. — Założę się, że ty miałaś *chien* — próbowała w twarzy Amy odnaleźć ślady jej dawnej urody.

— Za mało, żeby go utrzymać — odparła Amy. — Kochał inną.

— Równocześnie? — Hebe osłupiała.

— I ty się dziwisz, z twoją kolekcją?
— Ale ja nie kocham. Miłość to nieszczęście. Ja tylko dostarczam rozrywki.
— Mnie z całą pewnością. Mam ostatnio urozmaicone życie. Czy na wszelki wypadek wzięłaś adres Silasa na wyspach?

— Tak, zostawię ci. Ludzie, do których jedzie, nazywają się Reeves. Wyglądają na porządnych.

— W jakim znaczeniu?

— Och, sama wiesz — Hebe odwróciła wzrok.

— Są odpowiedni? — spytała Amy takim tonem, że Hebe się zaczerwieniła.

— Tak, chyba tak.

Wstała ociągając się, z niechęcią opuszczając dom Amy z jego atmosferą spokoju. Pochyliła się, by ją ucałować. — Byłaby z ciebie cudowna żona.

— Nie dla niego. Niektórzy mężczyźni nigdy nie powinni zawierać małżeństw. Teraz to rozumiem.

Ciekawe, jakim cierpieniem Amy okupiła zdobycie tej mądrości.

— Tak jak i niektóre kobiety — zasugerowała. — Może i ja do nich należę.

— Sądząc po tym, jak się zachowujesz, pewnie tak. Twoja kariera...

— No, Amy, nie zaczynaj znów o „mojej karierze”.

— Jest na pewno nie w moim guście.

— Hannah poślubi George’a Scoopa.

— Hannah nie musi być tak rozsądna, za jaką ją uważasz — odparła Amy. — Przynajmniej mam taką nadzieję. Ten dentysta nie jest dla Hannah.

— Warta kogoś lepszego?

— Ona nie jest odpowiednia dla niego.

— Na Boga! Czemu?

— Będzie go traktowała tak samo jak Edwarda Krulla.

— Skąd wiesz?

— Do znoszenia nudziarzy potrzeba świętej cierpliwości. A jednak postanowiła wyjść ponownie za mąż.

Hebe wstała, rozmyślając nad stosunkowo nieskomplikowanym życiem Hannah.

— Muszę uciekać — powiedziała i pocałowała Amy na pożegnanie.

— Do zobaczenia.

Amy porównywała zamiary matrymonialne Hannah ze sposobem życia Hebe, który jej zdaniem przynosił mniej szkód. Parsknęła śmiechem. Przynajmniej dobrze się bawi. W jej oczach mignęły promienie słońca odbite na szklanych przyciskach.

— Dostarcza rozrywki. Lubi odmianę — zwracała się do przycisków niczym do osób. — I uszczęśliwia ludzi.

Zatrzymała te myśli dla siebie, bo nie miała z kim się nimi podzielić.

Rozdział dziewiąty

„Powiedzieć Amy więcej niż to konieczne to wbrew mojej naturze”

— pomyślała Hebe, wybierając dla Silasa ubrania na wyjazd. Ciekawe, czy gdzieś jest ktoś taki, przed kim nie będę musiała trzymać języka na wodzy. Ułożyła ubrania Silasa na łóżku, a nie uprasowane zabrała do kuchni. Rozkładając deskę i włączając żelazko, myślała o Mungu. Amy

go aprobowała, Terry zaś najwyraźniej budził jej wątpliwości. To właśnie on nazywał jej klientów „syndykatem”, choć to dowcip w wiejskim guście. Czy Amy nadal pochwalałaby przyjęcie do tego grona Munga, gdyby wiedziała, jak wulgarnego języka czasem używał, jak żałośnie się pysznił rozmiarami członka? Sprawdzając temperaturę żelazka, Hebe myślała o nim z pełną wyrozumiałości sympatią. „Amy lubi, kiedy Mungo zabiera mnie na turniej wimbledoński, do kina i opery. Jest bardzo szczodry, zawsze płaci bez szemrania, gdy go pobiję w backgammona. Potrafię go rozruszać” — stwierdziła, prasując sportowe koszulki Silasa. „Dzięki mnie rodzina ma z niego więcej pociechy, jest lepszy dla żony. Mówię mu: wracaj do domu i staraj się, a spotka cię miła niespodzianka”. Hebe złożyła koszulki i sięgnąwszy po bieliznę pościelową, spryskała powłoczki wodą. „Lubię styl Munga” — myślała, wygładzając materiał. Wiedząc, że Hippolyte urodził się w chłopskiej rodzinie, żartobliwie zwracała się do niego Hippo. „Nazywam go Hippo, żeby mu okazać swoją sympatię. Lubi moje towarzystwo, bawię go”. Hebe silnie przycisnęła żelazkiem powłoczkę. „Kiedy pracuję u Maggie Cook-Popham i w wolny dzień wpadam do jego restauracji, nie bierze pieniędzy za lunch, udając równocześnie, że mnie wcale nie zna”. Hebe zachichotała na wspomnienie wyrazu twarzy Hippolyte, gdy przyszła nie sama, lecz w towarzystwie potencjalnego klienta. „Niemal zdołał obrzydzić mi tego biedaka. A chciałam się tylko podroczyć. Nudził mnie, to wszystko. Kto to był, jak się nazywał?” Składając poszewkę, szukała w pamięci jego imienia. U większości potencjalnych członków „syndykatu” pierwsza próba wykazywała poważne braki. *Il y a toujours l'un qui baise et l'autre qui tend joue**. Dziadek często powtarzał: „No, staruszk, to ja *tend la joue***”. „W zawodzie, który mi podsunąłeś, zarabiam niezłe pieniądze i opłacam wykształcenie Silasa. Choć muszę się przyznać do kilku porażek. Ten mężczyzna, który zabrał mnie na weekend do Rzymu i zaprosił na kolację do Piazza Navona: *prosciutto con Figi*, wspaniałe risotto i truskawki. Ale wypił za dużo *soave*, co miało fatalne skutki. Był strasznie pijany i nieznośny. Tym osobnikiem nie mogę się poszczycić” — uznała Hebe, wyłączając żelazko. „Wyrzucenie przez okno wszystkich par jego spodni, butów i slipek było ciosem poniżej pasa, ale cóż innego dziewczyna może zrobić? Musiałam jakoś uciec”. Przypomniała sobie, jak opowiedziała to Hippolyte. Tak się ucieszył, że zaprosił ją na obiad ze współwłaścicielem restauracji. „Amy nigdy się do tego nie przyznałam. Zapomniałam, jak wyglądał” — stwierdziła, składając deskę. Typ Anglika spędzającego dużo czasu poza domem? Potrząsnęła głową, przypominając sobie Edwarda, stojącego na czele biura adwokackiego, który co sobota robił za żonę całe prasowanie, wyobrażając sobie, że rozprasowuje małżeńskie dramaty swoich klientów. Miał w sobie coś złowieszczonego. Nie chciała, by zaczął rozprasowywać jej problemy. Schowała deskę do prasowania.

— Zaostrzać ich apetyty — zwróciła się do Trip, która miaucząc wsuwała się przez uchyloną klapkę, zrobioną specjalnie dla niej.

— Ograniczyć spotkania najwyżej do dwóch tygodni. Z Mungiem trzy razy do roku, cztery czy pięć wyjazdów z Hippolyte do Paryża, gotowanie. Tyle wystarczy. „Nie będzie mi brakowało Terry’ego. Nadal możemy się widywać. Chociaż zawsze trzeba oszczędzać na czarną godzinę czy studia Silasa. I tak daleko zaszłam — myślała dalej, podnosząc mruczącego kota — od chwili, gdy musiałam się pozbyć pereł matki i żyłam z zasiłku pomocy społecznej. Ale przecież nigdy nie zamierzałam na tym poprzestać!”

* franc.: Zawsze jedno całuje, a drugie nadstawia policzek (przytłum.).

** franc.: Nadstawiam policzek

Kotka wyrwała się z jej objęć i ruszyła w stronę miseczki z mlekiem.

— Bardzo przyjemne życie — powiedziała do niej Hebe. — Szkoda tylko, że Silas wyjeżdża.

— Do kogo mnie zabierasz? — Gilas siedząc w autobusie obok Silasa, wytarł rękawem zaparowane okno.

— Do staruszka w chacie daleko stąd. Ma bajeczne rzeczy. Jest bardzo stary. Nazywa się Bernard Quigley. Ma psa o imieniu Feathers i kotkę. To mój przyjaciel. Trafiłem na niego podczas mojej wyprawy badawczej.

— Jakiś krewny?

— Nie mam krewnych — Silas wpatrywał się w krajobraz za oknem.

— Musisz mieć. Ja mam mnóstwo w Ameryce i cioteczna babkę Amy. Każdy ma krewnych.

— My nie.

— Na pewno masz. Dlaczego nie? — naciskał Giles.

— Nie nudź. Nie mam i tyle.

— Zapytaj mamę. Nie opowiada ci o nich? Moja opowiada mi o swoim ojcu i matce, co robią i tak dalej.

— Nudziarstwo. Tutaj wysiadamy — powiedział Silas. Autobus zatrzymał się na przystanku obok samotnej budki telefonicznej na rozstaju dróg. Lało jak z cebra i chłopcy naciągnęli kaptury kurtek.

— Pójdziemy tędy — powiedział Silas, wdrapując się na bramę płotu otaczającego pole.

— Nie ma tu ścieżki?

— Nie — odparł Silas prowadząc go po mokrej trawie. Chlupało im w nasiąkniętych wodą butach. — Przydałyby się kalosze.

— Przecież twój ojciec miał rodzinę? Twoja mama z nimi nie trzyma? — dopytywał się Gilas.

— Nie.

— Dlaczego? Nie opowiada ci o nich? Moja mama opowiada mi o ojcu. Chce mnie do niego zrazić.

— Tu się zaczyna wspinaczka — Silas wskoczył na płot i przepawiwszy się na drugą stronę, zsunął się na pole kapusty pastewnej*.

Giles ruszył za nim. Silas szedł, rozchylając łodygi, które ocierały się o jego ramiona.

— Przecież — nie ustępował Giles — mówiła ci o ojcu.

— Ani słowa, już ci powiedziałem — Silas przytrzymał łodygę kapusty, tak że uderzyła przyjaciela w policzek.

— A pytałeś?

Giles wytarł sobie twarz.

— Nie. Nigdy nie poruszała tego tematu, więc dla mnie nie istnieje — odparł, dalej przedzierając się przez gąszcz.

— Może jesteś z próbówki, jak te dzieci w Australii?

— Nie robili tego dwanaście lat temu.

— Mogli już zacząć. No to skąd się wzięłeś?

— Ze sztucznego zapłodnienia? Może jestem synem mordercy?

— Albo szpiega? Faceta z tytułem? Gwiazdy popu?

* Dwuletnia roślina o sztywnych łodygach wys. do 2 m, o dużych pofałdowanych liściach, które nie zawiązują główek. Uprawiana w Europie Zach. i USA (przyp. red.).

— Wtedy bym dostawał alimenty, jak twoja mama.

— To też nudne. Ona ciągle nawija o moim ojcu. Kiedyś ucieknę, żeby z nim zamieszkać w Ameryce.

— Zrób tak. O, to Feathers — Silas się pochylił, żeby przywitać dużego psa, który wynurzył się z mgły. — Mamy kanapki z szynką. Lubisz szynkę.

Feathers cofnął się o krok, podskoczył i oblizął twarz chłopca. Brzegi dużych uszu porastały długie kępy sierści. Machał włochatym ogonem, aż krople wody rozpryskiwały się na jego brązowych bokach.

— To jest Giles — powiedział do niego Silas.

Giles poklepał psa i ruszył za Silasem w stronę kępy drzew pochylonych pod naporem stałego wiatru z południowego wschodu. Między ich koronami unosiła się smużka dymu.

— Jest w domu — Silas podbiegł do muru i zaczął się wspinać, wsuwając palce stóp między kamienie. Giles szedł za nim. Silas zawołał wysokim, dziecięcym głosem.

— Panie Quigley! Panie Quigley! Jest pan w domu?

— W taką pogodę jak dziś nie spodziewałem się gości — Bernard Quigley wyszedł na ganek. — Wchodźcie i wysuszcicie się przy ogniu.

— Pomyślałem, że przyjdziemy z wizytą. To jest Giles Krull. Jutro wyjeżdżam na Scilly na trzy tygodnie.

— A co na to twoja matka? — Bernard obserwował uważnie twarz Silasa.

— Cieszy się ze mną. Będę żeglował. Popracuje przez parę tygodni.

— Gdzie? — starzec kuśtykając po saloniku, popchnął chłopców bliżej ognia, przyniósł z kredensu parę kieliszków i butelkę sherry.

— U pewnej starszej babki o nazwisku Fox.

— Fox — starzec zerknął na chłopca. — Siadaj przy ogniu. Przesuń trochę psa. Też zmókł. Napijcie się moi drodzy, to wam nie zaszkodzi. Duże z was chłopaki. Macie po jedenaście lat, co?

— Dwanaście — Silas wyciągnął dłonie w kierunku ognia.

— Świetnie, to się napijcie.

Chłopcy skosztowali sherry, próbując ukryć, że im nie smakuje.

— Jak dorośnięcie, to polubicie.

Patrząc na nich opróżnił kieliszek jednym haustem i natychmiast sobie dołał.

Bernard Quigley zafascynował Gilesa. Był mały, przygarbiony i stary. Twarz pozapadała się tu i ówdzie, a w innych miejscach rysy się wypełniły, tak że zniknęły naturalne proporcje. Nos, który kiedyś można było określić jako arystokratyczny, teraz się uwydatnił i sterczał nad delikatną linią ust, przez co jego oczy wyglądały na wpadnięte. Na kark opadały mu splecione włosy. Miał na sobie koszulę bez kołnierzyka i brązowe spodnie z szelkami, dyndającymi na wysokości chudych goleni niczym lejce starego konia, czekającego już tylko na profosa. Na rzadkich wąsach widniały plamy z tabaki.

— Znałem twojego ojca — zwrócił się do Gilesa. — Edwarda Krulla.

— Och, naprawdę? — Giles odsunął się od ognia, bo prawie zaczynały buchać z niego kłęby pary. — Kiedy go pan spotkał?

— Jak studiował na uniwersytecie. — Wyjął tabakierę z kieszeni kamizelki. — „Edward Krull zanudziłby sznur”, tak o nim mówili. Wysłali go do Ameryki.

— Kto? — Giles nie był przyzwyczajony do charakterystycznego dla starych ludzi mówienia prawdy bez osłonek.

— Jego przyjaciele — Bernard Quigley poszukiwał w twarzy chłopca podobieństwa do ojca. — Ale ty go nie przypominasz — oświadczył. — Na szczęście — dodał po chwili.

- Słyszałem, że podobno był przystojny — bronił ojca Giles.
- To się zgadza. Oczywiście, że był przystojny, ale zapytaj mamę, jaki z tego pożytek po ciemku? — Bernard gardził urodą.
- Po ciemku?
- W łóżku, drogi chłopcze. Ale może jeszcze nie wiesz nic o łóżku? W nocy masz jeszcze sucho?
- Co? — Giles cofnął się w stronę ognia.
- Jeszcze nie przeszedłeś mutacji. Nieważne. Myśl raczej o tym, co cię czeka, te wszystkie wspaniałe kopulacje — powiedział przyglądając się uważnie Gilesowi. Chłopiec się zaczerwienił.
- Jaka śliczna tabakierka — Silas, w trosce o przyjaciela, próbował odwrócić od niego uwagę Bernarda.
- Osiemnastowieczna. Należała do mojego dziadka — pokazał ją chłopcu, ale cofnął rękę, nim ten zdołał jej dotknąć. — Pokażę wam moje rzeczy po lunchu. Mam w domu mnóstwo jedzenia.
- Może pomóc? — zaproponował Silas.
- Nie, nie, wysuszcicie się i nakarm psa kanapkami, które dostałeś od swojej uroczej matki.
- Silas położył kanapki przed Feathersem, który obwąchał je ostrożnie i zaczął jeść bardziej z uprzejmości niż z głodu.
- Giles rozejrzał się po pokoju. Krzesła chippendale rozpychały się między sheratonami. Rozmieszczone tu i ówdzie stoły uginały się pod ciężarem porcelany, sreber i nefrytowych drobiazgów. Ściany szczelnie wypełniały obrazy i lustra, w których odbijał się blask ognia. Na stoliku obok fotela staruszka, z trudem znalazło się dość miejsca na lampę naftową. Na podłodze stało kilkanaście świeczników powalanych woskiem.
- Słyszeli, jak Bernard kręci się w pomieszczeniu po drugiej stronie korytarza.
- Myślisz, że on lubi tabakę, a może chce tylko używać tabakierki? — wyszeptał przejęty Giles.
- Raczej zmusił się do jej polubienia, jak i tego — Silas wylał zawartość swojego kieliszka na dywanik.
- Nie poczuje? — zaniepokoił się Giles, który poszedł w ślady przyjaciela.
- Zabije to zapach nafty z lampy — Silas obserwował, jak Feathers, obwąchawszy mokrą plamę, wrócił na swoje posłanie.
- Nie wiedziałem, że mój ojciec był nudziarzem — Giles przetrawiał obelgę Bernarda. — Matka mówiła wiele rzeczy, ale nigdy nie wspominała, że był nudny.
- Zniechęca cię to do Ameryki, co? — spytał Silas ze złośliwą satysfakcją.
- Chodźcie na lunch! — zawołał Bernard. Chłopcy weszli do jadalni równie zagraconej jak salonik. Giles doliczył się kompletu dziesięciu rzeźbionych krzeseł. Niektóre z nich stały jedno na drugim, przez co pokój przypominał sklep. Bernard nakrył na trzy osoby. Giles obejrzał srebra i krzysztaly.
- Bardzo to wszystko drogie?
- Nie pytaj o cenę przedmiotów, tylko podziwiaj ich piękno, kunszt artysty, niezwykłość.
- Przepraszam — bąknął zmieszany Giles.
- Nauczysz się. A teraz zjadajcie. To pyszności. Nie przypominają tego, czym Hebe wypełniła wasze kanapki.
- Jaka wspaniała szynka — Silas spojrział na poleć, z którego Bernard miał właśnie zacząć kroić.
- Przysłana pocztą — starzec ciął zdecydowanymi ruchami.

— Moja przyjaciółka przysyła mi z Wiltshire, specjalnie marynowana. Prawy pośladek świni jest delikatniejszy od lewego, bo się zwykle drapie lewą racicą.

— Jak się tu dostaje listonosz? Przecież nie ma drogi — Giles wziął talerz z plasterami szynki, zastanawiając się równocześnie nad uwagą o świńskim pośladku.

— Ma parę nóg, to przychodzi — Bernard pomyślał, że chłopiec bardzo przypomina ojca.

— Bez względu na pogodę? — naciskał Giles.

— Oczywiście, że tak. Przysyłają mi kawę, brzoskwinie w syropie, ser Stilton, wszystko, co jest naprawdę ważne. Poczęstujcie się sałatą, niech wasze jelita popracują.

— Pracują — Silas sięgnął po sałatę. — Moja mama jest dobrą kucharką.

— Miewasz zaparcia w szkole?

— Czasem — odparł ponuro Silas.

Gilesa nie zbiła z tropu zmiana tematu rozmowy.

— Nigdy tu nie było drogi? — zapytał.

— Oczywiście, że była — ostro rzucił Bernard, mierząc go zimnym spojrzeniem i zastanawiając się, czy potrafi znieść, by tak młody, zdrowo wyglądający chłopiec siedział po drugiej stronie stołu, gdy on, zniszczony i skurczony, ma już życie za sobą.

— Co się z nią stało? — Gilesa coś zmusiło do zadania kolejnego pytania.

— Pozwoliłem, by zarosła trawą. Ludziom zachciałoby się jej używać. Wpadać do mnie w odwiedzin.

— Myśmy pana odwiedzili.

— Tak, ale zadaliście sobie trud przeskoczenia paru płotów, macie przemoczone ubrania. Twoja matka też tu bywa.

— Nie wiedziałem — Silas był zdumiony. — Sądziłem, że pan zna tylko mnie.

— Znam bardzo wielu ludzi. Tylko ich nie poznaję ze sobą. Twoja matka też tak robi. To ułatwia życie.

— Jak to?

Bernard zauważył, że Giles odezwał się z pełnymi ustami. Zapisał mu to na minus. Właściwe zachowanie przy stole nadal miało znaczenie.

— Jeśli się nie znają, to nie mogą rozmawiać o tobie za twoimi plecami. Dzięki temu matka Silasa łatwiej sobie radzi w życiu. Inni, jak twój ojciec, nudziarz Krull, to zwierzęta stadne. Weźcie sobie fig w syropie albo sera. Oczywiście, możecie zjeść i jedno, i drugie.

Przez chwilę jedli w milczeniu, Giles był skrepowany, a Silas zadowolony. Giles rozejrzał się po pokoju.

— Nie ma elektryczności — zauważył.

— Zgadza się. Nie ma elektryczności. Woda ze studni. Brak kanalizacji. Nie ma drogi. Koniec przesłuchania? — Bernard wpatrywał się natarczywie w Gilesa.

— On nie chciał — Silas czuł, że Bernard już prawie pogłębił jego przyjaciela. — Mnie się tutaj podoba tak jak jest.

— Na pewno? — przyglądał mu się podejrzliwie.

— Na sto procent.

— To pokażę wam niektóre moje skarby — Bernard poprowadził ich do saloniku, ciągnąc za sobą szelki.

— Odpięły się panu szelki — powiedział nieśmiało Giles.

— Tak wygodniej — odburknął starzec, otwierając szufladę biurka sheraton. — Możecie to obejrzeć, kiedy utnę sobie drzemkę.

Podał pudełko Silasowi, usiadł w fotelu z wysokim oparciem i zasnął.

Kucnąwszy przy ogniu, chłopcy oglądali pierścionki, zegarki, dawne monety, brylantowe

broszki, komplet biżuterii ze szmaragdów i brylantów, medale, szkatułki z emaliowanymi wieczkami oraz bransolety.

— To musi kupę kosztować — wyszeptał Giles. — Choćby same tylko medale.

Bernard Quigley obudził się i obserwował chłopców.

Giles przysiadł na piętach i wpatrywał się w gospodarza.

— Skąd to wszystko się tu wzięło? — zatoczył ręką krąg.

— To moja praca. Mieszkam w swoim banku.

Giles otworzył szeroko oczy.

— Jest pan włamywaczem?

— W żadnym razie. Pośrednikiem. Wyglądasz bardzo ładnie — uśmiechnął się do Silasa, odsłaniając żółte zęby. Rozbawił go widok chłopca, który założył pierścionki na wszystkie palce i kilka bransoletek na przeguby. — Poczekaj — powiedział wstając gwałtownie.

— Mam diadem w szufladzie w kuchni — dodał wychodząc z pokoju.

— Co ma? — Giles gapił się na przyjaciela.

— Diadem.

— Co to jest?

Starzec wrócił z plastikową torebką, z której wyjął diadem. Założył go Silasowi na głowę.

— Nie ruszaj się, bo spadnie.

Silas, siedzący po turecku przy kominku, patrzył na starca. Diamenty i szmaragdy migotały w blasku ognia. Giles aż jęknął.

— Piękne — starzec zerwał diadem z głowy Silasa i zapakował do torebki. — A teraz — powiedział, wracając do rzeczywistości — czy przed wyjściem moglibyście mi narąbać drewna? Ułóżcie w szopie.

— Oczywiście — Silas wstał i zdjawszy pierścionki oraz bransoletki, włożył je z powrotem do pudełka, które umieścił na kolanach Bernarda.

— Dziękuję.

Starzec i chłopak popatrzyli na siebie. Giles poczuł się, jakby go wykluczyli ze swego grona.

— Zmykajcie do domu, jak narąbiecie drewna. Kiedyś znów wpadnijcie.

Giles czuł, że to zaproszenie go nie dotyczy.

— Dziękuję za lunch — powiedział i nie mogąc powstrzymać ciekawości, zapytał: — Dlaczego mój ojciec był nudziarzem?

— Mówił ciągle o pieniądzach, był porządny i przeciętny — starzec wyrzucił to z siebie, ale zauważywszy przejętą twarz Gilesa trochę złagodniał. — Ale tobie wyszło na dobre, że połączył się właśnie z twoją matką — skierował chłopców w stronę wyjścia i wypchnawszy na deszcz, zatrzasnął za nimi drzwi.

— Ruszaj się, szybko — Silas podszedł pierwszy do stosu drewna i zaczął je rąbać oraz układać w zgrabny stosik. Nadaśany Giles mu pomagał. Kiedy skończyli, ruszyli przez pola do przystanku.

— Jeśli mój ojciec jest nudziarzem — zaczął Giles dotknięty tak bezlitosną charakterystyką — to kim jest twój?

— Tajemnicą — odparł zwięźle Silas.

— Naprawdę nie wiesz?

Silas odwrócił się i uderzył przyjaciela w nos. Zaskoczony Giles aż usiadł i przemókł jeszcze bardziej. Z oczu popłynęły mu łzy.

— Autobus! — Silas ruszył biegiem. Giles wstał i popędził za nim.

— Może zostałeś adoptowany! — krzyczał biegnąc, a krople deszczu mieszały się z krwią, która zaczęła mu płynąć z nosa. — Myślałem, że jesteś bękartem! — zawołał, wpadając za

Silasem do autobusu. Silas przepchnąwszy się do przodu, usiadł przy jakimś turyście. Giles, dla którego nie było już miejsca stał w tłoku z ponurą miną, popychany przez podróżnych. Jakaś kobieta dała mu chusteczkę higieniczną, którą przyłożył do nosa.

Dotarli do miasta, szli po przeciwnych stronach ulicy. Gdy Silas znalazł się na wysokości domu, Giles zawołał:

— Zajrzeć, kiedy wrócisz?

— Oczywiście — odkrzyknął Silas serdecznie i wszedł do domu.

Giles spostrzegł, że nadal trzyma przy nosie zakrwawioną chusteczkę i cisnął ją do rynsztoka.

— Śmieciarz — Silas sprawiał wrażenie jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Stał w drzwiach uśmiechając się, po czym wruszył ramionami, jakby zmieniając zdanie i wszedł do środka.

Deszcz ustał późnym wieczorem. Bernard Quigley z Feathersem, podążającym za nim, przeprawił się przez pola do budki telefonicznej.

— Halo — odezwała się Louisa zdyszczym głosem.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Bernard bez żadnych wstępów.

— Masz kłopoty z sercem?

— Przybiegłam prosto z ogrodu. Tyle tam do zrobienia. Czemu dzwonisz? Stało się coś złego? Jesteś zdrowy?

— Był u mnie dziś chłopiec Hebe. Wspominał, że ona się do ciebie wybiera...

— Tak. Twierdzi, że ktoś zrezygnował z jej usług.

— Chłopiec wyjeżdża na wyspy Scilly na trzy tygodnie. Z kolegami z klasy.

— Więc wszystko jasne. Nawet mnie to trochę intrygowało.

— Stać cię na nią?

— Nie, raczej nie.

— Potrzebujesz pieniędzy?

— Tak, chyba tak. Nie pomyślałam o finansach. Zaproponowała, że przyjedzie, a ja się tak ucieszyłam...

— Zajmę się tym.

— Bernard, czy powinnam?

— Nie bądź głupia. Nie ma sensu trzymać tego wszystkiego dla siostrzeńca. Z tego, co mówisz, wynika, że nigdy się nie ożeni. Kiedy go ostatnio widziałaś?

— Parę tygodni temu. Niezbyt często do mnie zagląda. Jest nieśmiały. Wieczorami chodzi na ryby.

— Wyślę ci trochę pieniędzy — powiedział Bernard nie zwracając uwagi na słabe protesty Louisy. — Poczekaj, muszę wrzucić monetę — przerwał na chwilę. — Jesteś tam?

— Tak.

— Musisz jej więcej płacić. Lucy Duff płaci jej znacznie wyższą stawkę.

— Ojej — przejęła się. — Jak mi wstyd.

— Dziewczyna cię lubi, więc liczy ci mniej niż Lucy.

— Wspaniale gotuje, pomaga mi w ogródku. W czasie jej pobytu nie zapraszam nikogo.

— Prześlę ci pieniądze przez okazję. Będą za parę dni.

— Dziękuję. Wysłać ci coś?

— Nie zwracaj sobie głowy.

— Głos ci się wcale nie zmienił — zawołała Louisa w Wiltshire.

— Ale reszta tak. Dobranoc, kochanie, wracaj do swojego ogródka.

Bernard odłożył słuchawkę. W budce czuć było tytoniem i moczem. „Ależ ludzka rasa jest

obrzydliwa” — pomyślał Bernard, wykręcając kolejny numer i wrzucając monety. Pomyślał, że głos Louisy się postarzał. Czterdzieści lat temu był bardziej melodyjny i weselszy.

— To ty, Jim? — zapytał, kiedy usłyszał głos w słuchawce. — Słuchaj, chcę, żebyś mi sprzedał parę rzeczy. Wysłać je, czy sam po nie wpadniesz?

— Jadę w twoje okolice, to zajrzę. W pobliżu ciebie jest ktoś, z kim chciałbym się spotkać.

— Aha. Na razie chciałbym, żebyś dał pięćset funtów Louisie Fox. To jej adres — Bernard podyktował nazwę domu, wsi i hrabstwa. — Zapisaleś?

— Tak, oczywiście. To do zobaczenia.

— Kupujesz coś, czy sprzedajesz tej osobie, z którą się masz spotkać?

— Jeszcze nie wiem — odparł Jim Huxtable. — To na razie tylko pomysł.

Bernard poszedł z powrotem do swego domu, a za nim podążył Feathers z wysoko podniesionym ogonem. Wędrując, myślał o miłości w jej najróżniejszych przejawach. Możliwe, że kocha Louise równie mocno jak czterdzieści lat temu, kiedy się spotykali w tajemnicy, kochali się i rozstawali. Teraz nie było w ich związku poczucia winy i bólu. Nie widzieli się od trzydziestu lat. Dziś spotkanie przyniosłoby jedynie zażenowanie. Dochodząc do drzwi, zastanawiał się, na jaki to pomysł wpadł Jim Huxtable. Zatrzymał się na ganku i patrząc na blednący zachód słońca, pomyślał o Silasie w diademie. Kogo mu przypominał? Przeklinał swoją zawodną pamięć. Już w środku, szukając zapalnika, by zapalić lampę, w jednym z luster dojrzał cień swego odbicia. „Czterdzieści lat temu w objęciach Louisy miałem na twarzy maskę młodości. Być może, że to jest moje prawdziwe oblicze. Nadal jestem szczupły” — pomyślał, przypominając sobie, jak kiedyś do pokoju weszła niespodziewanie pokojówka, by przekazać pilną wiadomość, a on leżał płasko pod kołdrą, żeby go nie zauważyła. Jakżeż się potem śmiali, a radość przerodziła się w ogniste pieszczoty. „W dzisiejszych czasach znacznie łatwiej nawiązać romans — myślał, przykładając zapalnik do knotu i wyrównując płomień. Ale jest to mniej ekscytujące”. Z ich grona w tej chwili tylko Lucy Duff z kimś mieszkała, ale ona nigdy nie miała zbyt wiele do ukrycia, rzadko schodziła z drogi cnoty, a i tak te odstępstwa nie sprawiały jej zbyt wiele przyjemności.

W domu, który Hannah przerobiła — podobnie jak George Scoop przerobił jej zęby — burząc ściany między pokojami i kreując otwartą przestrzeń, Giles leżał w łóżku, myśląc o Silasie i jego jutrzejszym wyjeździe do przyjaciół. Ci chłopcy mieli ojców, może byli tam razem z nimi. Przypomniał sobie, jak Silas wspominał o ojcu Michaela Reevesa, który odwoził syna do Kornwalii i proponował Silasowi, że go podwiezie. Gilesa głowiącego się nad brakiem ojca w życiu Silasa, nagle olśniło. Wysunął się z łóżka i zszedłszy na palcach na dół skreślił kartkę do przyjaciela: „A może twoja matka to hermafrodyta?”

Ukradkiem otworzył drzwi, przemknął przez ulicę w piżamie i wsunął kartkę przez otwór na listy w drzwiach domu Hebe.

Rozdział dziesiąty

Hebe obejrzawszy start helikoptera z Silasem na pokładzie, wróciła do samochodu, by ruszyć do Wiltshire. „Wywietrzę mu z głowy, aż do chwili powrotu do domu. Nigdy się nie dowiem, co go nurtuje”

— pomyślała. Kocham go, ale właściwie nie wiem, co myśli. Szkoda, że nie potrafię być z nim w takich stosunkach, w jakich inne kobiety są ze swymi dziećmi”. Hannah nigdy się tak nie

przejmowała Gilesem. Wczoraj wybuchła między nimi kłótnia, bo chłopiec gdzieś usłyszał, że jego ojciec był nudziarzem. — Wielu rzeczy u niego nie lubiłam, ale nie był nudny! Potrafisz sobie wyobrazić, żebym wyszła za nudziarza? — krzyczała Hannah. Zaprzeczając, w istocie potwierdzała prawdę. Takie podejrzenie uwłaczało jej inteligencji. Przysłuchujący się i przypatrujący temu Silas nie zapytał, jak zrobiłby to inny chłopiec: „Czy mój ojciec też był nudziarzem?” Giles nie miał ojca, do którego można by go porównywać, ale Hannah, kiedy była na niego zła, często wołała: — Giles, jesteś taki sam, jak twój ojciec!

„Powinam była mu go wymyślić, ale teraz jest już za późno” — uznała Hebe, jadąc do pani Fox mieszkającej w wytwornym domu z uroczym ogrodem. Skoncentrowała swe myśli na pani Fox i posiłkach, które będzie dla niej gotować przez dwa tygodnie.

W Salisbury zatrzymała się, żeby rozprostować nogi, zaparkowała samochód i ruszyła na przechadzkę wokół dziedzińca przy katedrze. Patrząc na piękne domy, zastanawiała się, jacy ludzie zasłużyli na przywilej mieszkania w takim otoczeniu. Czy byli wyjątkowo szlachetni, czy tylko bogaci? Przez trawnik podeszła do katedry, żeby usiąść i odpocząć przed ostatnim etapem podróży. Poczuli się dotknięta tym, że za wejście do środka trzeba było płacić, uważając, że wprowadza to do kościoła świecką atmosferę. A skoro tak było, wyjęła długopis i kartkę papieru, po czym napisała: Hippolyte, Mungo, Terry, Louisa, Lucy, Maggie. Skreśliła Terry’ego i Maggie. Sumy, które wiązały się z nazwiskami klientów na tej liście pokrywały wydatki na szkołę Silasa. Zostawało nawet co nieco, by dołożyć na konto. Już od dawna radziła sobie bez wsparcia Amy. Nie było też potrzeby przyjmowania pomocy od Bernarda, który często jej to proponował. Pomyślała o nim przez chwilę, wdzięczna za to, że może go kochać bezinteresownie. Od dziś będzie również wolna od finansowych więzów łączących ją z Terryem i porzuci pracę u Maggie Cook-Popham.

Wracając do samochodu, zobaczyła sklep z kapeluszami i zatrzymała się, by je obejrzeć. Lucy Duff kiedyś jej opowiedziała, że w młodości, gdy ją opadła chandra, kupowała sobie na pociechę kapelusz, co jej zdaniem stanowiło niezawodne lekarstwo na smutki. „Spróbuję” — pomyślała Hebe z rozbawieniem, wchodząc do sklepu. „Jeśli mnie coś skusi, zawsze mogę wydać część premii od Terry’ego”.

Na jej widok właścicielowi sklepu zadrżało serce. Oto głowa prawdziwie godna przybrania. Wstał z krzesła, odkładając egzemplarz „New Statesmana”.

— Mogę się rozejrzeć? — zapytała Hebe, patrząc na młodego mężczyznę wyglądającego jak niedbale poskładany manekin. Długi korpus z krótkimi nogami, długie ręce, zakończone dużymi dłońmi, falujące, nieco przerzedzone włosy, orzechowe oczy w twarzy przypominającej zajęczy pyszczek z wydatną górną wargą.

— Proszę bardzo, oczywiście... — cofnął się, przewracając kosz na śmieci i zrzucając gazetę na podłogę. — Czytuje to pani? — spytał, podnosząc „New Statesmana” i próbując nawiązać rozmowę.

— Niezbyt często — Hebe odwróciła wzrok. Sprzedawca sprawiał wrażenie nerwowego. Uważnie oglądała kapelusze, na pierwszy rzut oka zniechęcająco kojarzące się z jesienną konferencją partii konserwatywnej lub letnimi zjazdami torysów, w zależności od tego, na którą porę roku przewidywano ich noszenie. Jednak po chwili dostrzegła w nich zaskakujące elementy i dwa zupełnie inne nakrycia głowy — beret i czerwony kapelusz z szerokim rondem. Wzięła go do ręki.

— Zdaje się, że ten nie jest... — zaniepokojony sprzedawca ruszył w jej kierunku. — To jest dla... — najwidoczniej miał trudności z dokończeniem zdania. — Ale jeśli pani...

Hebe włożyła kapelusz i przyglądała się swojemu odbiciu.

— Pani wygląda w nim cudownie... Oczywiście, jeśli się pani podoba... Nie jest na sprzedaż,

bo... — mówił w taki sposób, który Lucy określała jako właściwy dżentelmenom, a „oni” nazywali go „jak z prywatnych szkół”, choć teraz już nie uczono tam starannej wymowy samogłosek. W lustrze widać było odbicia idących ulicą ludzi. Nagle Hebe zamarła, z rękami uniesionymi do góry, przesuując kapelusz nieco na bok. Powinna była pamiętać.

— Wygląda znacznie lepiej noszony dokładnie na środku głowy — młody człowiek zdołał wreszcie wypowiedzieć całe zdanie. — Należał do mojej ciotecznej babki. Kupiła go w 1939 roku na samym początku wojny...

Ale Hebe słyszała: „długowłosey nicpoń, brudne nogi, komunista, nierób, dziwka, zbieg, czarny, kto, kto?”. Śledziła ich wzrokiem, jak idą w dół ulicą. On utykał jak zwykle, ona przewiesiła torebkę przez lewe ramię. Nowy, młodszy labrador biegł tuż za nimi. Nogi się pod nią ugięły i usiadła na podłodze.

— Chwileczkę, tylko... — właściciel sklepu rzucił się, by po wachlować ją czasopismem. — O tak, proszę... — pomógł jej wstać.

— Proszę usiąść... — posadził ją na krześle. — Sekundę, tu mam...

Hebe wsunęła głowę między kolana. Kapelusz spadł na podłogę.

— Przepraszam. Głupio zrobiłam. Wyszłam bez lunchu... — ona też jakoś nie potrafiła skończyć zdania.

— Proszę to wypić. — Poczowała szklankę przy ustach i zapach whisky. Wypiła parę łyków.

— Przepraszam. Czy uszkodziłam kapelusz?

— Oczywiście, że nie — dalej wachlował ją „New Statesmanem”.

— Tak naprawdę nie jestem na lewo... — patrzył na nią zajęczymi oczami.

— Od czego? — spytała odzyskując panowanie nad sobą. „Nie zobaczyli mnie. Zakupy w Salisbury. Jakaż ze mnie idiotka. Przecież dziś wtorek. Ich dzień” — myślała.

— Politycznie — odpowiedział wpatrując się w nią. Na jej twarz wróciły rumieńce. Czyżby była w ciąży i dlatego zrobiło się jej słabo? Przecież nie mógł jej o to zapytać. — Nie jestem lewicowy — zapewniał. — To tylko dla kontrastu. Opozycja dla kapeluszy.

— Bardzo inteligentny pomysł — Hebe uśmiechnęła się. — Już mi lepiej — dodała. Lepiej niczego nie wyjaśniać, potraktować to lekko, zbagatelizować.

— ...tak bardzo dobrze — najwyraźniej również nie potrafił zaczynać zdań.

— Muszę już iść — powiedziała wstając.

— Ale koniecznie proszę wziąć kapelusz — nalegał.

— He kosztuje?

— Nic, to tylko... — wkładał kapelusz do papierowej torby w zielone, czerwone i białe paski, jak na włoskiej fladze.

— Ale ile... Muszę... „To zaraźliwe” — pomyślała. — ...część dekoracji. Nie był na sprzedaż. Chciałbym, żeby... — podał jej pakunek — ...pani to miała — uśmiechnął się triumfalnie.

— Nie mogę tego przyjąć — oświadczyła stanowczo.

— Musi pani. Wygląda w nim pani szalowo. Moja cioteczna babka byłaby...

— Nie żyje?

— Żyje, jest tylko stara. Dała mi go...

— Po co?

— Dla żartu — oczy mu się rozjaśniły. — Na dobry początek — podał jej torbę. — A teraz już...

— Co? — czuła, że zaczyna go coraz bardziej lubić.

— Zrobiłem dobry początek. Powinna pani zobaczyć — Hebe zatrzymała się na chwilę — ...co one kupują. Płatki, pióra, woalki, ale pani natychmiast dojrzała nieomylnym okiem jedyny

dobry kapelusz. Proszę go zatrzymać, to mi sprawi tyle...

- ...radości — dokończyła za niego Hebe. — Bardzo dziękuję — przyjęła pakunek.
- Czy daleko pani...
- Jeszcze dziesięć mil.
- Więc pani tu nie mieszka...
- To dorywcza praca.
- Aha, mam nadzieję, że będzie pani zadowolona...
- Tak, już tam kiedyś pracowałam. Do zobaczenia — wyciągnęła do niego rękę.
- Och — uścisnął jej palce suchą, dużą dłonią. Spodziewała się, że będzie wilgotna.
- Jeszcze raz dziękuję.

Odprowadził ją do drzwi i patrzył, jak idzie ulicą. Odwróciła się i śmiejąc się zawołała:

- Założę się, że pański ojciec był generałem!

— Tak, on... — zniknęła. Nie zapytał jej o imię. Może przeczyta na torbie: „Rory Grant. Kapelusznik”. Cioteczna babcia Calypso kiedyś mu powiedziała: „Bądź stanowczy, nie pozwól, żeby ci obrzydzi ten pomysł, zawsze rób w życiu to, co chcesz”.

Hebe położyła pasiastą torbę na tylnym siedzeniu i pokonała dziesięć mil dzielących ją od Louisy Fox. Dobrze jej zrobiło znalezienie tego kapelusza, dobrze jej zrobiło, że zobaczyła, jak przechodzą obok. Oni jej nie widzieli, więc nikomu nie stała się krzywda. Bolały ją oczy. Z ulgą myślała o wcześniejszym pójściu do łóżka i zdjęciu szkieł kontaktowych. Przy pracy pozwalała światu widzieć swoje oczy bez osłony, co było swego rodzaju fałszywą pokutą, podczas gdy w domu chowała je za dużymi okularami.

Jadąc rozmyślała o swoich z dziadkach. Czemu nadal tak się ich bała? Z przyzwyczajenia? Dlaczego nie poczuła zapachu, który zwykle towarzyszył atakom panicznego lęku? Próbując uporządkować myśli, oddzielić fakty od wyobrażeń, zrozumiała jasno to, co już wcześniej podejrzewała. Ten zapach nie miał nic wspólnego z dwojgiem starszusków idących ulicą w Salisbury. Zastanawiała się, jak się wabi ich pies. Poprzedni nazywał się Smut.

Hebe jechała wolno i z każdą milą ogarniało ją większe poczucie bezpieczeństwa. Przyjechali do Salisbury, żeby wyciąć odciski, pójść do biblioteki, pogrzebać w księgarniach nic nie kupując i wróciwszy do samochodu odjechali na południe do domu na skraju New Forest.

Nie zajrzeliby do modystki pod wpływem impulsu, nie przyjęliby od kogoś kapelusza w prezencie. Szliby środkiem chodnika, nie patrząc, nie zauważając marnotrawnej wnuczki. W ich życiu nie było miejsca na frywolne kapelusze ani na dziewczęta, które skumały się z długowłosymi, brodatymi, bosonogimi nicponiami. To wszystko wydarzyło się tak dawno temu, a jednak u nich nic się nie zmieniło. „Tylko, że ja już się nie boję” — z radosnym zdumieniem pomyślała Hebe, kątem oka zerkając w lusterko, by spojrzeć na pasiastą torbę na tylnym siedzeniu. Może po raz ostatni słyszałam ich głosy, po raz ostatni się ich obawiałam. Czują się lekko, jakby wyrosły jej skrzydła u ramion, gdy skręciła z głównej drogi na boczną, prowadzącą do domu Louisy Fox.

Zatrzymała się przed frontowymi drzwiami. Z domu ujadając wyskoczyły trzy kundle. Drzwi były otwarte. W holu zapewne panuje przyjemny chłód i pachnie różami.

— Cicho, chłopcy, cicho — zza węgła wyszła Louisa Fox, drobna kobieta w kretonowej sukience i ceratowym fartuchu. Podniosła głowę, by ucałować Hebe.

— Nie dotykaj mnie, jestem cała brudna — pokazała ręce powalane ziemią. — Poradzisz sobie z bagażami? Och, co widzę! Byłaś u Rory’ego. Zabawne. Co kupiłaś? — błyszczącymi, czarnymi oczami obiegnęła postać Hebe, zawartość samochodu, papierową torbę. — Wykazał dużo odwagi, otwierając w Salisbury sklep z kapeluszami. Ojciec szalał. Pokaż, co kupiłaś. Dziwię się, że znalazłaś coś odpowiedniego dla siebie.

Hebe wyjęła kapelusz z opakowania.

— Ależ to jeden z jego zabytków. Znam go bardzo dobrze. Moja przyjaciółka mu go dała.

— A on podarował go mnie.

— Dobrze, że wzięłaś. Wejdz, napijemy się czegoś i opowiem ci o ogródku. Od twojego ostatniego pobytu zdarzyły się dwa nieszczęścia. Wnieś swoje rzeczy. Leżeć! — krzyknęła na psy, które radośnie obskakiwały Hebe. — Maliny obrodziły wspaniale i krzewy tytoniowe cudownie pachną.

— Przywiozłam sos do makaronu, który mogłabym ugotować na dzisiejszą kolację, a jeśli są maliny...

— Nie zaczynajmy od razu mówić o jedzeniu, najpierw toast powitalny. Zatrzymasz się w tym pokoju, co zawsze. Czego się napijesz? Wina?

— Chętnie, bardzo proszę.

— Butelka stoi w lodówce. Siądziemy na tarasie. No, chodź.

„Podobają mi się takie domy” — pomyślała Hebe, idąc za Louisa.

W holu na przemian rozlegał się stukot kroków na kamiennej posadzce i szuranie, gdy szły po wytartych chodnikach. Louisa poprowadziła ją przez salon na taras.

— Usiądź, przyniosę wino.

— Może ja?

— Nie — powiedziała Louisa i wyszła.

Hebe usiadła na białym, metalowym krześle i spojrzała ponad ogrodem na łąkę rozciągającą się za ogrodzeniem, gdzie krowy machały ogonami, wyjadając zielsko nad rzeką o intensywnie zielonej wodzie i rozlegał się donośny krzyk łyski.

— Już jestem — Louisa wniosła na tacy kieliszki i otwartą butelkę. Nalała odrobinę i spróbowała. — Doskonałe — podała kieliszek Hebe. — Proszę.

Psy pokładły się z westchnieniem, któryś zastrzygł uchem, inny łypnął okiem i zamerdał ogonem, pozamykały ślepia i usnęły.

Louisa popijając wino obserwowała Hebe. Sprawiała wrażenie osoby ostrożnej i takiej, którą łatwo można zranić.

— Cieszę się, że dostałaś ten kapelusz — zaczęła. — Rory'emu potrzeba zachęty. Robi urocze nakrycia głowy.

— Moim zdaniem wyglądały na szacowne.

— Takie udają, ale czy choć jeden przymierzyłaś? Wtedy od razu widać w nich złośliwą przesadę. Dzięki kapeluszom kpi sobie z wyższych sfer. Ośmiesza swoich klientów.

— Trochę to okrutne.

— Nie, na pewno nie okrutne. Ojciec próbował go zmusić do zrobienia kariery wojskowej. Rory zastrajkował.

— Podejrzywałam coś takiego — roześmiała się Hebe. — Uderzyło mnie, że jego sklep wygląda jak rodzaj protestu.

— Czasem tu wpada, żeby łowić w rzece. Jest moim honorowym bratankiem. Znałam jego ojca i dziadka.

— Umarli?

— Dla mnie tak — Louisa dalej zastanawiała się nad Hebe. Czy ona się kiedykolwiek zupełnie odpręży? Mało prawdopodobne.

— Dziadek Rory'ego był jednym z moich amantów. A raczej za takiego się uważał — uściśliła. — Trudno byłoby rozsądzić, który z nich bardziej się starał, on, czy jeszcze jeden. Bardzo nudny gość.

Hebe zerknęła na pracodawczynię.

— Przecież chyba nie musiałaś się zadawać z nudziarzami?

— Wielu odpowiednich mężczyzn było nudnych. Należał do nich dziadek Rory'ego. O jego starszym bracie, to właśnie wdowa po nim dała Rory'emu ten kapelusz, absolutnie się nie dało tego powiedzieć. Niestety, nie był moim amantem. Kiedyś się umówiłam z dziadkiem Rory'ego w „Ritzu” i z tym drugim mężczyzną w „Berkeley” na tę samą godzinę. W tamtych czasach oba hotele dzieliła szerokość ulicy

— Louisa uśmiechnęła się szeroko do Hebe.

— Nie wiedziałam — stwierdziła uprzejmie Hebe.

— Nie obracasz się w tych kręgach?

— Znacznie powyżej moich możliwości.

— Teraz także i powyżej moich. No więc obaj chcieli się ze mną ożenić. Jednemu powiedziałam, że zjem z nim kolację w „Ritzu”, a drugiemu — wiesz, nazywał się Rutter, może jakiś twój krewniak

— że się spotkamy na kolacji w „Berkeley”. Tak więc uziemiwszy obu, miałam *rendez-vous* z trzecim i z nim spędziłam noc.

— To za niego wysłaś?

„Dała mi do zrozumienia, że zna moją rodzinę” — Hebe stała się ostrożna.

— Tacy mężczyźni jak on nigdy się nie żenią. Obaj byli o niego zazdrośni, więc ich uziemiłam, każąc im na mnie czekać. Jakiś czas potem wysłałam za kogoś innego.

— Nie był nudny? — Hebe uśmiechnęła się szeroko.

— Och, nie. Obaj nudziarze mieszkają o dwadzieścia mil ode mnie. Nigdy ich nie widuję. Zapomniałam o ich istnieniu. Tak się złożyło, że polubiłam Rory'ego.

— Dlatego, że działa na nerwy swojemu ojcu?

— Niewykluczone — Louisa odstawiła pusty kieliszek. Miała nadzieję, że Hebe poczuje się bezpieczniejsza, bo wiedziała, że na pewno nie spotka tutaj swoich dziadków, i poczuje się akceptowana, jak to było z Rorem.

— Co się stało z mężczyzną, z którym spędziłaś tamtą noc?

— Czasem rozmawiamy przez telefon.

— Nigdy cię nie odwiedza?

— Nie. A teraz weźmiemy łubianki i nazbieramy malin. Dla mnie to prawdziwe święto — mówiła Louisa, prowadząc ją w stronę maliniaka osłoniętego od góry siatką — gdy nie siadam do posiłku w towarzystwie telewizora. Nie mogę nic zjeść, bo albo pokazują film przyrodniczy, na którym piękne stwory pożerają inne piękne stwory, albo nasza pani premier wygłasza przemówienie, które mnie wyprowadza z równowagi.

— Przecież jesteś zwolenniczką partii konserwatywnej? — zdziwiła się Hebe. Czyżby pani Fox okazała się rebeliantką w otoczeniu samych torysów?

— Tak jak ciebie, mnie również wychowano na wierną konserwatystkę — spojrzała na Hebe, która skinęła głową. — Ale czasem się zastanawiam, czy przypadkiem w skład rządu nie wchodzi wyłącznie moskiewscy szpiedzy.

Hebe zachichotała.

— To dlatego stanęłaś po stronie kapelusznika?

— Tak — powiedziała Louisa. — Lubię rebeliantów, a nie przepadam za hipokrytami.

— Czyżby więc nudziarze byli także hipokrytami? — Hebe podsunęła Louisie kolejny cel ataku.

— Okropnymi — odparła. — Mój biedny ptaszek. Pomożesz mi wypuścić kosa spod siatki?

Hebe delikatnymi ruchami skierowała ptaka w stronę furtki otwartej przez Louisę. Była jej wdzięczna, że nie mówi wszystkiego do końca.

— Leć! — zawołała Louisa, gdy ptak rozwinął skrzydła. — Dziękuję.

Hebe rozpakowała bagaże i przebrawszy się poszła do kuchni, gdzie ugotowała smakowity posiłek. Skończyły butelkę wina i Louisa w przypiływie dobrego nastroju otworzyła następną. Opowiadała o swoim ogrodzie i z wdzięcznością przyjęła propozycję Hebe, że jej pomoże przy pieleniu.

Hebe położyła się wcześniej, a Louisa czytała do późna mając nadzieję, że zadzwoni telefon i pogawędzi sobie z Bernardem na swój koszt, aby nie musiał szukać monet. Ale aparat milczał. Szkoda, że chociaż jej małżeństwo było szczęśliwe, los nie pozwolił jej poślubić Bernarda. Okazał się uroczym kochankiem. Jako mąż mógłby się nie spisać tak dobrze. „Nie zapędzaj się — napominała samą siebie — przecież Bernard nigdy ci się nie oświadczył”.

Hebe słuchając dźwięków nocy: pohukiwania sowy, stukotu pociągu w oddali, krowy porykującej na łące, myślała o swoich dziadkach. Wyglądali na starych i bardzo dumnych, niezachwianych w swych uprzedzeniach. Przeklinała swoją nieumiejętność porozumienia się z nimi. „Muszę się nauczyć rozmawiać z Silasem” — powiedziała do siebie. „Muszę się przestać go obawiać, bo inaczej historia się powtórzy”. W półśnie myślała o swojej rodzinie: bogobojni, trudni do zrozumienia. Jak cudownie, że kiedy jeszcze była dzieckiem, zatrudnili Amy, która przyniosła jej wybawienie, broniąc od prześladowania i kpin starszych sióstr, które przejęły rodzinne obyczaje i z własnej woli stosowały przekazane wzory postępowania. Hebe pamiętała, że starsze od niej o sześć, osiem i dziesięć lat dziewczęta w strojach do konnej jazdy wydawały się jej olbrzymkami, kiedy władczy tonem żądały posługi. Manipulowały dziadkami, nigdy nie zniżały głosu rozmawiając przez telefon i uznały za świetny dowcip, kiedy ich podpici narzeczeni, po powrocie z przyjęcia, wtargnęli do domu i krzyżąc: „Przelecimy niewolnicę!”, zataczali się w stronę sypialni Amy. Hebe pamiętała, jakie przerażenie wzbudziły w niej ich głosy i ciężki tupot nóg. Jednak przerażenie szybko zmieniło się w gwałtowną radość, gdy zbiegali na dół spychani dobrze wymierzonymi kopniakami i razami Amy.

Jednak dziadkowie aprobowali tych młodych ludzi, podziwiając ich umiejętności na boisku rugby i na polowaniach. A teraz Robert bez wysiłku zdobył mandat z ramienia konserwatystów, Marcus wyrobił sobie dobrą pozycję w bankowości, Delian produkował mikroprocesory w Brukseli.

Hebe pamiętała, jak Amy z lodowatą uprzejmością odmówiła pozostania nawet dnia dłużej pod dachem dziadków. Przyglądała się, jak Amy się pakuje, nadstawiała policzek do pocałunku, zasmucona zbliżającym się rozstaniem. — Kochanie, jeszcze kiedyś się spotkamy!

— rozległ się srebrzysty głos Amy. Patrzyła, jak wsiada do taksówki i wybucha śmiechem, gdy pojazd zakręcił na podjeździe.

Amy musiała wtedy mieć przynajmniej pięćdziesiąt lat, czyli teraz jest dobrze po siedemdziesiątce, podobnie jak Louisa Fox i Lucy Duff. Gdyby Amy pracowała u jednej z nich, to tamtego dnia dom opuściliby chłopcy, nie ona. Hebe przypomniała sobie chwilę, kiedy w wiele lat później przybyła do domu Amy, która powiedziała na powitanie: „U mnie ci będzie dobrze”. I było jej dobrze, tak jak i Silasowi, naprawdę bardzo dobrze. „Gdybym tylko potrafiła być dla Silasa taką osobą, jaką dla mnie okazała się Amy. Pamiętam, że kiedy Amy mnie wprowadziła do domu, choć byłam przygnębiona, od razu nabrałam ducha i wreszcie mogłam się rozplakać”.

Słuchając odgłosów nocy, cieszyła się, że spędzi dwa tygodnie u Louisy, kiedy Silas bawi się w żeglowanie. Dobrze, że zobaczy kawałek świata poza tą okropną ulicą. I spędzi przyjemnie czas w towarzystwie zwyczajnej rodziny. „Może nie tak znów zwyczajnej”

— pomyślała, krzywiąc się na swój wrodzony snobizm. Lucy Duff określa takich ludzi mianem „szlachetnie urodzonych”.

— O Boże! — krzyknęła i przypomniała sobie Hannah mówiącą „zalałam herbatę” i aż się skuliła wspominając, jak była przez nich wychowywana, tych których się przecież wyrzekła — starego białego tryka i białą owcę, których córka ją urodziła. Nagle zatęskniła za Terrym. Uznała jego życie, w porównaniu z jej, za mało skomplikowane i pomyślała o jedwabistym połysku czekoladowej skóry.

Rozdział jedenasty

Mungo Duff nigdy nie grzeszył cierpliwością, więc gdy tylko przeczytał kartkę od panny Thomson, najchętniej od razu wskoczyłby do samochodu, jak najszybciej pokonał drogę do Louisy Fox, porwał Hebe i zabrał ją do Wenecji. Szkocji? Jugosławii? Ale po co tracić czas na podróż? W Anglii i Walii można znaleźć równie urocze wiejskie hotele. Także w Irlandii. Czy Irlandia by jej się spodobała? — zapytał samego siebie, stojąc niezdecydowanie w holu.

— Tato, pytałem, czy widziałeś moją fajkę? Zostawiłem ją z maską do nurkowania i gdzieś zniknęła.

— Niech cię! — krzyknął Mungo. — Czy człowiek nigdy... — spojrzał na starszego syna stojącego z młodszym bratem u boku. Obaj chłopcy byli przerażeni. — Do cholery, co tu robicie? — wrzasnął Mungo. Myśląc o Hebe, zupełnie zapomniał o własnych dzieciach.

— Pakujemy się, zbieramy to, co nam będzie potrzebne u Reevesów.

— O Boże! — te słowa rozbiły w proch jego marzenia. Przeklinał Alison, która beztrudno wyjechała sobie do Santa Barbara. Trzeba spakować Iana i Alistaira na wyjazd na wyspy Scilly. Do ich wyjazdu krępowały go obowiązki rodzicielskie.

— Złe wiadomości, tato? — Alistair zerknął na kartkę w dłoni Mungo.

— Oczywiście, że nie. Nie pchaj tu nosa — warknął na syna. Po co człowiek nakłada sobie jarzmo ojcostwa, czysty obłęd i przeszkoda na drodze do szczęścia. Ponownie spojrzał na kartkę pocztową. Jeszcze jej tam nie ma, dopiero od czternastego. Zdaży jeszcze coś zaplanować. Wtem straszne podejrzenie ścisnęło go za gardło. — Kiedy wyjeżdżacie?

— Pojutrze, tato. No, dwunastego. Mama ci mówiła.

— Oczywiście — co za ulga.

— Powiedziała nam, że już jesteśmy na tyle duzi, żebyśmy się sami spakowali i że nas wsadysz do pociągu. Dobrze, tato? Bo wiesz, w razie czego możemy pojechać taksówką.

— Nie gadaj bzdur — warknął Mungo.

— Staramy się o wszystkim pamiętać i wszystko zapakować. Mama powiedziała, że jeśli o czymś zapomnimy, mamy ci nie zawracać głowy prośbami, żebyś nam coś przysłał.

— Bardzo mądrze zrobiła — mruknął.

— No to widziałeś gdzieś moją fajkę?

— Nie, nie widziałem twojej fajki. Jeśli jesteś na tyle duży, by się samemu spakować, potrafisz też znaleźć swoją pieprzoną fajkę.

Młodszy syn zachichotał piskliwie. Matka nie pozwalała na używanie słowa „pieprzony” w domu. „Nie życzę sobie takich określeń” — mówiła. Odnosiło się to do większości wulgarnych zwrotów. Stłumił chichot na widok wyrazu twarzy ojca. Mungo obrzucił surowym spojrzeniem synów, owoc jego lędzwi. Kwaśno pomyślał, że akurat na to nie ma dowodu, skoro obaj wyglądają zupełnie jak Alison.

— Biercie się do roboty — powiedział. — I nie rozrabiać.

Ian i Alistair odwrócili się na pięcie i pobiegli. Z tyłu domu dobiegł go wybuch śmiechu.

„Cholerne szczeniaki, nie mają do mnie za grosz szacunku”. Wspomniawszy własnego ojca i uśmiechnął się. Ojciec dawał mu w ucho, a matka krzyczała: „Uważaj na jego bębenki!”. Mungo obejrzał pozostałe listy. Jeden został napisany ręką matki. Otworzył go, ze złością rozdierając kopertę.

„Kochany Mungo!

Mam do ciebie osobistą sprawę. Kiedy już wyślesz chłopców na Scilly, byłabym wdzięczna, gdybyś przyjechał mnie odwiedzić, to porozmawiamy. Sprawa jest zbyt delikatna na rozmowę telefoniczną. Muszę cię prosić o przyjazd tutaj. Nie zabiorę ci dużo czasu.

Kochająca mama.”

„Kochająca. A co z moją miłością?” — Mungo krzyknął z tłumionej wściekłości, rzucił list na podłogę i podeptał go. Potem, rozejrzawszy się, czy go nikt nie widzi, podniósł list i schował do kieszeni.

Wieczorem, gdy chłopcy leżeli spokojnie w łóżkach, a fajka znalazła się na półce w oranżerii, Mungo zadzwonił do matki.

— Mamo, o co chodzi?

— Kochanie, przecież ci pisałam, nie mogę mówić przez telefon.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie. — Znał ten ton głosu: nie ustąpi.

— Doskonale. Mogę przyjechać dopiero po wyekspediowaniu chłopców dwunastego. Będę więc trzynastego.

— Świetny termin.

„Czy ona się roześmiała?” — zastanawiał się.

— Nie będę mógł zostać — Mungo zajął stanowisko obronne.

— Kochanie, nie zapraszam cię na dłuższy pobyt. Jak wiesz, panna T. nienawidzi, gdy mam gości.

Czy matka sądziła, że jeśli będzie mówić o panie Thomson per panna T., to ona tego nie zrozumie?

— Podśłuchuje?

— Ma tak niewiele rozrywek — odparła rozbawiona Lucy.

— A więc do zobaczenia trzynastego. Kończymy, trzeba pamiętać o rachunku telefonicznym.

Ona ma obsesję na punkcie rachunków. Rwąc na kawałki list, zauważył, że matka przykleiła tańszy znaczek.

Dwunastego sierpnia Mungo odprowadził Iana i Alistaira na pociąg do Penzance. Jennifer Reeves zadbała, żeby ktoś wyszedł po nich i zabrał ich na lądowisko helikopterów. Po południu ustalił ze sprzątaczką, że podczas jego nieobecności będzie przychodziła nakarmić kota i z wdzięcznością pomyślał, jak dobrze, że Alison nie zgodziła się na kupno psa. Nie powierzyłby psa sprzątacze Alison. Jeśli nawet zapomni o kocie, ten się jakoś sam wyżywi. Zawsze myślał o niej jako o sprzątacze Alison, nie swojej czy chłopców. Kiedy w ogóle raczyła ich dostrzec, zachowywała się wyraźnie buntowniczo. Wobec Alison była zawsze usłużna i serdeczna.

Gdy chłopcy odjechali, ruszył samochodem na północ i po drodze zatrzymał się na kolację w bardzo polecanej restauracji, by się uzbroić przeciwko złym wiadomościom, które jego matka miała z zanadrzu. „Niech porozkoszuję się dobrami tego świata, nim usłyszę od matki, że ma raka lub straciła wszystkie pieniądze” — pomyślał. Jedząc stek i sącąc czerwone wino, Mungo

puścił wodze fantazji. Jeśli ma raka, będzie musiał ją umieścić w hospicjum. To będzie o wiele lepsze i łatwiejsze niż znalezienie porządnego domu opieki. Opłacała prywatne ubezpieczenie medyczne, więc może od strony finansowej nie będzie tak źle. Z drugiej strony, jeśli postanowi umrzeć w domu, Alison będzie musiała prędko wracać i zabrać się do szukania pielęgniarki. Potworne nudziarstwo, ale ona sobie z tym poradzi. Mungo zamówił następną butelkę. To była naprawdę dobra restauracja. Jeśli zabierze Hebe do Szkocji, mogliby się tu zatrzymać po drodze. Z drugiej zaś strony, jeśli matka nie ma raka, tylko jakimś sposobem wpakowała się w finansowe tarapaty... aż się wzdrygnął na tę myśl. Jedno jest pewne — i przynajmniej w tym jednym wypadku zyska całkowite poparcie żony — nie pozwoli, by matka zamieszkała z nimi. „Nie ma obawy” — myślał Mungo, popijając swoje bordo i zamawiając stiltona. Umawianie się z Hebe było dość niebezpieczne i bez matki, szpiegującej go tym swoim przenikliwym spojrzeniem. Mungo westchnął na wspomnienie oczu Hebe, wielkich jak u sarny, z długimi rzęsami. Nagle zdał sobie sprawę, że jest pijany i aż się spocił na myśl o policji zatrzymującej go w drodze na północ. Każą mu dmuchać w ten nowy, okropny typ baloników.

— Kelner — zawołał Mungo, starając się wymawiać bardzo starannie. Każda sylaba mogła go zdradzić.

— Tak, proszę pana — w głosie kelnera brzmiała fałszywa uniżoność.

— Czy mógłbym się przespać gdzieś tu w pobliżu? Nie mam ochoty na dalszą jazdę.

— Może u nas? Restauracja stanowi część hotelu.

— Ach, tak. Bogu dzięki — powiedział z ulgą. — Proszę mi zarezerwować pokój.

Nie spał zamartwiając się przez całą noc i następnego dnia w porze lunchu pojawił się wyraźnie skacowany w domu matki.

Kiedy ją zobaczył, wyglądającą jak okaz zdrowia i ruszającą na powitanie niczym krążownik do boju, nie potrafił zapanować nad drżeniem serca. Alison musi znaleźć domek, skromniejszy przy zmniejszonych zasobach, choć rzecz jasna wygodny, może mieszkanie, tak, wystarczy i mieszkanie, byle daleko.

— Daleko od czego?

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos.

— Nic takiego, powiedziałem, że daleko mieszkasz. Czy ostatnio gorzej słyszysz?

— Z pewnością nie — miała szczególny wyraz twarzy, rozbawiony i szyderczy.

— Czy jesteś chora? — spojrzał na nią uważnie.

— Dlaczego miałabym zachorować? Jestem zdrowa jak rydz.

— A więc to pieniądze. Wszystko straciłaś?

— Kochanie, oszalałaś? Cieszę się doskonałym zdrowiem i, jak zresztą świetnie wiesz, dzięki twemu ojcu, jestem bardzo zamożna. Chodź na lunch. Później porozmawiamy o twoich kłopotach.

— Moich kłopotach? — gapił się na matkę.

— A czyich? Napijmy się czegoś — ruszyła w kierunku jadalni.

— O Boże, nie. Hmm, może jednak tak. Poproszę whisky.

— A więc w tym rzecz? Mocna i dużo wody sodowej. Czy chciałbyś również aspirynę? — przesyłała go świdrującym spojrzeniem.

— Tak — Mungo spokorniał. Matka z wyrozumiałością tolerowała słabość, której ojciec nigdy nie ulegał. „Jestem jej za to wdzięczny” — pomyślał ze smutkiem, sącząc whisky, a ona przyniosła mu aspirynę.

Podczas lunchu, na którym była obecna panna Thomson, słuchał wygłaszanych przez matkę opinii na temat rządu — nieprawdziwi torysi, bez pochodzenia; pogody — bardzo ładna; o wpływie pogody na ogródek; narzekań na przemysł zanieczyszczający powietrze wyziewami z

kominów. „Matka zawsze odnosi się do mnie, jakbym nadal był dzieckiem” — ponuro rozmyślał Mungo, jedząc pieczonego kurczaka. Wyziwy, też coś.

— A co z rzekami?

— Kochanie, niech się inni o to martwią. Rzeki nie niszczą moich roślin.

— To przemysł daje ci fundusze.

— Och, nie, Mungo, nie. Twój ojciec nigdy by nie zainwestował w przemysł.

— Spytaj swojego adwokata — Mungo był naburmuszony i zdenerwowany.

— Nie będę poruszała z nim takich tematów — Lucy chciała uniknąć dyskusji na ten temat.

— Może kawę wypilibyśmy na zewnątrz?

— Podam państwu kawę na patio — panna Thomson wstała od stołu i wyszła.

— Ta kobieta doprowadza mnie do szału, uparcie nazywa taras „patio”. Jakież to prostackie.

Chodźmy do ogrodu. Mówi też „wymuskać” trawnik.

Mungo, idąc za matką na taras, uznał, że jest jedną z ostatnich osób, które mają odwagę określać kogoś mianem prostaka. Żałował, że nie odziedziczył po niej owej przerażającej pewności siebie.

Usiedli na słońcu w milczeniu, patrząc na widniejące w oddali kominy fabryczne, z których wydobywały się kłęby dymu. Panna Thomson przyniosła tacę z zastawą do kawy i odeszła. Mungo obserwował jej plecy, szeroką talię, silne szerokie ramiona, solidnie zbudowane nogi i zwrócone do środka stopy w wygodnych butach na płaskich obcasach.

— Mamo, co to za kłopoty? Jeśli nie choroba ani pieniądze, to o co chodzi?

— Nie o mnie, kochanie, ale o ciebie, już ci mówiłam.

— Co?

— O ciebie.

— Wyjaśnij mi... — łyknął wrzącej kawy. „Co ona ma na myśli? O co jej chodzi?” — ...o co chodzi.

— Alison od ciebie odeszła. Poprosiła, żebym to ja ci o tym powiedziała — oczy Lucy zabłyśły.

— Nie wierzę — Mungo wybuchnął śmiechem, uradowany, że matka nie jest chora na raka ani nie straciła pieniędzy. W końcu naprawdę darzył ją głębokim uczuciem.

— Postanowiła widocznie stworzyć *ménage à trois* z tymi twoimi przyjaciółmi z Santa Barbara — Lucy z ciekawością obserwowała twarz syna. Czasem wiadomości docierały do niego z opóźnieniem.

— To nie moi przyjaciele, tylko Alison — stopniowo zaczynał rozumieć to, co mu powiedziała. — Poznała ich w Megere, kiedy zabrała chłopców na narty. Odwiedzili nas niedawno.

— Wiem o tym.

— Czy to oznacza, że pod moim nosem nawiązała z nim romans?

— Z nimi, już mówiłam, że są we trójkę. Ciekawe, co by na to powiedział twój ojciec.

„Biedaczek” — pomyślała Lucy. „Wystawiła go na pośmiewisko. Uciec z mężczyzną to całkiem zrozumiałe, z kobietą, też się dość często zdarza, ale z parą — zupełnie niespotykane”.

Dopił kawę i siedział zamyślony. Lucy obserwowała go, wydymając wargi. Kto tak określił ojca Mungo, kiedy już prawie miała go poślubić: „Uroczy facet, ale tacy mężczyźni mają głupie dzieci”? Ten okropny przyjaciel Louisy, Bernard Quigle, który kiedyś o nią zabiegał, a nawet więcej, jeśli już miała być ze sobą szczerą — Lucy zaczerwieniła się na to wspomnienie. Bardzo zabawny człowiek, każdego potrafił rozśmieszyć. To się zdarzyło tylko raz, we Francji. Lubiła ten hotel.

— Więc cóż? — przerwała milczenie, które zapadło między nią i jej jedynakiem. — Co ty

na to?

Mungo zauważył, że się zaczerwieniła.

— Może cię zasmucę — powiedział — ale moim zdaniem to absolutnie cudowna wiadomość.

Roześmiał się głośno. Widział już siebie, jak pędzi autostradą, porywa Hebe od Louisy Fox, bierze ślub w urzędzie, a potem żyją długo i szczęśliwie. Urocza, przeurocza Hebe. Zauważył dziwny wyraz twarzy matki. Nie potrafił dociec jego znaczenia. Przestał się śmiać i dodał: — Rozwiędę się z nią.

— Na jakiej podstawie?

— Zdrada, to jasne.

— Z kim?

— Hmm... z obojgiem. Och, mam, może raczej porzucenie, niezgodność charakterów? W naszych czasach podaje się najróżniejsze powody do rozwodu.

— Kto się zajmie chłopcami?

To było zabójcze pytanie. Zadrżał ze strachu.

— Pomożesz mi?

— Nie.

— Dobry Boże, przecież jesteś ich babcią i...

— Wiem o tym.

— A więc pomożesz.

— Nie.

— Mam! — Mungo był zdumiony. Radość pękła niczym bańka mydlana, a powstała próżnię wypełnił lęk. Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Matka i syn staczali pojedynek na spojrzenia. Mungo pierwszy spuścił oczy.

— Alison to twoja żona — powiedziała Lucy. — Choć żadne z nas szczególnie za nią nie przepada...

— Mam! — jej otwartość zaszokowała go. On mógł być nielojalny, lecz nie ona.

— Sądząc po twojej reakcji na tę wiadomość, lepiej zrobisz słuchając teraz uważnie. Jak mówiłam, może i za nią nie przepadamy, ale mój drogi, ona jest bardzo pożyteczna. Bez zarzutu troszczy się o ciebie i chłopców. Jesteście nakarmieni, zadbani, macie zorganizowane wakacje i opłacone rachunki. Ona wysyła twój samochód do przeglądu, planuje życie towarzyskie twoje i chłopców, dba, żeby chodzili do odpowiednich szkół, spędzali wakacje z odpowiednimi ludźmi.

— Jest okropną snobką.

— Ja też i ty również. Gdyby ta śliczna dziewczyna, która czasem u mnie gotuje, nie była damą, czy zacząłbyś tak szybko zabiegać o jej względy?

— Skąd wiesz? — zawołał rozwścieczony.

— Nie bądź głupi. Ty możesz uważać to za tajemnicę, tak jak i ona. Chyba jednak słyszałeś o poczcie pantoflowej. Syn Maggie Cook-Popham widział was razem kilkakrotnie.

— Czy Alison też wie?

— Prawdopodobnie. I tak by się tym nie przejęła, nie dba o takie rzeczy.

— Aha — Mungo poczuł się, jakby matka kopnęła go w szczękę. — I jak do tego doszło? — spytał słabym głosem.

— Chyba nagle. Alison zadzwoniła do mnie. Napisała też list. Jeszcze jedno, wcześniej nigdy cię nie zdradziła. Wszystko uzgodnili w samolocie, lecąc do Stanów. Alison zatelefonowała po wylądowaniu. List przyszedł wczoraj, stawiając kropkę nad i. Użyła słowa „sfinalizowane” — prychnęła Lucy.

— Albo była pijana, albo pod wpływem narkotyków.

— Moim zdaniem nic z tych rzeczy. Już od dłuższego czasu rozmyślała nad takim posunięciem i akurat ci Amerykanie zaproponowali jej styl życia, o jakim zawsze marzyła.

— Co za bzdury.

— Więc sam przeczytaj — Lucy podała mu list od żony. Zawierał jasne, praktyczne propozycje. Po powrocie Alistaira i Iana z wakacji, Mungo przejmie za nich odpowiedzialność. W razie potrzeby Alison może coś poradzić z Santa Barbara, ale poza tym wszystko zależy od jego decyzji. Wkrótce skontaktuje się z nim jej adwokat, który również prowadzi sprawy Eli i Patsy. W załączeniu podany był adres prawnika.

— O Boże! O mój Boże! — Mungo był bliski łez. — Ona nie wiedziała, co robi. Przecież nie mogła się zdecydować tak od ręki.

— Gdy cię zobaczyła po raz pierwszy, natychmiast ruszyła prosto do celu — zimno przypomniała Lucy. — Twój ojciec powiedział, że nigdy wcześniej nie widział tak szybko działającej kobiety. Zobaczyła cię i, jak mówiłam, natychmiast ruszyła prosto do celu.

— Sądziłem, że to ja zrobiłem pierwszy krok.

— Kochanie, tak to było pomyślane.

„Niektórzy kochają swoje matki” — pomyślał Mungo.

— Czy ci ludzie, Eli i Patsy, są bogaci? — spytała Lucy.

— Jakoś sobie radzą.

— Sam więc widzisz.

— Będę musiał zrobić wszystko, co mogę — rozmyślał gorączkowo Mungo. Spróbuje skłonić Jennifer Reeves, żeby mu pomogła przy chłopcach. Radzi sobie świetnie ze swoim synem, dwóch mniej czy więcej nie zrobi jej różnicy. Nadal będzie mógł ożenić się z Hebe, nadal żyć długo i szczęśliwie. Matka coś mówiła. — Co powiedziałaś?

— Że powinniśmy natychmiast brać się do rzeczy.

— Do czego?

— Do sprowadzenia jej z powrotem.

— Na litość boską, po co?

— Dla mnie, jeśli nie dla ciebie i chłopców. Bez niej zupełnie sobie nie poradzę.

Wpatrywał się w matkę. Kiedy mówiła takim tonem, jakkolwiek opór był zbyt dużą stratą czasu.

Lucy spostrzegła przerażenie syna i zaczęła mu wyjaśniać powody, dla których podjęła taką decyzję.

— Najdroższy, pewnego dnia mogę dostać raka lub podobnej okropności i ktoś się będzie musiał mną zająć.

Mungo skrzywił się.

— Czy znamy kogoś innego poza Alison, kto sprosta takiej sytuacji? Ty nie, moje dziecko. Pewnego dnia mogą się pojawić trudności finansowe albo będę się musiała wyprowadzić, bo nie dam sobie rady z takim dużym domem. Czy znamy kogoś innego poza Alison, kto potrafi się mną zająć?

Ukrył twarz w dłoniach. „Cóż za potworna, stara suka, jak jej nienawidzę. Jak ludzie mogą być tak egoistyczni? Niech to szlag trafi!”

— Więc co? — wymamrotał przez zaciśnięte zęby. „Więc co” lub „właśnie to” mówili Ian i Alistair, żeby go zdenerwować. Oczywiście nigdy przy Alison. Na to by się nie odważyli.

— Więc musimy się brać do rzeczy — powiedziała spokojnie Lucy.

— Ty się płaszczysz, ja szantażuję. Będziemy dzwonić i nie pożałujemy pieniędzy. Zaczynamy, niech pomyślę... — spojrzała na zegarek — za pół godziny. Złapać ją we śnie. Ty porozmawiasz z Alison, ja z tymi Eli i Patsy.

— A ja sądziłem, że to tylko nudni Amerykanie, spragnieni zwiedzania.
— Moje biedne niewiniątko — Lucy zaśmiała się z niego, jakby miał dziesięć lat. — No, postarajmy się potraktować to lekko. Płaszcz się, pełzaj, ale spójrz na to z przymrużeniem oka — cała ta sytuacja szczerze ją bawiła.

Mungo zrobił ostatnią desperacką próbę.

— Mamo, przecież musi być jeszcze inne rozwiązanie — powiedział błagalnym głosem.

— Ja w moim wieku już się nie zmienię, ani ty. Czy wyobrażasz sobie, że kiedykolwiek zdecydowałabym się na dziecko, gdybym nie była pewna, że zajmie się tobą niania i na pewno pójdziesz do szkoły z internatem, gdy tylko opuścisz pokój dziecienny?

— Byłem bardzo nieszczęśliwy w szkole — wymamrotał Mungo ponuro.

— Zauważyłam, że właśnie do niej wysłałeś chłopców. Ludzie z naszej sfery nie mogą pogodzić się z koszmarem wychowywania dzieci w domu, do czego bywają zmuszeni nawet bardzo przyzwoici ludzie w tych czasach.

„Ludzie z naszej sfery, przyzwoici ludzie, czy ona musi tak mówić” — wzdrygnął się Mungo.

— A ty — Lucy mierzyła go stanowczym spojrzeniem — jesteś zupełnie taki, jak ja. Gdybyś nie miał Alison do kierowania, prowadzenia domu i wychowywania twoich synów, nigdy byś się nie odważył założyć rodziny.

Mungo protestował słabym głosem.

— Mój drogi, nie sądz, że cię nie kocham. Kocham, i to bardzo. Może bym i nie kochała, gdybym musiała zmieniać ci pieluchy i pielęgnować podczas świnki. W zasadzie kocham też i wnuki.

— Ja nie jestem pewien, czy ich kocham.

— Nonsens, oczywiście, że tak. Jeszcze nie przechodzili świnki, prawda?

— Nie wiem. Nie pamiętam. Alison...

— O, widzisz, nawet tego nie wiesz. Odra? Ospa wietrzna? Grzybica? Te wszystkie drobiny piasku, które wpadają między tryby twojego... ee... twojego... mam to na końcu języka.

— Wózka. Mamo, naprawdę musimy?

— Potrafisz się sam z tym wszystkim zmagać?

Milczał, myśląc o Hebe. Nie chciał, by spadła na nią opieka nad chłopcami. Chciał jej niepodzielnej uwagi, pragnął zatrzymać ją wyłącznie dla siebie. Łzy napłynęły mu do oczu. Przełknął ślinę.

„Może on kocha Alison” — pomyślała Lucy. „Nie, niemożliwe, to tylko szok”.

— Od czego zaczynamy? Co robimy? — poddał się Mungo.

Rozdział dwunasty

Silas, który z helikoptera lecącego w stronę wysp przez moment widział malejącą sylwetkę matki, zastanawiał się, co to jest hermafrodyta. Czy Giles lubiący różne ciekawostki odkrył nową sektę religijną, czy też może była to nazwa egzotycznej potrawy, jak mussaka, lub autonomicznej republiki ZSSR. Giles szczególnie wysoko cenił takie błyskotliwe spostrzeżenia jak to, że trawienie czarnego pieprzu zabiera trzy lata i dlatego natychmiast zapamiętał, co Bernard powiedział o prawym pośladku świń. Silas postanowił, że wybierze się do biblioteki publicznej i poszpera w słownikach.

Usadowił się w fotelu i patrzył na znikający Land's End, a potem wyteżał wzrok, by przed

sobą dojrzyć zarys wysp. Z radością oczekiwał spotkania z Michaeliem i cieszył się, że włoży płócienne szorty, które mu kupiła Hebe. Do tej pory widywali się jedynie w szkolnych mundurkach. Zastanawiał się, jak będzie ubrany jego przyjaciel. Patrząc na pofalowane morze, miał nadzieję, że się wypogodzi i słońce będzie się pokazywało częściej niż w ciągu ubiegłych dwóch tygodni. Towarzysze podróży helikopterem najwyraźniej przygotowali się na najgorsze, bo dźwigali żółte sztormiaki i kalosze. Po wylądowaniu Silas potrząsnął głową, by uwolnić się od szumu w uszach i ruszył za innymi po asfalcie, rozglądając się za Michaeliem. Zatrzymał się na dźwięk kobiecego głosu. Pani Reeves machała do niego. Silas odpowiedział tym samym i podszedł do niej, niosąc swój worek żeglarski.

— Witaj, Silas.

Miała duże zęby i w szerokim uśmiechu pokazywała dziąsła. Była wysoka; gęste, jasne włosy upięła w kok, który dziwnie wyglądał przy rybackim kapeluszu. Miała niebieskie oczy i twarz zaczerwienioną od wiatru. Ubrana była w żółty sztormiak z aksamitnym kołnierzem, biały sweter z grubej wełny, nazywany guernsey od wyspy, na której od dawna wyrabiają je żony rybaków, oraz dżinsową spódnicę. Na gołe nogi włożyła niebieskie skarpetki i adidasy. Mocno uściśnęła mu dłoń.

— Miło cię poznać, Silas.

Nie przypominała mu osoby zapamiętanej ze szkolnego dnia sportu. Najwidoczniej pomylił ją z matką innego chłopca.

— Dzień dobry pani... ee... cześć — rozejrzał się w poszukiwaniu Michaela.

— Wszyscy pożeglowali. Miałam zakupy do zrobienia w St. Mary, więc powiedziałam, że po ciebie wyjdę — mówiła donośnym głosem.

— Och, dziękuję.

— Wróć na kolację. Chodź mi pomóc załadować łódkę, Ian i Alistair przyjechali dopiero wczoraj i bardzo chcieli już wyruszyć. Chyba się nie obrazisz, że nie czekali na ciebie.

— Och, nie.

„Cholerny Michael” — pomyślał Silas. „Jeszcze daleko do południa. I co ja mam robić tkwiąc przy jego matce aż do kolacji?”

— Oczywiście, że nie — powiedział.

— Znasz Alistaira i Iana?

— Nie, nie znam. Kim są...?

— Tak sądziłam. Chodzą do innej szkoły. Ale mogłeś ich poznać na wakacjach — zasypywała go informacjami z promiennym wyrazem twarzy.

— Raczej nie.

„Niby gdzie miałem ich spotkać?” — myślał Silas podążając za nią. „I kim oni w końcu są?”

— Lepiej włóż coś od deszczu.

— Tak, oczywiście.

Otworzył torbę i wyciągnął kurtkę.

— Tutaj tylko pada i pada.

Zaprowadziła go do sterty zakupów i pokazała, jak je załadować do dużych koszyków. Sprawiała wrażenie przeraźliwie dobrze zorganizowanej.

— Zrobił je wspaniały koszykarz z Totnes. Nie cierpię plastikowych toreb, a ty?

— Eee... też nie — nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał.

— Byłeś w Totnes? Urocze miejsce. Te koszyki stamtąd pochodzą. Oni nawet potrafią robić takie, które nieźle udają europejskie. Nie jak te śmiecie ze Wschodu.

— Dość ciężki — zaryzykował Silas.

— Ale nie do zdercia. Ich ciężar nie powinien martwić tak silnego chłopca jak ty.

— Oczywiście, że nie.

Dotarli do przystani.

— Dobrze, teraz je załaduj. Nie tak, nie wszystkie po jednej stronie, bo łódź utonie. O, tak — poprzestawiała koszyki, lokując je na środku łódki.

— Przepraszam — poczuł się głupio.

— Dużo żeglowałeś, Silas?

— Eee... nie.

„To dopiero głupie pytanie” — pomyślał.

— Alistair i Ian to dobra załoga, tak mówi Julian. Julian to mój mąż.

— Aha.

— Mam na imię Jennifer. Mów mi po imieniu, jak wszyscy.

— Dzięki — pomyślał buntowniczo, że będzie się do niej zwracał bezosobowo.

Łódź została załadowana zgodnie z jej życzeniami...

— Siadaj na ławce.

Zastanawiał się, którą ławkę ma na myśli.

— Odcumuj, dobrze?

Z tym sobie poradził. Jennifer Reeves zapaliła silnik i w strugach deszczu kierowała łodzią przującą po falach.

— Niedługo będziemy na miejscu.

Silas milczał. Najwyraźniej płynęli na inną wyspę.

— Jak już mi pomożesz zanieść to wszystko do domu, pewnie będziesz miał ochotę na lunch, a później możesz iść na przechadzkę po wyspie.

— Tak, dzięki.

— Dobrze znasz wyspy?

— Nigdy tu nie byłem.

— Boże, i tak blisko mieszkasz.

— No tak... — poczuł, że wiele stracił w jej oczach.

— Pewnie masz mnóstwo do roboty na łodzi. Michael coś wspominał, że mieszkasz w miasteczku — mówiła bez większego przekonania.

— Tak.

— Aha. Lubisz je?

— Tak. Mieszkamy przy takiej ulicy...

— Doprawdy? — zabrzmiało to jak „doprhawdy”.

— Która została zbudowana przez szalonego staruszka, tak bardzo nienawidzącego kornwalijskiego granitu, że sprowadził z Devon ciemnoczerwoną cegłę i zbudował z niej wszystkie domy przy tej ulicy. Tylko wokół okien cegła jest żółta.

— Uhh!

— Moja matka też tak mówi, ale są tak brzydkie, że je uwielbiam. Ulica jest obrzydliwa, wąska i pnie się w górę bardzo stromego wzgórza.

— Doprhawdy — tak szeroko otworzyła usta, że widział języczek między migdałami.

— Wszystkie domy mają nylonowe zasłony i z tyłu ogródki. Między ogródkami a tyłami domów stojących przy sąsiedniej ulicy biegnie ścieżka. Tamte domy są z granitu, jak reszta miasta. Nasza ulica nazywa się Wilsona.

— Doprhawdy — powiedziała pani Reeves, siedząc za rumplem i sterując łódką przez fale ku Trescoe.

Po tym wywodzie Silas siedział w milczeniu, słuchając plusku wody i z przyjemnością poddając się huśtaniu łodzi, choć przeszkadzał mu unoszący się w powietrzu zapach nieświeżych

ryb. Zastanawiał się, czy oleista cuchnąca woda, znajdująca się na dnie łodzi, zaleje stopy jego towarzyszki. Nie zalała.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała, wyłączając silnik.

Silas pomógł zanieść kosze do domu, który Reevesowie wynajęli na wakacje. Jennifer, przycumowawszy łódkę, bez wysiłku zaniósła swoją część zakupów. Silas wszedł za nią do wnętrza domu. Uznał, że jest przynajmniej dziesięć lat starsza od Hebe.

— Może rozpakujesz koszyki, to poukładam wszystko na miejsce. „Ojej, co za organizacja... Hebe była równie dobrze zorganizowana, ale tak tego nie podkreślała” — pomyślał Silas.

— Ustaw kosze na ganku. Napiję się czegoś i przygotuję dla nas lunch. Dobrze?

— Bardzo dziękuję — Silas wykonał polecenie.

— Nie tutaj, głuptasku, wszyscy się będą o nie potykać. Na półce u góry.

— Przepraszam — położył je na półce. „Czemu tak od razu nie powiedziała?”

Jennifer wlała kilka kropli angostury* i hojną ręką dopełniła dzinem.

— Mój ojciec służył w marynarce — wyjaśniła.

Patrzył, nadal nic nie rozumiejąc.

— Różowy dzin, Silas, różowy dzin.

Przyglądał się, jak łyka, zastanawiając o czym mówi.

— Od razu lepiej. Teraz lunch. Mamy gulasz, pieczone ziemniaki i owoce. Wystarczy?

— W zupełności.

— Co ja robię! Przecież niczego ci nie zaproponowałam do picia. Może miałbyś ochotę na colę?

— Nie, dziękuję.

— Chłopcy biorą sobie bez pytania. Chcesz iść do ubikacji? Zobaczyc swój pokój?

— Dziękuję. Chętnie.

— Pokażę ci — poprowadziła go na górę. — Wszyscy śpicie razem w dużym pokoju. Chyba ci to nie przeszkadza?

— Oczywiście, że nie.

„Zupełnie jak w szkole. Może ich polubię” — pomyślał. Pełen wątpliwości popatrzył na cztery łóżka.

— Jak będziesz gotowy, przyjdź na lunch. Tu jest łazienka. Na szczęście mamy drugą na dole. Nie lubię, kiedy ktoś siusia w ogródku. Można się pośliznąć, no i niszczy to trawę.

Silas zszedł do kuchni. W milczeniu zjedli bardzo dobry gulasz, pieczone ziemniaki i sałatkę ze świeżych owoców. Pomógł uprzątnąć ze stołu i umieścić brudne talerze w zmywarce.

— Teraz mają tutaj najnowszy sprzęt gospodarstwa domowego.

— Tak — włożył ostatni talerz.

— Świetnie. Rozpakuj się i obejrzyj wyspę. Idę odpocząć. Wrócę na kolację, może trochę wcześniej. Poradzisz sobie?

— Tak, dziękuję.

Jennifer Reeves poszła na górę. Słyszał, jak delikatnie stuknęły o podłogę zdejmowane buty i jak westchnęła z ulgą. Włączyła radio na audycję „Godzina kobiet”. Na palcach poszedł do wyznaczonego pokoju. Pościel na trzech łózkach była skotłowana. Położył worek na czwartym, wyjął sweter i adidas. Wyjrzał przez okno. Nadal padało. Przez chwilę rozważał, czy powinien zostać w spodniach, czy przebrać się w szorty. Włożył szorty.

Ruszył ścieżką wiodącą na wzgórze, szukając jakiegoś miejsca z widokiem na morze. Brzegi

* Gorzka wódka, której dodatkiem jest gorzka, aromatyczna kora pd. amer. drzew (przypr. red.).

ścieżki porastały krzewy tamaryszku i fuksji, powietrze było łagodne i słone. Zaczynało mu się tu podobać.

Bardzo szybko odkrył ogrody przy opactwie Trescoe, spacerował olśniony egzotyką i zachwycony różnymi niespodziankami, unikając innych ludzi. Potem wyszedł z ogrodów i po długim marszu znalazł półkolistą plażę, na której były tylko ptaki. Usiadł na skale i patrzył w zielonobłękitną wodę, jakiej nie widział w Kornwalii. W polu widzenia pojawiła się łódka z wiosłującą dziewczyną. Przy sterze siedział mężczyzna z wędką. Silas obserwował, jak uwija się, jakby łowił pstrągi w strumieniu. Mówił coś przyciszonym głosem do dziewczyny. Silas nie był jedynym widzem. Bardzo blisko łodzi wysunęły się z wody głowy ciekawskich fok. Nigdy wcześniej nie widział tych zwierząt. Łódź, z nadal cicho ze sobą rozmawiającymi ludźmi, powoli zniknęła mu z oczu. Patrzył, jak foki przyglądają się ich odjazdowi. Deszcz przestał padać. Rozebrał się i zszedłszy do wody, brodził przy brzegu. Nie chciał pluskaniem przestraszyć fok, które nadal mogły być w pobliżu. Odpłynął od plaży, po czym się odwrócił, by popatrzeć na biały piasek, szare skały i niskie brzegi, pokryte fioletowym wrzosowiskiem. Bliżej brzegu zwieszały się kępy krzewów. Szare pęki owoców przypominały lniane czupryny chłopców przebranych do występów w jasełkach. Woda była zimna; popłynął do brzegu. Nie miał ręcznika i ubranie ciasno przylgnęło mu do ciała, co mu się nawet spodobało. Z butami w dłoniach poszedł w głąb łądu. Wyszło słońce. Położył się na wrzosowisku, słuchał krzyku ptaków, patrzył, jak po niebie krąży pustułka. Zasnął, ukołysany piskiem mew i szumem fal łamiących się wokół przylądka. Gdy się obudził, słońce grzało mu twarz, a sól po kąpieli ściągnęła skórę. Potarł dłońmi policzki z suchym szelestem. Podobny dźwięk rozległ się tuż obok. Na płaskim kamieniu była żmija. Leżał, obserwując to piękne stworzenie, jak wsunęło się między wrzosy, szeleszcząc niczym gnieciony papier. Zamknął oczy. Widok żmii, a wcześniej fok, przepełnił go ekstatyczną radością. Poczul głód. Wstał i ruszył do domu. Dotarł dalej niż przypuszczał; słońce słało już ostatnie promienie nad linią horyzontu, a mewy leciały na wieczorne łowy.

Schodząc z nabrzeża, spotkał Michaela Reevesa z ojcem i dwoma chłopcami mniej więcej w wieku Michaela. Rozmawiali głośno i nieśli części ekwipunku potrzebnego do żeglowania. Michael zawołał Silasa.

— Cześć, witaj — powiedział ojciec Michaela. — Świetnie, że jesteś. Jak widzę, dotarłeś bez kłopotów. Chyba moja żona się tobą zajęła, nakarmiła i tak dalej. Odkrywcza wyprawa, co? Przepraszam, że cię zostawiliśmy, ale szkoda byłoby stracić taki dzień. Wiedzieliśmy, że się nie obrazisz — jego głos był donośniejszy i głębszy niż Michaela.

Nikt nie przedstawił go pozostałym chłopcom. Później się dowiedział, że to Ian i Alistair.

Michael i jego ojciec mieli na głowach pomięte i ubrudzone płócienne, niegdyś białe, kapelusze, Ian i Alistair włożyli dżinsowe kapelusze już na nich za ciasne, najwyraźniej noszone od wielu sezonów. Ojciec Michaela był ubrany w czerwone spodnie rybackie połatane na kolanach, chłopcy zaś w bardzo obcisłe płócienne szorty, podobne do tych, które miał Silas, ale stare i brudne. Chłopiec poczuł się nieswojo. Wszyscy włożyli swetry guernsey, jak pani Reeves, które przesiąkły zapachem łodzi i potu. Silas z przykrością wspomniął słowa Hebe: „Twoje swetry są dobre, ale jak chcesz, możesz wziąć mojego białego staruszka”. Staruszek to oczywiście guernsey. Pomyślał o niej prawie z niechęcią. Jego swetry wprawdzie się nadawały, ale to nie były swetry żeglarzy.

Michael i jego przyjaciele poszturchiwali się na ganku, podniesionymi głosami opowiadając Jennifer o całodziennym żeglowaniu. Odkrzykiwała im coś z kuchni, a przez cały ten harmider przebijał się głos Juliana, żądającego przede wszystkim uczciwej whisky.

— To sobie nalej, ja szykuję żarcie — Jennifer zabrzęczała garnkami i napełniła zlew wodą. — Chłopcy, zostawcie upačkane buty na ganku, rano tu była myta podłoga.

Michael i jego przyjaciele ściągnęli żółte kalosze i cisnęli je na ganek. Wnętrze domku wypełniło się odorem spoconych stóp.

— Kochanie, zdejmij kalosze — Jennifer zwróciła się do męża.

— Kobieta umyła podłogę.

— Dobrze, już dobrze — Julian zdjął buty i stał, nalewając whisky. Silas wziął je bez słowa i postawił przy pozostałych.

— Przywiozłeś kalosze? — zapytał go Michael.

— Nie, nie wiedziałem, że mi będą potrzebne.

— To ci jakieś pożyczymy.

— Idź się przebrać, zdejmij te upaprane szorty i, na litość boską, umyj się przed kolacją! — wrzasnęła Jennifer na stojącego tuż przy niej Michaela. Ten coś wymamrotał. Silas ruszył za nim i chłopcami na górę. Zaczęli przeszukiwać szuflady komody.

— Jasne, że się przebiorę — powiedział Ian ściągając szorty. — To mi ścisza interes.

Alistair i Michael wybuchnęli śmiechem.

— Duży interes jest dziedziczny — powiedział rozochocony Ian.

— Ojciec twierdzi, że jego jest bardzo podziwiany.

— Przez kogo? — spytał Silas, chcąc się włączyć do rozmowy.

— Tato ma kochankę. Sądzi, że my o tym nie wiemy. Nie znamy opinii mamy, ale ona chyba zadawała się tym, co ma...

— Tym, co ma — Alistair, młodszy od Iana, roześmiał się rubasznie.

— Moja mama ciągle podejrzewa tatę o kochanki. Strasznie się tego boi — powiedział Michael, chcąc, by do niego należało ostatnie słowo. — A tak naprawdę, to on by się nie odważył. Dostaje po uszach, kiedy tylko spojrzy na jakąś dziewczynę.

— Kolacja gotowa! — zawołał Julian z dołu. Chłopcy zbiegli na bosaka. Silas zdjął buty i podążył za nimi.

Jennifer nałożyła na talerze duże porcje gulaszu, podobnego do tego, który podała na lunch i wszyscy zabrali się do jedzenia.

Julian Reeves otworzył butelkę wina, nalał żonie i sobie, po czym zaproponował Silasowi.

— Dziękuję — Silas podstawił szklankę. Julian napełnił ją w trzech czwartych. Pozostali chłopcy wybrali colę. Silas poczuł, że popełnił *faux pas* i nieśmiało przetykał wino.

Julian i chłopcy bawili Jennifer opowiadaniem o całodziennym żeglowaniu, nieustannie sobie przerywając i zaprzeczając jeden drugiemu.

— Jutro mamy zamiar opłynąć Biskupią Skale, jeśli się pogoda utrzyma. Pasuje ci, Silas?

— O tak, cudownie.

— Silas mi mówił, że mieszka na bardzo ciekawej ulicy — Jennifer dołała sobie wina. — Okazuje się, że mieszka w mieście. Nie przypuszczałam — nawet tu zdołała wstawić francuskie „r” i wymówiła ten wyraz jako „prhzypuszczałam”.

— Jak się nazywa ta ulica? — spytał uprzejmie Julian.

— Wilsona. Była imienia lorda Kitchenera, ale parę lat temu zmienili na Harolda Wilsona.

— Rany! Za rządów labourzystów?

— Wiecie, że ma swój bungalow przy St. Mary's — powiedziała Jennifer z dezaprobatą.

— To zabawne, że robią takie rzeczy — powiedział Ian z pełnymi ustami.

— Zastanawiam się, dlaczego — Jennifer, podając ser i krakersy, przyglądała się Silasowi z namysłem, jakby to on odpowiadał za zmianę nazwy.

— Zrobił coś dla miasta. W ten sposób rada miejska wyraziła mu wdzięczność.

Zapadła cisza, Silas podziękował za krakersa i wziął chleb.

— Widać różni się trafiają — Jennifer posmarowała masłem krakersa i przeżuując zerknęła

na męża. — Jeśli jutro chcecie skałować biskupio, to musicie iść wcześniej do łóżek. Chłopcy, moglibyście posprzątać ze stołu.

— Dobra — powiedzieli Michael, Ian i Alistair. — Dobra.

Silas otworzył usta i natychmiast je zamknął.

Jennifer wstała.

— Pub? — zwróciła się do męża.

— Oczywiście.

Silas patrzył, jak powoli znikają w ciemnościach.

— Bierzemy się do roboty — Michael zaczął zbierać ze stołu. Silas mu pomagał, Ian i Alistair wykonywali ruchy pozorne.

— A więc twoja rodzina to labourzyści? — zagadnął Ian.

— Labourzyści? — Silas był zdziwiony.

— Ta, labourzyści, nie torysi. No wiesz, ulica Wilsona. Od razu widać.

— Co?

— Czerwoni pod łóżkiem i tak dalej.

— Ian, nie gadaj bzdur — próbował załagodzić Michael, pamiętając, że jest gospodarzem.

— Ja mam pod swoim nocnik — dowcipkował Alistair. — Kiedyś się moczyłem w nocy — powiedział, jakby się tym szczycił.

— Szczeniak — zgasił go Ian.

— Co w tele?

Poszli do sąsiedniego pokoju, gdzie się rozłożyli na sofie, by oglądać western na ITV. Ian nastawił telewizor bardzo głośno, choć rozmawiał z Michaeliem, przeskakując z tematu na temat. Przy dźwiękach dochodzącego z telewizora skrzypu otwieranych drzwi do baru, strażów z rewolwerów, turkotu powozu i galopu koni, Silas słuchał o tym, jak często rodzina Michaela wspólnie spędzała wakacje z rodziną Iana i Alistaira, o tym, że regularnie jeździli na narty do Megere, że zeszłe wakacje spędzili w górach Kanady, a na przyszły rok zaplanowali trek przez Ladakh, choć możliwe, że Alistair zostanie uznany za zbyt młodego na tę eskapadę.

— Zawsze możesz pojechać do wujka w Szkocji — pocieszał Ian młodszego brata.

— Wsadź se w dupę Szkocję — zawołał Alistair, przekrzykując muzykę z filmu, zły na starszego brata. To wszystko było o wiele wspanialsze od wakacji spędzanych wśród ciemnych cegieł ulicy Harolda Wilsona i wypraw z Gilesem do pana Quigley'a.

— Dlaczego do cholery, jeszcze nie jesteście w łóżkach! — zawołała Jennifer, wróciwszy z pubu.

— Mają wakacje — po alkoholu Julian był życzliwie nastawiony do świata.

— Już, już zmykajcie — krzyczała Jennifer jak do nieznosnych psów.

Silas długo nie mógł zasnąć. Przydałby mu się jeszcze jeden koc. Przydałaby mu się jego kołdra i Trip z mruzeniem moszcząca się przy boku w jego własnym łóżku w domu matki na absolutnie obrzydliwej ulicy zwanej ulicą Wilsona. Zastanawiał się, czy nie ma ziarna prawdy w plotkach, że ulicy zmieniono nazwę nie z wdzięczności, lecz na złość. Spał niespokojnie i dwa razy budził się słuchając ryku morza i wiatru uderzającego w ściany domku.

Rozdział trzynasty

Korzystając z zaproszenia Louisy, by zawsze, kiedy ma na to ochotę, łowił u niej ryby, Rory Grant po samotnie zjedzonej kolacji zapakował wędkę i pokonał dziesięć mil do miejsca, w

którym zaczynała się część rzeki należąca do niej. Zaparkował samochód na poboczu, wciągnął wysokie gumowe buty i stał w ciszy sierpniowego wieczoru z wędką w dłoniach. Wybierając muchę, słuchał bulgotania wody przepływającej pod mostem oraz dźwięków nocy, szelestu przypominającego szum skrzydeł nietoperzy polujących nad powierzchnią, rytmicznego przeżuwania stada krów rozłożonych na łące, które obserwowały go z łagodnym wyrazem na mordach, gdy wspinał się na przelaz i zaczął powolną wędrówkę wzdłuż brzegu, z wrodzonym talentem zarzucając wędkę nad wodą jednym ruchem nadgarstka i ramienia. Hipnotyzujący szum wody przyniósł ulgę i pociechę jego niespokojnej duszy. Przez chwilę zawładnęły nim emocje, gdy pstrąg wyskoczył do muchy i Rory wyciągnął go. Zabił rybę szybkim uderzeniem w łeb, po czym schował do torby. To zakłócenie spokoju przyjął prawie niechętnie. Kiedy zbierał się już do odejścia, powierzchnia rzeki była czarna. Złapał cztery duże ryby. Stał, patrząc na dom Louisy i zastanawiał się, czy wrócić do siebie bez zaglądnienia do niej, czy jednak złożyć jej wizytę. Zdecydował się do niej zajrzeć.

W zapadającym szybko zmroku oczyścił ryby, owinał je w liście i przemierzywszy ogród, skierował się do bocznego wejścia. Odnalazł klucz ukryty przez Louise w pobliżu tylnych drzwi i wszedł do kuchni. Szukając po omacku kontaktu, poczuł zapach gotowania, wyraźnie dochodzący od dużej kuchni zwanej aga i usłyszał powitalne uderzenia ogonami od strony gromady kundli grzejących się przy piecu. Zapalił światło.

— Ależ świetni z was stróże domu — pochylił się, by pogłaskać sympatyczne łby i poklepać gładkie boki psów. — A gdybym chciał obrabować ciocię Louise? Co wtedy? — zwrócił się do psów, które wyglądały na lekko rozbawione. Największy podszedł obwąchać ryby, które Rory położył na stole.

Zdjął wysokie gumowce i poczłapał do kredensu po półmisek. Ułożył starannie zdobycz i włożył do lodówki.

— Ogląda telewizję w salonie? — zapytał, a psy spojrzały na niego uważnie. — Poszła już spać? — pomachały ogonami, pyski miały na wpół otwarte. — Pójdę zobaczyć, wy zostańcie tutaj.

Ale gdy otworzył drzwi do korytarza, jeden z kundli, Rufus, przepchnąwszy się obok niego, pomknął do przodu. Musiał za nim pójść.

Hol był pogrążony w ciemności, zegar szafkowy cykał w ciszy. Rory poszedł do salonu i stwierdził, że tam również jest ciemno.

„A niech to, widać poszła spać. Gdzie się podział ten pies?” Stał w milczeniu, nie chcąc zakłócać spokoju uspiętego domu. Mógłby zostawić kartkę lub zadzwonić rano, ale przecież kundel uciekł na górę i teraz pewnie skrobie do drzwi Louisy. Obudzi ją, jeśli już zasnęła. Rory pstryknął palcami i cicho zagwizdał. Pies udawał, że nie słyszy. Zapalił światło na dole i ruszył ku sypialni ciotki. Ze zdumieniem stwierdził, że zwierzęcia nie ma przed drzwiami pokoju Louisy ani nigdzie w pobliżu.

— Szlag by to trafił — Rory na palcach minął drzwi i ruszył na poszukiwanie. Na pierwszym piętrze nie było śladu psa. Wszedł piętro wyżej.

Pod drzwiami sypialni, którą Rory, spędziwszy tu tak wiele szczęśliwych wakacji, uważał za własną, siedział pies, wyczekująco unosząc pysk do góry. Rory pstryknął palcami. Rufus zamachał ogonem jeszcze szybciej. Ponieważ zobaczył pod drzwiami smugę światła, zapukał, otworzył je i wszedł do środka za Rufusem.

Przed dużym lustrem, które znał od dziecka — jako ósmiolatek paradował przed nim owinięty w ręcznik udając, że jest cesarzem rzymskim — stała dziewczyna, której dał kapelusz ciotecznej babki Calypso. Mierzyła ten kapelusz, przybierając pozy przed lustrem. Poza tym była naga.

— O, cześć — powiedziała zdziwiona Hebe.

— Próbowałem... — Rory nie mógł złapać tchu. „Boże, co za dziewczyna!” — Chciałem zabrać... — stracił wątek. „Dlaczego ona się nie okrywa?” — Czyżby ciocia Louisa miała...

— Co? — Hebe zdjęła kapelusz i sięgnawszy po halkę, przewiązała się nią w pasie.

— Migrenę — zafascynowany wpatrywał się w kobietę.

— Nie, położyła się wcześniej do łóżka. Pracowała cały dzień w ogródku — Hebe włożyła kapelusz do pasiastej torby. — Była zmęczona. — Chcesz go z powrotem?

— Och, nie!

— To co tutaj robisz?

— Ja tylko... łowiłem ryby... Położyłem parę pstrągów... — Rory dalej trwał w osłupieniu.

— Gdzie?

— Do lodówki.

Głaskała przekłętego Rufusa. Patrzył, jak jej dłoń pieści psi łeb.

— Dobrze — spojrzała na niego. Czy zdawał sobie sprawę, że ma erekcję?

— Czy mogłabyś jeszcze raz włożyć kapelusz?

— Oczywiście — znowu wyjęła go z torby i przymierzyła. Rory obserwował jej plecy, ręce wysoko wzniesione przy wkładaniu kapelusza, odbicie w lustrze. Odwróciła się.

— A może byśmy...? — nieznacznym gestem wskazała łóżko. Rory nie pamiętał później, jak zdjęła spodnie i czy Hebe zdjęła kapelusz. Rufus obwąchał pokój, znalazł fotel i ułożył się do snu.

Rory'ego obudziły promienie słońca wpadające przez niedokładnie zaciągnięte zasłony. Zdał sobie sprawę, że obserwują go oczy znajdujące się tuż przy jego twarzy.

— Mam bardzo krótki wzrok — wyjaśniła Hebe.

— Och... Nigdy wcześniej nie mogłem... — próbował coś powiedzieć. — Nie tak naprawdę... więc ja... ee... nie...

— Cóż, jest cudownie. I możesz, prawda?

— Tak, to było proste...

— Może jeszcze raz nim wstanę? Co ty na to? — nie śmiała się z niego, nie kpila jak inne.

— Wspaniale. Wspaniale. Wspaniale — zaśpiewał.

— Nie śpiesz się — uspokoiła go.

— Nigdy nie mogłem... aż nagle, kiedy zobaczyłem cię w tym kapeluszu...

— Czy twoja cioteczna babka nosiła go w łóżku?

Rory się roześmiał, trzymając Hebe w ramionach.

— Moja cioteczna babka nie potrzebowała kapelusza, żeby się rozruszać.

— Tak jak ty teraz.

— Kim jesteś? Co tutaj robisz? — zapytał ją później Rory.

— Od czasu do czasu jestem kucharką, kiedy twoja ciotka pozwala sobie na małą przyjemność. Nigdy ci nie wspominała?

— Nie, hmm, tak. Słyszałem, że czasem...

— Jestem również... — Hebe urwała.

— Kim? Powiedz mi. Kim jeszcze? — nagle ogarnął go smutek.

— Jestem także prostytutką. Robię to za pieniądze.

„Teraz wyskoczy z łóżka, odrzucając kołdrę i ucieknie” — Hebe westchnęła i odwróciła się. Ale Rory powiedział:

— Wolę słowo kurtyzana.

— Och! — zawołała zaskoczona.

— Mogę ci płacić. Jestem dość bogaty.

— Porozmawiamy o tym później, jeśli będziesz chciał. Muszę wstać i zrobić śniadanie. Możemy zjeść pstrągi. Czy twoja ciotka je lubi?

— Przynajmniej tak twierdzi, gdy je przynoszę.

— Chodź, porozmawiamy, kiedy będę się kąpać — Hebe wysunęła się z łóżka i zniknęła w łazience, znajdującej się obok. Dawna gotownia została przerobiona jeszcze przed pierwszą wojną światową. Wanna i sedes miały mahoniową obudowę. Ściany pokrywała wesoła papierowa tapeta w róże. W rogu umieszczono niewielki kominek, otomanę i fotel obciągnięty kretonem we wzór pasujący do ścian; cudowne tło dla Hebe, która napełniła wannę wodą i sprawdzwszy temperaturę, weszła do środka, po czym wygodnie się ułożyła.

— Czemu nie siadasz? — wskazała fotel. Rory usiadł z ręcznikiem owiniętym wokół bioder.

Wszedł Rufus i przez kłęby pary gapił się na Hebe, chcąc ją polizać, a może i spróbować smaku mydła. Hebe pogładziła go po nosie namydlonym palcem.

— Rozpuszczasz go — Rory poczuł w sercu ukłucie zazdrości, bo pies podszedł tak blisko dziewczyny i z taką łatwością przyjął jej pieśczętę.

— To poczciwe, kochane psisko. Lubię go.

Rory siedział, obserwując jak namydła kark, gąbką przeciera twarz i myje stopy, wysunąwszy je ponad wodę.

— Jak wszedłeś do domu? — zapytała.

— Jestem siostrzeńcem Louisy. Wiem, gdzie chowa klucz.

— Aha.

— Kiedy mnie opada chandra, przyjeżdżam łowić na części rzeki należącej do Louisy. Nazywam się Rory Grant.

— Wiem, było napisane na torbie z kapeluszem.

— Oczywiście, że też nie...

— Dlaczego nigdy nie kończysz zdań?

— Widać nie są warte zakończenia.

— To się może przerodzić w bardzo denerwujący nawyk.

— Nie...

— Nie pomyślałem o tym. Powiedz: „nie pomyślałem o tym”. No, mów.

— Kpisz sobie ze mnie. Nie pomyślałem o tym.

— Dobrze. Mam na imię Hebe.

— Hebe, śliczny krzak, chciałem... — zaplątał się Rory.

— Co?

— Krzew, chciałem powiedzieć krzew.

— Nie to chciałeś powiedzieć — Hebe stanęła w wannie. — Mógłbyś mi podać ręcznik? Owinąłeś się nim — wyciągnęła rękę.

— Och, przepraszam — zdjął ręcznik. — Pójdę się ubrać — ruszył do drzwi.

— Dobra. Zobaczymy się na dole. Zrobię ci śniadanie.

Stojąc w drzwiach, Rory spojrzał na Hebe wycierającą się energicznie. Jakaż była piękna.

— Zabierz ze sobą Rufusa, niech leci lać.

Rory ubrał się, pstryknął na psa i popędził na dół. Kundle w kuchni powitały go całą gamą ziewnięć, pisków, wyciem i machaniem ogonami. Wypuścił je do ogrodu, gdzie zniknęły we mgle, wstającej znad rzeki niczym kłęby waty, przez które przebijały promienie słońca. Stał ożywiony, wpatrując się w przestrzeń niewidzącym spojrzeniem.

W głębi domu Louisa włączyła wiadomości, nadawane o godzinie siódmej.

Wróciły uradowane psy, przepychając się jeden przez drugiego, oczekując kolejnego wesołego dnia. Rory jęknął z niedowierzaniem. Czy to się zdarzyło naprawdę? W kuchni Hebe

włączyła młynek do kawy, co zabrzmiało jak dysonans.

— Okropny hałas.

Miała na sobie różową bawełnianą sukienkę i biały fartuch. Podwinięte do wewnątrz włosy skromnie spływały do ramion. Nie była umalowana.

— Rory, siadaj i nie kręć mi się pod nogami.

— Nie mogę ci pomóc?

— Nie. Czekaj tylko, aż przygotuję dla nas śniadanie.

Poruszała się z przerażającą wprawą — włączając ekspres do kawy, wyjmując rybę do smażenia, rozścielając obrus, układając na stole trzy talerze, widelce, noże, łyżeczki, filiżanki, spodeczki, sól, pieprz, masło, dżem pomarańczowy i wkładając pieczywo do tosterów.

— Kiedy powiedziałaś... — koniec zdania nie mógł mu się przedostać przez ściśnięte gardło.

— Co?

— Że jesteś... że jesteś... ee...

— Dziwką?

— Hmm, tak.

— Robię to za pieniądze. Jasne? Muszę zarobić na życie. Mam pewne zobowiązania, jak choćby płacenie rachunków za gaz. „I za szkołę” — pomyślała. — Tylko dwie rzeczy potrafię robić dobrze: gotować, więc dorywczo pracuję jako kucharka i, jak chyba zauważyłeś, pieprzyć.

— Kochać się — zamruczał Rory, protestując przeciwko jej określeniu.

— Nie, Rory, nie kochać się. To jest... — Hebe urwała, szukając słowa, które by mu bardziej odpowiadało.

— Co to jest, jeśli nie kochanie się? Sprawiałaś, że cię pokochałem.

— Lata trzydzieste już dawno za nami — Hebe nalała mu kawy.

— Mleko, cukier?

— Jedno i drugie, proszę. Co więc zdarzyło się w nocy?

— Darmowa próbka. Jeśli ci się spodobało i chcesz powtórzyć, będziesz musiał zapłacić — Hebe pomyślała, że zawsze lepiej szybko omówić stronę finansową. Wtedy można się odprężyć i skupić na przyjemnościach. — Takie są moje warunki — ciągnęła lekko. — Bez pieniędzy nie ma pieprzenia.

— Nie nazywaj tak tego! — skrzywił się.

— Mój ty nieboraku... — roześmiała się Hebe, ale ta kpina nie raniła. — Jestem milutka — powiedziała, obserwując znad filiżanki szeroką górną wargę i zajęcze oczy Rory'ego.

— Czy są inni... ee... inni mężczyźni?

— Tak.

— Wielu?

— To moja sprawa. Raczej ich nie spotkasz i to, co razem robimy, również ich nie obchodzi, jasne?

— Jasne — stwierdził odważnie. — Więc jak... to się odbywa?

— Umawiam się z tobą, kiedy mogę.

— Jak na wizytę u dentysty.

— Mniej więcej.

Oboje się śmiali, gdy do kuchni weszła Louisa.

— Cześć Rory — pocałowała go, kiedy się podniósł na powitanie.

— Wcześniej wstałeś. Miałeś szczęście? O, widzę, że bardzo udany połów — zerknęła na rybę, która już gotowa czekała na patelni.

— Delicje, pstrąg na śniadanie. Już się poznałeś z Hebe. Popatrz, jak mi się cudownie

trafiło, mam ją na parę tygodni. Wspaniałe jedzenie bez kłopotliwego podróżowania do Francji — obrzuciła spojrzeniem nie ogoloną twarz Rory'ego. — O której przyszedłeś? Psy nie szczekały?

— Nie, wcale — wyglądał na zażenowanego.

— Kawy? — Hebe podniosła dzbanek.

— O, tak, proszę. Chyba ktoś puka do drzwi.

Rufus zawył, a pozostałe psy zaczęły jazgotać. — Cicho! — krzyknęła Louisa. — Cicho, potwory!

Hebe podeszła do drzwi kuchennych. Na zewnątrz stał posterunkowy w mundurze.

— Czy znajduje się tu posiadacz volvo o rejestracji... — spojrzał do notesu.

— Tak, to mój samochód — powiedział Rory wstając.

— Zaparkowany w raczej dziwnym miejscu, pozwolę sobie powiedzieć. Dzień dobry, pani Fox — zsalutował Louisie.

— Dzień dobry, panie posterunkowy. Może filiżankę kawy?

— Nie, bardzo dziękuję.

— Przetawiam go — Rory przepchnął się obok policjanta.

— Na drodze jest duży ruch, ludzie jadą do pracy. Zostawił pan otwarte okno w samochodzie; nocne powietrze dobrze mu nie zrobi.

— Ani nie zaszkodzi — zawołał Rory przez ramię.

— Jak go przestawisz, wracaj na śniadanie — krzyknęła za nim Louisa. — Do widzenia, panie posterunkowy — patrzyła, jak odchodzi, po czym wróciła do kuchni. — No, teraz możemy zjeść w spokoju — uśmiechnęła się do Hebe smażącej pstrąga. Nie spodziewała się od niej wyjaśnień, a Hebe, jakby to wyczuwając, milczała. Dzięki temu urosła w oczach Louisy, bowiem jedna z maksym jej ukochanego męża brzmiała: „Nigdy się nie tłumacz, nigdy nie przepraszaj”.

Rozdział czternasty

— Zastanawiałam się — Louisa odłożyła serwetkę — czy mogłabym cię prosić, Hebe, o zrobienie dla mnie zakupów. Tak bardzo nie lubię Salisbury, kiedy jest w nim pełno turystów. Czy byłby to z mojej strony wielki egoizm?

— Oczywiście, że nie — Hebe, która siedząc w milczeniu podczas śniadania rozmyślała, czy znajomość z siostrzeńcem Louisy grozi utratą tej pracy, spojrzała jej w oczy. — Czy dużo jest do załatwienia?

— Odebrać parę zamówionych rzeczy i wymienić książki w bibliotece.

— Ale czy sobie z tym poradzę? Nie znam twoich upodobań.

— Lubię książki sensacyjne — odparła Louisa. — Kryminały, im bardziej skomplikowane, tym lepiej. Wprawdzie nie nadażam za rozwojem zawikłanej akcji, ale to wspaniałe środki nasenne, lepszy niż mogadon. Świetnie sobie z tym poradzisz. Byle nie amerykańskie.

— I bez jajek na boczku — przemówił Rory, któremu wieloletnie doświadczenie pozwoliło na wysnucie błędnego wniosku, że ciotka uwierzyła w jego pobudkę o świcie. — Louisa w książkach z biblioteki nie toleruje śladów po śniadaniach innych ludzi: resztek jajka, płam po herbacie, okruszków — jego oczy wędrowały od Hebe do Louisy.

— Również nie toleruję świętoszków przekreślających wulgaryzmy, jak „gówno” lub „pieprzyć” — oświadczyła Louisa stanowczo — oraz osób poprawiających błędy i piszących na marginesach.

— Wiesz co! — zawołał Rory — Mógłbym...
— Co byś mógł? — Louisa obserwowała, jak Rory sam dziwi się własnej śmiałości. „Zaraz powie, że ją zawiezie do miasta” — pomyślała.
— Mógłbym zawieźć... ee... Hebe... i... ją podrzucić z powrotem, kiedy przyjadę na ryby.
— Będiesz łowił dziś wieczorem? — Louisa udawała zdumienie.
— Tak. Pogoda jest... sprzyjająca.
— Cudownie. Jakże się cieszę, że mam dużą zamrażarkę. Czy taki układ ci odpowiada, Hebe?

Hebe skinęła głową.

— Może znajdę coś specjalnego na kolację — powiedziała.
— Może — Louisa wstała. — Spędzę cały dzień spokojnie w ogrodzie. Bawcie się dobrze. Nie musicie się śpieszyć.

Wyszła z kuchni, a za nią wybiegły psy.

— Mógłbym cię zaprosić na...
— Na co?
— Lunch — Rory wydusił to słowo z trudem, jakby się go obawiał.
— Po prostu mów „lunch”. Nie zawieszaj głosu. Założę się, że twój ojciec generał zawsze kończył zdania. Gdyby je urywał, wojny byłyby gorsze.

— Albo lepsze — dodał Rory myśląc o ojcu. — On jeszcze żyje. Masz ojca?

— Posprzątam w kuchni i przygotuję się — Hebe zignorowała pytanie. „Mało prawdopodobne, żeby byli w Salisbury. Przyjeżdżają raz w miesiącu, a ja się tak zmieniłam, że mnie nie poznają” — pomyślała. — Kiedy się będę przebierała, czy mógłbyś znaleźć książki pani Fox i zrobić listę zakupów? Wreszcie się do czegoś przydasz — zakończyła ostrym tonem, bo gniewało ją, że ciągle się nie zdecydowała, jak z nim postąpić. Gdyby nie był siostrzeńcem Louisy, świetnie by mógł zastąpić Terry’ego.

Popatrzawszy jak Rory odjeżdża z Hebe, Louisa z przyjemnością zaczęła krążyć po ogrodzie. Psy szły u jej boku, przystając, by się podrapać, kłapać na muchę, zająć niewinną psotą, zadowolone, jak przystało na psy w średnim wieku, które znają swoją wartość, gorąco kochają właściciela i w razie potrzeby są gotowe czekać z całych sił, choć rzadko gryzą. Obcinając przekwitłe róże, Louisa z góry cieszyła się na następną rozmowę z Bernardem, kiedy uraczy go historią poznania potomków jego niegdyśjszych rywali Christophera Ruttera i Algy Granta. Jej spokój zakłóciło szalone ujadanie psów na mężczyznę wychodzącego właśnie zza węgła. Nie zwracał uwagi na kundle, które go obskakiwały i kręciły się wokół niego.

— Spokój! — krzyknęła Louisa i psy się uciszyły.

Mężczyzna podszedł do niej.

— Pani Fox? Przywiozłem pani przesyłkę od starego Bernarda Quigley’a. Nazywam się Jim Huxtable.

Louisa podała mu rękę. — Czy jest tak bardzo stary?

— *Façon de parler*. Ponieważ przejeżdżałem w pobliżu, sądziłem, że tak dojdzie to szybciej niż pocztą — wyjął z kieszeni grubą kopertę i podał Louisie. — Może pani przeliczy?

— Nie widzę potrzeby.

Spodobał się jej posłaniec Bernarda.

— Może pójdziemy do kuchni, poczęstuję pana czymś do picia.

— Dziękuję — stanął obok niej.

— Lub czymś do jedzenia. Możemy coś przekąsić, nim pan wyruszy. Daleko pan jedzie?

— Do Kornwalii.

— Do Bernarda? — twarz jej pojaśniała.

- Tak.
- Musi mi pan powiedzieć, jak on się miewa. Nie widziałam go od wieków.
- Moim zdaniem dobrze — powiedział idąc przy niej. — Długo go pani zna?
- Ponad pięćdziesiąt lat.
- To bardzo długo.
- Zależy, jak na to spojrzeć.

Cofnęła się myślami w przeszłość. Ona i Bernard jako młodzi ludzie, ona dwudziestoletnia, on zdecydowanie starszy.

- Jak się trzyma? Często go pan widuje?
- Zatrzymuję się u niego, gdy przyjeżdżam do Kornwalii. Widziała pani jego dom?
- Nie. Proszę mi o nim opowiedzieć.
- Stoi na uboczu. Bernard mieszka z kotem i psem.
- Feathers.
- Tak, pies się nazywa Feathers — Jim spojrzął z ciekawością na starą przyjaciółkę Bernarda. „Kiedyś była piękna” — pomyślał.
- Ma w domu wspaniałą kolekcję. Czasem coś ode mnie kupuje, rzadko sprzedaje.
- Czyli nadal działa jako pośrednik.
- Można by to tak określić. Bywa, że prosi, bym coś sprzedał w jego imieniu.
- Zatem ufa panu — spojrzała z ciekawością na Jima.
- Mam taką nadzieję — mężnie wytrzymał jej spojrzenie.

Weszli do domu.

— Zobaczmy, co tu znajdziemy. Czy za wcześnie dla pana na lunch? Moja kucharka jest w Salisbury.

Nie czekając na odpowiedź Jima, zaczęła kręcić się po kuchni, wydając ciche okrzyki radości: — O, chleb. Ona go upiekła, delicje. O, pasztet, też go zrobiła. Tu mam butelkę wina i sałatę, przyrządza wręcz boski sos. Oto i on, a jeśli nam zostanie trochę miejsca, możemy zjeść owoce i ciasto. Co pan na to? Głodny?

- Zaczynam nabierać apetytu — odpowiedział Jim doceniając wysiłki Louisy.
- To proszę usiąść.

Wyjęła talerze i kieliszki, nalała mu wina.

- Na koniec filiżanka kawy, choć nie umiem jej robić tak dobrze, jak moja kucharka.
- Może pani pozwoli mi zaparzyć. Nauczyłem się tego w barze we Włoszech — zaofiarował się Jim.

— Och, to będzie wspaniałe zakończenie naszej przekąski. Proszę mi jeszcze opowiedzieć o Bernardzie. Jak się z nim obszedł czas?

- Bernard mu się nie daje. Ma na to swoje sposoby.
- Spaceruje przez pola do telefonu. Dzięki temu utrzymuje dobrą kondycję.
- To bardzo długi spacer, zwłaszcza w złą pogodę. Błagałem go, żeby założył sobie aparat w domu.

— Nie założy — stwierdziła, rozsmarowując pasztet na chrupkim chlebie. — To Bernard wymyślił powiedzenie: „Nie dzwoń, to ja zadzwonię do ciebie”. Dziś, tak jak i kiedyś, zazdrośnie strzeże swej prywatności.

— Bardzo to niewygodne — Jim ze złością pomyślał o tych wszystkich sytuacjach, kiedy nie mogąc w żaden sposób skontaktować się z Bernardem, musiał pokonywać daleką drogę do Penzance. — Nie odpowiada na listy. Czy kiedykolwiek napisał do pani? — zapytał i natychmiast pożałował, wyczuwając jej ból.

- Nie — twarz Louisy była pozbawiona wyrazu. — Może jeszcze pasztetu? Nie? Może

owoce?

— Świetny pasztet. Doskonały. Pani kucharka ma talent.

— Powtórzę jej. Będzie u mnie tylko przez dwa tygodnie. Pozwalam sobie na tę przyjemność raz, dwa razy do roku. W moim wieku podróżowanie łączy się z wysiłkiem i prawdę mówiąc już mnie nie bawi, więc zapraszam tę wspaniałą dziewczynę. Bosko gotuje i zawsze wypełnia po brzegi moją zamrażarkę, więc przez długi czas pozwalam sobie na uczyty. Czy, pana zdaniem, to dobre rozwiązanie?

— Znakomite — próbował sobie wyobrazić tę kobietę i Bernarda za ich najlepszych lat.

— Są jeszcze inne względy — ciągnęła. — Nie muszę zostawiać ogrodu ani psów — spojrzała na zwierzaki leżące przy kuchni.

— I kiedy zadzwoni telefon, jestem na miejscu, by go odebrać.

„Nadal kocha Bernarda” — pomyślał zafascynowany Jim. Jak to możliwe na starość?

— Może zrobię kawę? — spytał. — Oczywiście ani myślę konkurować z pani kucharką, ale spróbuję.

— Dziękuję. Pojechała do Salisbury z moim siostrzeńcem. Był tu na rybach. Mieliliśmy pstrąga na śniadanie — Louisa uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie nie ogoloną twarz Rory'ego. — Musiał bardzo wcześnie stać. Wieczorem znów przyjedzie na ryby — roześmiała się, myśląc o nim. — Szkoda, że się pan z nimi minął — dodała patrząc, jak Jim robi kawę. — Może się pan tu trochę zatrzyma? Czy chciałby pan przenocować? Kiedy mam moją kucharkę, to żaden kłopot. Przywiezie z Salisbury jakieś pyszności na obiad — ciągnęła dalej.

— Niestety, nie mogę. Muszę pędzić.

— Skoro już pan tam jedzie, to czy mógłby pan wziąć coś dla Bernarda?

„Jest godny zaufania — pomyślała — i niezwykle pociągający”.

— Oczywiście.

— Bernard sprzedaje różne rzeczy w moim imieniu. Jak wypijemy kawę, zobaczę, z czym będę mogła się rozstać. Trzeba umieć wybrać: kucharka albo przedmioty.

— Rozumiem — Jimowi zrobiło się przykro.

— Kucharki są drogie — powiedziała Louisa. „Ten mężczyzna byłby dla Hebe lepszy niż Rory. Ciekawe, czy jest żonaty” — pomyślała.

— Tak.

— Ale ona daje mi tyle radości — patrzyła, jak robi kawę. — Nawet lepsza niż mojej kucharki — pochwaliła go. Bawiło ją mówienie o Hebe per „kucharka”. Poprowadziła go przez dom i kiedy z zazdrością podziwiał jej meble, otworzyła jedną z szuflad i zawołała:

— O, to! — i po chwili: — To, i jeszcze to — wyjęła coś z biżuterii, tabakierkę oraz zegarek i wsunęła wszystkie przedmioty w dłoń Jima.

— Niech je pan schowa do kieszeni, żeby ich nie widziała. Dostrzegając zaś jego zdumienie, wyjaśniła: — Jeśli ukryję rzeczy, które zamierzam sprzedać i o nich zapomnę, to rozstając się z nimi, nie czuję się tak okropnie. Sądzę, że na razie to powinno wystarczyć.

— Wypiszę pani pokwitowanie.

— Nie, nie. Bernard panu ufa.

Wypisał jej jednak pokwitowanie, a ona mu się przez ten czas przyglądała.

Stojąc przy jego samochodzie, powiedziała na pożegnanie:

— Cieszę się, że pana poznałam. Proszę mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił.

— Będę pamiętał.

„To ważne, dla niej Bernard nie jest stetryczalym starcem” — pomyślał.

— Szkoda, że nie może pan zostać i zapoznać się z moją kucharką.

— Proszę jej podziękować za lunch. Powiem mu, żeby zadzwonił. „Urocza staruszka” —

pomyślał Jim odjeżdżając. „Po co miałbym

zapoznawać się z jej kucharką?” Włączył radio i rozpoczął długą drogę do Kornwalii. Słuchając popołudniowego koncertu, obliczał w myślach wartość rzeczy Louisy. Bez względu na wysokość pensji kucharki, Louisie wystarczy na opłacenie jej pobytu ładnych parę razy.

Louisa pieliliła grządki kwiatowe, słońce grzało ją w plecy, a pszczoły brzęczały wśród roślin. Uznała przyjaciela Bernarda za przystojnego mężczyznę. Był wysoki — lubiła wysokich — miał ładne włosy, w tym rzadko spotykanym kolorze, który jej się podobał, choć głowę Jima już przyprószyła siwizna; dobre oczy i usta zdradzające poczucie humoru. Był w typie, za którym przepadała. Za takiego właśnie mężczyznę wyszła. Dlaczego więc, kiedy mówił o Bernardzie, poczuła ukłucie w sercu, dlaczego ciągle po blisko pięćdziesięciu latach niski i niezbyt przystojny Bernard był kimś tak ważnym?

— Ach — westchnęła, przysiadając na piętach i odgarniając włosy z czoła — bo potrafił mnie rozśmieszyć. Psy zamerdały ogonami, zadowolone, że jest szczęśliwa. Uśmiechnęła się szeroko na wspomnienie obszernego łóża w „Hotele d’Angleterre” w Paryżu wiele lat temu, promieni słonecznych, przebijających przez fałdy czerwonych aksamitnych zasłon, śniadań, złożonych z croissantów i kawy. — Był łobuzem — powiedziała do swojego ulubieńca, Rufusa. — Łobuz, ale nadal mnie rozśmiesza. — Rufus pochylił się na przednich łapach i zamachał grubym ogonem, zapraszając ją do zabawy. — Ale przecież nie mogłam należeć do jego drużyny, prawda? — mówiła dalej do Rufusa, wyrażając na głos podejrzenie, którego z premedytacją nigdy nie starała się sprawdzić, że bynajmniej nie była pierwszą dziewczyną, którą Bernard zabrał do tego pokoju hotelowego. Te odległe czasy na starość wydawały się znacznie bardziej wyraziste niż dzień wczorajszy, a już zdecydowanie bardziej realne od terażniejszości.

Rozdział piętnasty

Jennifer Reeves uważała, że jej mężczyźni, bo tak myślała o mężu, synu i jego przyjaciółach, powinni zacząć dzień od uczciwego śniadania. Silas zjadł, co mu podano: talerz owsianki, następnie jajka na bekonie i herbatę, słuchając jak Michael spiera się z Julianem, dowodząc wyższości łodzi, którą mieli w ubiegłym roku nad tą, na której mieli dziś popłynąć. Podczas ich rozmowy stopniowo do niego dotarło, że jego gospodarzowi nie sprawiało trudności żeglowanie do Holandii czy Francji oraz że Julian i Jennifer w czasie szkolnego semestru sami przeprowadzili żaglówkę z hrabstwa Sussex na wyspy Scilly. Zabrało im to wiele tygodni, bo w każdy weekend pokonywali drobną część trasy i wracali pociągiem do Londynu. Zrobiło to na nim duże wrażenie. Słuchając zrozumiał, że pani Reeves oddała mu swoje miejsce na żaglówce podczas dzisiejszej wyprawy. Kiedy grzecznie się temu sprzeciwił, Jennifer zawołała:

— Nie, Silas, nie, wcale mi to nie przeszkadza. Mam mnóstwo do zrobienia na miejscu, a ty nigdy nie byłeś na Biskupiej Skale. Musisz tam popłynąć, na pewno ci się spodoba. Przecież byłam tam wiele razy, prawda? — zwróciła się do męża i syna, pokazując w uśmiechu równe zęby i zdrowe dziąsła.

— Mama to świetny żeglarz — potwierdził Michael z pełnymi ustami. — Tato, podaj mi dżem.

Julian posunął słoik w stronę syna. — Bierzemy lunch ze sobą?

— Kobieta zrobiła paszteciki w cieście. Doskonałe na wycieczkę.

Silas się zastanawiał, jak naprawdę może się nazywać Kobieta.

— Pamiętajcie, żeby się ciepło ubrać. Tam może być bardzo zimno. Czy ktoś pożyczył

kalosze Silasowi? — spytała Jennifer.

— Może włożyć moje — odparł Michael. — Mam dwie pary.

— Kiedy odbijamy? — dopytywał się Ian.

— Za pół godziny — powiedział Julian ożywiony perspektywą wycieczki. — Jeśli do tego czasu się nie pozbieracie, jadę bez was.

— Czas opróżnić pęcherze — Alistair, młodszy z braci, wstał od stołu. — Mój kibel na górze.

Nikt się nie odezwał.

Po chwili Silas już czekał na resztę, ubrany w za duże kalosze Michaela, które utrudniały chodzenie, i swój ulubiony sweter. Na wszelki wypadek trzymał pod pachą guernsey Hebe. Zauważył, że przez noc wiatr nie ucichł i morze między Trescoe i St. Mary było wzburzone. Kiedy wszyscy się zebrali, ruszyli w stronę pomostu, dźwigając koszyki z jedzeniem i różne dziwne przedmioty, niezbędne na łodzi. Julian podał mu kamizelkę ratunkową, a Alistair sprawnie pokazał, jak ją włożyć. Z pomostu wsiedli do dmuchanego pontonu i przeprawili się do St. Mary, gdzie była przycumowana łódź Reevesów.

Silas po raz pierwszy płynął pontonem i przeprawa sprawiła mu ogromną przyjemność, choć oczy łzawiły od wiatru. Gdy dotarli do żaglówki, wspiął się na pokład za przyjacielem i usiadł, gdzie mu wskazał Julian, aby nikomu nie przeszkadzać. Michael, Alistair i Ian krzątali się, wykonując polecenia Juliana. Silas ukradkiem włożył sweter Hebe i poruszał palcami w za dużych kaloszach, by nie zmarznąć, równocześnie poprawiając kamizelkę ratunkową.

Julian i chłopcy wymieniali głośne pozdrowienia z ludźmi na brzegu. Silas siedział, mając nadzieję, że jego nieznajomość żeglarstwa nie rzuca się w oczy i myślał o tym, czy kiedykolwiek nauczy się, do czego służy każda z lin. Zastanawiał się poniewczasie, czy miałby dość odwagi, by powiedzieć, że woli zostać na łodzi i obserwować ptaki. Gdy tak rozmyślał, Michael odcumował i ruszyli na otwarte morze.

Od czasu do czasu Julian krzychał coś do Silasa, pokazując mu okolicę.

— To jest St. Agnes, kanał dzieli je na pół — zawołał. — To osada Shag. Wiesz, czym się różni ptak o tej nazwie od kormorana?

— Tak.

— Interesujesz się ornitologią, co?

— Trochę.

— Chciałbyś stanąć za sterem?

— O tak, dziękuję.

Silasa ogarnęła szalona radość. Czy naprawdę teraz od niego zależało życie ich wszystkich?

Wkrótce przyjemność zastąpił niepokój. A jeśli ktoś zawoła: „Ster lewo na burt!” albo „Ster prawo na burt!”. Pamiętał tylko jakieś pojedyncze zwroty i okrzyki żeglarskie. Julian wszedł do kajuty. Silas widział, jak balansując na szeroko rozstawionych nogach, zakłada kolejny sweter. Alistair i Michael stali obok masztu, a Ian blisko dziobu. Łódź płynęła w przechyle, Ian coś krzyknął i wskazał na lewo. Od strony Penzace zbliżał się „Scillonian”, jacht znajomych Reevesów, który zwykle stał zakotwiczony w Penzace, ale teraz mknął po falach, zostawiając za sobą spieniony kilwater. Silas patrzył z ciekawością, jak się do nich zbliża.

— Uwważaj, zasrany głupku! — Julian wyrwał Silasowi rumpel tak gwałtownie, że chłopiec stracił równowagę i upadł jak długi. Julian pobladły z wściekłości błyskawicznie zmienił kurs, nie zwracając uwagi na gniewne okrzyki z pokładu „Scilloniana”.

— Po co mu dawałeś ster? — wrzeszczał Michael. — Nigdy w życiu nie żeglował. Mama dostałaby zawału — pieklił się na ojca.

— Zamknij się! — krzyknął Julian i zamachnął się na syna. Ten odskoczył. Zaczęło padać

— łały się strugi zimnego, siekącego gwałtownie deszczu. Silas już wstał i zastanawiał się, jak zniknąć wszystkim z oczu. Wstydział się, czuł się mały i niepotrzebny.

— Może idź do kajuty? — zaproponował Michael, lecz Silas potrząsnął głową. Myślał, że żeglowność to przyjemność. Nie chciał pytać, jak daleko jest do skał, jak długo potrwa rejs. Patrzył w morze i starał się utrzymać równowagę. Nogi w za dużych kaloszach bardzo mu zmarzły.

Kiedy dotarli na miejsce, Biskupia Skała trwała przerażająca w swej samotności na otwartej przestrzeni oceanu. Julian, który od utarczki z synem nie odezwał się ani słowem, nagle wybuchnął śmiechem. Silas, obserwując Michaela, odgadł, że znaleźli się niebezpiecznie blisko skał i że Julian specjalnie straszył syna, kierując łódź coraz bliżej czarnych urwisk oblewanych i atakowanych przez fale.

Ian przypomniał im o lunchu i przyniósł koszyk z pasztecikami. Zawrócili w stronę domu. Silas wprawdzie wcześniej widział na Mounts Bay zawracające żaglówki, ale nie zdawał sobie sprawy, jakie to ciężkie zadanie. Uznał to za szaleństwo, tym bardziej że Julian i chłopcy robili wszystko, opychając się równocześnie pasztecikami. Wzmagał się wiatr i Julian krzyknął, że muszą zrefować żagle. Do Silasa docierały zaledwie strzępki poleceń w niezrozumiałym żargonie i podziwiał chłopców, którzy szybko i sprawnie je wykonywali. Wszyscy byli bardzo poważni. Silas zauważył, że Julian przypatruje się niebu ze ściągniętymi brwiami.

Z zachodu napływały chmury ciężkie od deszczu. Z czarnych kłębow zaczęły siec bicze wody, jak na obrazie Rembrandta, którego reprodukcję widział w albumie Hebe. Szkwał uderzył w żaglówkę i w ciągu paru chwil byli zmoczeni do nitki. Silas w przerażeniu pochłaniał paszteciki, łykał duże kawałki, a gdzieś kołatała mu myśl, że były zbyt tłuste. W najmniejszym stopniu nie przypominały pasztecików pieczonych przez jego matkę na piknik z Gilesem.

Wtem żołądek zaciążył mu jak kamień, zadrżał z zimna i wydało mu się, że głuchnie. Mdłości ogarnęły go tak niespodziewanie, że z trudem zdążył do burty, nim zwymiotował. Jakby nie dość było nieszczęść, wiatr sprawił, że wymiociny zalały mu pierś, sweter Hebe, a potem spłynęły do wnętrza kaloszy Michaela. Paszteciki, owsianka, jajko na bekonie, herbata — lepka maź, gwałtowne skurcze żołądka. „O, Boże! Chciałbym umrzeć!” — pomyślał.

— On narzygał w moje buty! — wrzasnął Michael, a Ian, z którym Silas i tak nigdy nie zdołałby się zaprzyjaźnić, wybuchnął śmiechem.

Rozdział szesnasty

Podobnie jak wielu innych nieśmiałych mężczyzn, również Rory za kierownicą nabierał odwagi i dlatego potrafił rozmawiać z Hebe, która siedziała obok niego w błękitnej sukience, a jej rozpuszczone włosy rozwiewał wiatr wlatujący przez otwarte okno. Na długie nogi nie włożyła rajstop. Z ulgą dostrzegł, że nie maluje paznokci u nóg, a jej dość duże stopy mają piękny kształt.

— Kiedy wszedłem do twojego pokoju zeszłej nocy... — zaczął.

— Tak? — patrzyła przed siebie, na drogę.

— Kiedy wszedłem do twojego pokoju, byłaś zaskoczona?

— Oczywiście.

— Dziwi mnie, że nie krzyczałaś.

— Co by to dało?

— I nie zakryłaś się.

— Nie miałam nic do ukrycia — Hebe spojrzała na drogę. Wkrótce zobaczą czubek wieży katedry w Salisbury, najwyższej wieży kościelnej w Anglii.

— Te... e... słowa, których użyłaś... Ja...

— Wolałbyś, gdybym powiedziała, że w głębinach twych spodni coś nabrzmiewa? O to idzie?

— Nie, tylko, że...

— Dobrze wychowany, co? A twoja ciotka i książki z biblioteki? Ona się nie boi nazywania wszystkiego po imieniu.

— Tym właśnie szokuje moich rodziców.

— Ale nie ciebie — Hebe odwróciła się, by spojrzeć na niego.

— A jeśli cię zaszokowałam, to przecież nie musisz mieć ze mną nic wspólnego. Mała strata, krótki żal.

— Hebe, wiesz, że ja...

— Co?

— Chcę. Chcę... ee...

— Czy ty kończysz jakieś zdania?

— Tylko bardzo krótkie.

— A więc powiedz mi, czego chcesz.

— Ciebie. Chyba krótkie? — zawołał Rory w przyływie odwagi.

— Chcesz należeć do „syndykatu”?

— Tak to określasz?

— Z braku lepszego słowa.

Rory milczał. Równocześnie był przerażony i podniecony. W końcu powiedział: — To brzmi bardzo oficjalnie.

— Jak to w interesach — odparła, wciągając głośno powietrze.

— Och, jak możesz — zaprotestował zrozpaczony.

— Posłuchaj — zaczynała tracić cierpliwość. — Moje ciało, moja sprawa. Każdy interes polega na sprzedawaniu i kupowaniu — zgoda? Ty sprzedajesz kapelusze.

— Rzadko — westchnął.

— Nie przerywaj. Ja też sprzedaję. Chcesz kupić, to kupuj. Wolna wola.

— Och... ja...

— Moja praca sprawia mi przyjemność. Chyba zauważyłeś w nocy?

— O, tak! — zawołał z rozbijającą szczerością.

— No, więc — uśmiechnęła się.

— Co mam zrobić, żeby należeć? — skapitulował Rory patrząc z boku na Hebe, szukając spojrzenia tych oczu, które dziś rano po przebudzeniu widział tak blisko.

— Mój drogi, patrz na szosę. O mały włos wpadlibyśmy do rowu.

— Och — spojrzał z powrotem na drogę. — Przepraszam.

— To jest tak — mówiła obojętnym tonem. W środku aż się skuliła, nienawidząc tej części rozmowy. — Powiem ci, kiedy jestem wolna. Ustalimy miejsce spotkania i spędzimy tam weekend lub cały tydzień.

— Nie dłużej?

— Nie. Z góry ustalimy, ile mi zapłacisz, dasz mi czek lub gotówkę, jak ci wygodniej. Ja wyznaczam termin.

— Dlaczego to ty decydujesz, a nie ja?

— Chyba oczywiste.

— Wpasowujesz mnie między innych członków „syndykatu” — aż kipiał z zazdrości.

— Tak.

— A może byś ich wyrzuciła na bruk i wyszła za mnie?

— Małżeństwo nie wchodzi w grę. To musisz sobie wbić w głowę od początku.

— Jesteś mężatką? — przeraziła go ta myśl. Hebe poślubiona jakiemuś brutalowi, zmuszana do dorabiania na boku jako kucharka, jako, och, aż zajęczał w duchu, dziwka.

— Nie.

Rory czuł, że ich rozmowa dobiegła końca, a ona siedzi obok niego niczym szczelnie zamknięta ostryga. Myśli kłębiły mu się w głowie.

— Czy mogę wybrać miejsca? — zapytał.

— Tak, tyle ci mogę zostawić — ustąpiła.

Pokonując trzy mile dzielące ich od miasta, zastanawiał się, czy zapraszać Hebe do domu przy sklepie. Lubił go, był przy nim ładny ogródek, do którego nie mogli zajrzeć sąsiedzi. Czy może zbierze się na odwagę i weźmie ją do domku na skraju zagajnika, słynnego z kwitnących drzew owocowych, żonkili i dzwonek, którego mu czasem użyczala cioteczna babka Calypso? Zamyślony prowadził samochód przez labirynt doprowadzających kierowców do szachu jednokierunkowych ulic, aż dotarli do miejsca, gdzie zwykle parkował. Z wściekłością spostrzegł, że siedząca obok Hebe spokojnie przegląda listę sprawunków.

Nigdy wcześniej nie uważał robienia zakupów za przyjemność. Poszli najpierw do sklepu rybnego, gdzie Hebe odkryła pardwy, właśnie przywiezione samolotem ze Szkocji.

— A może by parę kupić? — mrucząc pomacała piersi martwych ptaków. — Tak żałośnie krótko żyją.

Rory zaofiarował się, że zapłaci, chcąc się w ten sposób odwdzińczyć Louisie za gościnność. Stali, zastanawiając się nad zakupem tak długo, że rozzłościli sprzedawcę, a za nimi ustawiała się kolejka. Hebe wyjaśniła mu, że zawsze kupuje więcej, by wypełnić zamrażarkę Louisy pasztetami i przyrządzonym mięsem. Ptaki spoczęły w koszyku. Poszli do delikatesów i długo się spierali, który rodzaj serów wybrać. Hebe kupiła niemiecką musztardę i butelkę greckiej oliwy z oliwek.

Po odniesieniu zakupów do sklepu Rory'ego, wrócili na targ po warzywa i owoce. Patrzył, jak Hebe je wybiera, odkładając na bok niedojrzałe lub nadpsute, nie zważając na wściekłe spojrzenia sprzedawców.

— We Francji lekceważą cię, jeśli bierzesz, co dają. Spójrz na te brzoskwinie, poobijane, leżą tu od soboty, a ten banan jest nadgniły.

— Może zajrzemy do biblioteki przed lunchem? — powiedziała do Rory'ego po zrobieniu zakupów.

Przynieśli z samochodu książki Louisy.

W bibliotece to on przejął inicjatywę. Wybrał z półek stos kryminałów i usiedli na ławce, by je przejrzeć.

— Pomóż mi — zwrócił się do Hebe. — Kiedyś ciotka po powrocie do domu stwierdziła, że wzięła już wcześniej czytana książkę i teraz robi taki znaczek. Patrz, o tu, kropka w kółku. Odlóż ją na bok, wyrzucić też amerykańskie, bo ona nie rozumie ich języka i wreszcie te z cudzym śniadaniem.

— A co z wykreślonymi przekleństwami?

— Też na bok — roześmiał się Rory.

Siedząca za biurkiem bibliotekarka wskazała ręką wywieszkę z napisem „Prosimy o ciszę”.

— Jakiż uroczy dzień — wyszeptła Hebe do Rory'ego, co wypełniło go radością.

Wybrali cztery książki i zanieśli do domu.

— Może byśmy tutaj zjedli lunch? Co masz w lodówce? — Hebe zajrzała do środka.

— Nie chcesz iść do restauracji?
— Nieszczególnie. O, jest dobre wino — wyjęła butelkę muscadet.
— Może byś pobiegł do sklepu rybnego i kupił jakieś krewetki? Mamy ciemny chleb i masło.

Rory wrócił z homarem i sałatą. Patrząc na Hebe kręcącą majonez, pomyślał, że nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy.

Podczas lunchu opowiedział jej o sobie, rodzicach, szkole, o tym jak się postawił, gdy ojciec go wysłał do armii i niespodzianie oświadczył, że zawsze marzył o prowadzeniu sklepu z kapeluszami. Inspiracją stało się jego podobieństwo do Białego Królika z *Alicji w Krainie Czarów*. W rodzinie wciąż go tak przezywano.

— Założę się, że to ich położyło na łopatki.
— Tak. Ale naprawdę musiałem otworzyć sklep. I tak to się zaczęło. Nigdy przedtem naprawdę o tym nie myślałem.

— I ciotka Louisa stanęła po twojej stronie?
— Tak, nie lubi mojego ojca. Cioteczna babka Calypso też mi pomogła.
— To ona dała ci mój kapelusz?
— Tak. Jej mąż posadził zagajnik. Chciałbym cię tam zabrać, kiedy przyjdzie... ee... moja kolej. Mają tam domek.

— Rory, jakie długie zdanie. Dokończyłeś je, tak jak wiele innych wcześniej.
— Kpisz sobie ze mnie.
— Tylko troszkę. Chodźmy do łóżka, opowiesz mi więcej o zagajniku ciotecznej babci.
— Och, chętnie — odparł, wstając od stołu. Kiedy szli na górę, powiedział: — Mam nadzieję, że łóżko okaże się... ee.

— Wygodne?
— Tak i... ee...
— I opowiesz mi o innych dziewczętach.
— Kiepsko mi z nimi idzie. One... ee...
— Nie wiedzą, co tracą — Hebe złapała za kraj sukienki i, jak się Rory'emu zdawało, ściągnęła ją jednym płynnym ruchem. — No, chodź — zachęcała go, wsuwając się do łóżka. — Czas na przyjemności.

Czy może sobie pozwolić na przyjemności? Czy też raczej powinno go ogarnąć purytańskie poczucie winy, które mu zaszczepili rodzice?

— Kolacja będzie nam bardziej smakowała — pogodnie zachęcała Hebe.
— Jesteś taka prozaiczna — zawołał. — Taka...
— Praktyczna.
— Perfekcyjna — dokończył z radością.
— To akurat nie — przytuliła się do niego gwałtownie. Wyczuł, że popchnął ją do tego lęk i bezradność. Kiedy usnęła, patrzył na nią, dopóki się nie obudziła. — Powinniśmy już wracać, jeśli mam dziś ugotować kolację. To była uroczą sješta i uroczy długi dzień, wolny od pracy.

Chciał ją zapytać, dlaczego została dziwką, ale podejrzewał, że mu nie odpowie. Stojąc pod prysznicem i obserwując przez otwarte drzwi łazienki, jak się ubiera, zdał sobie sprawę, że nic o niej nie wie.

— Rory — zawołała Hebe — jesteś nie ogolony. Co sobie pomyśli twoja ciotka?
— Moja ciotka — zaczął w zamyśleniu — może... ee... może... nie...
— Czego może nie zrobić? — Hebe usiadła na brzegu wanny, przyglądając się mu, jak się goli.
— Nie zaprosić mnie na noc.

- Nie możesz u niej nocować.
- Ale zeszłej nocy...
- To było wyjątkowo. Naprawdę, Rory. Nigdy nie łączę gotowania z...
- Nie nazywaj tego...
- Dobrze, ale ja rzeczywiście nigdy tego nie łączę. Dziś mam dzień wolny od pracy.
- To znaczy, że muszę czekać? — z twarzą pokrytą pianą wyglądał na rozzłoszczonego.
- Sprawdzę, kiedy jestem wolna.
- Kiedy wyjeżdżasz od Louisy?
- Dwudziestego pierwszego.
- A więc możemy...

Mam inne obowiązki — Hebe oczami wyobraźni zobaczyła Silasa wysiadającego z pociągu. Tyle że tym razem będzie wysiadał z helikoptera, kiedy skończy się jego cudowna wyprawa. — Przykro mi — powiedziała łagodnie. — Naprawdę mam inne sprawy.

Rozczarowany golił się dalej, niespokojnym spojrzeniem próbując złowić w lustrze choć cień Hebe.

- Mógłbym cię odwiedzić.
- Mam samochód.
- Gdzie mieszkasz?
- Tego nikomu nie mówię.
- Niech to szlag! — wrzasnął Rory. — Niech cię szlag trafi!
- Tak to jest. Tylko w ten sposób daję sobie radę. Musisz się z tym pogodzić.
- Dajesz, a potem zabierasz — narzekał.
- Jeśli cię to pocieszy, to żaden z moich klientów nie zna tego adresu. Twoja ciotka

również.

- Nawet ona?
- Nawet ona. Dzwonię i proponuję termin. Po prostu musisz mi zaufać, a jeśli znajdziesz kogoś lepszego, nie ma sprawy.
- Ale ja chcę do ciebie dzwonić... rozmawiać z tobą, pisać.
- Przykro mi, Rory, to odpada. Mam adres w Londynie, oni mi przesyłają pocztę. Mogę ci go dać. Pisz, jeśli chcesz.
- Nie zniosę tego! — krzyknął przez warstwę piany. — Naprawdę nie... — wytarł twarz niezgrabnym ruchem.
- To już teraz daj spokój. Nie musimy nic robić. Zapomnij o wszystkim.

„Jaka ja jestem głupia — pomyślała Hebe — uznać go za następcę Terry’ego. To powój, nie mężczyzna.”

- Ale ja... ja... chcę — krzyczał niczym rozkapryszone dziecko.
- Tak bardzo chcę.
- Przemyśl to. Nie musisz się śpieszyć. Spokojnie. Nie będę cię winić, jeśli nie zechcesz.

Rozumiem twój punkt widzenia. Tylko że dla mnie ważniejszy jest mój.

W milczeniu pozbierali sprawunki, w milczeniu jechali do domu Louisy. Wyglądał na dotkniętego, nawet obrażonego. Hebe czuła się skrępowana, znikła jej wesołość. Karciała samą siebie za to, że go zachęcała, pozwoliła sobie na chwilę przyjemności, przyjęła kapelusz, zaprosiła go do swego łóżka. Ogarnął ją smutek.

Psy Louisy powitały ich szczekaniem i jazgotem, obskoczyły Hebe stojącą z naręczem pakunków. Rufus dotknął do jej twarzy mokrym nosem.

- Spokój! — krzyknęła Louisa, wychodząc z domu. — Spokój, potwory!
- Wzięła od Hebe jeden z koszyków.

— O, pardwy, jaka mądra dziewczynka. Może zjemy jedną na obiad? Leżeć! — krzyknęła na psy. Poszła do kuchni, gdzie Hebe, układała zakupy na stole.

— Co to za... — Hebe wciągnęła powietrze. — Tu jest...

Louisa spojrzała na dziewczynę, która wyglądała dziwnie. Rory zerknął kątem oka na jej twarz. „Wygląda jak przy naszym pierwszym spotkaniu w sklepie” — pomyślał. — „Ona chyba zemdleje.”

— Tutaj — popchnął ją na krzesło. — Wezmę okulary... włoż głowę między...

— Już dobrze — Hebe chwyciła jego dłoń. — Nie zemdleję, przez chwilę mi się wydawało, że poczułam coś... — ukryła twarz w jego rękawie — co mi przypomina.

— O czym? — wyszeptał.

„O, Boże, zakochał się w niej” — pomyślała Louisa, obserwując ich. Biedny, poczciwy Rory.

— Nie wiem. Nie wiem, co mi przypomina i to właśnie mnie gnębi — próbowała się roześmiać. — Robię z siebie idiotkę. Przypomina zapach kawy albo dymu z palonych kawałków drewna, coś w tym rodzaju — odsunęła się od niego. — Takie głupie uczucie, jak wtedy, kiedy nie można sobie przypomnieć doskonale znanego słowa.

— Często zapominam słów — pocieszał ją.

— Miałam dziś gościa. Zrobił kawę po lunchu, może to stąd ten zapach — przyznała się Louisa. — Przyjaciel mojego znajomego przywiózł mi paczkę, na którą czekałam. Zrobił kawę. Była nawet lepsza od twojej, Hebe.

— Och, na pewno — odetchnęła z ulgą, ale nadal była zamyślona.

— Zapachy łatwo przywołują wspomnienia — Louisa patrzyła na nią z niepokojem. — I to strasznie męczące, kiedy sobie nie można przypomnieć, z czym się kojarzą — trąkotała dalej, podczas gdy Hebe przychodziła do siebie.

Chociaż pardwa była doskonale przyrządzona, rozmowa przy stole się nie kleiła. Louisa bez zdziwienia przyjęła oświadczenie Rory’ego, że jednak wieczór nie nadaje się na wędkowanie; nawet nie starał się ukryć kłamstwa. Obejrzeni w telewizji wiadomości i gdy zapowiadano nadchodzący znad Atlantyku sztorm, pomyślała o Bernardzie w małym, samotnym domu. Nienawidził wędrówek do telefonu, gdy wiał wiatr, a deszcz walił o szyby. Będzie musiała poczekać z pytaniami o Jima Huxtable i opowieścią o spotkaniu Hebe i Rory’ego. Zawsze interesował się wizytami Hebe, niemal przedkładając ten temat nad rozmowę o ogródkach. Jej myśli odbiegły od pary młodych ludzi, którzy właśnie wyszli z psami na spacer. Próbowała sobie wyobrazić Bernarda — starego, kręcącego się po ogrodzie, ale nie potrafiła. Widziała go jako młodego, nie interesującego się innymi kwiatami, niż te, które zamawiał w dużych ilościach w kwiaciarni i wysyłał z kartką: „Louisa, moja miłość, Bernard”.

Młodzi ludzie przespacerowali się nad rzeką i zawrócili w stronę samochodu Rory’ego.

— Do zobaczenia — powiedziała Hebe wyciągając do niego dłoń.

Rory pochylił się, by ją ucałować. — Kiedy cię...?

— Zapisałam ci adres do korespondencji. O, tutaj. Skontaktuję się z tobą, przyrzekam. Na pewno tego chcesz?

— Oczywiście, ja...

— Nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiał.

— Zaryzykuję.

Wsiadł do samochodu i Hebe patrzyła, jak odjeżdża. Spojrzała na groźnie zachmurzone niebo, mając nadzieję, że sztorm nie popsuje Silasowi zabawy, i zapomniała o Rorym, próbując sobie wyobrazić syna w otoczeniu obcych ludzi. Wdychając zapach jaśminu, krzewów tytoniowych, obserwując ćmy krążące wokół kwiatów, pomyślała, że wołałaby trzymać się z daleka od Rory’ego, którego tak samo łatwo było zranić jak ją, skrzywdzoną przez świat, w którym oboje

się urodzili i oboje od niego uciekli. „A mimo to jakaś cząstka mnie chciałaby znaleźć w tym świecie miejsce dla Silasa. Po co innego wysyłałabym go do tej szkoły, zachęcała, by spędzał czas z tymi ludźmi? Czy nadal wierzę, że powinien mieć tę szansę? Czy wierzę w ten model życia, z którym walczyłam i od którego uciekłam? Czy nie jestem taką samą hipokrytką jak oni? Wychowali mnie na swój obraz, żebym, jak moje siostry, poślubiła mężczyznę z pieniędzmi. Czy nie puszczam się z Mungo i Rorym, żeby kupić Silasowi to, co sama odrzuciłam? Czy robię właściwy użytek z pieniędzy «syndykatu?»”

— myślała.

Leżąc w łóżku, czytała wzięty od Rory’ego egzemplarz „New Statesmana” i, żeby się pocieszyć przeglądała rubrykę z serduszkami. „Atrakcyjny intelektualista... Dobrze ubrany... Niekonwencjonalny, kolor skóry bez znaczenia, mężczyznę/kobietę... namiętny... szczupły... szczęśliwy... krótkowidz... Nigeryjczyk... bez przesądów... niewysoki... o pochodzeniu robotniczym... obracający się w kręgu jazz-menów... wykształcony... rozwiedziony... kariera naukowa”. Żadna z tych ofert nie przyniosłaby pieniędzy. Kiedyś odpowiedziała na ogłoszenie: „Samotnik z Hampstead szuka dziewczyny do spacerów w pobliskim parku”. Pomyślała, że musi do niego kiedyś zajrzeć, może wtedy, kiedy będzie z Mungo. Bardzo sympatyczny przerywnik, żadnego seksu. Po spacerze zawsze szli na ekierki i herbatę rumiankową. Przewróciła stronę. O, tu coś jest! Zwróciła uwagę na reklamę. „Bielizna dla kochanków, najlepsze jedwabie, zaskakująco skąpe modele, w stylu istic amerykańskim”. Na zdjęciu widać było damę, przysłoniętą czymś przypominającym strój nazistowskich sportowców, filmowanych przed Olimpiadą. „Muszę zamówić jedną parę dla Terry’ego na pożegnalny prezent. Jego zgrabny przyrządek świetnie będzie wyglądał w tym jedwabnym cacku” — pomyślała.

Zgasiła światło, pocieszona przyjemnymi wspomnieniami, które wywoływała myśl o Terryem.

Rozdział siedemnasty

Sztorm, którego pierwsze poddmuchy wywołały chorobę morską Silasa, w ciągu nocy urósł do potwornych rozmiarów, niezwykłych nawet w południowo-zachodniej Anglii. Porywiste wiatry znad Atlantyku przyniosły deszcz smagający ulice, wartko płynący w dół rynsztoków. Potężny przypływ przelał się ponad falochronem, pokrywając promenadę kamieniami i wodorostami. Statki schroniły się w Mounts Bay. Łodzie ratunkowe z St. Ives i Sennen walczyły, ratując francuski trawler. Gwałtowna fala, nabierając siły z każdą chwilą, niosła niedopałki papierosów, patyczki od lizaków i celofanowe opakowania w stronę kratek ściekowych, które już wcześniej zapchane, nie przyjmowały nic więcej. Wody, kotłując się na ścieżce za domami, znalazły wreszcie słabszy odcinek muru, atakowały go tak długo, aż wypłukawszy szparę, szeroką strugą wtargnęły do ogródka Amy Tremayne, dotarły pod tylne drzwi, rozlały się po domu i przemoczywszy dywany w salonie, uznały, że dzieło skończone, więc zawróciły i wylały na ulicę.

Amy zaniepokojona gwałtownością wiatru wstała, by zamknąć okno. Gdy podniosła rękę, by je zasunąć, jej piersi przeszył ostry ból. Osunęła się na krzesło. Miała zawroty głowy i mdliło ją. Jak na ironię tabletki leżały niedostępne na stoliku przy łóżku. Telefon znajdował się na parterze. Ileż razy Hebe błagała ją, by założyła dodatkowy aparat w sypialni na piętrze. Próbowwała złapać oddech, poganiając ból, by szybciej minął, poganiając czas, bo może ze światłem poranka nadejdzie pomoc. Kolana przemoczył jej deszcz wpadający przez otwarte okno. „Hebe bardzo się przejmie, jeśli mnie znajdzie martwą”

— pomyślała. „Jeszcze nie mogę umrzeć.” Wyteżwała całą swą wolę, by nie ulec śmierci, skulona siedziała na krześle przy oknie. Czas płynął. W końcu przysnęła, całkiem zapominając o wyjeździe Hebe do Louisy Fox.

O świcie Terry gnał ulicą, by nakarmić Trip. Podbródek ukrył w postawionym kołnierzu kurtki i rozglądał się zafascynowany brutalnością sztormu. Na wysokości domu Hebe zauważył błotniste fale po drugiej stronie ulicy. Przyjrzał się im uważnie, spojrział w górę ku otwartemu oknu w domu Amy i zobaczył skuloną postać na krześle. Spróbował otworzyć drzwi frontowe, ale były zamknięte na klucz, a spod nich wypływała woda.

— Hej, panno Tremayne, zalało panią! — zawołał.

Staruszka ocknęła się z jękiem. Na widok jej twarzy zawołał:

— Chryste, ona umiera.

Wskoczył na niski murek, oddzielający grządkę kwiatową od ulicy. Zebrawszy wszystkie siły, podskoczył w górę i chwycił krawędź okna. Podciągnął się na rękach, po czym wpadł głową naprzód do pokoju wprost pod nogi Amy.

— Proszę się nie bać — powiedział podnosząc się z podłogi.

— Najpierw zapakuję panią do łóżka — wziął ją na ręce. — Ależ pani zmarzła.

Położył ją na łóżku, opierając o poduszki i starannie okrywając.

— Ma pani tabletki? To serce?

— Tak — wyszeptała.

— Te?

— Tak.

Wyjął pigułki. — Jedną? Dwie?

— Jedną — szepnęła.

Włożył jej tabletkę do ust i przytrzymał szklanekę, by mogła popić. Schwyciła go kurczowo za rękę.

— Jesteś czarną zemstą Hebe.

Z trudem rozumiał jej słowa. — Co?

— Czarną zemstą...

— Pani trzeba czegoś gorącego. Proszę się nie ruszać. Zobaczę, co się da zrobić. Mogę odejść na chwilę?

Zbiegł na dół i wpadł prosto w wodę.

— Jezu! — pośpieszył do kuchni i postawił czajnik na gaz. Rozejrzał się, czy nie ma gdzieś koniaku. Znalazł pół butelki whisky i zobaczywszy wiszący na drzwiach termofor, napełnił go wodą. Zrobił herbatę i dolawszy do niej miarkę alkoholu, zaniósł wszystko na górę.

— Niech pani nic nie mówi — wsunął jej termofor pod stopy.

— Zaraz się pani rozgrzeje. Proszę to wypić.

Usiadł i po łyżeczce wlewał gorącą herbatę do posłusznie otwartych ust. — Lepiej?

Dzięki jego zabiegom wracała jej chęć do życia.

— Tak.

Po herbacie poczuła się lepiej, termofor rozgrzewał jej stopy. Odstawił pustą filiżankę i zaczął rozcierać jej zgrabiące dłonie.

— Muszę zadzwonić po lekarza.

— Nie.

— Przecież...

— Nie chcę lekarza.

— Dobrze — powiedział dalej rozcierając jej dłonie. Czy powinien jej powiedzieć o zalanym parterze? A może to jej zaszkodzi?

— Widziałeś wodę? — mówiła silniejszym głosem.

— Tak. Idzie od tyłu. Powieniemem...

— Zostań ze mną — przytrzymała jego dłoń. — Czarna zemsta Hebe — patrzyła na jego zaniepokojoną twarz. Spodobał się jej ten szczupły, długi nos, wydatne usta.

— Nie wiem, o co chodzi — powiedział zdziwiony.

— Czarny humor Hebe.

„Jakież to policzek dla Christophera” — pomyślała. Nigdy wcześniej nie widziała Terry’ego z tak bliska. Zwykle był jedynie sylwetką dostrzeganą gdzieś w oddali.

— Hebe nigdy mi nie wspominała, że jesteś taki piękny — powiedziała.

— Jesteśmy przyjaciółmi — Terry wyglądał na skrępowanego.

— Skończyliśmy z całą resztą.

— Wiem.

— Właśnie szedłem nakarmić jej kotkę. Co pani miała na myśli, mówiąc o czarnej zemście? Czarnym humorze?

Amy zaczęła się śmiać.

— Proszę się nie śmiać, trzeba uważać na serce! — zawołał, ale wyglądała teraz lepiej, znacznie lepiej.

Amy uśmiechnęła się szeroko na myśl, jak Christopher Rutter byłby wściekły widząc, że sprawdzają się jego najcięższe oskarżenia. Czemu ona nigdy nie wykazała takiej przedsiębiorczości jak Hebe? I gdzie go Hebe znalazła?

— Skąd się wziąłeś? Gdzie pracujesz?

— Spotkałem Hebe w mieście. Zastawiam pułapki na złodziei. Pracuję na swoim. Zostałem adoptowany przez parę liberalnych białych. Wyleciałem ze szpanerskiej szkoły, do której mnie posłali. Te pułapki to mój wynalazek.

Pomyślał, że może zdoła ją uspić mówieniem i wtedy wymknie się po lekarza.

— Urządzenie przypomina liczydła z marmurowymi kulkami. Umieszczam je pod dywanem, tak że nie rzucają się w oczy. Kiedy złodziej na tym stanie, panikuje i wieje.

— Dużo tego sprzedajesz? — spytała myśląc, że to go zatrzyma przy niej na dłużej.

— Sporo. Znajomy Hebe mnie zaprotegował, dał mi listę nazwisk, stary facet, Quigley.

— Ach, ten.

— Zna go pani? Na tej liście znaleźli się ludzie nawet z dość daleka. Niektórzy zdecydowali się kupić.

— A do kogo cię posłał?

Terry recytował litanie nazwisk. Przyjemnie brzmiący głos ją usypiał, aż nagle nadstawiła ucha. Padły nazwiska Roberta, Deliana i Marcusa. Czy Hebe o tym wiedziała?

— Czy wysłał cię do kogoś o nazwisku Rutter? — spytała ostro.

— Tak, do takiego, który się nazywa Christopher Rutter, jak Hebe. Pan Quigley mówi, że wszyscy ludzie są jakoś spokrewnieni i że to bardzo pospolite nazwisko.

— Wspominałeś o tym Hebe?

— Chyba nie.

— Dogadałeś się ze starym Christopherem? Kupił?

— Tak, mówił, że jestem tańszy od innych.

Amy wybuchnęła śmiechem.

— Hej, uważaj, to nie czas na śmiech.

— *Ce n'est pas le moment* * — powiedziała, a jej myśli odbiegły daleko.

— Co?

— W „Hotelu d'Angleterre” powiedział — Amy pamiętała ton jego głosu — że nie chce o niczym wiedzieć i uznał, że łatwiej to powiedzieć po francusku. Wyjechał, a ja zaraz po nim. Przeklęty Bernard.

Terry zmarszczył brwi. O co jej chodzi? Czuł się jak schwyty w pułapkę. Trzymała go mocno za rękę. Powinien jak najszybciej sprowadzić lekarza albo siostrzenicę, tę blondynkę z przeciwka. Hebe nie wspominała, że Amy ma pomieszane w głowie. Jego wzrok, który błądził po pokoju w poszukiwaniu drogi ucieczki, zatrzymał się na ubraniu Amy.

— Hej! Pani to nosi? — Amy spojrzała w tym samym kierunku.

— Chronią przed przeciągiem — popatrzyła na swoje pantalony.

— Lubię takie. — Spojrzała na niego. — Ty wolisz inne. „A więc Hebe jej powiedziała” — pomyślał.

— Tak — popatrzył jej prosto w oczy. — Tak — powtórzył.

— Majteczki dla wygody, spódnica z pustoty.

— Dobre dziecko — powiedziała nieoczekiwanie. — I razem czytacie poezję.

— Dużo pani opowiada? — spytał podejrzliwie.

— Z kimś musi rozmawiać. Powiedz mi coś z pamięci, zanim pójdziesz.

— Spróbuję. Co by pani chciała?

— Ten o kasztanie, znasz to? Wielki, mocno zakorzeniony...?

— ...Kwieciem pokryty. Kasztan. Yeats?

— Tak, to ten. A potem przyprowadź Hannah. Znasz ją?

— Chciałbym ją poznać.

— Ale przedtem wiersz o kasztanie — nalegała Amy.

Terry przełknął ślinę i zaczął mówić. Gdy recytował, zauważył, że deszcz ustał i świeci słońce.

— „O, wielki kasztanie, mocno zakorzeniony, kwieciem pokryty...” — Amy trzymając go za rękę przymknęła oczy. Kiedy dotarł do wersu — „Jak rozdzielić taniec od tancerza...” — leżała cicho z dłonią w jego dłoni. Patrząc na jej rysy, których już nie wykrzywił ból. Siedząc przy niej i przyglądając się uważnie jej twarzy, zrozumiał, dlaczego Hebe kochała tę kobietę. Otaczał ich spokój. Wkrótce będzie musiał sprowadzić pomoc, ale z niechęcią myślał o zburzeniu tego spokoju. Amy otworzyła oczy.

— Już lepiej.

Terry wstał.

— Mogę już panią zostawić i obudzić pani siostrzenicę?

— Tak.

— Powinienem też wezwać lekarza.

— Nie. Nienawidzę zamieszania — w jej głosie nagle zabrzmiała złość. — Chcesz się wyrwać. Dziękuję, że przyszedłeś. Sprowadź Hannah.

Była zła na siebie. Zdradziła Hebe.

— Bardzo dziękuję — dodała sztywno.

Zdumiony i urażony puścił jej dłoń i stał, czując się nieswojo.

— Pójdę już.

Wyszedł z pokoju i zbiegł po schodach, wpadając prosto w wodę. Kiedy zajął się Amy, nie myślał o niczym innym. A teraz, brodząc po kostki w wodzie, zapomniał o niej. Z trudem

* franc.: To nie jest właściwy moment (przyp. tłum.).

otworzył drzwi i woda wylała się na ulicę. Pognał do domu Hannah i zaczął walić do drzwi.

Otworzyła je zaspana Hannah ubrana tylko w szlafrok i wpatrywała się w Terry'ego, czując dziwne, nieoczekiwane ożywienie. Mówił coś podekscytowany. Usłyszała słowa: — Twoją ciotkę zalało. Woda z błotem wtargnęła od tyłu.

Ale jego oczy mówiły co innego. Przecisnął się obok niej, wchodząc do środka. Tak bardzo górował nad nią wzrostem, że zanim podniosła oczy, przez chwilę widziała tylko jego szyję.

Krzyknęła cofając się.

— Kim jesteś? Czego chcesz? — spytała wpatrując się w młodzieńca o hebanowej skórze.

— Terry, znajomy Hebe. Jak rany, załóż coś na siebie, niemądra kobieto. Staruszkę zalało.

Jego podniecenie było zaraźliwe.

— Mamo, o co chodzi? — zawołał z góry Giles w piżamie.

Terry odrzyknął mu, co się stało. W parę chwil byli w domu Amy. Giles wykręcił 999, Terry poszedł za dom szukać źródła powodzi. Zjawiła się Hannah ubrana w żółte kalosze, dzinsy i zielony sweter.

— I co tam się dzieje? — spytała.

— Robota dla wodociągów. Już dzwoniliśmy. Macie łopatę? Moglibyśmy skierować wodę na ulicę.

— Nie, nie mamy.

— Przyniosę od Hebe. I tak muszę nakarmić kota — powiedział i wyskoczył na deszcz.

— Kto to? Strasznie się rządzi — zwróciła się Hannah do syna.

— Znajomy Hebe. Dobrze, że odkrył tę wodę. No, mamo, rusz się. Tylko stoisz i patrzysz.

— To ty, Hannah? — z góry dobiegł głos Amy.

— Już idę.

Hannah weszła po schodach, spodziewając się narzekań Amy.

— Ciociu, dobrze się czujesz? — stanęła przy łóżku.

Amy czuła się fatalnie, ale nie chciała tego okazać, więc odpowiedziała bez przekonania:

— Jestem tylko trochę zmęczona.

— Źle wyglądasz — Hannah była zaniepokojona.

— Zostanę na górze, aż się uporacie z bałaganem. Ten chłopiec ci pomoże. Recytował mi wiersz.

Hannah spojrzała przez okno na Terry'ego, który rozebrany do pasa kopał rów, by skierować wodę za ogródek.

— Znajomy Hebe, prawda?

— Śliczny, co?

— Śliczny? — Hannah wytrzeszczyła oczy. — Jak on tu wszedł? — zapytała podejrzliwie.

— Wskoczył. Dobrze skacze.

— Chyba żartujesz...

Amy przymknęła powieki. Hannah przyjrzała się Terry'emu uważniej. Rzeczywiście był śliczny. Zdołał też rozśmieszyć Gilesa. Jej nastrój poprawił się. „Hmm, dlaczego nie?” — pomyślała.

— Jeśli ci niczego nie trzeba, to może lepiej pójde pokierować akcją — powiedziała.

— Niczego mi nie trzeba.

Gdy wyszła, Amy zachichotała, zadowolona, że szykuje się zabawa, jaką jest obserwowanie perypetii innych. „Najwyższy czas, żeby Hannah sobie pofolgowała, a najlepiej się do tego nadaje żartowniś Hebe” — pomyślała. Wiedziała, że Hebe miała wysokie wymagania, ten zaś bezsprzecznie należał do czołówki. Rozumiała, czemu Hebe złamała własne niepisane prawo, żeby nigdy się nie angażować w miejscu zamieszkania.

Nim ranek się skończył, Terry i Giles odprowadzili wodę i na dole można było zacząć sprzątanie, a hydraulicy odblokowali kratkę ściekową. Hannah napełniając czajnik, by zrobić herbatę, niemal żalowała, że najgorsze mają już za sobą. Podając Terry'emu kubek, spojrzała na niego z zachwytem. Kiedy obudził ją rano i z Gilesem uwijał się za domem ciotki, wzięła go za niewiele starszego od syna. Spojrzenie, którym ją teraz obdarzył, świadczyło o tym, że się myliła. Otworzyła szeroko oczy, gdy podszedł do niej i objął ją w pasie tak raptownie, że kubki w jej dłoniach zadźwięczały.

— Uważaj, rozlejesz herbatę — pokazała w uśmiechu równe rzędy zębów, a on przysunął twarz do jej twarzy.

— Co powiesz na szybkie małe pieprzenie przed obiadem? — rzucił.

Odsunęła się od niego, zaśmiewając się w głos.

— Muszę się zająć ciotką — próbowała spojrzeć na niego karcąco.

— No, to potem — nalegał.

— I Gilesem. Puść mnie, Terry.

— Zaczekam — puścił ją. — Pokażę ci coś, co ci się spodoba.

— Bezczelny — nie mogła powstrzymać rozbawienia. — No, wystarczy — dodała trochę nerwowo, próbując potraktować go wyniośle.

— Zobaczysz — spojrzał na nią przeciągle, pożądliwie.

— Czy ktoś mógłby mi przynieść moje skarby? — z góry dobiegł drżący głos Amy.

— Zupełnie o niej zapomniałem. Jakie skarby? Założę się, że nie umywają się do twoich — położył dłonie na jej piersiach.

— Ręce przy sobie!

— Skarby — rozległ się głos Amy. — Moje skarby — zawołała jeszcze bardziej przenikliwie.

— Już idę! — krzyknęła Hannah, odsuwając się od niego. — Terry ci je przyniesie.

Dała mu tacę do ręki.

— Stój tu — powiedziała.

Otworzyła kredens i zaczęła ustawiać jego zawartość na tacy.

— Prawdziwe? — patrzył zachwycony.

— Ona tak uważa.

— Baccarat, Clichy, St. Louis, ho, ho — wytrzeszczył zdumione oczy.

— Tylko nie upuść. Zabierz do niej na górę. Przynajmniej będziesz miał zajęte ręce.

— Warte fortunę, robota McCoy'a.

— Co?

— Twoje cycki, skarbuś — Terry był niepoprawny.

— Zadzwoń do George'a i powiem mu, co się stało.

— Kto to? — w oczach Terry'ego, odbijających tęcze blaski przycisków do papieru, pojawiła się zazdrość.

— George Scoop jest dentystą. Stomatologiem — poprawiła się.

— Skub, skub, skrobie kamień nazębny. Skub, skub ciebie w łóżku — kpił z niej, przysunawszy się bardzo blisko. — Co za nazwisko dla dentysty! — przechylił się nad tacą i pocałował Hannah, wsuwając język między jej zęby.

— Trzymaj się z daleka — odepchnęła go. Taca się przechyliła i przyciski do papieru zaczęły się zsuwać. — Uważaj! Bo się potłuką! — krzyknęła.

Terry ustawił tacę poziomo. — Zaniosę je staruszce, a ty dzwoń do swojego facia.

Przyglądała się mu, gdy wchodził po schodach. Miał piękne plecy.

Wykręcając numer George'a, porównywała je z białymi, tłustymi plecami dentysty.

- Czy mogę rozmawiać z panem Scoopem? — spytała recepcjonistkę o imieniu Jean.
- Czy mam panią zapisać? — Jean poznała głos Hannah.
- Tu pani Somerton.
- Jest zajęty, może przekazać wiadomość? — zachichotała Jean.
- Proszę tylko sprawdzić, czy może podejść.
- No cóż, pani Somerton...

Hannah aż zazgrzytała zębami na ten impertynencki ton.

- No, spróbuj, dziewczyno — rzuciła ostro. — To ważne.
- Chwileczkę, pani Somerton.

Hannah słyszała głos recepcjonistki.

— Evie, powiedz panu Scoopowi, że chce z nim rozmawiać Hannah Somerton, mówi, że to ważne. Dla niej — dodała.

- Halo? — dobiegł ją podejrzliwy ton George'a. — Kto mówi?
- George, moją ciotkę zalało. Och, George, woda jest na całym parterze.
- Zadzwońska do wodociągów?
- Tak, ale...
- Przyjechali?
- Tak, ale...
- Oni wszystko zrobią. Jestem zajęty.
- Myślałam, że mógłbyś pomóc i że chciałbyś o tym wiedzieć.
- Ależ, moja droga, masz już pomoc, a do czego ja bym się tam przydał?
- Myślałam — zawołała — że ty...
- Jestem dentystą, nie hydraulikiem. Sąsiedzi się nie ruszą? Na twojej ulicy

pełno nierobów.

- Tylko dlatego, że nie mogą znaleźć pracy.

— A ja mogę. Mam przed sobą skomplikowaną ekstrakcję. Nie mogę tracić czasu na słuchanie twojego trajkotu.

- Ja nie trajkoczę! — krzyknęła Hannah.

— Właśnie, że tak. Jestem zajęty. Nie lubię, jak mi się przeszkadza w pracy. Zadzwoń później.

- Później! — wrzasnęła Hannah.

- Moja droga to zrosłak i... — ale Hannah już odłożyła słuchawkę.

- I co, Scoop nie pędzi na pomoc? — Terry wrócił do pokoju.

— Ciocia powiedziała, że ma ochotę na kanapkę. Co to, płaczesz? — objął ją. Oparła mu głowę na ramieniu. Poczowała zapach jego lekko spoconej skóry. Nagle znienawidziła dezodoranty George'a i jego sterylnie czyste ciało. Terry odchylił jej głowę i zaczął zlizywać łzy.

Rozdział osiemnasty

Jim Huxtable, zostawiwszy samochód na parkingu przy pubie, wszedł do środka, zamówił duży kufel piwa i stał popijając, zadowolony, że rozprostował nogi po długiej jeździe.

- Macie kanapki? — spytał właściciela.

- Z pastą z krabów, wołowiną albo indykiem, wszystkie na ciemnym chlebie.

Jedząc słuchał rozmów o sztormie. Ktoś wspomniał, że zalało ulicę na wzgórzu. Nadstawił uszu. A więc znajoma Bernarda, posiadaczka kolekcji przycisków ma kłopoty. Kiedy kończył

kanapkę, zwrócił uwagę na utarczkę czarnego młodzieńca i białego chłopca z barmanem.

— Ta, jest niepełnoletni. Piwo ma być nie dla niego, ale dla pomocników — przekonywał barmana młodzieniec. — Facetów z wodociągów, którzy pomogli panie Tremayne. Jego mama chce im postawić piwo.

— Ale, jak wiesz, nie wolno podawać alkoholu osobom poniżej osiemnastego roku życia.

Chłopak wybuchnął śmiechem, skinąwszy głową w stronę Jima.

— On jest pośrednikiem, nie gliniarzem. Idziemy, Giles — powiedział wręczając chłopcu puszkę piwa. — To na razie.

— Ostrożność nie zawadzi — rzucił za nim barman.

Jim ruszył w górę ulicy. Wiatr osuszał powierzchnię drogi. Sroka z pobliskiego parku, która podskakiwała przy rynsztoku, szukając okruszyn, odfrunęła na bok. Jim zatrzymał się przed domem Hebe i po chwili wahania zadzwonił. Jeśli podejście do drzwi, zapewne znów wywoła ból rozczarowania, do którego już się przyzwyczył. Naciskał dzwonek kciukiem i zobaczył, że zasłona się poruszyła. Jest zaniepokojona? Boi się? Spojrzał na okno. Zasłona znów drgnęła. Wyjrzał kot o szylkretowym futrze, wpatrując się w niego uważnym spojrzeniem zielonych oczu. Jim dał za wygraną.

Po drugiej stronie ulicy, drzwi do domu właścicielki kolekcji przycisków były uchylone. Zapukał.

— Kto tam? — usłyszał słaby głos, dobiegający gdzieś z góry.

— Jim Huxtable. Odwiedziłem panią jakiś czas temu. Znajomy Bernarda.

— Proszę wejść.

Leżała w łóżku, a obok niej na stoliku stały przyciski. Wyglądała na osłabioną.

— Widzę, że panią załota.

— Chłopcy i Hannah już powycierali. Czekam na coś do zjedzenia. Proszę usiąść.

Jim zajął miejsce przy łóżku.

— Ciągle nie na sprzedaż? — spojrzał na kolekcję.

— Nie — obserwowała go z uśmiechem.

— W razie zmiany decyzji, proszę mi dać znać — powiedział.

— Choruje pani?

Wydawało mu się dziwne, że pomimo bałaganu panującego na parterze, spokojnie leżała w łóżku.

— Trochę. Teraz czuję się już lepiej. Ten czekoladowy chłopiec tu się wspiał i mnie uratował. Mam trochę kłopotów z sercem.

— Przyjdzie lekarz?

— Nie potrzebuję, moja siostrzenica...

— Ta ciemna?

— Nie, Hannah, jasnowłosa. Więc poznałeś Hebe? — nieoczekiwanie głos Amy zabrzmiał ostro.

— Nie. Tylko się zastanawiałem, czy ma jakieś antyki do sprzedania. Pytałem we wszystkich okolicznych domach. Sądziłem, że...

— Hebe nie ma antyków. Nie sprzedaby ich, przynajmniej nie teraz — powiedziała Amy nieco napastliwym tonem.

— A kiedyś to zrobiła?

— Ciociu, już niosę kanapki — Giles wbiegł po schodach. — Mama pyta, czy nie chcesz czegoś jeszcze — powiedział. Zauważył Jima.

— Cześć, widziałem cię w pubie — postawił talerz z jedzeniem obok chorej. — Niedługo skończymy. Wystarczy?

- A więc ma na imię Hebe — Jim zwrócił się do Amy, ignorując Gilesa.
 - Tak, skarbie, powiedz mamie, że aż za dużo i podziękuj — odparła chłopcu.
- Giles stał gotów do wyjścia.
- Wszystko w porządku? — podejrzliwie przyglądał się Jimowi.
 - Tak, skarbie — zapewniła.
 - Idziemy nad morze zbierać drewno wyrzucone przez fale. Jest odpływ.
 - Baw się dobrze.
 - To cześć.

Giles wyskoczył z pokoju, a jego adidasy zadudniły po schodach.

- A więc Hebe coś kiedyś sprzedawała?

Jim próbował ją sobie wyobrazić przy tej czynności: Camden Passage, Portobello Road w Londynie? Prowincjonalny sklep ze starociami?

Amy nadgryzła kanapkę.

- Sprzedała parę rzeczy pewnemu starymu cwaniakowi.

„Dlaczego mu to opowiadam” — zastanawiała się, gryząc swoją kanapkę. „Chyba dlatego, że mnie ujął swoim wyglądem”. — Choć muszę mu przyznać, że jej dobrze zapłacił.

- Bernard? — zaryzykował Jim. — Znała go pani?

— Hebe jest kucharką — zignorowała jego pytanie. — Cordon Bleu. Hannah, która zrobiła tę kanapkę, nie kończyła kursów, ale też dobrze gotuje. Widziałam, jak z nią rozmawiałeś.

- Tak, bardzo ładna. Zielone oczy.

— Zgadza się. Hannah Somerton. Nazywała się Krull, ale zmieniła nazwisko. Wymieniła też swoje zęby — parsknęła pogardliwie.

— Śliczne zęby. Pamiętam — powiedział uprzejmie. „Jak tu wrócić do tematu ciemnowłosej?” — zastanawiał się.

- Były powykrzywiane na wszystkie strony — pochyliła się, wpatrując się w Jima.

- Aha.

- Ale i tak złapała Krulla. Jest bogaty. Teraz chce kogoś innego.

— Ja nie jestem bogaty — odsunął się od staruszki, której przy mówieniu leciały okruchy z ust.

— A więc jesteś bezpieczny. Bądź tak dobry i schodząc zabierz tacę na dół. Utnę sobie teraz drzemkę.

Wyglądała na chorą i słabą, chciała, żeby już poszedł. Wziął tacę.

- Zostaw ją w kuchni. Miło, że mnie odwiedziłeś. Do widzenia.

Podciągnęła wyżej prześcieradło. Ściągnęła usta, tak że stały się podobne do fałd na pościeli. Pozbyła się gościa, korzystając z przywileju starości.

Jim zniósł kolekcję na dół. Teraz mógł uspokoić Bernarda, że przyciski są bezpieczne i że można tu przyjechać jeszcze raz. Na ulicy zastanowił się, czyby nie odnowić znajomości z Hannah. Zerknął na jej drzwi, ale zmienił zdanie i wrócił do samochodu. Dlaczego staruszka tak szybko się go pozbyła?

— A teraz — Terry zasłonił okna w sypialni Hannah. — Bierzymy się do roboty — przełknął ślinę i delikatnie popchnął Hannah na łóżko. — Wolisz na kółkach czy pod kółką? — mówił chrapliwie. Znow przełknął ślinę. — Może ja zdejmę swoje majtki, a ty swoje.

- Majtki! — zawołała zdumiona. — Nosisz...

- Przyjemne, prawda — wszedł na nią. — I to równie miłe.

- Nie wiedziałam, że mężczyźni je noszą — powiedziała z zaciekawioną.

- Z jedwabiu. Kupię ci parę. A teraz uważaj.

Rozbawiona dotykała jedwabiu. — Satynowe?

To było niezwykle, podniecające.

— Ja też jestem satynowy.

— Jesteś — dotknęła go. Młodzi mężczyźni zdecydowanie mieli w sobie coś szczególnego.

A George? Zapomniała teraz o nim. — Ja zwykle nie... — zaczęła.

— Cii. No już, bierzmy się do dzieła, do tego potrzeba dwojga.

Wkrótce Hannah, obserwując śpiącego Terry'ego, który delikatnie sapał przez nos, przypomniała sobie George'a i jego głośne chrapanie. George miał pieniądze. Lekko szarpnęła ramię Terry'ego.

— Gdzie pracujesz? — spytała.

— Na swoim.

— Co robisz?

Ale Terry chciał spać. Przypomniała sobie, że musi wyszorować brudną podłogę u Amy. Leżała kilka minut, zastanawiając się nad Georgem. Przyjdzie jej pomóc, czy też nie? Tak, pędzi jak szalony.

Powiedziałby, że jego dłonie są zbyt cenne. „Bzdury” — pomyślała z niechęcią. „Przecież mógłby włożyć rękawiczki.” Zabolalo wspomnienie wyrażenia „trajkoczesz”. Sięgnęła po dłoń Terry'ego, gładką, twardą, o ładnych paznokciach. George w zdenerwowaniu obgryzał paznokcie.

— Terry?

— Tak? — obudził się, zerkając na nią ciemnym okiem. — Cześć, mój agreściku.

— Powiedz „regaty”.

— Rhegaty — uśmiechał się. — Podoba ci się staranna wymowa? Ja rhegacę, ty rhegacisz, ona się zrhegała. Bierzesz pigułkę? — w jego głosie zabrzmiała nutka niepokoju.

— Tak — oblała się rumieńcem. George tego od niej zażądał.

— Aha — delikatnie pogładził ją po twarzy.

— Muszę wyszorować podłogę u cioci.

— Pomogę ci — wyskoczył z łóżka. — A gdzie są moje majtki?

— Na podłodze.

Patrzyła, jak je wkładał. Rzeczywiście, ślicznie w nich wygląda. Znacznie lepiej niż George w swoich luźnych spodenkach.

Rozdział dziewiętnasty

Hebe spacerując po kolacji z psami Louisy nad rzeką, czuła się zadowolona z życia. Z przyjemnością u niej pracowała, odpoczywała wśród krajobrazu tak innego od ponurej ulicy, na której mieszka. Pomyślała, że do pełni szczęścia brakuje jej Silasa, choć w jego obecności Rory nie mógłby dołączyć do jej kolekcji. Zastanawiała się nad Rorym. Ujmujący, ale jako siostrzeniec Louisy stanowił potencjalne zagrożenie. Wołała nie łączyć gotowania z puszczaniem się. Może się to okazać tym bardziej skomplikowane, że Rory mieszka tak blisko ciotki. „Ale czemu nie” — zachęcała samą siebie. „Mój stary dom rodzinny też znajduje się w pobliżu, a oni, moi dziadkowie i ich nowy pies, nie wiedzą, że tu jestem.” Rory spodobałby się Amy. Uśmiechnęła się do siebie. „Niepoprawna romantyczka, uznałaby go za właściwego kandydata na męża, o którym sekretnie dla mnie marzy.” Pomyślała o Amy z miłością i wdzięcznością. Jakaż z niej niewdzięcznica, tak nienawidzić tej obrzydliwej ulicy. Przecież tam właśnie Amy stworzyła

jej kochający dom. To na tej ulicy znalazła schronienie, gdy pełna obaw oczekiwała Silasa i przeżyła ekstatyczną radość, kiedy się urodził; zmieniła swoje życie, niszcząc osobę, na którą ją wychowano, snując plan przetrwania, zaczynając karierę kucharki. Tu zdobyła przyjaźń Bernarda i dzięki niemu odkryła Hippolyte oraz sposób na przeżycie, który tak ostrożnie obmyślała. Spacerując nad rzeką i rzucając patyki psom, słyszała plusk nurkującego szczura wodnego i obserwowała, jak płynąc blisko brzegu, znikł jej z oczu. Widziała skoki tajemniczych pstrągów w ciemnozielonej wodzie. Uznała, że szczęście jej sprzyja, pogratulowała sobie lukratywnego zawodu, dzięki któremu ostrożnie planując wydatki, prowadziła przyjemne życie, równocześnie kształcąc Silasa. Zlekceważyła wątpliwości, które ją od czasu do czasu nachodziły, kiedy się zastanawiała, czy wybrała dla syna właściwy rodzaj szkoły.

Hebe wpatrywała się w odbicie swoje i Rufusa w ciemnej, falującej wodzie. Hippolyte, założyciel i pierwszy członek „syndykatu”, nalegał, by się wysoko ceniła i wiele ją nauczył o seksie. Po poznaniu „zasad robienia sufletu”, kiedy nadarzyła się okazja, poszerzyła swoje możliwości i stała się równie dobrą dziwką jak kucharką. Mungo był najbardziej dochodowym z jej kochanków, Hippolyte nieodmiennie kochankiem i przyjacielem. Ostatnio Terry okazał się uroczą odmianą, a teraz Rory. Pogłaskała mokry łeb Rufusa.

— Wszystko się świetnie układa — powiedziała do psa, którego odbicie w wodzie zamachało ogonem. — Lubię moją pracę. Daję Silasowi szansę zostania, kim zechce. Jeszcze parę lat przyjemnej pracy i będę mogła iść na emeryturę, staruszku.

Pochyliła się do przodu, by spojrzeć na pstrąga, wsuwającego się między wodorosty tak zręcznym ruchem, że aż wstrzymała oddech.

— Cudowny wieczór — powiedziała do psa. — Ruszaj się. No, szybko, musisz się wysuszyć.

Biegła z psami wzdłuż rzeki długimi susami, szczęśliwa, bo niedługo będzie z Silasem w domu i spędzą razem resztę wakacji.

Słońce już zaszło. Żółte światło spływające z balkonowych okien salonu Louisy zalewało ogród, wśród kwiatów uwijały się ćmy, dobiegał głos spikera z wiadomości telewizyjnych, a powietrze wypełniał zapach jaśminu i krzewu tytoniowego.

— Wieczór marzenie — powiedziała Hebe, wchodząc z ogrodu do salonu. Niosła naręczę kwiatów, a za nią wbiegły psy.

Louisa, siedząca na sofie przed kominkiem, na którym nawet w sierpniu płonęło polano, spojrzała na nią z uśmiechem.

— Właśnie oglądaliśmy wiadomości — wyjaśniła.

Na fotelach po obu stronach kominka zajmowali miejsca Mungo, po lewej stronie Louisy, i Rory po prawej. Obaj patrzyli na Hebe wyczekująco.

Dochodziły do niej słowa spikera: „...ma być odsłonięty przez Jej Wysokość... na szczęście deszcz... pompa mieszała się ze swobodą... pozamykano parasolki... pokolenia reprezentowane tu i teraz... właśnie królowa... ciśnie się na usta... bicie pulsu historii... inskrypcja gotykiem... inspiracja... duma... plany królowej... nieszczęście... nadzieja... uczucie... księżę i księżna Walii, wielki...”

— Wielki flirciarz, podobno miał tysiące romansów. Moim zdaniem niezbyt podobny.

Na ekranie Jej Wysokość właśnie pociągnęła za wstęgę i ukazała się podobizna męża stanu odlana w brązie.

— Oczywiście, znasz już Rory’ego i chyba spotkałaś kiedyś Mungo — mówiła dalej Louisa, która wspaniale bawiła się tą sytuacją.

— Oczywiście. Jak się pan miewa. Hej! — powiedziała Hebe, która nigdy przedtem nie mówiła „Hej!”. — Czy coś jeszcze ci podać? — zapytała Louise. — Idę spać.

— Nie, dziękuję, moja droga.

Mungo i Rory wstali.

— Pomyślałam, że wezmę Rufusa na noc do swojego pokoju

— Hebe patrzyła pracodawczyni prosto w oczy. — Zeszłej nocy bardzo hałasował.

Rory głośno wciągnął powietrze.

— Och, rzeczywiście. Dobry pomysł. Dobranoc, moja droga — odparła z przesadnym entuzjazmem.

— Dobranoc. Psy, idziemy.

Hebe wyszła, a za nią ruszyły psy.

— Mungo, wyłącz telewizor. Rory, skoro już stoisz, czy mógłbyś zasłonić okno? — powiedziała Louisa. — A teraz opowiadaj, co słyhać u Lucy — zwróciła się do Munga. — U twojej matki. Skup się wreszcie!

Przestał się wpatrywać w drzwi, za którymi zniknęła Hebe.

— Mama dobrze się miewa — mruknął.

— A Alison? Jak się czuje droga Alison? Zdaje się, że pojechała do Ameryki?

— Zdaje się — z ciężkim westchnieniem wyznał Mungo. — Uciekła, żeby stworzyć trojkę z pewnym małżeństwem.

— Na Boga! — wykrzyknęła Louisa. — Ale ściągniesz ją z powrotem? — kiwała.

— Niestety, tak! — zawołał Mungo. — Moja matka... — znów wpatrywał się w drzwi. Do cholery, czemu Hebe tak się wymknęła, zabierając ze sobą stado psów, jakby potrzebowała obstawy? Znał Rufusa, kiedyś go ugryzł. Czy sobie wyobrażała, że popędzi za nią i zgwałci ją przed tym audytorium? Oczywiście, że chciał ją zgwałcić, po cóż innego by tu przyjeżdżał? I co do cholery robi tu Rory? Dlaczego Louisa się tak dziwnie zachowuje?

— Co twoja matka? — dopytywała się Louisa.

— Coś tam jej powiedziała, zrobiła jakąś aluzję. Och, nie wiem co, ale Alison wraca — niemal krzyczał ze złości i bólu. — Wraca pierwszym samolotem, na który dostanie bilet.

— Co jej powiedziała twoja matka?

— Nie wiem — jęknął Mungo słabym głosem.

— Moim zdaniem powiedziała jej, że ten mężczyzna ma AIDS. To by się Alison na pewno nie spodobało.

— Jezu! Myślisz, że złapał? — Mungo był wstrząśnięty.

— Zdziwiłabym się, gdyby rzeczywiście był chory, ale według mnie twoja matka nie poradzi sobie bez Alison. Bardzo na niej polega — uśmiechnęła się szeroko. Nie dodała jednak: I ty również.

Rory, który przybył równocześnie z Mungiem i aż się gotował z hamowanej wściekłości, obserwując kuzyna, wybuchnął śmiechem. Nigdy go nie lubił. Mungo był o dziesięć lat starszy, korzystał z przywilejów, jakie daje pochodzenie z bogatszej rodziny i ojciec go zawsze stawiał Rory'emu za przykład. „Twój krewniak Mungo, idąc w ślady swego ojca, zaczął pracę w rodzinnej firmie. A dlaczego ty nie możesz zaciągnąć się do armii? W moim starym regimencie powitaliby cię z otwartymi ramionami”. Wahanie Rory'ego, czy wstąpić do wojska, zmieniło się w otwartą niechęć po wejściu Munga do firmy ojca. Gdyby nie był tak wściekły na kuzyna, może i czułby dla niego wdzięczność za mimowolną pomoc w wyborze kariery. Jednak teraz, obserwując jego zachowanie od chwili przybycia do domu Louisy: oczy błędzące w poszukiwaniu czegoś, pójście do kuchni pod wątpliwym pretekstem przyniesienia wody, niepokój i roztargnienie, z jakim słuchał towarzyskiej pogawędki ciotki — domyślił się, że Mungo należy do „syndykatu”. Kiedy Hebe weszła przez drzwi balkonowe w lekkiej bawełnianej sukience, otoczona przez psy, niosąc kwiaty niczym współczesna Diana, serce skoczyło mu do gardła i najwyraźniej to samo poczuł Mungo. Zignorowała ich obu i wygłosiwszy mało

wiarygodne kłamstwo o zmęczeniu, zniknęła, by się zamknąć w sypialni, którą uważał za swoją, a gdzie tak niedawno leżał w jej ramionach. Ona zaś, opalona, ciepła i miękka... — Rory zamknął oczy, usiłując pozbyć się natrętnej wizji Hebe w ramionach Munga. „Boże.

O mój Boże! — wołał do swego stwórcy. — Nie mogę tego znieść!” Jego gniew obrócił się przeciw Louisie. Pastwiła się nad kuzynem, przepytując go na temat Alison, matki i małoletnich synów, Iana i Alistaira. Wpadały mu w uszy pojedyncze słowa, które nie składały się w logiczną całość. Wtem coś go tknęło i zaczął słuchać z uwagą.

— Raczej nie, Mungo, łóżka są nie posłane.

Najwidoczniej Mungo próbował wprosić się na nocleg.

— Nie mogę od Hebe wymagać robienia prac domowych. Przyjeżdża gotować i nic poza tym. Jest zmęczona, jak sam widziałeś.

„Wyglądała jak okaz zdrowia tryskający energią” — pomyślał Rory. — Proponowałabym — powiedziała Louisa — żebyś poprosił o nocleg Rory’ego. Zrobisz to z przyjemnością, prawda Rory?

— Co?

„Czy naprawdę można się udusić od tłumionych uczuć” — myślał Rory.

— Weźmiesz do siebie na noc kuzyna. On musi wcześniej wyjechać, żeby dotrzeć do domu, kiedy Alison będzie dzwoniła, podając termin powrotu z Kalifornii. Z zachodniego wybrzeża Ameryki — dodała, jakby Rory był niedorozwiniętym dzieckiem nie znającym geografii.

— Nie sądzę... — zaczął.

— Świetna okazja do porozmawiania. W końcu jesteście spokrewnieni, choć może niewiele was łączy.

— Ja... ee...

— Może jednak łączy was więcej, niż sądzicie.

„Czyżby to była celowa złośliwość?” — zastanawiał się Rory.

— Należycie do tego samego pokolenia. Na pewno znajdziecie temat do rozmowy.

— Miałem nadzieję... — przerwał Mungo marudnie.

Louisa wstała. Nie da mu okazji do wypowiedzenia na głos swoich nadziei.

— Cudownie, że zajrzałeś do mnie po drodze i ty również, Rory. Wpadaj na ryby, kiedy tylko zechcesz. Teraz musicie mi wybaczyć. Czuję, że jestem stara. Chyba przesadziłam z pracą w ogródku. Zawsze to robię, kiedy mam tu Hebe. Co za kucharka, co za jedzenie! Przykro mi, że nie mogę was zaprosić... Oczywiście Alison również świetnie gotuje i tak doskonale wszystkim zarządza. Jak się będziesz tu wybierał następnym razem — Louisa ruszyła w stronę drzwi, zmuszając ich, żeby zrobili to samo — zadzwoń i mnie uprzedź. Będzie mi bardzo miło.

„Można to zrozumieć jako aluzję, że tym razem nie było miło” — pomyślał Rory z zadowoleniem. — Zawsze z przyjemnością widzę młodych — dodała.

Otworzywszy drzwi salonu, prowadziła ich przez hol. — Mungo, musisz przywieźć swoich chłopców. Cudownie, że Lucy ma wnuki.

„Czyżby w jej tonie brzmiała złośliwość?” Ujęła Mungo pod ramię. „Podejrzewa, że poleci na górę za Hebe?” — zastanawiał się Rory.

— Miałaś coś ze sobą? — spytała.

— Nie — odparł Mungo, który zostawił walizkę w samochodzie. Z goryczą pomyślał, że kiedyś przepadał za cicią Louisą. Stara zmija.

— To dobranoc. Z Bogiem — nadstawiła twarz do pocałunku.

— Dobranoc, Rory. Cieszę się, że was zobaczyłam, ogromnie.

Poszli w stronę samochodów.

— Przenocuj u mnie — powiedział Rory pod wpływem nieoczekiwanego współczucia.

— Idź do diabła! — Mungo wskoczył do jaguara i zatrzasnął drzwi.

Rory wsiadł do volvo i włączył silnik.

Louisa patrzyła, jak oba samochody zmierzają do głównej szosy.

— Cóż za pantomima! — wybuchnęła śmiechem.

Patrząc przez otwarte okno z Rufusem u boku, Hebe uśmiechnęła się szeroko. Louisa stała na schodach, aż umilkł warkot samochodów, po czym weszła do środka i zamknęła drzwi. Hebe widziała, jak gaśnie światło w korytarzu. Słuchała delikatnych szmerów sierpniowej nocy. Ptak ukryty w krzewie mościł się wygodnie, w oddali szemrały samochody, na łące zakaszła krowa.

— Chodź, Rufus — weszła do łóżka, a pies za nią. — Twoja pani to uroczą damą — objęła go, a on stęknął z rozkoszy. — Dziś w nocy nie będę się o to martwić — powiedziała do psa, mając nadzieję, że dzisiaj jej snu nie zakłócą żadne koszmary lub głosy zawodzące: „brudne paznokcie... komunista... kołczyki... zabieg... bosy”. Pomyślała o innych chwilach w swoim życiu, kiedy nie wszystko układało się dobrze: krępujące spotkanie w „Clarence” w Exeter; Rory wchodzący do pokoju, kiedy przymierzała kapelusz; Hippolyte zaskoczony, bo usłyszał, że jego żona wraca z zakupów, wyskakujący z łóżka, żeby założyć spodnie i wykrzykujący: *Il faut sauver les convenances**, nim wyskoczył przez okno w tanecznym pas.

— Ty się nie martwisz o *les convenances* — zwróciła się do psa leżącego u jej boku. Rufus zaparł się łapami o ścianę i karkiem nacierał na Hebe. — Zabierasz więcej miejsca niż kochanek — zauważyła.

Postanowiła nie myśleć o burzy, która mogłaby obrócić w perzynę jej starannie uporządkowane życie, i spała wyjątkowo dobrze.

Rozdział dwudziesty

— Michael, nie bądź idiotą, masz je wyszorować. Za tylnymi drzwiami jest kran... oczywiście że jest, nie masz oczu, ofiaro... Dam ci płyn do czyszczenia, powinien zabić ten zapach... na pewno zabije... Im szybciej się za to zabierzesz, tym lepiej... Nie bądź dziecinny. Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób! — rozległ się głośny policzek i krzyk słusznego gniewu Michaela. — Nigdy nie widziałam, żeby robić tyle szumu wokół zwykłej sprawy. Każdy kiedyś chorował na morzu...

— Ale nie do moich kaloszy — załkał chłopiec.

— Ani słowa o twoich pieprzonych kaloszach, przestań marudzić — dał się słyszeć kolejny policzek.

— To boli! — wrzasnął Michael.

— Miało zboleć — głos Jennifer Reeves ociekał jadem. — To twój gość, ty się upierałeś, żeby go zaprosić — znowu go uderzyła i powiedziała coś, czego Silas nie dosłyszał.

Zdejmując mokre ubranie, Silas wyrzwał przez okno. Na dole Michael, trzymając zabrudzone kalosze, podszedł do kranu, nalał płynu do każdego z butów i odkręcił kurek. Silas widział zaczerwienione policzki przyjaciela i jego łzy. Wkładając suche skarpetki, pomyślał ze współczuciem o koledze, chociaż na łodzi Michael zachował się głupio i niesympatycznie, Ian i Alistair zanosili się przenikliwym chichotem, dopóki spojrzawszy na twarz Juliana, nie zdali sobie sprawy, że zanoszą się na coś poważniejszego niż choroba morska Silasa. Julian przeklinał

* franc.: Trzeba zachować pozory (przyp. tłum.).

własną nieroztropność. Pogoda była znacznie gorsza, niż to oceniał, kiedy wypływali z St. Mary i dała im się we znaki. Aby dotrzeć do domu, potrzebował wszystkich swych umiejętności i nie w głowie mu było przejmowanie się chorobą morską tego dzieciaka.

— Schowaj się do kabiny — krzyknął do Silasa. — Zejdź z drogi.

Silas na uginających się nogach poszedł na dół i wczółgał się w kąt kabiny. Minęły wieki, nim ustało kołysanie, uderzenia fal, przechyły i wstrząsy. Słuchając jak Julian krzyczy na chłopców pomyślał, że jeśli wszyscy ojcowie byli tacy, to lepiej nie mieć żadnego. A na dodatek jeszcze pani Reeves się piekliła. Czuł, że teraz tym bardziej nie mógłby jej nazywać po imieniu.

Silas sięgnął po suchą koszulę i włożył ją. Stojąc w koszuli i skarpetkach, znowu spojrzął na Michaela. Kalosze wypełniała niebiesko-biała woda. Kolega pomieszał w nich patykiem i wylał zawartość do ścieku. Silas się wychylił, by zobaczyć, czy są jakieś rozpoznawalne kawałki jedzenia, a potem zaczął szukać suchych slipek, dzinsów i jedyne go suchego swetra.

— Silas, jak będziesz schodził, przynieś swoje mokre rzeczy, to je upiorę — zawołała Jennifer.

— Bardzo dziękuję — odkrzyknął i podszedł do okna, wciągając sweter przez głowę. — Kalosze do wyrzucenia? — wychylił się na zewnątrz.

— Tylko bardzo mokre — Michael spojrzął w górę. Był obrażony.

— Powypycham je gazetami — zaproponował Silas. — Tak robi moja matka.

— Świetny pomysł.

— Strasznie mi głupio.

— Nie ma sprawy — policzki Michaela zaczynały nabierać normalnego koloru.

— Twoja matka...

— Ma cholerny charakter — wymamrotał Michael. — Zresztą oboje są tacy sami.

— Gorąca herbata — zawołała z dołu Jennifer ze sztuczną wesołością. — Silas, gorąca herbata. Michael, na litość boską, idź się przebrać, nie marudź bez potrzeby, tylko się przeziebiesz. Powiedz chłopcom, żeby się też przebrali. Za starzy jesteście na niańkę — dodała zmieniając ton.

— Niania mnie nigdy nie uderzyła — Michael wbiegł po schodach, jakby uciekał przed kolejnym policzkiem. — Zanieś jej te mokre ciuchy — warknął do Silasa. — Przynajmniej się czymś zajmie. Wsadzi je do pralki.

— Dzięki.

Silas pozbiierał mokre ubrania. Biały sweter Hebe czuć było wymiotami. — Nie chciałem...

— Nikt nie chce rzygać.

Michael się ubierał. — Czy twoja matka robi afery...

— Nie — odpowiedział. Wydawało mu się, że Hebe jest bardzo daleko stąd. — Nie, nigdy.

Próbował ją sobie wyobrazić krzyczącą jak pani Reeves. „Śmieszny pomysł” — pomyślał.

— Nasza często.

Ian i Alistair, którzy do nich dołączyli, wciągali swetry przez potargane głowy. — Matka się wścieka, a ojciec przeklina.

— Jak wszyscy — dodał filozoficznie Alistair.

— Dzisiaj to była wina ojca — Michael szukał czegoś suchego,

— Wiedział, że się będzie bał płynąć wokół skały, ale chciał się popisać.

— Aha — Silas stał w drzwiach, trzymając mokre ubranie.

— Herbata — zawołała Jennifer z dołu. Zbiegł do kuchni. Jennifer wzięła od niego zawiniątko.

— Uch! — przechodząc przez pomieszczenie, trzymała je w daleko wyciągniętej dłoni. Słyszał, jak otwiera pralkę i powtarza

— Uch!

Julian już przebrany siedział przy kuchennym stole.

— Herbata? — zwrócił się do Silasa.

— Tak, dziękuję — powiedział chłopiec i patrzył, jak Julian nalewa do dużej filiżanki. Miał ciężką twarz o obwisłych policzkach i nachmurzoną minę.

— Mleko? Cukier?

— Tak, proszę.

Dolał mleka i wrzucił kilka kostek cukru. Wyjmując piersiówkę z kieszeni, dodał parę kropli whisky.

— Dobrze ci robi na żołądek — mrugnął porozumiewawczo do chłopca. — Wypij, od razu się lepiej poczujesz.

Silas wypił. Uznał, że mikstura jest wyjątkowo obrzydliwa. Nie cierpiał, gdy do niego mrugano i zastanawiał się ponuro, czy zwymiotuje po raz kolejny. Julian najwidoczniej miał taką właśnie nadzieję. Chłopiec jednak zamiast mdłości poczuł ożywcze ciepło. Nadstawił pustą filiżankę i poprosił o dolewkę.

— Nie żałujemy sobie, co? — Julian przestał się chmurzyć. Jennifer wróciła do kuchni. Zamknęła drzwi i hałas pralki trochę ucichł.

— Oj, Julian — powiedziała z wyrzutem udając zagniewaną. Potem usiadła przy stole, by się napić herbaty i zjeść słodkie bułeczki.

Julian włączył radio.

— Chcę posłuchać prognozy pogody — mruknął.

— Powienienes był wysłuchać jej wczoraj wieczorem — rzuciła z sarkazmem. Jej mąż wzniósł oczy ku niebu z rezygnacją. W radiu ktoś przeprowadzał wywiad z politykiem.

— Ple, ple, ple.

— To bardzo dobre pytanie — dobiegł z radia głos polityka.

— Cholera. Przekłety zegarek stoi. Już po prognozie — wyłączył radio i nakręciwszy zegarek, wstał. Brzuch wisiał mu nad paskiem. — O której kolacja?

— O tej, co zawsze — Jennifer nie podniosła wzroku.

— Ten sam gulasz? — zapytał nieprzyjemnym tonem.

— Kobieta nie ma zbyt bogatego repertuaru — warknęła.

— Czas na drinka. Zapytam w pubie, czy słuchali prognozy. Idziesz?

— Nie, nie idę. Kup mi fajki, kończą mi się. Gdybyś wczoraj wieczorem słuchał prognozy, zamiast podrywać tę dziewczynę w pubie, tobyś nie...

— O, Chryste! — wrzasnął Julian.

— Oho, zaczyna się — mruknął Michael pod nosem.

— Nawet na ciebie nie spojrzała, jest w podróży poślubnej — Jennifer podniosła głos.

— Zamknij się, ty głupia krowo — krzyknął Julian i wyszedł, trzaskając drzwiami. Jennifer zaczęła sprzątać ze stołu.

— Włóżcie płaszcze od deszczu, jeśli gdzieś wychodzicie — powiedziała. Brzmiało to jak rozkaz.

— Pomogę rozwiesić pranie — Silas zauważył, że pralka już nie pracuje.

— Dziękuję ci, Silas.

Michael, Ian i Alistair założyli na ganku kalosze i sztormiaki, po czym wyszli, zostawiając Silasa z Jennifer.

— No to idziemy — powiedziała cierpiętniczym tonem.

Deszcz niemal ustał. Silas ułożył mokre rzeczy w koszyku i postawił je pod sznurem. Jennifer brała po jednej części garderoby i umocowywała spinaczami. Pomagając jej zauważył, że kiedy

się prostowała, jej duże piersi trzęsły się, a w miejscu, gdzie sweter wysunął się ze spódnicy, wystawał walek białego ciała. Porównywał ten widok ze szczupłym, brązowym ciałem matki. Jasny kok Jennifer rozleciał się i włosy opadły na kark. Silas pomyślał o brązowych krótkich włosach Hebe.

— Mam zamiar odpocząć przed kolacją. Może pójdziesz na spacer?

— Chętnie — powiedział Silas. Zdjął buty i boso ruszył w stronę wzgórza, mając nadzieję, że znajdzie drogę, którą przebył pierwszego dnia. Może znów zobaczy foki i trafi na małą plażę.

Szedł tak długo, aż ponad falami zobaczył Bryher. Wiatr się uspokoił, morze wygładziło. W świetle wieczoru woda między wyspami miała kolor ołowiu, była uspokajająco cicha. Obserwował, jak zachodzące słońce rozpoczyna swój codzienny spektakl. Żółte promienie wysuwające się spod burzowych chmur sprawiały, że woda między wyspami wyglądała niczym pokryta warstwą złotego syropu. Stopniowo kolor zmienił się ze złotego w różowy. Kępę wrzосу u jego stóp oplatała pajęczyna, w kroplach deszczu odbijał się liliowy kolor kwiatków i od czasu do czasu błękit nieba. Nie dobiegały go żadne inne dźwięki poza szumem wiatru, krzykiem mew i uderzeniami morza rozbijającego się o skały. Z dala od swoich gospodarzy Silas czuł się znacznie lepiej. Poprawiał mu się nastrój, choć whisky wypita z herbatą przestała już działać. To był okropny dzień. Nienawidził żeglowania. Nienawidził rodziny Reevesów. Ian i Alistair też byli okropni. Postanowił jednak, że kupi pocztówkę, napisze: „Wspaniale się bawię. Szkoda, że cię tu nie ma” i wyśle do Hebe.

Poniżej szło dróżką dwoje ludzi, rozmawiając przyciszonymi głosami. Rozpoznał parę, którą pierwszego dnia widział na łodzi. Zazdrościł im szczęścia, cichych głosów, spokojnego kroku. To było tak niepodobne do gwałtownej agresywności Reevesów. Patrzył za nimi, aż mu zniknęli z oczu, po czym odwrócił się w stronę słońca. Wprawdzie nie znalazł plaży, na której obserwował foki, pływał i na koniec zobaczył zmiję, ale widział zachód słońca. Patrzył, jak chmury rozwiewa wiatr i niebo płonie. „Jutro będzie ładny dzień” — pomyślał. Zmarzły mu stopy. Wstał. „Czy się spóźnię na kolację?”

Pobiegł i wpadł zadyszany do domu.

— Przepraszam, że się spóźniłem.

— W porządku, zaczęliśmy bez ciebie.

— Napij się wina — Julian nalał mu do szklanki i pchnął ją w jego stronę. Jennifer zacisnęła usta i podała Silasowi talerz gulaszu. Michael zerknął nerwowo na matkę, Ian i Alistair uśmiechali się z przymusem. To był ten sam gulasz, który jedli wczoraj wieczorem.

— Cholernie monotonne żarcie — powiedział prowokująco Julian. Jadł łyżką, pochylony nad talerzem wrzucał do ust duże porcje. Szerokie ramiona opinał sweter, zielona, pikowana kamizelka była rozpięta.

— To bardzo dobry gulasz — zaryzykował Silas.

Julian poniósł wzrok i utkwił go w chłopcu. Silas nieśmiało przełknął trochę wina i wpatrzył się w talerz.

— Nie powiedziałem, że jest zły, tylko, że jedzenie jest monotonne.

— Tak — Silas upił jeszcze trochę wina.

— Monotonne. To pochodzi z greki. Oznacza brak różnorodności, jednostajność. Nie uczą was greki w tym waszym przybytku wiedzy?

— Nie — Silas był zmieszany.

— Nie uczą greki? Co za szkoła?

— Nie uczymy się greki — powiedział Michael.

— Ani łaciny — włączył się do rozmowy Ian.

— Wiesz, że nie mają łaciny — wtrąciła Jennifer. — Mają języki nowożytny.

Julian nie zwrócił na nią uwagi.

— Wybraliśmy niemiecki — powiedział Alistair.

— Co to ma wspólnego z gulaszem? Czemu nie poprosisz, żeby Kobieta zrobiła coś innego dla odmiany? — Julian wpatrywał się w żonę.

— Prosiłam. Ale bez skutku — sięgnęła po chleb. Julian odwrócił od niej wzrok i równie twardo popatrzył na chłopców, którzy z uwagą studiowali swoje talerze. Silas postanowił nie prosić o dokładkę. Pokruszył kromkę chleba i napił się wina.

— Czy jesz gulasz w domu? — odezwał się Julian, mlaskając.

— Czasem.

— Ale nie przypuszczam, żeby był tak dobry, jak ten, który robi Kobieta. To prawdziwa artystka, gdy idzie o gulasz. Weź jeszcze. Po dzisiejszym dniu potrzebujesz dokładki — roześmiał się gwałtownie.

— Nie, dziękuję, proszę pana — wymknęło mu się. Atmosfera przy stole stała się podobna do tej, jaka panowała w szkole.

— Chłopiec mówi teraz do mnie „proszę pana”. Weź jeszcze gulaszu. Jennifer, daj chłopcu więcej. Daj nam wszystkim więcej — podsunął swój talerz. Nałożyła mu. — W domu nie dostaniesz takiego gulaszu. Korzystaj więc z okazji. Znakomity gulasz Kobiety. Ha!

— Matka Silasa jest kucharką — powiedział Michael.

Zapadła cisza. Silas pił wino, Julian mlaskał, a Ian i Alisatair podsunęli talerze po dokładkę, wymieniając ukradkowe spojrzenia.

Jennifer Reeves, nakładając jedzenie na wysunięte ku niej talerze, rzuciła lekkim tonem: — Jeden z moich wujów ożenił się ze swoją kucharką.

— Spieprzył sobie reputację, co? Chyba nawet nie była w ciąży? Z drugiej jednak strony, ile zaoszczędził na pensji dla niej. Jak się nad tym zastanowić, to dobry pomysł. Ożenić się z kucharką, dobry pomysł — Julian zabrał się znowu do jedzenia.

— Musisz jeść łyżką? — warknęła Jennifer.

— Tak, muszę. Nóż i widelec to dobra rzecz, ale do gulaszu Kobiety pasuje łyżka — Julian wyraźnie szukał zwady.

— Jesteś pijany — rzuciła przez zaciśnięte zęby.

— Trochę. Gulasz Kobiety wyciągnie nadmiar alkoholu. A więc matka Silasa jest kucharką, co? Hmm, ja nigdy... Jak... ee... do tego doszło? W dzisiejszych czasach niełatwo o kucharkę. Gatunek na wymarcie. Spryciarz z twojego ojca — wpatrywał się w Silasa. Chłopiec dopił wino i sięgnął w stronę butelki, żeby sobie dolać.

— Ja to zrobię — Julian wziął butelkę i nalał Silasowi. Jennifer westchnęła. Chłopcy siedzieli, czekając na rozwój wypadków.

— A więc ta przedstawicielka wymierającego gatunku poślubiła twojego ojca. I co on robi?

— Julian.

— Ja tylko zapytałem, co robi jego ojciec. Nie musisz od razu mówić „Julian” takim tonem.

— Matka Silasa jest bardzo piękna — w głosie Michaela pojawił się kogucik charakterystyczny dla mutacji.

— Piękna, co? Ha. Piękna przedstawicielka wymierającego gatunku. Musiała coś robić przedtem, nim została kucharką — z pijackim uporem Julian nacierał na swoją ofiarę.

— Moja matka jest hermafrodytą — odparł dumnie Silas. — A wy jesteście obrzydliwi.

Chlusnął Julianowi w twarz winem, wstał, cisnął serwetkę na stół i wybiegł z domu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Spoglądając na zegar na tablicy rozdzielczej, Mungo zauważył, że zrobiło się bardzo późno. Za późno, by znaleźć nocleg. Od chwili opuszczenia domu Louisy jechał bez celu, zły i sfrustrowany. „Spełnienie moich marzeń przeszło mi koło nosa” — pomyślał przygnębiony. „Do diabła, gdzie ja jestem?” Jechał szybko nie znanymi drogami, a wskaźnik paliwa na tablicy niepokojąco zbliżał się do zera.

— Tylko tego mi jeszcze brakowało — mruknął, zwalniając i rozglądając się za drogowskazem.

Wreszcie natknął się na jeden z napisem: „Salisbury 5 mil”. Na pewno znajdzie tam całodobową stację benzynową. Ostrożnie prowadził samochód, zerkając na wskazówkę, która pokrywała się z czerwoną linią. Wydawało mu się, że minęły wieki, nim dotarł do przedmieścia, przejeżdżając koło kolejnych, zamkniętych stacji. Szybko wpadł w plataninę jednokierunkowych ulic, pułapkę zastawioną na turystów przez przebiegłych radnych. Już był niemal w centrum, gdy silnik zgasł. Dotoczył się jakoś do krawężnika. Był zmęczony, wściekły i z dala od domu. Wysiadł z samochodu, zamknął drzwi i ruszył przed siebie. Za rogiem dojrzał okno wykuszowe w małym osiemnastowiecznym domu i białe drzwi z doskonale wypolerowaną kołatką w kształcie delfina. Znajdowało się nad nimi okienko, przez które padało światło. Nad głównym oknem wisiał szyld: „Rory Grant. Kapelusznik”. „Szkoda, że nie mam kamienia, żeby walnąć nim w to cholerne okno” — pomyślał Mungo i zastukał kołatką.

— Zaraz. Już idę. O co... — Rory otworzył drzwi. — Och, to ty — cofnął się.

Mungo wsunął się do środka, mijając kuchynia.

— Skończyła mi się benzyna — powiedział.

— No to wchodź. — Rory spojrział na niego nerwowo. — Może mam...

— Masz coś do picia? Jestem wykończony.

— ...kanister w garażu. Tak, oczywiście. Kawa? Whisky? Chodźmy... — zaczął, ale Mungo już był w kuchni i ciężko usiadł przy stole.

— Ranny ptaszek z ciebie — powiedział ponuro.

— Jeszcze się nie kładłem. Byłem zbyt...

— Wściekły. Ja też. Jeździłem w kółko.

— Masz trochę... — wyjął butelkę whisky, napełnił szklanekę do połowy i przesunął ją w kierunku Munga, a potem nalał sobie. Mungo wypił, patrząc na kuchynia, który wyglądał, jakby już miał trochę w czubie.

— Jesteś pijany? — zapytał.

— Jeszcze nie. Chcesz trochę zupy?

— O Boże — powiedział Mungo. — Zupa.

— Wyglądasz na głodnego. Rory zaczął się krzątać, wyjmując chleb, masło i podgrzewając zupę.

— Nie przyszedłem tu nocować — Mungo odstawił szklanekę z gwałtownym stuknięciem.

— Oczywiście, że nie.

Rory podsunął kuchynowi talerz z zupą i podał mu łyżkę.

— Będzie się nam łatwiej nienawidzić, kiedy coś zjemy.

Mungo posmarował chleb masłem i zaczął jeść zupę.

— Masz jakiś ser?

— Tak, coś się znajdzie.

Wstał i przyniósł ze spiżarni stiltona w kamionkowym pojemniku. Mungo grzebał w nim

gwałtownymi ruchami noża, a Rory z obrzydzeniem patrzył, że je ser i zupę równocześnie.

— To cholerna stuprocentowa dziwka. I ja chciałem się z nią ożenić. Chcę się z nią ożenić. To od „Fortnuma”?

— Ja też — powiedział Rory, gwałtownie odsuwając od siebie talerz. — Tak, od nich.

— Ja byłem pierwszy — warknął Mungo.

— Jesteś mężem Alison — powiedział Rory, patrząc na niego uważnie. — Nim dostaniesz... nim będziesz miał wolne ręce... Nim się pozbędziesz koszmarniej Alison, ożenię się z Hebe. Pierwszy.

— Nie nazywaj mojej żony koszmarną! — ryknął Mungo.

— No proszę — roześmiał się Rory. — Koszmarna Alison i — tu spojrział błyszczącymi oczami na kuzyna — dwóch koszmarnych synów.

— To prawda — powiedział Mungo, nabierając zupy na łyżkę. Była doskonała, przywracała mu siły. Pewnie też od „Fortnuma”. Kawalerów stać na takie luksusy.

— Musisz pomyśleć i o nich — Rory podniósł whisky do ust.

— Nie znoszę ich. Nigdy nie miej dzieci — poradził. — Kamienie u szyi.

Spojrzał na Rory’ego. — Co ona w tobie widzi? Masz taką dziwną figurę.

— Sprawdzam się w łóżku — zadzierzyście odparł Rory. — I ona ...och, Mungo... ona jest taka... taka... — poczuł, jak pod powiekami zbierają mu się łzy.

— Taka cudowna — powiedział Mungo poruszony. — Taka miękka, ciepła. Nawet deka tłuszczu. Taka delikatna, idealna waga. Mógłbym ją zjeść.

— Mówisz o niej, jakby była stekiem pierwszej jakości — zawołał oburzony Rory bliski łez.

— Będę mówił, jak mi się spodoba. Jest moją metresą. — Mungo próbował przemienić swój gniew w nadzieję.

— Jesteśmy tylko członkami jej „syndykatu”.

— Czego? — zdumiony Mungo przeszył Rory’ego wściekłym wzrokiem.

— Jej „syndykatu”. Tak to określa.

— O mój Boże! Co za krowa! Absolutna krowa! — zawył Mungo.

Rory przechylił się przez stół i wymierzył mu policzek.

— Marzyłem o tym od lat, odkąd...

— Od kiedy? — Mungo przyglądał się młodszemu kuzynowi z zainteresowaniem.

— Odkąd powiedziałeś, że wyglądam jak Biały Królik.

— Tylko z miny. Chyba nie będzie krwawić, co? — dotknął nosa.

— Obawiam się, że nie. Jeszcze whisky?

— Czemu nie? Lepiej skończmy butelkę, bo jej będzie przykro — podsunął mu szklanekę.

Rory nalał, patrząc na niego z ukosa.

Mungo odkrył w sobie nagły przyływ cieplejszych uczuć.

— I co zrobimy? — zawołał Rory, czując w nim sprzymierzeńca.

— Gdybyś ją znał tak dobrze jak ja, tobyś zapytał: co zrobi Hebe — odparł ponuro. — Masz jeszcze zupę? Bardzo dobra. Skąd ją masz?

— Ona ugotowała. Znaleźliśmy w sklepie pardwy. Ciotka Louisa dała mi cały termos do domu — wylał resztę na talerz kuzyna.

— Nie powinniśmy tego zapijać whisky. Masz jakieś bordo? — zapytał Mungo napastliwym tonem.

— O Boże — Rory wstał i zniknął za drzwiami. Mungo słuchał jego niepewnych kroków na kamiennych schodach i niewyraźnego mamrotania w piwnicy. Pojawił się z butelką w rękach. — Chowałem to, chowałem to dla...

— Hebe — dokończył Mungo, zabrał mu butelkę i pogrzebawszy w szufladzie, znalazł

korkociąg. Wyjął korek. — Mógłbym ją udusić — powiedział i postawił butelkę na stole.

Rory spojrział na niego zaskoczony. — Czym sobie na to zasłużyła?

— Oszukiwała.

— Nie, była całkowicie...

— Uczciwa — Mungo zazgrzytał zębami. — Czemu, u licha nie kończysz zdań? — chwycił butelkę i nalał sobie hojną ręką do szklanki po whisky.

— To samo mówiła Hebe. O, Hebe, cholerna Hebe — nalał sobie wina. — Nie miało dość czasu, żeby...

— Pooddychać — Mungo był przygnębiony. Siedzieli w ponurych nastrojach. Łączyło ich coś w rodzaju braterstwa broni.

— Jak długo? — spytał Rory.

— Sześć lat — powiedział Mungo. — Sześć lat. Sześć tygodni w roku przez sześć lat. Trzy razy po dwa tygodnie, zawsze kiedy to jej odpowiadało. Mam w Londynie służbowe mieszkanie, w którym się spotykaliśmy. Zabierałem ją do teatru, na pieprzone, ambitne filmy, na wystawy. Pozwalałem jej robić zakupy. A ona, kiedy się jej znudziłem, wyprawiała mnie do biura lub do klubu. Graliśmy też w backgammona.

— Mówisz tak, jakby była jakąś jędzowatą feministką.

— Jest dziwką bez skrupułów, indywidualistką. Proponowałem, że wynajmę dla niej mieszkanie na stałe, ale nawet nie chciała o tym słuchać, cholernie niezależna. Od trzech lat próbuję się dowiedzieć, gdzie mieszka. Czy wiesz, że jeśli chcę się z nią skontaktować, to muszę pisać do pieprzonego sklepiku na Earl's Court i oni przesyłają listy do niej?

— A nie mogliby...

— Spadaj. To pakistańska rodzina, tylko się śmieją.

— Gdzie ją... gdzie...

— Spotkałem? U mojej matki w kuchni. Przyjeżdża gotować, kiedy gosposia jest na wakacjach. Pomysł Alison, świetny, co?

— Twoja matka, ciotka Lucy... to wielka przyjaciółka ciotki...

— Louisy. Tak.

— Czy twoja matka albo ciotka...

— Żadna z nich — odparł Mungo z przewrotną dumą — nie wie, gdzie Hebe mieszka.

— Niemożliwe.

— Cholera, możliwe — powiedział Mungo. — Tak myślę — dodał.

Siedzieli, popijając chłodne bordo. Odsunęli na bok talerze po zupie. Mungo dłuwał nożem w słoiku ze stiltonem i wydobywając kawałki sera, z namysłem wkładał je do ust. Rory, zbyt przygnębiony, by protestować, postanowił dać resztę sera ptakom.

— Jak się z nią umówiłeś? — zapytał Mungo groźnym tonem.

— Zabiorę ją do domku ciotki Calypso, gdy w zagajniku rozkwitną drzewa wiśni — Rory nie zamierzał się przyznać, że to jeszcze nie zostało postanowione. — Oczywiście bardzo jej się to podoba...

— Podoba? — powtórzył Mungo, a nóż ze stiltonem zatrzymał się w pół drogi do ust. — Podoba?

— Tak, podoba — odważnie skończył Rory. Obserwował kuzyna, gotów natychmiast odskoczyć, gdyby ten zaatakował.

— Ona jest droga — Mungo włożył ser do ust. — Sporo kosztuje.

— Stać mnie na nią. Jestem...

— Bogatym kawalerem — powiedział Mungo pogardliwie, choć z zazdrością. — Podejrzywałem, że jesteś pedzio.

— Niedługo cię wydoi do cna, a przecież jest jeszcze Alison i chłopcy — złośliwie stwierdził Rory.

— Część odpisuję od podatku jako wydatki przy robieniu interesów.

— Doskonały pomysł. Mógłbym powiedzieć, że...

— Że co? — zapytał czujnie Mungo.

— Że modeluje mi kapelusze.

Obaj się roześmieli. Rory znowu napełnił szklanki.

— Wiesz, kim są pozostali członkowie „syndykatu”? — zapytał wymawiając to bardzo starannie.

— Nie, nie mogę tego znieść...

— Ja również. Nie mogę o tym myśleć — Mungo rzucił nóż na stół. — A może byśmy ją zatrzymali w rodzinie?

— Podzielić się nią? — zapytał zaskoczony Rory.

— Tak. Zaproponujmy jej to. Pół na pół, chyba sprawiedliwe, co? — nagle zrodziły się w nim przyjacielskie uczucia dla kuzyna o zajętych oczach. — A kiedy chłopcy dorosną, mogą też stać się członkami „syndykatu”. Można już teraz ich zapisać, jak do Eton. Wspaniale! Tak zrobimy.

— Obrzydliwe! — krzyknął Rory.

— Tak uważasz? — Mungo był nadal przyjaźnie usposobiony.

— Myślałem o czymś w rodzaju rodzinnego „syndykatu”, jak u Rotszyldów albo u Marksa i Spencera.

— Wykluczone — stwierdził zgorszony Rory.

— Dobra, to tylko my dwaj.

— Mam zamiar ją poślubić — powiedział Rory bardzo wyraźnie.

— Nie zaczynaj znowu. Posłuchaj, jedno wiem na pewno. Hebe nie wyjdzie za żadnego z nas.

— Nie za ciebie.

— Ani za ciebie.

— No to czemu powiedziałaś...

— To, czego się chce i to, co się dostaje, to dwie zupełnie różne rzeczy — filozoficznie wyjaśnił Mungo.

— No, patrz — westchnął Rory, podnosząc butelkę. — Pusta.

— Mam pomysł — Mungo wstał i chwiejnym krokiem obchodził kuchnię. — Mam pomysł. Pojedziemy tam i doprowadzimy do konfrontacji.

— Do ciotki Louisy? Po co?

— Żeby oczyścić atmosferę. Która godzina?

— Pięta rano.

— Lepiej się najpierw ogolić — Mungo poszedł w kierunku schodów. — Wykąpać — chwycił poręcz. — To twoja sypialnia? — dotarł do podestu, zataczając się na schodach.

— Tak... ee...

— Twoje łóżko? Gdzie ty i Hebe?

— Tak, my... — Rory szedł za kuzynem.

— A może by się trochę przespać? — Mungo złapał go za ramię i obaj padli na łóżko.

— Mówiłem... — Rory zapomniał, co chciał powiedzieć. Kręciło mu się w głowie.

— Mała drzemka, potem kąpiel, golenie i jedziemy razem załatwić cholerny „syndykat”, załatwić Hebe. Przestań się wiercić, dobra? — Mungo ściągnął buty.

— Nie odpowiada mi spanie z tobą w jednym łóżku — Rory obwąchiwał poduszkę,

szukając śladu Hebe, ale przypomniał sobie, że zmienił powłoczki, skulił się niepocieszony. To koszmar, mieć obok siebie to wielkie cielsko rozwalone w jego łóżku. Nie mógł nawet usiąść, zsunąć się na podłogę czy wstać. Poddał się więc zmęczeniu, działaniu alkoholu i tyraństwu kuzyna.

Gdy Mungo zaczął chrapać, Rory znów zatopił się w marzeniach. Widział, jak spaceruje z Hebe po sadzie wśród drzew pokrytych kwieciami, mając pod stopami dzwonki, późne pierwiosnki oraz pierwsze różowe firletki. Słychać wiosenny chór ptaków, promienie słońca pobłyskują przez delikatne listki dębu, brzozy i jesionu, w głębi lasu rozlega się wołanie kukułki... Och, to kukanie! Odwrócił się od kuzyna i od światła, wpadającego przez okno. Jak zdoła pokonać Munga, jakich użyć argumentów? Alison, Ian, Alistair zdawali się nie mieć dla niego większego znaczenia. Czy użycie zdania, które tak często wypowiadali jego rodzice, by skruszyć jego opór: „A co na to powie cała rodzina?” — odniesie jakiegokolwiek skutek?

Rozdział dwudziesty drugi

W drodze z lądowiska helikopterów Silas obmyślał, co powie matce. Niósł ze sobą jej sweter *guernsey*. Naciągnął na głowę kaptur kurtki, chroniąc twarz przed wzrokiem ludzi z przejeżdżających samochodów. Obawiał się, że ktoś mógłby się zatrzymać i proponując mu podwiezienie, z dobrotliwą ciekawością spytać, czy dobrze się bawił na żaglach. Wodorosty wydobyte przez sztorm z morskich odmetów znaczyły na plaży zasięg przypływu. Wzdłuż tej linii biegały dzieci. Pokrzykując do siebie, zbierały wyrzucone kawałki drewna i składały je na stos, by rozpaść ognisko o płomieniach błękitnych od wrzucanych do środka bryłek stwardniałego smaru. Dołożą też plastikowe pojemniki, które wybuchając dostarczą im trochę emocji. Ludzie będą narzekali na ciężki dym, który wiejąc w stronę lądu, zabrudzi ich nylonowe zasłony. Silas stał, przyglądając się dziewczętom i chłopcom. Wiele razy zbierał drewno wyrzucone przez morze, niosąc potem całe naręczą do domu, by je spalić w kominku. Poczul silne pragnienie, żeby się do nich przyłączyć. Wtem zobaczył pośród nich Gilesa. Nie chciał się z nim spotkać.

Wrócił myślą do Hebe i zaczął recytować pod nosem: „Było cudownie. Zaprosili mnie na następny raz. Wracam wcześniej do domu, bo ojciec pani Reeves zachorował. Wróciliśmy wszyscy razem. Przesyłają ci pozdrowienia... Jedzenie było wspaniałe... Ubrania odpowiednie... Chyba coś niechcący wylałem na twój sweter. Opłynęliśmy latarnię morską na Biskupiej Skale. Nie, absolutnie bezpieczne, pasjonujące... Polubiłem tych chłopców... fantastyczna rodzina... Było świetnie”. „Kupa bzdety” — powiedział do siebie. Ulubione powiedzenie Alistaira. Mama od razu się domyśli, że to bzdety, kiedy poczuje wymiociny na swetrze. „Co mam jej powiedzieć?” — zapytał siebie po raz chyba setny. „Może po prostu uwierzy, że wizyta się udała, podobnie jak wierzy w to, co mówię o szkole. Jedyne, co mi zostało z wysp, to słówko »bzdety« oraz wspomnienie fok, żmii i koloru morza. Czy nie mógłbym »zgubić« swetra, rzucić go teraz z falochronu? Wtedy by nic nie poczuła. Odpada. Strasznie dużo za niego zapłaciła i ostatecznie zdecydowała się go kupić mówiąc: »Będziesz mógł go nosić, przyda się, jak trochę podrośniesz«. Boże, jak ja go nienawidzę. I co powiem na temat worka, jak wyjaśnić jego zniknięcie?” Próbował się uspokoić. „Na mój widok tak się ucieszy, że zapomni o pytaniach. Nigdy mnie nie maglowała. Jedna z jej cudownych cech.” Zaczął biec.

Skręcił na rogu i wspinał się w górę ciemnej ulicy. Przyśpieszył kroku i zaczynał mu się poprawiać nastrój. Wkrótce będzie z Hebe. Będzie wyglądała tak jak na peronie, kiedy wracał ze

szkoły. Zobaczy jej wielkie, trochę szalone oczy. Przytuli go, a on obejmie ją, położy jej głowę na piersiach, oboje się roześmieją, szczęśliwi, że znów są razem. „Wszystko będzie dobrze” — powtarzał sobie Silas. „Już prawie jestem na miejscu.” Podbiegł, dopadając drzwi w radosnym uniesieniu.

Były zamknięte.

Silas osłupiał. Z okna wyglądała Trip, otworzyła pyszczek, wydając z siebie ciche miauknięcie, pokazując ostre ząbki i różowe podniebienie. Pobiegł na tył domu. Drzwi kuchenne również były zamknięte. Załomotał klamką. Trip wyszła przez kłapkę i mrucząc ocierała się o jego nogi. Potrącając go łebkiem, kręciła się tak, że całe jej ciało brało udział w pieszczocie. Podniósł ją i przytulił do policzka. Nagle przypomniał sobie. Przecież miał spędzić na wyspie trzy tygodnie. Powiedziała, że kiedy wyjedzie, to na dwa tygodnie weźmie pracę w Wiltshire. Usiadł na mokrym progu. Domyślił się, że Hebe zdecydowała się na tę pracę, bo pozbawił ją większej części swoich wakacji. Wcześniej o tym nie pomyślał. Tak bardzo chciał jechać na wyspy. Niczym się nie przejmował. Doskonale wiedział, że wyjechała tylko po to, by wypełnić sobie czas podczas jego nieobecności. Trzymając kota przy twarzy, Silas zaczął płakać. Przy całym wstydzie i upokorzeniu, nie potrafił znieść jeszcze poczucia winy. Z oczu popłynęły łzy i kapąło mu z nosa. Kot spojrzał na niego z odrazą i uciekł z powrotem do domu. Siedział z głową ukrytą między kolanami i łkał. Postanowił rzucić się ze skał do morza i skończyć z tym raz na zawsze.

— Może mógłbym ci pomóc?

Zobaczył czyjeś stopy, nogi w dżinsach, wełnianą marynarkę na ciemnym swetrze, a ponad nią twarz, której nigdy wcześniej nie widział. Podniósł się z trudem. Od siedzenia na progu zmarł i zeszywniał. Mężczyzna miał na głowie stary kapelusz, z którego kapąła woda.

— Kim pan jest? — zapytał Silas i zawstydził się swojego płacznego głosu.

— Nazywam się Jim Huxtable — odparł nieznajomy. — Chciałem się zobaczyć z dziewczyną, która tu mieszka.

— Nie ma jej — Silas znów się rozpląkał. Zmarł, był zmęczony, przemoczony i głodny. Pragnął, by mężczyzna jak najszybciej stąd poszedł. Chciał umrzeć albo przynajmniej mieć przy sobie mamę.

— A ty zatrzasnąłeś się na zewnątrz?

— Wyjechała.

— Kto ma klucze?

— Terry albo Hannah, albo Amy, ale ja...

— Nie chcesz ich prosić.

— Nie mogę!

— Kto karmi kota?

— Terry albo Hannah.

— A kiedy wraca twoja matka? — zapytał. „Co za przemoczone i brudne dziecko” — pomyślał.

— Ani jutro, ani pojutrze... — powiedział Silas zdławionym głosem.

Jim zastanowił się nad sytuacją. Jeśli to dziecko znało ludzi, którzy mieli klucz, do nich należy udzielenie pomocy. Jedyna rozsądna rzecz to zaprowadzić go do nich i niech się nim zajmą.

— Może przypadkiem znasz człowieka, który się nazywa Bernard Quigley? — zapytał łagodnym tonem, myśląc, że gdyby on tu był, może potrafiłby coś pomóc.

— Tak!

W oczach chłopca zapłonęły ogniki, które go wzruszyły.

— Mama go zna i ja też, ale przyjaźnimy się z nim oddzielnie. To miło... — zastanawiał się

— jak to wyrazić, wyjaśnić, że przyjemnie odwiedzać starego Quigley’a bez Hebe?

„To prawdziwe dziecko ulicy. Jak ci ludzie mogą być tak nieodpowiedzialni?” — pomyślał Jim.

— Zatrzymałem się u Bernarda Quigley’a — powiedział, przypatrując się chłopcu. — Robiłem mu zakupy. Może chciałbyś go odwiedzić? Może jemu opowiesz o swoich kłopotach.

— Tak, chętnie — powiedział Silas. — Nie ma nic do opowiadania — dodał.

— No to ruszamy — Jim poprowadził go w stronę samochodu. Zastanawiał się, czemu się denerwuje i dlaczego zachowuje się jak szaleniec? Przecież ten chłopiec nic go nie obchodził. Ale kiedy wyjeżdżał z miasta z Silasem u boku, pomyślał: „dzięki temu poznam tę kobietę. Skoro znam jej syna, mogę wpaść później i zapytać o niego. Dzięki spotkaniu z nią pozbędę się dręczącego uczucia, które mnie prześladowa od chwili, gdy ją po raz pierwszy zobaczyłem. Kolejna pomyłka, bo ta tutaj to dziwka pierwszej klasy.”

Nie odzywali się do siebie podczas jazdy. Jim uznał, że mogą sobie darować próby towarzyskiej pogawędki. Silas pogrążył się w smutku pełnym nerwowego oczekiwania. Kiedy dotarli do samotnej budki telefonicznej, Jim poprosił chłopca, by otworzył bramę prowadzącą na pole.

— Farmer pozwala mi tu zostawiać samochód — wyjaśnił, zamykając drzwi.

Szli polem gęsiego. Jim prowadził, niosąc zakupy, a Silas podążał za nim. „Gdybym podbiegł — pomyślał — do skarpy nad morzem jest tylko pół mili. Mógłbym skoczyć i uniknąć wyjaśnień.” Zaczął wyobrażać sobie tę dramatyczną scenę. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu jednak, że mężczyzna idący przed nim pobiegłby szybciej od niego, złapał go i Silas wyszedłby na jeszcze większego głupka. W ponurym nastroju przemierzał pole za Jimem. W połowie drogi do domu spotkali Feathersa, który podskakiwał, machał ogonem i pisał z radości.

— Przeprowadziłem ci znajomego na lunch — Jim powitał tymi słowami Bernarda, stojącego na ganku i przyglądającego się, jak idą w deszczu. — Zatrzasnął się na dworze, nie miał klucza.

— Wchodźcie się wysuszyć — Bernard nie okazał zdziwienia. Położył Silasowi dłoń na ramieniu i skierował go do saloniku. Bardzo się przejął jego wyglądem. Najwyraźniej ktoś chłopca skrzywdził.

— Musimy ci znaleźć jakieś suche ubranie — powiedział. — Powinieneś się przebrać. Ale w pierw się napij. Tylko łyk koniaku. Nie cierpisz sherry, wiem, to też ci nie będzie smakowało, ale świetnie rozgrzeje.

Wlał trochę koniaku i podał kieliszek Silasowi.

— Nie wylej na dywan. Wypij.

Chłopiec zaczerwienił się i posłusznie wychylił alkohol. Bernard trzymał dłoń na jego ramieniu. Silas przestał myśleć o tym, że musi się rzucić ze skały w morze. Starzec czekał, aż chłopiec się uspokoi. W kuchni kręcił się Jim, rozpakowując zakupy, mówił coś do Feathersa, który, jak przystało na wrażliwego psa, pojękiwał i pisał w odpowiedzi.

— A teraz idź na górę do pokoju, pierwsze drzwi na lewo, i zdejmij mokre ubranie. Jim! — zawołał. — Znajdź Silasowi coś suchego do przebrania.

Jim przyniósł ręcznik.

— W tym się rozgrzejesz — podał chłopcu podkoszulek i gruby sweter. — Włóż to. I skarpetki. Gorzej ze spodniami. Spróbuj się tym owinąć — ściągnął z łóżka szal.

— Dziękuję — Silas zdjął mokre, przylegające do ciała ubranie i wciągnął podkoszulek oraz sweter, który sięgał mu do kolan. Owinął się szalem niczym sarongiem i włożył skarpetki.

— Lepiej zostań tutaj aż do powrotu mamy — zawołał z dołu Bernard.

— Mogę? — zapytał zdziwiony Silas.

— Oczywiście. Jak będziesz gotowy, zejdź na dół i usiądź z psem przy ogniu.

Jim stojący w kuchni przywołał go gestem i Bernard podszedł do niego.

— Coś tu zdecydowanie nie gra — wyszeptał do starca. — Co to za ludzie? Słyszałem o dzieciach, których się nie wpuszcza do domu i wiem, do czego to prowadzi. Co robi ojciec tego chłopca? Powinien zostać ukarany — powiedział podniesionym tonem, w którym słychać było oburzenie.

— Nie ma ojca. Mów ciszej.

— A matka jest, jak sądzę, prostytutką — powiedział drwiąco.

— Tak, zgadza się.

— A więc to ona powinna zostać ukarana. To przestępstwo, tak zostawić dziecko. Znalazłem go zapłakanego i drżącego z zimna przed zamkniętymi drzwiami. Był przerażony, bał się iść do sąsiadów. Co to za dziwka?

Bernard aż się krztusił, próbując powstrzymać chichot.

— Do diabła i co w tym śmiesznego? — warknął Jim.

— Silas miał pojechać do bogatego kolegi z klasy na wyspy Scilly. Pod jego nieobecność matka na pociechę pracuje jako kucharka u mojej przyjaciółki Louisy.

— U pani Fox, tej do której mnie posłałeś?

— Tak — Bernard wytarł nos w poplamioną tabaką chusteczkę. — Matka uwielbia chłopca i zaharowuje się...

— Jako prostytutka — złośliwie dodał Jim.

— Skoro się tak upierasz przy tym określeniu... by go kształcić w niewyobrażalnie drogiej szkole prywatnej. Kiedy nie pracuje, jak to ująłeś, jako prostytutka, gotuje starszym paniom. Zapewniam cię, że jeśli coś spotkało Silasa, zdarzyło się to na wyspach i najpewniej sam sobie tej biedy napytał. A odkąd zrobiłeś się taki purytański?

— Powie ci, co się stało? — Jim stracił cały impet.

— Znając jego matkę, szczerze w to wątpię. Przy niej ostryga wygląda jak sejf otwarty na oścież. A Silas wziął to po niej.

— No to co zrobisz?

— Zatrzymam go tutaj. I natychmiast dzwonię do Louisy.

— O, właśnie idzie — Jim usłyszał, że chłopiec schodzi na dół.

— Nie daruję sobie, że ci tak wiele powiedziałem — Bernard wydawał się zmartwiony swoim brakiem dyskrecji.

— Też potrafię się zmienić w ostrygę — odparł Jim, nasłuchując kroków Silasa.

Gdy chłopiec zszedł na dół, Feathers skorzystał z okazji, podskoczył i kładąc mu łapy na ramionach, zmusił go, by usiadł, a potem zaczął mu oblizywać twarz. Silas roześmiał się. Starzec i młodszy mężczyzna uśmiechnęli się z ulgą.

— Skręcisz sobie kark w tych skarpetkach. Jim, może da się coś z tym zrobić — powiedział Bernard, patrząc na stopy chłopca. — Siadaj, Silas.

Silas usiadł przy kominku, a Jim pokazał mu, jak zawinąć skarpetki, żeby mu nie przeszkadzały. Feathers węszył, czując zapach Jima wymieszany teraz z zapachem Silasa.

— Lunch! — zawołał Bernard. Poszli za nim do sąsiedniego pokoju. — Siadaj przy mnie — zwrócił się do Silasa. Chłopiec usiadł przy Bernardzie. Był głodny jak wilk. Jim postawił przed nim talerz zupy.

— Bierz się do jedzenia — powiedział Bernard i chłopiec posłusznie zaczął jeść.

— Poczekaj — zwrócił się do niego Jim. — To z puszeki, dodam ci kropelkę sherry.

— Ja...

— Wspaniale poprawi smak — Jim wlał odrobinę sherry do talerza chłopca. — Spróbuj.

Silas przełknął trochę zupy.

— Dobre, smakuje ci?

— Tak, dziękuję.

Nigdy wcześniej nie spotkał żadnego przyjaciela Bernarda. Wyobrażał go sobie jako wiecznego samotnika. Jadł zupę, czując się bezpiecznie z pyskiem Feathersa przytulonym do kolan i poruszał palcami w skarpetkach Jima.

Następnie jedli pieczoną rybę z koperkiem.

— Dziś wieczorem będziemy mieli pardwy, które ten cwaniak Jim znalazł w Salisbury. Jadłeś kiedyś pardwy? — spytał Bernard Silasa.

— Nie. Nigdy.

— Kupiłbym więcej, ale zostało tylko parę. Jakaś żarłoczna kobieta wykupiła niemal wszystkie. Sprzedawca mówił, że chciała je zamrozić. Na resztkach zrobię zupę.

— Ty i gotowanie — kpił Bernard. — Mama Silasa to specjalistka. Jemu niczym nie zaimponujesz.

Chłopiec spuścił wzrok. Wokół stołu powiało chłodem. Jim napotkał wzrok Bernarda.

— Kiedy Jim cię znalazł, myślałeś o samobójstwie, co? — zapytał korzystając z przewilejów podeszłego wieku. I nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Jima. — Kiedy ostatni raz chciałeś ze sobą skończyć? Ja już nie pamiętam, kiedy mnie to naszło. Takie pomysły z wiekiem tracą na atrakcyjności. Chyba minęło ze trzydzieści lat, odkąd poważnie się nad tym zastanawiałem. No — patrzył wprost na Jima — powiedz nam.

Wyczuwając stanowczość w jego głosie (czyżby Bernard miał nadzieję uleczyć w ten sposób rany chłopca?), Jim stanął na wysokości zadania.

— Jakiś czas temu wyobraziłem sobie, że się zakochałem.

— Ty! — kpił starzec, zachęcając go równocześnie. — Zakochany? — szydził.

— We Włoszech — powiedział Jim. — Zabrano mnie na przyjęcie. To było święto, fiesta, znasz ich zwyczaje, procesja, niosą figury świętych, chmara duchowieństwa, ministranci machają kadzielnicami, ludzie śpiewają i recytują litanie, zapach czosnku, wina, kadzideł, dzieci krzyczą w podnieceniu, matki wymierzają klapsy.

— Włosi nie biją dzieci — przerwał Bernard. — Ale mów dalej.

— Przyglądałem się procesji. To było w nocy, już wam wspominałem? Orkiestra dęta grzmiąca trum-taa-ta.

— No, dalej — ponaglał starzec, widząc ciekawość na twarzy chłopca.

— W mieście płonęły tylko świece, świece w każdym oknie, ustawione na parapetach. Działo się to w Lucca. Byłeś tam kiedyś?

— Nie.

— Patrzyłem z balkonu. Procesja wiła się wąskimi ulicami, co sprawiało, że nawet niskie domy wydawały się wysokie. W blasku świec wyglądały na jeszcze wyższe...

— Gdzie była ta dziewczyna?

— Jaka dziewczyna?

— No ta, w której się zakochałeś.

— Na ulicy, z grupą hipisów. Przy kramie, gdzie sprzedawali naszyjniki z orzechów laskowych. Widziałem, że bardzo chciała taki mieć. Zbiegłem na dół i dogoniłem ją. Poszliśmy razem. Kupiłem jej naszyjnik i włożyłem na szyję.

— Jak wyglądała?

— Bardzo długie ciemne włosy, długa sukienka, twarzy prawie nie widziałem. Wiesz, jak było w tamtych czasach, przez te włosy trudno było dojrzeć twarz. Ja sam nosiłem brodę.

— Pamiętam, żaloszny widok.

— To była era zapuszczania bród i długich włosów — bronił się Jim. — Dzieci-kwiaty i niesłychany urodzaj na owłosienie u obu płci.

— Co dalej?

— Spędziliśmy razem ten wieczór. Była urocza.

Silas słuchał jak urzeczony. Był z Jimem w Lucce, podążał za oświetloną blaskiem świec procesją, słyszał śpiew ludzi, muzykę. To było cudowne.

— Miała brązowe oczy, lekki krok. Byliśmy szczęśliwi. Wtem nagle jakby oszalała, biegła tak szybko, że z trudem za nią nadążałem.

— A potem?

— A potem — powiedział Jim ostrym tonem — wieczór się popsuł. Gdzieś rozgorzała bójka. Zgubiłem ją. Wszyscy uciekali, byle dalej od całego zamieszania.

— Więc się z nią nie kochałeś?

— Kochałem, przed bójką i ucieczką. Zniknęła. Jakby w ogóle nie istniała. Potraficie to zrozumieć? Może była tylko złudzeniem?

— Tak — westchnął Bernard. — Może była tylko złudzeniem.

— Kiedy jej nie mogłem znaleźć, chciałem się zabić.

— Uhhh — westchnął starzec. — Nie spotkałeś jej przed tą nocą?

— Nie, już ci mówiłem.

— I szukasz jej od tamtego dnia.

— Czasem mi się zdaje, że widzę jej cień.

— A to nigdy nie jest ona — Bernard pstryknął palcami. — Nigdy bym nie przypuszczał, że jesteś zdolny do takich uczuć. Może się napijemy kawy przy kominku?

— Łatwo sobie kpić — Jim wstał, by zrobić kawę. — Niektórzy z nas, oczywiście nie ty, są romantykami.

— Miałem swoje wielkie chwile — z godnością odparł Bernard.

Silas wybuchnął śmiechem. Rozbawiła go myśl, że starzec mógłby się znaleźć w romantycznej sytuacji.

— Nigdy nie popełniłem błędu i żadnej nie zgubiłem — zadowolony Bernard dołożył polano do kominka. — Kiedy już nie kochałem dziewczyny, tak wszystko układałem, żeby miłość zmieniała się w przyjaźń. W ten sposób zachowałem związki z niemal wszystkimi moimi ...*amours*.

— Jakim cudem?

— Kiedy chcesz się... eee... wycofać, tak wszystko aranżujesz, by to ona sądziła, że jej uczucia błędna. Ona zachowuje *amour propre**, ty zachowujesz swoją i pozostajecie przyjaciółmi. Zdaje egzamin — spokojnie ciągnął Bernard. — W każdym przypadku, poza jednym, między mną, a właściwie nawet wtedy... hmm, ale mówiliśmy o tobie. Jak miała na imię ta twoja dziewczyna?

— Nie wiem. Pytałem ludzi, z którymi była. Powiedzieli, że nie należała do ich grupy. Wcale mnie to nie zdziwiło, nie pasowała do nich. Wyglądali na narkomanów.

— A więc nie ma imienia. A narodowość?

— Rozmawialiśmy po francusku. Włoski znała słabo. Spytała: „mówisz po francusku?”. Tyle pamiętam. Może była Francuzką?

Bernard się roześmiał.

— Dziewczyna bez imienia i narodowości. Wymyśliłeś ją.

— Nie chciałbym zabić się dla bajki — sztywno odparł Jim.

* franc.: miłość własną (przyp. tłum.).

— Nawet nie opisałeś jej wyglądu.

— Mówiłem ci, miała długie ciemne włosy, brązowe oczy, śniadą cerę. Gdybym ją teraz zobaczył, może bym i poznał, ale jeśli się zmieniła, to chyba nie. Spotkaliśmy się w nocy, przy blasku pochodni. Kochałem się z nią w ciemnościach. Było cicho, w pobliżu był kościół, umilkł już gwar procesji. W tym kościele jest posąg czarnego Chrystusa — Jim wrócił myślą do Lucca.

Silas popatrzył na jego twarz, oświetloną z nagłą płomieniem, którym rozjarzyło się jedno z polan.

— Co się dalej stało? — wyszeptał.

— Szukałem jej całymi dniami. Żeby mieć pieniądze, pracowałem w barze. Nikt się nie przyznał, że ją widział. Mówiłem, że uciekała, opisywałem jak wyglądała. Mówili, że tamtej nocy wielu ludzi uciekało. Bójka w dzień świętego patrona to bluźnierstwo. To była wina cudzoziemców, hipisów. Myślę, że wyjechała z miasta.

Jim nalał kawy do filiżanek, jedną podał Bernardowi, a drugą chłopcu po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu. Silas wziął filiżankę, dodał mleko i cukier. Bernard kichnął.

— To bardzo budujące odkryć, że ludzie nadal się zakochują. Co było dalej?

— Postanowiłem nie popełniać samobójstwa, miałem romans z amerykańską blondyną, flirtuję na prawo i lewo — odparł Jim sucho.

— Ale ciągle jej szukasz? — podsunął Silas.

— Właśnie — spojrzał na chłopca i pomyślał: „Chyba już wrócił do siebie, czuje się bezpieczny, ale nie na tyle, byśmy mogli go zapytać, co się stało. Może nawet nie powie swojej puszczalskiej matce. Może nikomu nie powie, aż trafi się okazja, taka jak dziś, kiedy, by odwrócić uwagę od jego zmartwień, opowiedziałem o mojej ukochanej w Lucce.” — Czasem widzę kobietę, która mi przypomina tamtą dziewczyną. Ale to nigdy nie jest ona.

— To musi być męczące — powiedział Bernard niemal ze współczuciem.

— Dzięki temu się nie starzeję — stwierdził Jim. „I jestem kawalerem” — pomyślał nieoczekiwanie.

— Może i ona ciebie szuka — Silasowi spodobał się ten pomysł.

— Wątpię. Ostatni raz mnie widziała podczas bójki. Bardzo szybko uciekła.

Siedzieli, popijając kawę, Bernard na fotelu przy kominku, Jim naprzeciwko, a Silas, Feathers i kot u ich stóp. Na zewnątrz deszcz z chmur zgromadzonych nad Atlantykiem siekł bez miłosierdzia, zalewając półwysep. Pies mlaskał przez sen, śniąc o jakimś smacznym kąsku. Bernard z brzękiem odstawił filiżankę na spodeczek.

— Nigdy wcześniej nikomu nie wspominałem o tej dziewczynie — powiedział Jim napotykać jego wzrok.

„Przypuszcza, że nie uwierzyłem, że to się zdarzyło” — pomyślał Bernard. „Równie łatwo go zranić, jak chłopca.”

— Tym większą okazałeś wspaniałomyślność, mówiąc nam o tym — stwierdził.

„Teraz poczlapię przez pola do telefonu i przekażę Louisie wiadomość o Silasie” — pomyślał. „Ona powie Hebe. Muszę odczekać, aż zrobi się późno. Nie starczy mi siły, by dwa razy człapać przez pola. Musimy uważać, by Hebe się nie przestraszyła, bo mogłaby nieostroźnie prowadzić samochód w drodze do domu.”

Rozdział dwudziesty trzeci

W budce telefonicznej przy przystanku autobusowym Bernard wykreślił numer Louisy i słuchał sygnału, którego dźwięk poderwie ją na nogi w Wiltshire.

Wiele lat temu, wiedząc, że jest z mężem w Londynie, przyszedł do jej domu i, podając się za agenta od ubezpieczeń przeciwpożarowych, obszedł wszystkie kąty. Obejrzał także ogród. By nie wzbudzać podejrzeń, poprosił służącą, żeby mu towarzyszyła. Dzięki tamtej wycieczce, gdy rozmawiał z Louisa, mógł ją sobie wyobrazić na tle otoczenia: najpierw głęboko zasmuconą po nagłej, nieoczekiwanej śmierci męża, a dziś już pogodzoną z losem. Choć była zmuszona do oszczędności, cieszyła się z ogrodu, psów, a ostatnio z radosnych wizyt Hebe, przynoszących rozkosz jej podniebieniu. Oczywiście wyobraźni widział ją w salonie, którego balkonowe okna wychodziły na ogród. Kiedy dzwonił w nocy, wyobrażał ją sobie leżącą w łóżku, obok stolik z książkami z biblioteki, zegar, lekarstwa i okulary. Czasem zapominał, że się zestarzała i wyobrażał ją sobie jako młodą dziewczynę, która z takim zapałem dzieliła z nim łoże i jadła śniadanie w „Hotel d’Angleterre”.

— Halo — usłyszał wyraźnie głos Louisy. — Bernard?

— Tak — zawsze potrafiła odgadnąć, że to on.

— Kochany Bernardzie, mam ci tyle do opowiedzenia, serdecznie się uśmiejesz

— aż kipiała z zadowolenia.

— Hebe jest u ciebie? — przerwał jej stanowczo.

— Oczywiście, że jest. O co chodzi?

— O jej syna. Wiesz, że ma syna?

— Ona nie wie, że ja wiem. Przecież potrafię trzymać język za zębami.

— Louisa, on jest u mnie.

— U ciebie? Dlaczego? Bardzo dziwne.

— Hebe pozwoliła mu wyjechać do jakichś kolegów szkolnych z lepszego towarzystwa na wyspy Scilly.

— Wiem. Powiedziałeś mi, że dlatego do mnie przyjechała. Co się stało?

— Jim Huxtable, pośrednik między nami...

— On? Lubię go. Podoba mi się jego wygląd. I dobre maniery — miała ochotę porozmawiać o Jimie.

— Znalazł chłopca siedzącego na progu, oczywiście domu Hebe, bez klucza, we łzach. Nie wiedział, co robić, chłopiec mu nie chciał nic powiedzieć, więc Jim go przywiózł do mnie. Jest teraz w moim domu.

— Ale co się stało?

— Nic nie mówi. Zupełnie jak matka, zamknięty niczym ostryga. Nawet go nie pytałem.

— Może coś strasznego? Został zgwałcony? Czyta się o takich okropnych historiach w gazetach.

— Nie, nic w tym stylu. Uciekł, tyle wiem, i potrzebuje matki.

— Oczywiście, że tak! — zawołała.

— A więc, kochanie, czy powiesz Hebe, żeby pędziła do domu? Ale niech uważa po drodze.

— Oczywiście, że tak. Nie musisz mówić takim tonem.

— I po co ludzie mają dzieci, przecież to tylko kłopot — marudził Bernard.

— Daj spokój, tylko dlatego, że my...

— Lepiej trzymajmy się tematu.

— Świetnie — powiedziała Louisa i zamilkła.

„Zrobiłem jej przykrość” — pomyślał Bernard. Zawsze chciała mieć dzieci. Gdybyśmy się tak pobrali...”

— Jesteś tam? — spytał.

— Tak. Myślałam, że choć to dla Hebe powód do zmartwienia, jednak będzie zadowolona, że nadarzyła się okazja, by skrócić swój pobyt.

— Dlaczego? Przecież zawsze ogromnie się cieszyła na przyjazd do ciebie.

Louisa opowiedziała mu, a jej historia z każdym słowem nabierała kolorów, o wizycie Munga i Rory’ego, którzy zjawili się równocześnie, w jej domu.

— Gdybyś wcześniej zadzwonił, powiedziałabym ci o Rorym. Zajrzała przypadkiem po drodze do jego sklepu z kapeluszami. On jest *epris**. Wszystko szło ładnie, aż tu zjawia się Mungo. Och, Bernardzie, ona była wspaniała, taka pewna siebie. Każda dziewczyna w jej sytuacji powinna z niej brać przykład. Co za nerwy.

— Można i tak na to spojrzeć.

— Powiem jej rano. Musi się wyspać.

— Jeśli to wszystko prawda, ona nie śpi, tylko się zamartwia.

— Przecież zrobiłam, co mogłam, by się ich pozbyć.

— Wróć, nie da się ich utrzymać z daleka. Jeden może by i ustąpił, ale nie dwóch. Będą nieufni i zazdrośni o siebie nawzajem.

— Tak sądzisz? Ty byś był? — zapytała rozbawiona.

— Idź i ją obudź, Louiso. Musi wracać, dziecko jej potrzebuje. Pośpiesz się.

— Dobrze, dobrze.

— Nie mogę go u siebie trzymać w nieskończoność.

— Ależ z ciebie egoista. A co z Amy Tremayne i tą małą Hannah?

— Jim twierdzi, że chłopiec nie chce do nich iść. Pewnie boi się kpin.

— Dobrze, zaraz ją obudzę. Bernard, kochanie?

— Tak, Louiso.

— Zadzwonił jeszcze i powiedz...

— Że cię kocham? — roześmiał się. — Wiesz, że tak jest. Kocham cię.

— Tak, ale powiesz mi, co tak przeraziło chłopca.

— Oczywiście, jeśli się tylko dowiem. Dobranoc, Louiso.

— Dobranoc, ukochany — powiedziała i wyłączyła się. Bernard odłożył słuchawkę na widelki. „Był czas, że mówiliśmy: »Dobranoc, ukochany« i naprawdę tak myśleliśmy. Czyżby czas pozbawił mnie uczuć? Ależ w tej budce cuchnie.” Stał przez chwilę w otwartych drzwiach, wdychając wilgotne powietrze nocy, zażył szczyptę tabaki i ruszył przez pola, głośno kichając.

Idąc widział oczyma wyobraźni, jak Louisa wyskakuje z łóżka, zakłada peniuar z koronek na atłasowym spodzie, który razem wybierali, podąża śpiesznie korytarzem i w górę po schodach (pamiętał, że wisiały tam bardzo interesujące grafiki), żeby zapukać do drzwi pokoju Hebe i obudzić ją. Co powie, jak jej przekaze tę wiadomość? Bernard roześmiał się ponuro. Była już stara, pewnie nosiła wełniany szlafrok. Zmieniła się. Dawniej nie lubiła innych kobiet, obawiała się potencjalnych rywalek. Przyznał, że miała rację, przecież spotkała go z inną. Miała powody do zazdrości. „Ale ją zawsze najbardziej kochałem” — pomyślał, przedzierając się przez mokrą trawę — „albo prawie najbardziej. Nie powinna była jednak robić tyle zamieszania wokół tej dziewczyny; spałem z nią tylko raz, nawet nie pamiętam jej imienia. A teraz — rozmyślał dalej, dostrzegając zarys domu w świetle księżyca — lubi inne kobiety, zaprzyjaźniła się z matką Munga, kochanka Hebe. Nigdy się nie dowiedziała o moim z nią wyskoku. I kocha Hebe”. Kiedy

* franc.: zakochany (przyp. tłum.).

przeciskał się przez szparę w płocie, pomyślał z zadowoleniem, że choć on mógł sobie wyobrazić Louise w jej otoczeniu, ona nigdy nie widziała jego domu. I tu miał nad nią przewagę. „Kiedyś potrafiliśmy rozmawiać o miłości przez całą noc, a dziś rozprawiamy o naszej ukochanej prostytutce” — myślał głaszcząc na powitanie łeb Feathersa. „Mam nadzieję, że będzie jechała ostrożnie. To długa droga, a ona się martwi. Może powinienem wysłać po nią Jima? Choć nigdy nie chciałem mieć dzieci, ale ją kocham jak ojciec lub dziadek”. Nogą odepchnął kotkę, by dołożyć polano do przygasającego ognia. „Bogu dzięki, nie jestem obleśnym staruchem podszczypującym krągłe pośladki i gmerającym pod spódniczkami. W kwiecie wieku pokazałem, co potrafię. Wspomnień wystarczy mi do grobowej deski”.

— Jeszcze nie śpisz? — zawołał cicho do Jima, siedzącego w sąsiednim pokoju.

— Nie. Chłopiec już śpi. Matka przyjedzie?

— Tak, Louisa jej powie.

— Uprzedzimy o tym chłopca?

— Lepiej nie. W razie jej spóźnienia zamartwiałyby się na śmierć.

— Idę do łóżka. Dobranoc — powiedział Jim i poszedł na górę.

Bernard usiadł w swoim ulubionym fotelu z Feathersem u stóp, strzygącym uchem, gdy nowe polano zapłonęło, sypiąc iskry. Starzec słuchał trzasku płonącego drewna i przyglądał się płomieniom. Myślał o Louisie. Czy była szczęśliwa? Czy byłaby szczęśliwsza, gdyby się nie upierał, że ich miłość w swej potędze gardzi konwenansami?

Nieśmiało protestowała. Może był to tylko pretekst, aby ocalić kawalerską wolność, którą tak cenił? Wyszła za męża posłuszna konwenansom. Wiedział, że kochała męża. „Ale nie tak, jak mnie” — stwierdził z zazdrością. Pogłaskał kotkę, która wskoczyła mu na kolana.

— Nadal kocha mnie najbardziej — mruknął do obojętnie słuchającego zwierzątka. — Dobrze jest tak, jak jest. Jesteśmy starzy, ja jestem bogaty, pomagam jej.

Podobała mu się taka rola. „Wysłałem jej pieniądze, nie wie, że gdy ją bieda przyciśnie i czegoś się pozbywa, zatrzymuję to tutaj udając, że sprzedałem. Kiedyś, gdy umrę, wszystko to dostanie z powrotem — swoje pierścionki, śmieszny, ale cenny diadem. Zostawiłem to dla niej, taka pożegnalna niespodzianka.” Myśląc o Louisie, zaczął przeklinać starość, figle płatane przez pamięć, słowa, które się zapomniało i ludzi odchodzących w niepamięć. Na przykład, kim była ta dziewczyna, z którą jadł kolację w hotelu, kiedy powiedział Louisie, że ma grypę. Spędził z nią noc, a Louisa dowiedziała się o wszystkim. Pamiętał, że w nocy nie okazała szczególnego entuzjazmu, ale nie mógł sobie przypomnieć jej imienia i twarzy? Louisa zrobiła mu scenę. Nie była to pierwsza dziewczyna.

— Kiedyś często się miewało „grypy” — powiedział do Feathersa, który złożył łeb na kolanach pana. — Niestety, dziś się już ich nie dostaje.

Pies mruknął coś ze współczuciem.

— Tak bardzo ją kochałem — pogładził psią mordę. — Ale nie umiałem powstrzymać się od „gryp”. A ona nawet dziś nie potrafiłaby się z tego śmiać.

Rozdział dwudziesty czwarty

To niemile, zostawić ich w wyjściowych ubraniach, aż ktoś się nad nimi zlituje. Bardzo niemile. Trzymając kurczowo kierownicę, Hebe jechała na zachód, wracając do Silasa. Przeklinała samą siebie, że podjęła pracę u Louisy, kiedy powinna czekać w domu w razie, gdyby jej potrzebował. Była taka samolubna. Nękana wyrzutami sumienia, minęła zjazd na

szybszą, mniej krętą drogę do Exeter. Przejechała wiele mil, nim zauważyła fatalną pomyłkę. Na powrót straci więcej czasu, lepiej jechać dalej, modląc się, by wakacyjny tłok na szosie nie okazał się zbyt wielki. „Na pewno jest z Amy albo z Hannah i Gilesem. Zajmą się nim do mojego powrotu” — powtarzała sobie. Siedziała wyprostowana i napięta. Pas bezpieczeństwa uciskał ją w ramię. Postanowiła się odprężyć i jechać wolniej. To by nie było miłe, gdyby miała wypadek.

„Miłe” — to niezbyt odpowiednie słowo. Jechała, czując, że spotkanie, do którego doszło przed chwilą, wstrząsnęło nią.

Wcale się nie zmienili; nie są miłsi niż kiedyś. Włożyła jakiś straszny kapelusz, a on ubrał się wytwornie, widać na jakąś uroczystość. „Przecież nadal są moimi dziadkami” — pomyślała z mieszaniną miłości i od dawna tłumionego bólu. „Czyż nie przeglądałam nekrologów w »The Times«, mając nadzieję, że umarli?” Zdumiała ją siła jej uczuć. „Co za nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że oni również wybrali tę drogę. Gdybym pojechała inaczej, już bym była znacznie bliżej Silasa. Tego mi jeszcze brakowało”. Zatrzymała samochód przy budce telefonicznej i pochyliwszy się nad kierownicą, przeżyła na nowo scenę, która przed chwilą się rozegrała.

Samochód starszusków zderzył się z land roverem. Farmer kłął, dziadek był wściekły. Zapytała, czy może w czymś pomóc. Nie poznali jej. Powiedział: „Moglibyśmy poprosić tę panią, żeby zadzwoniła w naszym imieniu do warsztatu”. Jego głos brzmiał bardzo pompatycznie, nieco inaczej niż kiedyś. Czyżby miał nowe zęby, lepiej dobrane niż poprzednie? I nowego psa. Przyleciał, machając ogonem. Zapytała, jak się wabi i zobaczyła, jak starzec gwałtownie unosi głowę. Poznał ją. Usłyszała, że zawołał psa tonem, którego używał, kiedy chciał powstrzymać zwierzę od wytarzania się w czymś cuchnącym. „Jakby się obawiał, że go czymś zarażę” — pomyślała ze zdumieniem. — Zadzwońię po pomoc drogową — powiedziała. Była uprzejma. I dodała: — Ładny pies. Do widzenia. „Szkoda — pomyślała ze złością — że nie powiedziałam: Poszukam czarnego nicponia, narkomana z brudem za paznokciami, żeby wam zreperował samochód”. Spojrzała na budkę telefoniczną, przekreśliła kluczyk w stacyjce i zapaliła silnik. Niech ktoś inny się nimi zajmie. „Tracę czas, a muszę przecież wracać do Silasa. Zresztą telefon jest pewnie zniszczony przez wandalów” — rozgrzeszyła się, naciskając gaz i ruszając w drogę.

„Wychowali mnie na miłą dziewczynę” — pomyślała. „To nieładnie z mojej strony, ich zostawić. Są przekonani, że zadzwonię po pomoc drogową. Na pewno przyjedzie ktoś inny i zachowa się uprzejmie.” Nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. „Louisa Fox była tak miła, kiedy obudziła mnie, gdy tylko zdołałam zasnąć. Naprawdę miła.” Hebe uśmiechnęła się na to wspomnienie.

— Hebe, strasznie mi przykro, że cię muszę obudzić. Mam ci do przekazania wiadomość, że twój syn wrócił z wysp Scilly. Nic mu się nie stało, ale potrzebuje ciebie. Musisz do niego jechać — powiedziała Louisa. Ogarnął ją szalony niepokój.

Kiedy wyskoczywszy z łóżka, zaczęła się za pakować, Louisa dała jej pieniądze, znacznie więcej, niż się należało. Nie zwracała uwagi na protesty Hebe i powiedziała coś o szczęściu w nieszczęściu, że musi wyjechać wcześniej. Była to oczywiście aluzja do duetu Mungo-Rory, który wprowadził zamieszanie w szeregach członków „syndykatu”. Louisa wyglądała na rozbawioną. Napomknęła coś o mniejszej ilości potraw, ale o większej zabawie.

Tak, Louisa była miła. Nie tak jak oni, ale prawdziwie, z głębi serca. Zmusiła ją do zjedzenia śniadania i w szlafroku stała na schodach, trzymając Rufusa, który chciał pojechać z Hebe. Wcześniej wskoczył do samochodu i musiały go wyciągać. Louisa trzymała go za obrożę i machając drugą ręką, zawołała: „Daj mi znać, co się z nim stało. Przyjedź znowu. I uważaj na niedzielnych kierowców. Pojedź skrótem do autostrady.”

— Przeklęty skrót. Gdybym nim nie pojechała, tobym na nich nie wpadła. Oni też pewnie

uważali, że mądrze zrobili wybierając tę drogę — mówiła do siebie. „Bardzo niemiłe spotkanie. Miłe, niemiłe. Mili ludzie. Odpowiedni ludzie” — niemal słyszała ich głosy.

„Louisa jest miła i odpowiednia. Nie lubi mojego dziadka”. Przypomniała sobie jej delikatną aluzję; tak naturalnie przyjęła do wiadomości istnienie Silasa i nie zadawała wścibskich pytań.

„Może powinnam zadzwonić do Amy lub Hannah? Czemu tego wcześniej nie zrobiłam? To właśnie oznacza oszaleć z niepokoju” — pomyślała Hebe. „Chcę tylko jednego — jak najszybciej wrócić do niego. Przeszanę się martwić dopiero, jak go zobaczę. Dlaczego przysłał mi kartkę: »Wspaniale się bawię. Żałuj, że cię tu nie ma«. Co to znaczy? Przestań, staraj się myśleć o czymś innym.”

O czym? Co zagłuszy jej potrzebę zobaczenia brązowych oczu, wąskiego nosa, potarganych włosów Silasa, przytulenia, objęcia go? „Wpadnę na coś, jeśli nie zacznę myśleć o czymś innym”. Była bliska łez.

Dlatego postanowiła myśleć o dziadkach, swoim dzieciństwie, wychowaniu, jakie otrzymała. Zmusiła się do przypomnienia sobie nieznośnie nudnych długich posiłków, kiedy się zastanawiała, o czym rozmawiać, który temat będzie neutralny i nie sprowokuje kłótni. Jeśli o politykach, to wyłącznie o konserwatystach; o literaturze — niebezpieczny temat, zbyt wielu pisarzy było lewicowych albo nie prowadzili przyzwoitego życia lub pisali o niemiłych ludziach; ogródek to wprawdzie bezpieczny temat, ale mógł doprowadzić do prośby, żeby coś wypielila, zasadziła parę krzaków i temu podobne nudziarstwa. Nie była amazonką. Konie. Jej siostry, nim powychodziły za mąż, w czasie posiłków niemal wyłącznie rozprawiwały o koniach, polowaniach, wyścigach, gonitwach. Psy, tenis, golf, brydż — to tematy bezpieczne, ale niezwykle banalne. Przyjęcia? Jeśli wydawali je mili ludzie i można było poznać odpowiednich mężczyzn. Był to eufemizm oznaczający tych, którzy nadawali się na mężów, nagroda dla dobrze wychowanych pańien. Więc kiedy nie zdała matury, zaproponowała, że pójdzie na kurs gotowania Cordon Bleu mówiąc, że spotka tam miłe dziewczęta. Nigdy im nie przyszło do głowy, że w gotowaniu widziała dla siebie drogę ucieczki. Powinna być im wdzięczna za wysłanie jej tam. Przecież nie musieli tego robić. Dlaczego nikt mu nie powiedział, że do zębów przykleił mu się kawałek kapusty? Hebe, jadąc z bezpieczną szybkością, choć może jednak trochę za szybko, wymamrotała do siebie: „Ach, krewni!”. Kto był spokrewniony z kim i przez kogo, zawsze przyzwoici ludzie albo spowinowaceni z właściwą rodziną. Zubożałe ziemiaństwo, utytułowani. Hebe z uśmiechem dodała gazu. Więc czemu się dziwiła, że wybuchnęli na temat brudnych paznokci, brody, gitar, bosych nóg, Murzynów, kolczyków, długich włosów i komunistów? Czyż nie przerażało ich rozpustne społeczeństwo? „Jaka ja byłam naiwna, ograniczona jako szesnastolatka” — kpiła z siebie samej. „Uważałam, że jestem im bliska. Może nie tak bardzo jak moje siostry, ale dość, by mi pomóc, gdy zaszłam w ciążę. Uważałam, że będę wyjątkowa i zachowam dziewictwo. Cóż za ironia”. Zwolniła, bo utknęła w długim rzędzie samochodów, posuwających się wolno za trzema potężnymi ciężarówkami, których nikt nie mógł wyminąć. Tak wiele pojazdów zmierzało na zachód, że droga została całkiem zablokowana. Rozmawiała ze sobą i coraz bardziej się denerwowała. Wybijiała na kierownicy rytm, recytując do taktu:

— Dziewictwo, ach, dziewictwo, gdzie, kiedy cię straciłam?

Samochody jadące na wschód również się zatrzymały. Hebe śpiewała. — Dziewictwo, gdzie cię straciłam? Do licha, przecież nie tak, jak się gubi portmonetkę!

— Bolało? — zapytał mężczyzna, który jadąc fordem cortiną w stronę Londynu, znalazł się przy jej samochodzie.

Zamknęła okno. „Jeszcze mi brakowało podrywki. Mogą mnie aresztować.” Samochody ruszyły. „Nazwał mnie dziwką” — myślała. „Tak powiedział. Może siedząc w surducie i cylindrze na poboczu, przypomni sobie te słowa. Może i ona, ubrana w kwiecistą suknię, też

będzie pamiętać. Tamtego dnia wcale nie byli mili.” Na wspomnienie dziadków łzy popłynęły z jej oczu. Końcem języka zlizwała słoń kropkę. Pojazdy przyśpieszyły. Mogła teraz wyminąć ciężarówkę. Jedno pasmo na szosie było zamknięte, dlatego powstał korek. Dodała gazu. Gnało ją pragnienie, by wrócić do domu, do Silasa.

Pędząc autostradą A30, była zadowolona, że zmusiła się do myślenia o dziadkach. Zbyt długo odpychała od siebie te wspomnienia. „Powinnam zebrać się na odwagę i powiedzieć im, że mają ślicznego wnuka — bękarta. Ale ze mnie idiotka, zapewniam mu takie samo wykształcenie, jakie oni mi dali. Też jestem snobką. Gardzę wymową Hannah, ale nie chcę, żeby Silas mówił jak Giles. Posłałam go do szkoły, w której zaprzyjaźni się z odpowiednimi ludźmi, mogącymi zaprosić go na wakacje na wyspy Scilly. Tymczasem coś mu się tam przydarzyło, coś niemiłego”. Podczas długiej jazdy doznała katharsis, co ją osłabiło, ale przywróciło też jasność umysłu. Na tyle się uspokoiła, że pomyślała z ironią o Mungu i Rorym jako odpowiednich, miłych mężczyznach nadających się do „syndykatu”, a domy Lucy Duff i Louisy Fox uznała za odpowiednie, takie, w których można spokojnie pracować.

Była bardzo zmęczona i zdenerwowana, a kiedy pokonywała ostatni odcinek drogi prowadzący do Penzance, niecierpliwość wzięła górę nad opanowaniem. Z ulgą skręciła w górę, na stromą, obrzydliwą ulicę, zabudowaną domami z ciemnej cegły. Z rykiem silnika podjechała pod swój dom, gwałtownie zahamowała i wyskoczyła z samochodu. Wbiegła do środka wołając:

— Silas, kochanie, wróciłam!

Trip spojrzała na nią z fotela, niezadowolona, że jej przeszkadzają. Ani śladu Silasa. Wszystko pokrywała cienka warstwa kurzu. Nic się nie zmieniło od jej wyjazdu, a na swoim łóżku zobaczyła wgłębienie świadczące o tym, że Trip właśnie tutaj sypia. Pokój Silasa był posprzątany i pusty. Otworzyła okno, wpuszczając sierpniowe powietrze. Pewnie jest u Amy. Napełniła miskę kotki świeżą wodą i pochyliła się, by ją pogłaskać. Trip ruszyła do ogródka, dając jej do zrozumienia, że jest czymś bardzo zajęta. Hebe przebiegła przez ulicę do domu Amy i wpadła do środka.

— Cześć, Amy.

— Wróciłaś wcześniej! — Amy podniosła się z fotela, aby ją pocałować.

— Nie ma u ciebie Silasa? — zapytała Hebe i cofnęła się.

— Silasa?

— Jest u Hannah, prawda?

— Przecież pojechał na wyspy i ma tam spędzić parę tygodni. Czemu zostawiłaś Louise? — Amy wstała z fotela. — Napijesz się herbaty? — powiedziała, po czym przyjrząwszy się Hebe uważniej dodała: — Coś się stało?

— To ty dzwoniłaś. Wróciłam natychmiast. Jest z Hannah i Gilesem?

— Nie dzwoniłam.

— A więc to Hannah, na pewno jest u niej. Idę do niej.

Amy chwyciła ją za rękę.

— Po co miałam dzwonić? Jaką wiadomość dostałaś? Co się stało?

— Przekazano mi, że Silas wrócił i że mnie potrzebuje. Oczywiście pomyślałam, że to ty dzwoniłaś. W taki razie jest u Hannah — zaczęła ją ogarniać panika.

— Hannah nie wie, gdzie byłaś. Chyba że ma dar jasnowidzenia.

— Pójdę ją zapytać.

Wybiegła zostawiając drzwi otwarte i popędziła do Hannah, a jej niepokój przerodził się w paniczny lęk. Wpadła do domu przyjaciółki. Pusty salonik, kuchnia i ogród. Wbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Z sypialni dobiegały dźwięki utworu Bacha.

— Hannah! — zawołała Hebe, wpadając do pokoju. Otwarte okno było zasłonięte, rozlegała

się radosna muzyka, Hannah i Terry leżeli zadowoleni na łóżku, słuchając radia. — Jest z Gilesem?

— Kto jest z Gilesem? — Hannah wyłączyła radio.

— Hej, Hebe — Terry, który leżał na wysoko spiętrzonych poduszkach, obejmując ramieniem Hannah, uśmiechnął się do Hebe. Nie zwracała uwagi na ich szczęśliwe twarze, nagość, ubrania rozrzucone na podłodze. — Stoisz na moich najlepszych majtkach.

Hebe kopnęła je, a ponieważ zaplątały się wokół obcasa, niechcący je rozerwała.

— I proszę, porwałaś.

— Gdzie jest Silas? — stanęła nad nimi. — Przekazałaś mi wiadomość. Wróciłam. On mnie potrzebuje.

— Siadaj — Terry chwycił dłoń Hebe i pociągnął ją na łóżko.

— Wyglądasz, jakby ci coś padło na mózg.

— Muszę go znaleźć. Przekazałaś mi wiadomość — mówiła błagalnym tonem.

— Nie, skarbie — Hannah usiadła. Wyglądała na zmartwioną.

— No to kto? — powiedziała podniesionym głosem Hebe.

— Powiedz, o co ta afera — Terry ujął ją za rękę.

Opowiedziała im o telefonie i o swojej podróży.

— Może ktoś sobie robi dowcipy? — podsunęła Hannah.

— Niemożliwe. Myślałam, że to Amy dzwoniła, ale ona zaprzecza. Tylko ona знаła mój numer.

— Silasowi nie dawałaś?

— Oczywiście, że dałam, ale wiadomość nie pochodziła od niego, tylko go dotyczyła — powiedziała łamiącym się głosem.

— Lepiej się ubierzmy — Hannah wyszła z łóżka. — Terry, pośpiesz się.

Hebe siedziała, obserwując ich.

— Nie masz nic przeciwko temu? — Hannah zapięła suwak spódnicy.

— Przeciwko czemu?

— Nam, Terry'emu i mnie?

— Dlaczego miałabym coś mieć? Och, przepraszam, w pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co pytasz. Jeśli wam dobrze, to cudownie.

— A nie mówiłem ci — Terry zwrócił się do Hannah. — Miała nadzieję, że będziesz zazdrosna — wyjaśnił.

Hebe uśmiechnęła się słabo.

— Obie tam jesteście? Zaparzę herbatę! — zawołała Amy z dołu.

— Herbatę! — niemal krzyknęła Hebe. — Herbatę!

— Tak, właśnie herbatę — Terry ujął ją za ramię. — Pójdziemy do Amy i tam się zastanowimy, co robić dalej. Kiepsko się ostatnio czuje, pukadełko nawala.

Do Hebe najwyraźniej nie docierało znaczenie jego słów. Amy gestem nakazała mu milczenie.

Gdy podchodzili do domu staruszki, na końcu ulicy pojawił się Giles z naręczem drewna wyrzuconego przez fale.

— Giles może coś wiedzieć — powiedziała Hebe.

Czekali, aż ten wolnym krokiem wejdzie na górę. Terry wybiegł mu na spotkanie, zabrał część szczap. Widziały, jak pyta chłopca, a ten potrząsa głową.

— Siadaj, wyglądasz na zupełnie wykończoną — Amy wprowadziła Hebe do domu. — Siadaj. — Nalała herbatę i podała jej. — Pij.

Patrzyli, jak pije.

— Lepiej?

- Niewiele — Hebe pokręciła głową.
- Może trzeba zadzwonić to tej pani na wyspach? — zaproponował Giles. — Może wiedzieć, dlaczego wyjechał, jeśli to rzeczywiście zrobił.
- Ależ ze mnie idiotka! — Hebe poderwała się na równe nogi.
- Zatelefonuję z domu, tak będzie prościej — powiedziała i wybiegła.
- Czy nie powinniśmy... — Hannah wstała, gotowa, by iść za nią.
- Nie, zostaw ją — stwierdziła stanowczo Amy. — To osobista sprawa.
- Mówi Jennifer Reeves — nic nie zakłócało rozmowy. Głos niewidocznej Jennifer Reeves brzmiał, jakby stała obok Hebe.
- Tu Hebe Rutter.
- Aha — głos Jennifer był lodowaty. — Nareszcie — dodała tajemniczo.
- Dotarła do mnie wiadomość o Silasie...
- Czy chce przeprosić? — zapytała Jennifer ostro, lodowatym tonem.
- Nie rozumiem — powiedziała Hebe ze zdumieniem.
- A więc nie przyznał się? Wcale mnie to nie dziwi. I jak się wytłumaczył? Nie mamy zwyczaju zapraszania takich dziwacznych chłopców.
- Dziwacznych chłopców? — Hebe poczuła, że krew uderza jej do głowy.
- Bardzo dziwacznych, delikatnie mówiąc. Biedny Michael go zaprosił, a poza tym było jeszcze dwóch bardzo miłych...
- Miłych? — w Hebe narastał gniew i podejrzenia.
- Bardzo miłych chłopców. Odpowiednich, wprawdzie nie z tej samej szkoły, co Michael i pani syn, ale...
- Odpowiednich? — czy ta kobieta naprawdę używała tych słów?
- Oczywiście niedługo wszyscy pójną do tej samej szkoły. Mówię o Ianie i Alistairze, nie o pani synu. Nie wiem, jaka szkoła go weźmie. Oczywiście, że nie Eton.
- Ja...
- Radziłabym, żeby go pani nauczyła dobrych manier, powinien napisać i przeprosić.
- Za co? — Hebe z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć.
- Za swoje zachowanie, wulgarny język, zamieszanie, łagodnie to określając. Niegrzeczne zachowanie wobec mnie i mojego męża...
- Czy pani chce...
- Chcę powiedzieć, że bardzo się martwiliśmy, dopóki kapitan przystani z St. Mary nam nie powiedział, że widział, jak Silas wysiadał z łodzi, która przyплыnęła z Trescoe i poszedł na lotnisko helikopterów. Sądziłyśmy, że mogły go spotkać jakieś nieprzyjemności.
- Najwyraźniej tak się stało — ostro wtrąciła Hebe.
- Co pani powiedziała? — Jennifer aż się zachłysnęła.
- Powiedziałam, że najwyraźniej tak się stało. Jakieś nieprzyjemności.
- Pani Rutter...
- Czy przekazała mi pani wiadomość?
- Oczywiście, że nie. Chłopiec był sam w sobie wiadomością — roześmiała się, zadowolona z własnego dowcipu. — Aha, zostawił swój bagaż. Nie potrafi również porządnie się spakować.
- Hebe rozwścieczyło słówko „również”.
- Wcześniej wracamy z wakacji. Jeśli byłaby pani we wtorek na lotnisku, mogłaby to pani odebrać. Zatem uważam, że pani tam będzie.
- Hebe odłożyła słuchawkę. Cała się trzęsła.
- Więc kto to w końcu przekazał wiadomość? — Terry objął ją w pól.

- Słyszałeś?
- Nie oczekuje gorących podziękowań, co? — pocałował ją w czubek głowy.
- O mój Boże! — Hebe oparła się o niego. — Co się mogło stać? Gdzie on jest?
- Zacznijmy od początku, zadzwoń do starszej pani, u której pracowałaś i poproś, żeby ci powtórzyła wiadomość.

Gdy telefon zadzwonił, Louisa go nie odebrała. Była w końcu ogrodu, siedziała na ławce ze stopami opartymi wysoko, otoczona kochającymi psami i upajała się słonecznym popołudniem, wsłuchana w koncert Bacha nadawany przez radio.

Rozdział dwudziesty piąty

Mungo ocknął się, słysząc dzwony. Był w nieznanym pokoju. Przez zasłony sączyło się światło. Zamknął usta, wyschnięte od chrapania. Wciągnął powietrze przez nos. Zapach czyichś włosów wzbudził jego ciekawość i w półśnie poruszył jego zmysły. To nie był zapach Alison, do którego przywykł, nim zaczęli sypiać w oddzielnych łózkach. Nie był to również zapach Hebe. Ze zgrozą przypomniał sobie, że znajduje się w domu Rory'ego, w jego łóżku. I rzeczywiście, obok niego słodko spał Rory z głową złożoną na jego ramieniu, odprężony i spokojny. Jakby czując spojrzenie kuzyna, z ufnością przysunął się bliżej.

Słuchając bicia dzwonów, Mungo stopniowo odtworzył w pamięci wydarzenia poprzedniego wieczoru. Musi już być późno. Miał coś zrobić, coś zaplanować, ale co? Przypominał sobie matkę, z jak przerażającą prostotą podeszła do tego, co określała jako ucieczkę Alison. Dzwoniąc do Santa Barbara, kazała mu wyjść: „Zostaw to mnie. Krępujesz mnie, kiedy słuchasz. Zawołam, jak cię będę potrzebowała”. Zszedł na dół, żeby słuchać z drugiego aparatu, ale siedziała przy nim panna Thomson. Trochę go pocieszyło, że dopóki był w pokoju, ona również nie mogła podsłuchiwać. Zazdrościł matce jej braku hipokryzji. Ma rację. Nie poradzi sobie bez Alison, a i on również. Czternaście lat jej rządów całkiem go rozleniwiło. Ta jazda przez pół Anglii, żeby porwać Hebe niczym królową z bajki to bzdura. Będzie miał szczęście, jeśli mu się uda zachować taki układ, jaki miał z nią do tej pory.

Rory zaczął się wiercić, mamrocząc coś przez sen. Mungo próbował się wyswobodzić z jego objęć, nie budząc go. Jeśli uda mu się pojechać do Louisy bez niego, porozmawia z Hebe i umówi się na spotkanie w najbliższym czasie. Ale przedtem musi się zobaczyć z Alison i upewnić, że bez szemrania wróci do roli żony, matki i synowej. Będzie musiał spędzić z nią trochę czasu. Próbował wyliczyć jak długo. Było to rozważanie czysto teoretyczne, bo przecież Alison nigdy wcześniej od niego nie odchodziła. Zerknął na zegarek. Pięć po wpół do dwunastej. Odsunął się od Rory'ego, którego włosy łaskotały go w nos. Rory się obudził.

— Cześć — uśmiechnął się radośnie. — Dzień dobry.

„I co w nim dobrego?” — pomyślał Mungo. Wskoczył z łóżka i podreptał do łazienki. W głowie mu łomotało, w ustach czuł piasek, był półprzytomny. Dołączył do niego Rory.

— Zrobię herbatę — powiedział. Razem oddali mocz i Rory splukał muszlę. Wyglądał jak okaz zdrowia, czujnie patrzył błyszczącymi oczami.

— Wyglądasz okropnie — stwierdził, sprawiając wrażenie przejętego.

— I tak się czuję — burknął Mungo.

— Wracaj do łóżka, ja się ubiorę i przygotuję śniadanie — powiedział i odprowadził go do łóżka. — Dam ci aspirynę.

Mungo położył się, stękając. Rory przyniósł mu szklanek wody i tabletkę,

— Weź dwie, no już, łykaj — polecił mu, całkowicie przejmując inicjatywę.

Mungo leżał, mając nadzieję, że proszki pomogą. Słuchał z rozgoryczeniem, jak kuzyn się goli gwiżdżąc, bierze prysznic podśpiewując, myje zęby, płucze gardło. Pobił go zeszłej nocy i teraz znów jest lepszy. Rory przyniósł mocną herbatę i siadłszy na łóżku, namówił go na wypicie dwóch dużych filiżanek.

— Jesteś odwodniony, musisz...

— Muszę jechać do Louisy — wymamrotał Mungo.

— Pojedziemy obaj — stanowczo oświadczył Rory.

Mungo był zbyt słaby, żeby protestować.

— Nie ma się co śpieszyć — Rory nadal sprawiał wrażenie przejętego. — Coś zjemy i ruszymy ... eee... razem. Nie... ja... się nie wymknę za twoimi...

— Plecami?

— Tak.

Mungo poczuł złośliwą chęć, by zrobić jakąś przykrość kuzynowi, za to, że gra z nim tak uczciwie. Przecież właśnie to chciał zrobić, pierwszy dopaść Hebe. Popijając herbatę, zerknął ukradkiem na Rory'ego, który wyglądał młodzieńczo i, nie do wiary rzeško, w czystych dżinsach i białej koszulce, podkreślającej jego brązowe oczy. Świeżo umyte włosy, choć przerzedzone nad czołem, z tyłu układały się w lekkie fale. Jego wygląd nie kłamał, był młodym mężczyzną.

— Nie śpiesz się — powiedział tonem, jakim się zwraca do inwalidy. — Weź kąpiel, korzystaj ze wszystkiego, co ci tylko będzie potrzebne.

— W samochodzie mam torbę — gderał Mungo.

— Daj kluczyki, to ci przyniosę. Po kąpieli od razu się lepiej poczujesz.

— Ale ja się wcale nie czuję źle! — krzyknął.

— Nie, nie — zabrał kluczyki i wyszedł z tacą, wracając po chwili z torbą Mungo. — Piękny dzień. Jak się pobierasz, to zjemy w ogrodzie. Nie ma pośpiechu.

Jak on śmie być tak miły? Mungo zaczął użalać się nad sobą. Próbował rozpalić w sobie nienawiść, ale tylko oblał się lepkiem potem skacowanego człowieka. W ciągu ostatnich paru dni pił zdecydowanie za dużo. „Ale przecież nie jestem pijakiem” — powiedział do siebie.

Kiedy zszedł na dół, Rory już nakrył pod drzewami w ogrodzie.

— Śniadanie — zwrócił się serdecznie do kuzyna.

Na stole stał sok pomarańczowy, cynaderki i bekon, świeże bułeczki, masło, dżem cytrynowy i mocna kawa. Jedli w milczeniu obserwowani przez rudzika, który odważnie podlatywał, by chwycić okruszki. Mungo zazdrościł kuzynowi jego stylu życia.

— Żyjesz sobie bardzo wygodnie — powiedział niechętnie. Rory spojrział na niego i nerwowo przełknął ślinę.

— Samotnie.

— Ale robisz, co chcesz.

— Do pewnego stopnia.

Skończyli posiłek. Mungo czuł się już prawie normalnie. Obserwowali, jak rudzik skacze między talerzami, błyskawicznie odlatuje między drzewa i wraca, żeby dziobnąć pokruszony mu przez Rory'ego kawałek grzanki.

— Opowiedz mi — zaczął. — Hmm... opowiedz mi o...

— Hebe?

— Tak — zarumienił się. Wiedział, że poradził sobie z kacem Mungo, ale nie był pewien, czy kuzyn już się całkiem pobierał psychicznie. — Sześć lat? — z lękiem odsunął od siebie tę myśl.

— Alison — zaczął Mungo — szukała kogoś na zastępstwo, gdy ten potwór, gosposia,

urywa się na wakacje. Znalazła Hebe. Poleciała ją starszka, która kiedyś pracowała dla ciotki Louisy. Poznałem Hebe w kuchni. I zakochałem się.

„Miłość. Czy nawet bardzo litościwa dusza potrafiłaby sobie wyobrazić zakochanego Munga?” — Rory głęboko w to wątpił.

Mungo dolał sobie kawy. Rory patrzył na niego wyczekująco.

— Zgodziła się ze mną sypiać, jeśli zapłacę — ciągnął. — Stawiała warunki jak inne dziwki.

— Ona nie jest dziwką.

— Właśnie że jest. Warunki, pieniądze z góry. Zgodziłem się, ale inna sprawa, że różni się od tego typu kobiet. Nie dzwonię do niej jak do jakiejś innej call girl.

— Nie posądzałem cię o to — powiedział Rory, zaciskając usta.

— I słusznie, bo tego nie robię — przyznał Mungo. — To ona ustala terminy. Ona znalazła mieszkanie, w którym się zatrzymujemy. Ona mi mówi, kiedy i na jak długo się spotkamy. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie mieszka, jest tylko ten sklep, skąd Pakistańczycy przesyłają jej listy...

— To brzmi, jakby była równie władcza, jak... — zawahał się.

— Alison. Wiem, ale nie w taki sposób. Zajął mi trzy lata, zanim zdałem sobie sprawę, że to ona proponowała — albo jeśli wolisz, inspirowała mnie — do zrobienia wszystkiego, czego chciała. Jeśli pragnęła pojechać do Grecji, odkrywałem, że marzę o zabraniu jej tam. Moja firma ma różne kontakty, więc nie było to trudne. Tak samo z Rzymem i Wenecją. Z jakichś powodów nigdy nie proponowała Paryża. To ja chciałem ją tam zabrać, ale się nie zgodziła — westchnął. — Do Paryża jeżdżę sam albo zabieram Alison.

— Sprawiasz przyjemność żonie — ponuro stwierdził Rory.

— Ona nie przepada za francuskim jedzeniem. Na gotowanie Hebe nie można się skarżyć.

— Jest kucharką i...

— Wiem, świetnie o tym wiem, ale ona zna się na jedzeniu. Rozmawia o nim jak właściciel restauracji.

— Może pochodzi...

— Nie, ona jest, jak to określa moja mama, damą. Kimś z naszej sfery. Wiesz, jaka z mamy snobka.

— Prawie dorównuje mojej.

Rory przez chwilę pomyślał o matce Munga i swojej. Mungo zaś wspominał radość przebywania z Hebe w Londynie, Rzymie, Wenecji i na greckiej wysepce. Westchnął.

— Kocham tę dziewczynę — oświadczył z głębi serca.

— Ja również — z uporem podkreślił swoje uczucia Rory.

— Czytaliśmy sobie na głos, graliśmy w backgammona.

Ta wiadomość bardzo zaniepokoiła Rory'ego. Odkryła mu głębię bliskości znacznie bardziej niepokojącą niż uprawianie seksu.

Mungo poruszył się na krześle i wypłoszył rudzika.

— To przykro łączyć miłość z pieniędzmi, ale ostrzegam cię. Utrzymywanie Hebe to jak opłacanie szkoły za swoje dziecko. Sześć tygodni w roku. Mógłbym za to utrzymać jeszcze jednego syna.

— A chcesz jeszcze jednego?

— Niech Bóg broni.

— Nie mam synów, więc się tym nie martwię. A poza tym powiedziałeś, że sobie odliczasz te wydatki od podatku. To obrzydliwe i niemoralne — Rory ruszył do ataku.

— Wczoraj w nocy ci się podobało.

— Wczoraj w nocy trochę wypilem, a ty proponowałeś, by twoi synowie, twoi wykształceni synowie, przyłączyli się do...

— „Syndykatu”? Ona naprawdę nazywa to „syndykatem”? — zapytał. „Czyżby Rory go nabierał?”

— Tak — przyznał ze smutkiem.

— Zastanawiam się, kim są pozostali członkowie.

— Może ich znamy — Rory’emu nie spodobała się ta myśl.

— Chyba tracimy czas. Przecież mieliśmy się z nią zobaczyć. Tak ustaliliśmy w nocy, prawda?

— W nocy obaj mieliśmy się z nią żenić, dziś wystarczy ci, jeśli pozostanie twoją kochanką. A ja nadal chcę ją poślubić — powiedział i zaczął zbierać ze stołu. — Pomóż mi — zwrócił się ostro do kuzyna.

Mungo ustawiał talerze na tacy, którą Rory zaniósł do domu.

— A gdybym wykupił twoje udziały? — wyrzucił z siebie Rory. Pomyślał z rozbawieniem, że może mógłby wystąpić do banku o pożyczkę. Zastaw hipoteczny na potrzeby seksualne?

— Chyba żartujesz — arogancko odparł Mungo.

— Może... ona by...

— Co? — warknął.

— Się z radością... — wstawiał talerze do zmywarki — ...ciebie pozbyła.

Mungo roześmiał się sarkastycznie. Tak okropnej myśli lepiej nie wypowiadać na głos.

— A co robi w pozostałe czterdzieści sześć tygodni, kiedy nie jest z tobą? — odważnie zapytał Rory. Gdyby tylko zdołał zmniejszyć pewność siebie kuzyna.

— Gotuje.

— Od czasu do czasu u twojej mamy i ciotki Louisy. Sama ciotka mi to mówiła. Sześć tygodni u twojej mamy, zostaje czterdzieści, jakieś trzy, może cztery, u ciotki Louisy, to zostaje trzydzieści sześć na pozostałych.

— Jakich pozostałych?

— Członków „syndykatu”, głupku! — krzyknął rozwścieczony.

— Tylko pomyśl, ona...

— Musi być milionerką — powiedział Mungo z podziwem.

— Myślisz tylko o pieniądzach — oburzył się Rory.

— Myślę tylko — zmierzył go twardym spojrzeniem. — Myślę tylko o tym, co mogę stracić — dokończył cicho.

Mężczyźni popatrzyli na siebie, przepełnieni myślami o Hebe, jej skórze, oczach, ustach, włosach, udach, jej śmiechu, sposobie, w jaki się oddawała, jej głosie i niezwykłym talencie, który sprawiał, że przy niej czuli się jak supermeni.

— Idziemy — powiedział Mungo.

— Dobrze.

W milczeniu wyjechali z Salisbury. Munga dręczyły straszne myśli, o młodszym, nieporadnym kuzynie pieprzącym Hebe. Alison nigdy nie pozwalała mu przeklinać, dlatego przywykł kłać w myślach lub kiedy jej nie było. Rory’ego prześladowała wizja Munga leżącego na Hebe i wsuwającego się w nią. O Boże! Jadąc zastanawiał się, czy gdyby zabił Munga, to uznano by jego czyn za morderstwo pierwszego stopnia i — gdyby starczyło mu odwagi — jak się do tego zabrać.

— Straszny ruch — zauważył Mungo, co było niezbyt odkrywcze, zważywszy że od dłuższej chwili jechali w wielkim tłoku.

— Wyścigi. W Salisbury.

— Prawie jak w czasie pokazów lotniczych. Nie możemy zjechać z tej cholernej szosy? Mieszkasz tutaj, powinieneś wiedzieć.

— Nie ma skrótów, tylko bardzo...

— Co bardzo? — jak Hebe może w ogóle brać tego dupka pod uwagę? Muszę jej powiedzieć, że to szaleństwo. On nie potrafi wydusić z siebie najprostszego zdania.

— Tylko boczne drogi. Wiesz, wąskie i... ee... kręte.

— Duży na nich ruch?

— Nie, bo nie można...

— Dojedziemy tamtędy do Louisy?

— Tak, ale...

— To zjeżdżaj z tej szosy. Nie widzisz, że zrobił się korek na wiele mil? Nigdy się przez to nie przebijemy.

— No, dobrze — Rory skręcił w wąską drogę, która malowniczo wiła się w płytkim wąwozie. Zakręcała, wielokrotnie przekraczając uroczy strumyk. Na ich widok krowy podnosiły zdumione mordy. Rory zwolnił, by przepuścić bażanta. Droga nic się nie zmieniła od czasu, kiedy jeździły nią wozy konne.

— Co powiemy ciotce Louisie? Zwykle przyjeżdżam tylko... ee...

— Kiedy?

— Wieczorem na ryby.

— Nie można łowić w południe, każdy głupek to wie. Stara Louisa nie jest głupia.

— Ona... wyczuje...

— Już wyczuła — warknął Mungo. — Nie bądź durniem. Wczoraj wieczorem wzięła stronę Hebe, właściwie nas wypędziła. Potraktowała nas, jakbyśmy tam wpadli zgwałcić dziewczynę.

— A czy nie to miałaś... miałaś... — Rory podniósł znad kierownicy zajęcze oczy na kuchynia.

— Patrz, gdzie jedziesz! — wrzasnął Mungo. Rory nacisnął hamulec i zatrzymał samochód. Drogę przegradzał lśniący rover, który wpadł na zabłoconego land rovera. Pojazdy przypominały walczące psy w zwarciu.

— Wypadek — niezbyt odkrywczo zauważył Mungo. Otworzył drzwi i wysiadł. Rory ruszył za nim.

Na land roverze było trochę siana, worki nawozów i widły. Ani śladu kierowcy. Na trawiastym skraju drogi siedziała bardzo wiekowa para ludzi i labrador. Pies miał charakterystyczny dla tej rasy wyraz pyska, jakby zdawał się mówić: „Tylko powiedz, czego chcesz, a ja z radością postaram się to wykonać, o ile jest to w zakresie moich skromnych możliwości”. Staruszkowie wstali i z ich twarzy znikła złość i zniecierpliwienie, ustępując miejsca powściągliwym półuśmiechom powitalnym, jak na wiejską szlachtę przystało. Byli ubrani w wyjściowe stroje. Kobieta miała na sobie długą suknię z kwiecistego jedwabiu, a na niej ciemnoniebieski jedwabny płaszcz, białe pantofelki, rękawiczki i kapelusz, na widok którego Rory aż się wzdrygnął. Plastikowe wisienki wyjątkowo drażniły jego poczucie smaku. Włożyła również naszyjnik z pereł, brylantową broszkę i kilka cennych pierścionków. Jej mąż ubrał się w surdut o niemodnym kroju.

— Widzę, że mieli państwo stłuczkę — powiedział Mungo, podchodząc do nich.

Słyszac nienagannie wymawiane samogłoski, staruszkowie się rozpromienili.

— Jeżdżą za szybko, zawsze gdzieś pędzą — stwierdził staruszek.

— Aha! Czy ktoś wezwał pomoc?

— Umm... młoda dziewczyna miała to zrobić — odparł. Drżącą ręką wyjął z kieszeni chustkę i zaczął nią otrzepywać pogniecione przy siadaniu spodnie. Mungo zastanawiał się, czy

nadal się stosuje staromodne wyrażenie „uładzać odzienie”, które najlepiej określało czynność mężczyzny. Zauważył z zainteresowaniem, że jego spodnie były zapinane na guziki, nie na zamek błyskawiczny.

— I gdzie jest kierowca? — Rory klepnął po przyjacielsku maskę land rovera.

— Czekamy tu już od wielu godzin — staruszka spojrzała na zegarek. — Tkwimy tu od świtu.

— Oni nie chcą wiedzieć, jak długo tu jesteśmy — uciał ostro jej mąż, przypominając, gdzie jest jej miejsce.

— Kierowcy znudziło się czekanie — wyjaśniła drżącym głosem.

— Powiedziała, że zawiadomi pomoc drogową — dodał mężczyzna. — Myślałem, że można na niej polegać.

— Ale widać tego nie zrobiła — gorzko uzupełniła kobieta.

— Znajoma ruszyła po pomoc? — ucieszył się Rory.

— Powiedziała, że zawiadomi pomoc drogową.

— No to ktoś się na pewno niedługo zjawi — niecierpliwiał się Mungo.

— Przecież mówiłem ci, że nic nie jeździ tą drogą — krzyknął rozzłoszczony Rory.

— Korzystają z niej tylko okoliczni mieszkańcy. Ten land rover należy do jednego z nich? — zapytał, chociaż odpowiedź sama się narzucała.

— Tak — odparli jednocześnie.

— Będę musiał jechać tyłem całą drogę do głównej szosy — wściekał się Rory, po czym przypomniawszy sobie o dobrych manierach, dodał: — Zadzwonimy po pomoc drogową.

— Zapiszmy lepiej numery rejestracyjne — Mungo usiłował być praktyczny. — Choć pewnie państwa znajoma już ich zawiadomiła.

Znalazł ołówek i obszedł pojazdy, zapisując ich numery na odwrocie koperty.

— Pies pewnie już zgłodniał — Rory podjął nieśmiałą próbę towarzyskiej rozmowy.

— Odjechała i zostawiła nas celowo — mówiła kobieta przez zaciśnięte zęby. Rory ze zdumieniem zobaczył łzy w jej oczach. — Nie zadzwoni — powiedziała, po czym opanowując się ciągnęła: — Nakarmiłam go w nocy — uśmiechnęła się z wysiłkiem. — Miałam w samochodzie puszkę dla niego. To my się będziemy musieli obejść bez lunchu. Mój mąż miał wygłosić przemówienie.

— Gdzie się państwo wybierają? — zapytał Rory.

— Do Ledbury. Dlatego tak wcześnie wyjechaliśmy. Na ślub.

— Mam przyjaciół w pobliżu Ledbury. Nazywają się... eee... — wydusił nazwisko utytułowanego wuja. — On jest moim... ojcem chrzestnym.

— Jedziemy w pobliże tego majątku. Powiemy mu, że pan nas uratował. Mój mąż chodził z nim do szkoły.

— Proszę się nie martwić — powiedział Rory, myśląc, że wujek go nie lubił i mówił o nim: „Ten pedzio — kapelusznik”. — Wyjedziemy stąd i zadzwonimy po pomoc drogową.

Wsiadli do samochodu i Rory wrzuciwszy wsteczny bieg, ruszył do głównej szosy.

— Wykręcę sobie od tego szyję.

— I po co się im podlizywałeś? — spytał Mungo. — Pyszniłeś się cholernym ojcem chrzestnym?

— To ty nas wrobiłeś, obiecując zadzwonić. Ja tylko się uprzejmie zachowywałem. Ty zapisałeś numery samochodów. Patrzcie go, urzędnik.

— Kim oni są? Wyglądali jak z teatru.

— Biedactwa, jechali na ślub — Rory poczuł, że mu mięknie serce.

— Miły psiak.

- Nie można osądzać ludzi po ich psach — sprzeciwił się Mungo.
 - Z kotami inna historia.
 - Nie zaproszę cię na mój ślub... — zawołał złośliwie Rory wykręcając głowę, żeby spojrzeć do tyłu — z... Hebe.
- Mungo powstrzymał się, by go nie uderzyć, bo spowodowałoby to zapewne kolejny wypadek samochodowy i jeszcze większe opóźnienie.

Rozdział dwudziesty szósty

Eileen Rutter odeszła na bok. Obawiała się, że Christopher wybuchnie gniewem. Starła się nie słuchać chrzęstu metalu — skrzywiony ponuro właściciel land rovera właśnie rozdzielał szczone pojazdy, nie okazując zbytniego szacunku dla ich samochodu. Gdy pojawił się z mechanikiem, jadącym na półciężarówce przystosowanej do holowania, powiedział tylko: „Musimy się z tym szybko uporać, bo nie zdążę na dojenie”. I mechanik zabrał się natychmiast do dzieła.

Pantofle ją uwierały. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo jej ubranie nie pasuje do miejsca i okoliczności oraz że Christopher wygląda na starego bufona. Dobrze, że ma chociaż psa.

— Poznała nas — zwróciła się Eileen do zwierzęcia. — To była nasza jedyna szansa. I przegapiliśmy ją.

Trzydzieści lat temu Christopher nie zgodził się, by szukać Hebe. Przez trzydzieści lat stanowiła tabu, temat zakazany. — Ślicznie wygląda. Ciekawe, jakie jest dziecko.

Często mówiła do psa, bo Christopher był równie głuchy jak ona. Nie słyszał trąbienia tego przeklętego samochodu. Właściwie to już nie powinien prowadzić.

Pies szedł obok, dotrzymując jej towarzystwa.

— Jest taka inna niż pozostałe dziewczęta! — zawołała Eileen.

— Zawsze taka była.

Pies spojrzał na nią. „To ciekawe, czy w różnych plotkach o niej jest jakieś ziarno prawdy. Beata widziała ją na turnieju wimbledońskim w towarzystwie mężczyzny; Marcus w restauracji, również z mężczyzną; i znów Beata — tym razem podobno szła wzdłuż Knightsbridge. Robert twierdzi, że zna dobrze mężczyznę, który jej towarzyszył w teatrze; Delianowi zamajaczyła z daleka w West Country z czarnym młodzieńcem, jednak za dorosłym na jej dziecko. Czy to czegoś dowodzi? Spotyka się czarnych, czy się to komu podoba, czy nie. Christopher lubił tego przedsiębiorczego młodego człowieka, który zakładał szatańsko przemyślane pułapki na złodzieja. Ale i tak nic nie zmieniło przekonania Christophera, że Hebe mieszka w Brixton w murzyńskiej komunie” — myślała.

— Przynajmniej wiemy, że żyje — powiedziała Eileen do psa.

— Była dobrze ubrana, prowadziła przyzwoity samochód. Może dobrze się urządziła. Niewielka w tym nasza zasługa — stwierdziła z goryczą, zwracając się do zwierzęcia. Kapelusz uciskał ją w czoło.

— Skłamała, oszukała nas, zdradziła. Poszła swoją drogą — Eileen zawahała się. — Czy to było takie straszne? — spytała labradora.

— Może jej nie pomogłam... — wróciło znajome uczucie, te wątpliwości ogarniały ją podczas smutnych, bezsennych nocy. — Teraz widzę, jak mało to wszystko dla niej znaczyło — spojrzała na kapelusz, który trzymała w dłoni i z całej siły cisnęła go w krzaki. Kapelusz pozęglował w ciepłym, letnim powietrzu ponad niskim żywopłotem i opadł na ziemię pod

ciężarem wisienek. Pies pognał z radosnym szczekaniem, by go aportować.

— Co ty, u licha, wyprawiasz? — Christopher podjechał obdrapanym roverem. — Wszczepisz mu złe nawyki. Wsiadaj, no wsiadaj — ciągnął poirytowany, otwierając drzwi. — Ten młodzieniec prowadzi sklep z kapeluszymi w Salisbury. Może powinnaś obejrzeć jego modele — dodał sarkastycznie.

Eileen usiadła obok męża.

— Przynajmniej mogłeś jej powiedzieć, jak się nazywa pies, a nie odwoływać zwierzę — oświadczyła głośno, by na pewno ją usłyszał.

Christopher Rutter ruszył tak gwałtownie, że pies zsunął się z siedzenia na podłogę.

— Uważaj, bo będziemy mieli następny wypadek.

— Milcz, kobieto! — zawołał drżącym starczym głosem. — Cicho!

Eileen zaczęła płakać, łzy spływały jej po zapadniętych policzkach.

— Gdybyś jej powiedział, jak się wabi...

— Milcz! — zawołał mąż.

Eileen przestała płakać. Nagle powróciło stare wspomnienie. Kim był ten mężczyzna, z którym zdradziła Christophera ten jedyny raz, mając z tego wątpliwą przyjemność? Znajomy tej Louisy. Jak ona się teraz nazywa? Nazwiska tak łatwo wypadają z pamięci. Mężczyzna drobny, ale bardzo pociągający. Potrafił mnie rozśmieszyć. Próbowала sobie przypomnieć jego imię. Z przyjemnością stwierdziła, że wreszcie znikło poczucie winy.

— Ona nie miała najmniejszego zamiaru dzwonić po pomoc drogową — Eileen Rutter nagle pomyślała o wnuczce z podziwem. — Powinieneś jej dać pogłaskać psa — prowokowała męża. — Uważaj, bo nas wpakujesz do rowu.

— Milcz!

— A gdyby ci młodzi mężczyźni też o nas nie zapomnieli, pomoc drogowa już by się zjawiała.

— Milcz!

— Powinieneś jej pozwolić go dotknąć, powiedzieć, jak się nazywa...

— Boże!

Był uroczy, przypominał jej gronostaja. Eileen usiadła wygodniej i nieoczekiwanie przypomniała sobie nazwisko. Bernard Quigley, ot co. Ciekawe, czy jeszcze żyje. Zerknęła na profil męża. Uroda to jeszcze nie wszystko. Opadła na oparcie siedzenia i zapięła pasy.

Rozdział dwudziesty siódmy

W domu Amy zasypali Gilesa pytaniami. Czy Silas się z nim kontaktował? Nie. Czy przed wyjazdem mówił mu, że ma jakieś zmartwienia? Nie. Czy Silas...

— Mamo, jestem głodny. Mogę dostać podwieczorek? — Giles poczuł się nieswojo zasypany gradem pytań. „Może powinien osłaniać Silasa? Czy chciałby, żebym zachował coś w tajemnicy?”

— Zrobię mu coś do jedzenia — Amy, próbując ukryć niepokój, zajęła się przygotowaniem posiłku. Od czasu zalania domu czuła się kiepsko. Teraz nie ma czasu o tym myśleć. „To nic takiego” — pomyślała. — „Wystraszyłam się, bo byłam sama. A kiedy pojawił się Terry, wszystko wróciło do normy. Po zażyciu tabletki ból ustąpił”.

— Cieszył się na ten wyjazd. Wyglądało, że wszystko jest w porządku. — Giles ugryzł potężny kęs chleba z masłem, grubo posmarowanego dżemem.

Hannah stała nad nim w nadziei, że wyciągnie od niego jakieś informacje. Terry oparty o ścianę przyglądał się jej z uznaniem. Niczego sobie dziewczyna. Bardzo przyjemna. Zupełnie inna od Hebe. Naprawdę, trudno je porównywać. Lubię, kiedy oczy jej ciemnieją od rozkoszy. Biedna, poczciwa Hebe wygląda jakby była chora ze zmartwienia.

— Byłeś z nim w przeddzień wyjazdu. Czy coś się wtedy stało? — spytała Hannah.

— Zmokliśmy.

Giles przeżuwając przypomniał sobie, jak na polu kapusty Silas uderzył go tak mocno, że się przewrócił w błoto i przemókł doszczętnie. Tego nie mógł powiedzieć. Nie przy wszystkich.

— Nic, mam — odpowiedział.

— Pokłóciliście się?

— Nie — pokręcił głową. Dla niego kłótnia zaczynała się wtedy, gdy fruwały talerze. Hannah rzucała nimi w jego ojca, a on chował się pod stołem lub za krzesłami, dopóki się nie uspokoiło.

— Żadnej kłótni? Na pewno?

Przypomniał sobie, jak ostatni raz widział Silasa machającego do niego na ulicy.

— Nazwał mnie śmieciarzem.

„Chyba mu nie zaszkodzi, jak im to powiem” — pomyślał.

— A więc jednak się pokłóciliście — naciskała matka.

— To był żart — sięgnął po ciasto. — Śmiał się, jak to mówił.

— I tak to nie ma nic wspólnego z wyspami — Terry chciał wrócić do zasadniczego problemu.

— Spróbuję jeszcze raz zadzwonić — powiedziała Hebe i ruszyła do wyjścia. — Może już jest.

W drzwiach minęła się z Georgem Scoopem poszukującym Hannah.

— Jest tu kto? — zawołał śpiewnie. — Witaj, Amy — wszedł nie czekając na zaproszenie.

— Witam, panie Scoop — Amy nie chciała zwracać się do niego po imieniu. — Niech pan siada, może herbaty?

— Dziękuję, z przyjemnością. Tak myślałem, że tu będziesz — zwrócił się do Hannah.

— Tak — odpowiedziała Hannah bez zbytniego zapału.

— Silas, syn Hebe, zaginął — powiedział Terry oglądając George'a od stóp do głów. „A więc to jest George”. — Nazywam się Terry — z uśmiechem wyciągnął do niego dłoń. Uścisnęli sobie ręce, a George zauważył śliczne zęby Terry'ego, równe i bez żadnej plomby. To się często zdarza u Murzynów.

— Czy zawiadomiono policję? — rozejrzał się po pokoju. Był po raz pierwszy w domu Amy. Zauważył nieznaczne ślady zalania. Hannah przesadzała, mówiąc o zniszczeniach. Chciała go wciągnąć w całe to zamieszanie.

— To chyba nie sprawa dla policji... — zaczęła Hannah.

— Posłuchajmy lokalnych wiadomości — powiedział George i nie pytając Amy o pozwolenie, włączył telewizor. — Mogą coś powiedzieć. — Usiadł w fotelu. Amy głośno wciągnęła powietrze.

— Chce pan posłuchać wyników piłkarskich — odgadł prawdę wrogo do niego nastawiony Giles.

George poczuł nie po raz pierwszy, że bałby się zostać ojczymem Gilesa. Patrzył na spikera.

— Znam jego dentystę — powiedział. — Ma gabinet w Londynie.

Amy popatrzyła na niego krytycznie. Terry uśmiechnął się szeroko.

Skończył się główny dziennik i na ekranie pojawił się spiker czytający wiadomości lokalne.

— To mój pacjent. Ma kłopoty z kamieniem. W zeszłym miesiącu zaplombowałem mu trzy

zęby — opowiadał George. — Uratowałem trzonowego.

Terry napotkał spojrzenie Hannah, która uśmiechnęła się szeroko.

— To dobrze — powiedziała Amy obojętnie. — To dobrze — powtórzyła.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, i Silas przekazał wiadomość, policja tu nie... — zaczął Terry.

— Przecież nie wiemy, czy to Silas — powiedziała Hannah.

— Mój Boże, gdyby on trafił do mnie — George pochylił się do przodu i wpatrywał się w mężczyznę siedzącego na łodzi rybackiej, z którym właśnie przeprowadzano wywiad. — Można by wiele dla niego zrobić.

Hannah wybuchnęła śmiechem.

— Ty nie oglądasz telewizji, tylko ich zęby! Założę się, że nie wiesz nawet, o czym on mówi — powiedziała pokładając się ze śmiechu, patrząc na Terry'ego i Amy, która starała się ukryć uśmiech. Nie powinno się śmiać z gości, nawet nieproszonych.

George stracił sporo ze zwykłej pewności siebie. Nagle jego przyszłość z Hannah nie wydawała mu się tak oczywista, choć dziewczyna była wspaniała w łóżku. „Kim jest ten facet? Trochę za młody dla niej i czarny, choć może nie ma to tak wielkiego znaczenia. Kolega Gilesa? Niezbyt odpowiedni. W małżeństwie poza łóżkiem liczą się jeszcze inne sprawy. Spojrzał na Hannah. No, do licha, sądząc po tym, jak się do niego uśmiecha, to coś się między nimi już zaczęło. Wredna dziwka, jak ona mogła?”

„Żadne z nich naprawdę nie przejmują się Silasem” — pomyślał Giles, prosząc o kolejną filiżankę herbaty. „George'a niepokoi obecność Terry'ego. Mama drażni dentystę. Terry z jakichś powodów jest bardzo z siebie zadowolony. Aha, to takie buty, mama przerzuciła się na Terry'ego, Amy zaś się tylko temu przygląda”.

Nie zauważyli, kiedy wymknął się z pokoju i poszedł do domu Hebe. Spojrzała na niego znad telefonu.

— Giles.

— Więcej szczęścia tym razem? — spytał siadając przy niej.

— Na pewno wyszła. Dzwonię co pięć minut. Wiem, co ona robi. Pracuje w ogródku. Wróci, jak się zmęczy. Muszę być cierpliwa.

Trip wyjrzała zza framugi i wsunęła się do pokoju, ocierając się o drzwi. Podeszła do Hebe i wskoczyła jej na kolana. Mruczała ocierając się głową o jej policzki.

— Kiedy wróciłam do domu, nie chciała mnie znać — powiedziała Hebe głaszcząc kotkę.

— Koty się obrażają. Mieliśmy jednego w Stanach. Nigdy nie przebaczał.

Giles spojrział na zegar. — Kiedy minie pięć minut?

Hebe sprawdziła na zegarku.

— Właśnie mija — wykręciła numer. Potem jeszcze raz, i jeszcze raz. Słuchała sygnału, który rozlegał się w salonie Louisy w Wiltshire.

— Nadal jej nie ma — odłożyła słuchawkę. — Och, Giles — zaczęła płakać. — Co się mogło z nim stać?

— Iść po mamę? — zapytał Giles sam bliski łez.

— Nie, muszę próbować tak długo, aż Louisa wreszcie odbierze. Kiedy mi powie, kto przekazał wiadomość, może się domyślę, gdzie on jest.

Przyniósł z kuchni rolkę papierowego ręcznika, urwał kawałek i podał Hebe. Wytarła oczy. Wzruszona jego gestem pomyślała, że rozumie, dlaczego Silas tak się z nim zaprzyjaźnił. Giles wydmuchał nos. Na dworze krzyczały i kłóciły się mewy, krążąc nad dachem.

— Muszę się wziąć w garść — powiedziała, przypominając sobie ze swojego dzieciństwa dziadka mówiącego do mężczyzny, który stracił obie ręce, żeby się wziął w garść.

— To niełatwe — powiedziała biorąc następny kawałek ręcznika od chłopca. — Chyba

oszaleję.

— Och, nie — zaprotestował Giles.

— Myślisz, że coś mu się stało?

— Odpada — powiedział stanowczo. — Gdzieś się zaszył. Nie ma poczucia czasu.

— Wiesz, że to nieprawda.

— Co pani myśli o mamie i Terry? — zapytał, myśląc, że może w ten sposób odwróci jej uwagę od zmartwienia.

— A ty co myślisz? Twoje zdanie bardziej się tutaj liczy.

— Ja się cieszę — uśmiechnął się na myśl, że nikt nie nazwie Terry'ego nudziarzem. —

Proszę spróbować zadzwonić jeszcze raz.

— Nie wolno mi wpaść w histerię — zaczęła wykręcać numer.

Louisa, siedząc na ogrodowej ławce, przyglądała się, jak Mungo i Rory obcinają przekwitłe róże. Rozbawiła ją ich wizyta, demonstracyjne okazywanie troski i uczucia. Ciesząc się z popołudniowego letniego słońca, zakładała się sama ze sobą, jak długo zostaną.

Przyjechali samochodem Rory'ego. Nieobecność Hebe najwyraźniej zbiła ich z pantafelów. Ponieważ Louisa przyrzekła Bernardowi milczenie, nie mogła im powiedzieć, że Hebe popędziła zając się dzieckiem. Żaden z nich nie wiedział, że ma syna. Byli przekonani, że Hebe wyjechała, by uniknąć spotkania z nimi. Próbowali też podstępem wyciągnąć od Louisy adres Hebe, choć zapytana przez Rory'ego, twierdziła, że go nie zna. — Listy do niej wysyłam na londyński adres, ktoś jej przekazuje dalej i to ona dzwoni, żeby uzgodnić termin przyjazdu, kiedy ma czas. Mogę wam podać ten londyński adres — powiedziała, chociaż przez przypadek dowiedziała się adresu Hebe od Bernarda. Ze sposobu, w jaki się wycofali, zgadła, że przynajmniej Mungo znał jej londyński adres i wie, że niczego tam nie zwojuje.

Ponieważ nie mieli zamiaru wyjeżdżać, Louisa zatrudniła ich w ogrodzie. Rory niezbyt starannie wypielił grządkę, a Mungo podwiązał kłujące krzewy. Teraz obserwowała, jak się uwijają z sekatorami. Ułożyła się wygodnie, psy posiadały wokół niej, z przyjemnością oglądała przedstawienie odbywające się na jej oczach. Widziała, że tracili nadzieję z każdą mijającą godziną, jednak nie chcieli się poddać, tylko podejrzliwie zerkali na siebie. Obmyślała sobie, jak to opisać Bernardowi przy najbliższej okazji. „Wodzili za sobą wrogim spojrzeniem” — powie mu. Może go to rozbawi. Rory przerwał robotę i usiadł na trawie obok niej.

— Wydawało mi się, że Mungo miał jechać na spotkanie Alison — zrzędził. — Co ta Hebe w nim widzi? Za stary dla niej, prawie pięćdziesiątka na karku.

— Czterdzieści pięć, przystojny, bogaty — mruknęła Louisa.

Rory mamrotał coś pod nosem, obserwując kuzyna. W końcu podnosząc wzrok, wyszeptał:

— On mówi, że ona... hmm... ona też tak mówi... ale ja nie mogę... to niemożliwe...

— Co jest niemożliwe?

„Biedaczek, jaki przejęty” — pomyślała Louisa ze współczuciem.

— On mówi... że ona... jest dziwką — szepnął.

Louisa uniosła brwi.

— Znam ją wyłącznie jako kucharkę — powiedziała ostrożnie.

— Tutaj właśnie tym się zajmuje... — zawahała się, przypomniawszy sobie, że Hebe z Rorem robiła coś zgoła innego.

— Czy to mogłaby być...

— Prawda?

— Tak.

— Tak ci mówiła?

— Owszem... ale ja...
— Chyba powinieneś jej uwierzyć — uniosła głowę, patrząc, jak podchodzi do nich Mungo.
— Co zrobisz z Alison?
— Zadzwonię. Obiecałem, że po nią wyjadę na lotnisko, ale już pewnie wylądowała. Przez to wszystko zupełnie zapomniałem.
— Przez to wszystko z Hebe? — dopytywała się bezceremonialnie Louisa.
— Tak, przez Hebe! — krzyknął rozwścieczony. — Och, pieprzę to!
— Opanuj się! — zapał Rory.
— Zamknij się, ty debilu! — zawołał Mungo.
Psy Louisy rozjazgotały się. Jak zwykle zaczął Rufus, po nim dołączył najmniejszy z kundli, ale dziamgający najbardziej przenikliwie.
— Spokój! — zawołała Louisa. Psy i mężczyźni natychmiast umilkli. Kiedy wszystko się uspokoiło, powiedziała: — Moi drodzy, dajcie temu spokój. Hebe nie ma, a ty, Mungo, musisz się dogadać z Alison.
— O mój Boże! — powiedział nie kryjąc swej niechęci.
— Mungo, weź się w garść. Musisz mieć na uwadze dobro chłopców. Przestań uganiać się za mrzonkami.
— Hebe nie jest mrzonką — zaprotestował ostro.
— No, już, idź dzwonić. Weź ze sobą Rory'ego, podtrzyma cię na duchu.
— Broń Boże! — zawołał Mungo, oburzony na tak niesmaczny żart i niechętnie ruszył w stronę domu.

Hebe wykręciła numer Louisy i usłyszała, że telefon jest zajęty.

— Może się popsuł — rzucił Giles. — Trzeba zadzwonić do centrali.

Po sprawdzeniu telefonistka powiedziała: — Linia jest zajęta. Mam przerwać połączenie? Czy to bardzo ważna sprawa?

— Poczekam — jęknęła Hebe w rozpacz. Wiedziała, że Louisa, nie bacząc na wysokie rachunki, potrafiła godzinami plotkować z Lucy Duff lub Maggie Cook-Popham, której podobno nie lubiła, czy z innymi starszymi paniami.

Kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach, Giles otworzył Jimowi Huxtable. W tym momencie nadbiegła Hannah i precyzyjnie się obok nich.

— Hebe, szybko. Ciocia Amy zasłabła, to chyba serce. Terry już dzwoni po lekarza.

Jim patrzył, jak obie kobiety popędziły do domu staruszki. Wkrótce przed wejściem zahamował samochód lekarza. George wpuścił go do środka. Chłopiec, który otworzył mu drzwi w domu Hebe, wyszedł na zewnątrz i stał z niepewną miną na chodniku. Czując się nieswojo na tej obrzydliwej ulicy, Jim wspiął się wyżej, do ławki ufundowanej ku pamięci wiekowych rodziców, którym sprawiało trudność wdrapywanie się na szczyt bez odpoczynku. Usiadł, opierając się o pieczołowicie wydrapane wulgarne wyrazy. Żałował, że nie ma ze sobą Feathersa. Czekał, obserwując dom.

Po dwudziestu minutach lekarz wyszedł. Przed odjazdem zamienił parę słów z zielonooką dziewczyną. Niemal natychmiast pojawił się George i odjechał swoim samochodem. Chłopiec na chodniku wykonał za nim obraźliwy gest. George się nie obejrzał. Jim nadal czekał. Czarny podpalany pies z puszystym ogonem przybiegł z głębi ulicy.

Zatrzymał się na chwilę, obwąchał ławkę i uniósł łapę, ale zauważywszy spojrzenie Jima, z zadumą popatrzył w dal.

— Cześć — Jim wyciągnął do niego rękę. Pies położył po sobie uszy i pozwolił się pogłaskać, a później zerknąwszy na człowieka, ruszył wesoło swoją drogą. Gdyby tu był

Feathers, na pewno wszczałby walkę. Jim przyglądał się ulicy, kontemplując jej niezwykłą brzydotę. Miał nadzieję, że dzięki temu się uspokoi i pouklada sobie to, co zobaczył. Czy powinien przejść te sto jardów, które dzieliły go od domu Amy i wszedłszy do środka, przedstawić się Hebe? Czy naprawdę chce to zrobić? Od czego powinien zacząć rozmowę? Czy go pozna? A może potraktuje go jak wariata?

— Ona ma na imię Hebe — powiedział głośno.

Nie poprawiło to wcale sytuacji. Czy może powiedzieć: „Jestem mężczyzną, którego spotkałaś w Lucca. Kochaliśmy się”. Przy blasku świec w Lucca potrafił z nią rozmawiać. Próbował sobie przypomnieć, o czym rozmawiali. Zamienili tylko parę zdań. Wokół było zbyt wiele hałasu, za dużo się działo. Kręcił się, twarde listewki ławki wrzynały mu się w uda. „Załóżmy, że to nie była ta dziewczyna? Załóżmy, że mimo wszystko znów się pomylił? Nie żyła tym wspomnieniem przez ostatnie... Ile to czasu minęło? Trzyście lat.”

— Do cholery, niech to szlag trafi! I co ja mam zrobić? — wymruczał Jim. Dręczyło go podejrzenie, że ucieka od rzeczywistości i chce dalej szukać, nie znajdując. Od tylu lat prowadził swoje poszukiwania, tak dalece stały się częścią jego życia, że teraz obawiał się skończyć, zamknąć ten rozdział.

Z domu Amy Tremayne wyszła blondynka. Młody, szczupły Murzyn trzymał ją za rękę; za nimi pojawiła się Hebe. Dołączył do nich chłopiec. Posuwali się chodnikiem w stronę domu Hannah. Jim wstał. Czarny podpalany pies znów wdrapywał się na wzgórze. Jim poszedł w jego kierunku. Spotkali się przed drzwiami domu Amy. „Czy będzie mogła coś pomóc?”

— Chciałbym wiedzieć, jak powinienem teraz postąpić — zwrócił się Jim do psa, który wyglądał na pewnego siebie. Pies pomachał puszystym ogonem, zastrzygł uszami. Pod wpływem impulsu Jim nacisnął klamkę, usprawiedliwiając się przed samym sobą, że go zaprosiła, by znów ją odwiedził. Drzwi ustąpiły. Wszedł. Z psem u boku nasłuchiwał w wąskim korytarzu, zajrzał do kuchni, w której rozmawiali tak niedawno. Na stole zobaczył resztki podwieczorku. Krzesła były poodsuwane w pośpiechu. Razem z psem wszedł po schodach i udał się do sypialni staruszki. Leżała wyciągnięta na łóżku z zamkniętymi oczami na woskowobiałej twarzy.

Pies zbliżył się do łóżka, węsząc z ciekawością. Jim zauważył przyciski do papieru rozstawione na parapecie okna. W promieniach słońca lśniły i rzucały zachwycające tęczowe blaski. Poczul się zakłopotany. Przeżegnał się.

— To tylko taki gest — wyjaśnił psu, starając się otrząsnąć z lęku i zaskoczenia. — Żegnam się też na widok sroki.

Pamiętał kobietę, z którą miał romans, jak kpiła z niego w Normandii, gdzie jest dużo tych ptaków. Pies puścił bąka. Przenikliwy smród dosięgnął nozdrzy Jima.

— Idziemy — nakazał zwierzęciu. — Nic tu po nas. Ona nie żyje.

Pies zszedł za nim po schodach i później ruszył w górę ulicy, nawet za nim nie patrząc. Jim pobiegł na dół do parkingu. Kręciło mu się w głowie. Dopiero w domu Bernarda, na widok Silasa, uświadomił sobie, że nie wypełnił zleconej misji.

Rozdział dwudziesty ósmy

Alison wylądowawszy na Heathrow, zadzwoniła do teściowej, która powitała ją serdecznie, jakby nie było żadnych nieporozumień.

— Mam nadzieję, że miałaś przyjemne wakacje. Wróciłaś wcześniej, niż przypuszczałam.

Alison zrozumiała, że jej ucieczka została puszczona w niepamięć.

— Może przypadkiem jest u ciebie Mungo? Nie ma go w domu — starała się mówić

obojętnym tonem.

— Pojechał odwiedzić Louise. Rozmawiałam z nią dziś rano. Wygląda na to, że się zaprzyjaźnił z Rorem. Nigdy bym nie przypuszczała, że mogą mieć ze sobą coś wspólnego, a ty?

— Ja również. Chociaż muszę przyznać, że go raczej lubię — dodała natychmiast, uważając, że nie ma prawa do złośliwych uwag.

— I co tam Mungo robi?

— Może łowi — powiedziała Lucy, myśląc, że pewnie usiłuje złowić Hebe.

— Wątpię. Ma lepsze miejsce koło nas.

— Zaniedbuje pracę — stwierdziła Lucy, uśmiechając się złośliwie.

— Właściwie miał sobie zrobić wakacje, co mi przypomina, że powinniśmy niedługo odebrać chłopców. Są jeszcze na wyspach Scilly — powiedziała Alison. „I sprawiać wrażenie zgodnego małżeństwa” — pomyślała.

— Trafiała się im okropna pogoda — zauważyła Lucy.

— Muszę zadzwonić do Jennifer...

— Może byś się spotkała z Mungo u Louisy? Na neutralnym gruncie — Alison zdała sobie sprawę, że to jest wszystko, co Lucy może dla niej w tej sytuacji zrobić. — Weź taksówkę i zrób biedakowi niespodziankę. Oszczędzisz mu kłopotów z przyjeżdżaniem na lotnisko.

— Może i tak — odparła Alison z wdzięcznością. — Szybko tam dojadę.

Lucy Duff wyszła na taras, mokry po niedawnym deszczu. Panna Thomson przyniosła tacę z podwieczorkiem i usiadła obok niej.

— Mogę pełnić obowiązki matki? — zapytała swoim niskim głosem.

— Nie — odparła Lucy. — Nie, dziękuję — spojrzała na nią ze źle ukrywaną niechęcią. Najpierw „patio”, teraz „obowiązki matki”. Niezastąpiona Alison będzie musiała poszukać kogoś na miejsce panny Thomson. Nalała herbatę. — Pani Mungo wróciła ze Stanów Zjednoczonych — zaczęła, zdając sobie doskonale sprawę, że panna Thomson mówiła do Alison po imieniu i że się obrazi za zwrot „pani Mungo”. — Pani Mungo spotka się z panem Mungo u pani Fox w Wiltshire. Odnoszę wrażenie, że u pani Fox jest właśnie jej ulubiona kucharka. Och, czy naprawdę musi pani wyjść? — Lucy patrzyła, jak panna Thomson wycofuje się do domu, żeby napisać list, w którym złoży swoją rezygnację. („Wiem, kiedy nie jestem mile widziana”). Lucy piła herbatę, wyobrażając sobie życie bez panny Thomson oraz rychły przyjazd Alison do domu Louisy. Będzie zaskoczona, kiedy się dowie, że tym, co Mungo i Rory mają wspólnego, jest Hebe.

— Jakże ja za tobą tęsknię — powiedziała półgłosem myśląc o swoim zmarłym mężu, którego zapewne ta cała sytuacja również by rozbawiła. Podniosła się z trudem i poszła przeprosić pannę Thomson, wobec której zachowała się tak podle. Po drodze zatrzymała się, by spojrzeć na zdjęcie męża; Mungo jest tak podobny do ojca, ale brak mu jego pewności siebie. Patrząc na twarz dawno zmarłego mężczyzny, przypomniała sobie jego teorię, że tylko mało pewni siebie spośród jego przyjaciół wplątywali się w kabałę z kobietami. Jeśli to prawda, Mungo musi być niepewny siebie i, sądząc z tego, co mówiła Louisa, jego kuzyn Rory także. Idąc, by udobruchać pannę Thomson, Lucy postanowiła nie zawiadamiać Louisy o rychłym przybyciu Alison. Kiedy nakryje Mungo na robieniu z siebie błazna przed Hebe, to wyrówna jej szanse w pojedynku z mężem. Nie wiedziała, że dla równie podejrzanych motywów przyjaciółka nie zawiadomiła jej o wyjeździe Hebe.

Kiedy Alison wysiadła z taksówki, natychmiast obskoczyły ją szczekające psy. Kierowca odjechał, pozostawiając ją opędzającą się od Rufusa, który podskakiwał i wdrapując się po nogach, chciał ją polizać po twarzy. Alison próbowała ostudzić jego zapał, machając torebką i

krzyżąc: „Leżeć! Leżeć!” z coraz większym łękiem w głosie i coraz bardziej piskliwie. „Jaka chmara psów, co za bydłę z tego taksówkarza, że zostawił mnie samą z tymi psami”. Mungo wyszedł z domu, zbiegł po schodach, kopnął Rufusa i chwyciwszy Alison w pół, ucałował ją ogniescie. Zarzuciła mu ramiona na szyję i też go pocałowała, następnie zdumiona spojrzała mu w twarz.

— Och, Mungo... — zapomniała o starannie przygotowanej przemowie. — Kochanie — powtarzała tylko — kochanie.

— Kochanie — Mungo znów ją pocałował. — Jak cudownie, że wróciłaś.

W osłupieniu stwierdził, że naprawdę się cieszy z jej powrotu.

— Wielkie nieba — powiedział zdumiony — wyglądasz ślicznie. Spojrzał na nią zachwycony. W jasnych, rudawych włosach lśniło słońce, uderzał błękit jej oczu. „Co ona zrobiła z rzęsami?” — pomyślał. — Co zrobiłaś z włosami? — zapytał i znów ją pocałował.

— Dobrze się bawiłaś?

— Nie, wcale. Och, Mungo, najdroższy — ścisnęła go za ramię.

— Przypominasz anioła z obrazu Botticellego — powiedział. „Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem?” — zastanawiał się.

— Zapomniałaś, jak wyglądam. Pozwól, że się przyjrę tobie. Spojrzała na niego. Jej wyraziste oczy podziwiała jego gęste włosy i ciemną cerę. Wydawało się jej, że od ich ostatniego spotkania przybyło mu zmarszczek. — Rozjaśniłam sobie włosy w Santa Barbara.

— Są śliczne — powiedział, zastanawiając się, czy się przyzna do henny na rzęsach.

— I zrobiłam rzęsy — dodała nie spuszczać oczu.

— Zrobiłam — wymamrotał uśmiechnięty. — Zrobiłam.

— Musimy wyjechać po chłopców, jak będą wracać z wysp — spojrzała na męża. — Zadzwoniłam z lotniska do Jennifer. Wszyscy wracają w czwartek, bo pogoda jest pod psem.

— Pojutrze — patrzył na jej twarz, zastanawiając się, co jeszcze się w niej zmieniło.

— Rozmawiałam z twoją mamą. Powiedziała mi, że tu jesteś.

— To dobrze — wybuchnął śmiechem.

— Z czego się śmiesz? — zapytała śmiejąc się razem z nim. Roześmiana wyglądała jeszcze ładniej.

— Możemy chyba sobie darować te wszystkie przygotowane przemówienia. Chodź się przywitać z Louisą. Jest tutaj Rory. Pamiętasz go? Mój kuzyn.

— Oczywiście, że tak.

Weszli do domu. Mungo dźwigał jej bagaże.

— Jaką mowę miałaś wygłosić? — spytała odważnie.

— Możemy się nad nią zastanowić w drodze po chłopców, jeśli musimy ich odebrać. Jest trochę nudna. Może byśmy zabrali ze sobą Rory'ego?

— Jako sędziego? Czemu nie? — Alison czuła się niczym pływak, który odpłynąwszy za daleko, walczy, by wrócić na plażę. Przy odrobinie szczęścia dotrze do *terra firma* i uratuje się (miała tu na myśli swoje małżeństwo).

— Alison, moja droga — Louisa wyszła z ogrodu, otoczona psami, które już spokojne przyjacielsko machały ogonami. — Cudownie. Zostaniesz na noc, prawda? Właśnie mieliśmy siadać do podwieczorku. To Rory, chyba go pamiętasz? Postaw wszystko na tacy i zanieś pod drzewa — zwróciła się do niego. — W kuchni są bułeczki maślane z rodzynekami. Hebe zostawiła ich spory zapas.

— Hebe? — Alison poczuła się zaniepokojona.

— Ta kochana dziewczyna, która gotuje dla Lucy. To ty, spryciaro, ją odkryłaś. Do mnie też przyjeżdża. Niestety, musiała dziś rano wyjechać. No, Rory, przydaj się na coś.

Skarcony Rory poszedł do kuchni.

— Poszukaj gęstej śmietany i dżemu truskawkowego do bułeczek — krzyknęła za nim Louisa.

— Kupionych przeze mnie i kochaną Hebe w Salisbury — powiedział Rory do Rufusa. — Świetnie wszystko wie i wychodzi ze skóry, by i Alison się dowiedziała, mój stary. Wszyscy wszystko wiedzą, ale trzymają dzioby na kłódkę, najwyżej coś bąkną między wierszami.

Ustawił na tacy filiżanki i talerzyki, włączył czajnik, znalazł bułeczki, upuścił jedną na podłogę, wziął dżem i śmietanę.

— Alison nie wypuści Munga — zwrócił się do Rufusa, który bardzo mu wdzięczny zjadał bułkę, a z łakomstwa ciekła mu strużka śliny. — A co więcej, jeśli mnie przeczucie nie myli, to po tym, co się przydarzyło, Alison znacznie bardziej sobie cenić Munga — dodał, robiąc herbatę i ruszając z tacą na zewnątrz.

Postawił wszystko na ogrodowym stole obok Louisy, która spojrzała na niego z rozbawieniem. Wyczuwała zawieszenie broni między małżonkami i czekała z niecierpliwością na rozmowę z Bernardem. Opisz mu niespodziewany rozkwit przyjacielskich uczuć między jej siostrzeńcami. Zasugeruje, że choć Mungo kocha Hebe, to jednak równie mocno pociąga go własna żona i postawi na to, że Hebe straci klienta. Nalewając herbatę i podając filiżanki, oceniała wygląd Alison, nową fryzurę, makijaż, ubranie. Podziwiała jej mocne nerwy. Sprowadzona przez teściową, powinna być skrepowana, załęczniona, zachowywać się przeproszająco, niepewnie. Nic z tych rzeczy. Zjadała podwieczorek i plastycznie opisując pobyt w Santa Barbara, wzbudziła zainteresowanie męża i Rory'ego. Jednak podawała niewiele szczegółów dotyczących gospodarzy, rozplývając się bardziej nad domem, jego położeniem, meblami i basenem. Obserwując Munga, Louisa zauważyła, jak kilkakrotnie zbierał się do zapytania o coś bardziej osobistego, ale za każdym razem Alison, smarując bułeczki dżemem, zmieniała temat na bliższy sprawom domowym.

— Kochanie, może pojedziemy po chłopców? Z przyjemnością zobaczę się z Jennifer i Julianem. I oszczędzimy chłopcom okropnej podróży, której tak nienawidzą — zwróciła się do Munga.

— Nigdy nie słyszałem, żeby się skarżyli — na chwilę Mungo znów przyjął zrzędlawy ton, którym się przeciwstawiał władczości żony.

— Mój drogi! Muszą się przesiadać w Exeter. Tak przyjemnie by było się z nimi spotkać. Może byś się z nami przejechał, Rory? — powiedziała pełna wątpliwości, czy Mungo na serio zaproponował towarzystwo kuzyna.

Rory dostrzegł w jej oczach błaganie. Była naprawdę znacznie ładniejsza, niż ją zapamiętał.

— Z przyjemnością — odparł.

— Musicie wcześniej wyruszyć — wtrąciła Louisa. — Alison, pomożesz mi posłać łóżko, dobrze? Musisz się wcześniej położyć, żeby odespać różnicę czasów.

Alison zerwała się z krzesła.

— Mungo wczoraj nocował u Rory'ego — powiedziała Louisa, patrząc na Munga. — Nie będziesz miał nic przeciwko spędzeniu z nim jeszcze jednej nocy? — zapytała go. — Oszczędziłoby mi to przygotowywania następnego łóżka.

Nie czekając na odpowiedź, poprowadziła Alison do domu. — Jak odpoczniesz, to sobie z nim porozmawiasz — powiedziała.

— Dziękuję — odparła Alison, czując w niej sprzymierzeńca.

— Dlaczego nas rozdziela? — zwrócił się Mungo ze złością do kuzyna.

— Wydaje mi się, że chce doprowadzić was... ee... do pojednania. — zaczął się śmiać. — Nie wiedzą... jak my... jak...

— Spędziliśmy zeszłą noc — dokończył za niego zdanie Mungo.
— Nie potrzebuję ciebie w drodze do Kornwalii — dodał lodowatym tonem.
— Ale i tak pojedę — Rory wykazał niezwykle zdecydowanie.
— Chcę... eee... — nie przyznał się, że zauważył kornwalijskie numery rejestracyjne samochodu Hebe. — Chcę się pokręcić w Penzance. Urocze sklepy z antykami — dodał wyjaśniająco.

— Jeśli Louisa nie żartowała z tym noclegiem, wolę się zatrzymać w hotelu — stwierdził Mungo, który zaczynał coś podejrzewać. — Te kobiety coś knują.

— To prześpij się u mnie, moglibyśmy... eee...

— Utworzyć wspólny front — automatycznie dokończył zdanie.

— Alison aż tryska energią — powiedział z namysłem. — Niezwykłą energią.

— Może i ona dostrzegала, że... ee... tryskasz energią po powrocie z zebrań... ee... „syndykatu”.

— O Boże! Sądysz, że ona wie?

— Całkiem możliwe — Rory podał Rufusowi ostatnią bułeczkę.

— Czy chcesz... ee... spać z nią dzisiaj?

— Niczego takiego nie planowałem — odparł sztywno.

— Kurczę — Rory zaczął ustawiać talerze na tacy. — Lepiej o tym pomyśl. Warto okazać trochę spontaniczności — poradził.

Mungo powstrzymał chęć, by kopnąć Rory’ego, zdzielić Louise, obrazić Alison. Byłyby to z pewnością spontaniczne reakcje. Nawet powstrzymał się od zadzwonienia do matki i obrzucenia jej wyzwiskami. Pomyślał, że Hebe nigdy nie budziła w nim morderczych instynktów.

W domu Rory’ego ogarnęła go wściekłość. Z nienawiścią patrzył na rzeczy kuzyna. Niemal do szaleństwa doprowadzał go jego dobry gust. Ładne srebra, piękne szkła, obrazy godne pozazdroszczenia, zbiór dobrych książek. To otoczenie spodobałoby się Hebe. Rory przyglądał się, jak Mungo rzuca dokoła wściekle spojrzenia.

— Coś ee... nie w porządku?

— Nie — odparł ze złością Mungo. — W tym cały problem.

— Zła część mojej natury znajduje ujście w projektowaniu kapeluszy. Nie znalazłbyś w sklepie nic odpowiedniego dla ee... Alison. Sam zobacz.

Pomyślał, że Hebe dostała jedyny kapelusz stosowny dla pięknej kobiety. — Zrobiłem jeden ładny dla Louisy.

— Louisa — Mungo stał niezdecydowany. Rory go obserwował. — Louisa mną manipuluje.

— Tak — Rory próbował powstrzymać śmiech.

— Trzyma mnie z dala od Alison.

— Tak.

— Dlaczego?

Rory wzruszył ramionami. — Może żeby odpoczęła? — zasugerował.

— Wracam — Mungo obrócił się na pięcie i wyszedł z domu. Rory słuchał, jak kuzyn odjeżdża, po czym położył się, i planował, jak odnaleźć samochód Hebe i ją samą w Kornwalii. W końcu to bardzo duże hrabstwo.

Mungo wślizgnął się do domu Louisy i uciszył psy. Wszedł na górę. Zobaczył smugę światła po drzwiach sypialni dla gości. Wszedł do środka. Alison leżała na łóżku, jasne włosy rozsypały się na poduszce. W niebieskich oczach było przerażenie.

— Mungo — pisnęła.

— Zamknij się — powiedział zdejmując ubranie. Był władczy, męski i podniecony.

— Mungo! — zawołała przyciszonym głosem.

Położył się na wąskim łóżku. — Posuń się.

— Nie mogę, spadnę. Czego chcesz?

— Pieprzyć cię.

— Nie używaj takich słów. Wiesz, że nie znoszę...

— Och, zamknij się — mruknął. — Bierzmy się za robotę.

— Za rzadko to robimy — stwierdził trzymając żonę w ramionach.

Alison roześmiała się w sposób, w jaki nie śmiała się od bardzo dawna. — To dobrze, najdroższa, trzeba się śmiać — powiedział. A teraz będę się z tobą kochał.

Alison ugryzła się w język, by nie zadać pytania, z kim jeszcze się śmiał w łóżku i wyszeptwała:

— Cieszę się, że wróciłam.

Mungo zasnął, rozkładając się na większej części pojedynczego tapczanu. „Jak dotąd, wszystko idzie dobrze” — pomyślała Alison, znosząc tę niewygodę. „Może zdołam odciągnąć go od kobiety, która się z nim śmieje w łóżku. Czyżby to ta kucharka?” Próbowała sobie przypomnieć, jak ona wygląda.

Kiedy następnego dnia jechali samochodem, ogarnął ją beztroski nastrój, co zdarzało się jej raczej rzadko. Wtedy Rory, wykorzystując to, zdobył się na propozycję.

— Opowiedz nam... e... o swoich gospodarzach... tych... eee... twoich znajomych.

— O tak — odezwał się Mungo znad kierownicy. — Co Eli i Patsy robią, gdy są w domu?

No, mów.

— O której przylatuje helikopter? — próbowała bez przekonania odeprzeć atak.

— Alison! — zaprotestował Rory. — No...

— I jak wyglądało to *ménage à trois*? — Mungo uchwycił w lusterku jej wzrok. — Ta trojka?

— W porządku — wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i zacisnęła wargi.

— No, dalej — Rory położył rękę na jej dłoniach, kurczowo zacisniętych na kolanach.

— Najpierw łóżko — zaczęła piskliwie — z nim. Potem Patsy wchodziła się przyglądać.

Tego nie lubiłam. Potem ona zabierała się za mnie od drugiej strony. Chyba coś takiego nazywa się orgią.

— No, dalej — Mungo ze zmarszczonymi brwiami patrzył na szosę. — Dalej.

— Więc — mówiła jeszcze bardziej piskliwie. — Z nim mi się podobało, coś nowego, odmiana...

— Miła odmiana — powiedział nieoczekiwanie grubym głosem Rory.

— Hmm, prawda. Gdyby chodziło tylko o niego, pewnie bym tam jeszcze była.

— Och — twarz Munga się zachmurzyła, ale Alison wróciła myślami do Santa Barbara. —

Był tysiąc razy gorszy od ciebie, Mungo — powiedziała, nie zauważając wysoko uniesionych brwi męża.

— Używał słów, których nigdy wcześniej nie słyszałam. Twoje wyrażenia przy nich błędą. Trochę mnie to do niego zraziło.

— Tylko trochę — głos Rory'ego nie zdradzał żadnych uczuć.

— Ale Patsy to się nie spodobało. Nie lubiła połączenia ja i Eli.

— Też coś — mruknął pod nosem Rory. — I co się stało? — zapytał, bo zerknąwszy na profil Munga, odgadł, że ten nie może lub nie chce zadać tego pytania.

— To się stało — powiedziała bardzo szybko — że Eli zaproponował, byśmy we dwoje, bez Patsy, pojechali do Nowego Meksyku. Zgodziłam się z przyjemnością. Patsy coraz bardziej mnie irytowała: albo mnie pouczała, albo atakowała męża. Spakowałam swoje rzeczy i gdy schodziłam na dół, usłyszałam hałas na schodach. Oderwała wszystkie guziki od jego koszuli i właśnie rozdzierała spodnie — Alison wciągnęła powietrze. — Ugryzła go w nogę.

- Och — powiedział Mungo. — Kurczę! Niesamowite.
- Ach. I co... eee... co...?
- Wsiadłam do jego samochodu i pojechałam na lotnisko. Wcześniej, jak wiesz, rozmawiałam z twoją matką. Oczywiście nakłamałam jej. Wcale nie zamierzałam wracać do domu.
- Okłamałaś nas — stwierdził Mungo.
- Oczywiście, że tak — w głosie Alison słychać było zmęczenie.
- Przejrzałam od razu intencje twojej matki. Eli nie ma AIDS, ale ona sobie beze mnie nie poradzi.
- Ani ja — wybuchnął Mungo cały czerwony.
- Rory zauważył, że oboje byli bliscy łez.
- Nigdy w życiu nie widziałem mężczyzny pogryzionego przez kobietę — powiedział. Potem wybuchnęli niepohamowanym śmiechem. Z taką radością śmieją się zwykle bardzo młodzi ludzie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Hebe wcisnęła na nos okulary i pobiegła do samochodu. Zapaliła silnik i ruszyła w dół ulicy. Zarzuciło ją na zakręcie, gdy wjeżdżała na główną szosę. Niepokój, od chwili, kiedy Louisa przekazała jej wiadomość, troska o Amy, oburzenie na dziadków, rosnąca obawa podczas oczekiwania na wieści o Silasie połączyły się razem i spotęgowały panikę, której uległa, gdy znalazła się w domu Amy. Zmusiła pojazd do rozwinięcia maksymalnej prędkości i niebezpiecznie przemykała między samochodami, tak spięta, że niemal zapomniała o oddychaniu. Jim, który za nią jechał, kulił się widząc, jakie podejmowała ryzyko i tylko miał nadzieję, że Hebe w obłędzie nie spowoduje wypadku, a on nie będzie musiał wozić jej do szpitala i oznajmiać Silasowi o tragedii.

Hebe zniknęła mu z oczu. Zobaczył jej samochód dopiero przy budce telefonicznej. Drzwi były szeroko otwarte, silnik pracował, a Hebe gnała w stronę domu Bernarda.

Zaparkował, podbiegł do pojazdu dziewczyny, zamknął drzwi i schowawszy kluczyki do kieszeni, ruszył za nią w pogoń. Widział, jak dwukrotnie wdrapała się na płot i przeskoczyła na drugą stronę. Raz upadła, ale podniósłszy się, natychmiast popędziła dalej. W biegu Jim mruczał pod nosem: — Tym razem, tym razem...

Gdy pokonywał ostatni płot przed ogrodem Bernarda, zderzył się z Feathersem, potknął się i upadając zaklął siarczyście. Pies na powitanie obwąchał jego twarz, zachwycony, że znalazła się w jego zasięgu.

- Odpieprz się — Jim odepchnął psa. — Z drogi, do cholery.
- Feathers wyciągnął się na mokrej trawie.
- Coś ci się stało? — zapytał Bernard stając nad nim.
- Nie — odpowiedział Jim podnosząc się z trudem. — Z drogi! — zawołał na Feathersa.
- Stój — powiedział Bernard, kiedy Jim skierował się w stronę domu. Złapał go za ramię, a ten odwrócił się tak gwałtownie, że niemal przewrócił staruszką na ziemię.
- Dlaczego! — krzyknął wściekły. — Dlaczego?
- Zostaw ich samych. — Bernard trzymał go za rękaw. — Idziemy stąd.
- Muszę z nią porozmawiać — dyszał ciężko. — Muszę.
- Teraz pójdziemy obaj do kina — spokojnie odparł Bernard.
- Wracaj do domu — machnął na psa. — Ty im nie będziesz przeszkadzał. No, już.

Idziemy, żeby Silas mógł spokojnie pomówić z matką.

— Muszę porozmawiać z tą dziewczyną! — krzyczał Jim.

— Nie teraz. Powinna z nim zostać sama. To ważne.

— To ważne, żeby z nią porozmawiał — nalegał.

— Tylko dla ciebie.

Patrzył na starca pokonany. — Nie pomyślałem o tym.

Bernard, stary i skurczony, spojrział na Jima.

— Nie ucieknie ci — stwierdził.

— Mam jej kluczyki.

— Włóżmy je z powrotem do samochodu — nakazał i poprowadził Jima w kierunku drogi.

— Poznała cię?

— Nie przypuszczam. Kiedy wszedłem do mieszkania, rozmawiała przez telefon. Powiedziałem tylko, że Silas jest u ciebie i natychmiast wybiegła. Nie sądzę, by mnie w ogóle zauważyła. Usłyszała tylko wiadomość, którą jej przekazałem.

Szli powoli. Jim pomagał Bernardowi przy przechodzeniu przez płoty.

— Taka droga nie jest odpowiednia dla mężczyzny w moim wieku — zauważył Bernard.

— Ale zaraz usiądziemy w kinie. Tam nam będzie sucho i ciepło.

— Dlaczego idziemy akurat do kina? — buntował się Jim.

— Bo tam jest ciemno — odparł Bernard ze stoickim spokojem. Byli już blisko samochodu Jima. — Będę mógł się pogрузić w żałobie.

— W czym? — Jim był w złym nastroju.

— Zdajesz się zapominać — Bernard wszedł do samochodu i zaczął zapinać pasy — że byłeś w mieście dwukrotnie. Za pierwszym razem zobaczyłeś zmarłą Amy i zapomniałeś powiedzieć Hebe, że jej chłopiec jest bezpieczny. Wysłałem cię tam po raz drugi. To, że idę do kina, nie znaczy, że śmierć Amy mną nie wstrząsnęła.

— Czyżby? Dlaczego? — Jim niechętnie uruchomił samochód.

— Kiedyś byliśmy w sobie zakochani. I bardzo do siebie pasowaliśmy.

Jim nic nie powiedział. Jego myśli krążyły wokół Hebe.

— Jeśli film będzie łzawy, mogę udawać, że się nim wzruszyłem.

— Tak — Jim zaczął słuchać z uwagą.

— Spotkaliśmy się w „Hotele d’Angleterre”. Smutno się skończyło. Dawno temu w Paryżu.

— Czemu?

— Odkryła, że sypiałem z Louisą. Dlaczego kobiety zawsze oczekują, że będziemy się wiązać tylko z jedną na raz? To bezsensowne. To ją najbardziej zdenerwowało — na starość Bernard usunął z pamięci fakt, że Amy zaszła w ciążę.

— Przez te wszystkie lata — Jim na chwilę zapomniał o swoich zmartwieniach — nigdy nie widziałem, żebyś ją odwiedzał.

— Nie rozmawialiśmy ze sobą — wyjaśnił Bernard. — Ostatnio, odkąd zajęła się Hebe i poznałem tę dziewczynę, próbowałem się z nią pojednać. Louisa i ja nadal jesteśmy sobie bliscy. Amy zgorzkniała. Nic nie mogłem na to poradzić.

— Może miała powody do zgorzknienia — Jim nigdy nie uważał, że jego stary przyjaciel ma szczególnie dobry charakter.

— Hebe cię nie potrzebuje — odparł Bernard złośliwie, potwierdzając obawy Jima. — Lepiej niż Amy potrafi sobie radzić samodzielnie. I gdy Jim nie odpowiadał, ciągnął: — W tych czasach jest moda, by kobiety żyły samotnie. Nawet ty musiałeś to zauważyć.

— Dlaczego nawet ja? — spytał, ale Bernard udawał, że go nie usłyszał i Jim poczuł się w jakiś sposób ośmieszony.

Rozdział trzydziesty

Silas i Hebe przytulili się mocno do siebie. Zadyszana po biegu, poczuła radosną ulgę. Wystarczyło jej po prostu trzymać go w ramionach. Był cały i zdrowy. Obawiała się, że jeśli się odezwie, może powiedzieć coś niewłaściwego. Silas czuł mocne bicie jej serca. Siedzieli przytuleni w fotelu Bernarda w małym ciemnym pokoju. Ogień migotał na kominku, a Feathers usiadł u ich stóp pomrukując.

Silas z twarzą przytuloną do jej piersi zaczął mówić:

— Pochorowałem się na morzu. Nie miałem kaloszy. Oni się świetnie znali. Pani Reeves to typ sportowy. Wyszedłem na idiotę, bo oni wszyscy umieli żeglować. Spacerowałem samotnie. Widziałem foki i żmije, i ludzi na łódce. Tam było jeszcze dwóch chłopców. Chwalili się kochanką ojca. No, przynajmniej ten młodszy, i rozmiarem jego... A potem mówił, że jeszcze leje w łóżko, jakby to dowodziło jego mądrości. Ciągłe jedliśmy gulasz i pan Reeves — ma na imię Julian — czepiał się pani Reeves. Powiedziała, żeby ją nazywać Jennifer. Nie mogłem. Czepiał się jej o ten gulasz i mówili Kobieta o pani, która przychodzi sprzątać i gotować. Do mnie się przyczepił o szkołę. Dlaczego się nie uczę łaciny. On i pani Reeves ciągle na siebie warczeli... to okropne snoby... i tak było cały czas. Dał mi wina, a potem zauważyłem, że inni piją tylko colę. Czuję się jak idiota. Wyrzygałem się na twój sweter. Mieszkaliśmy w jednym pokoju, wszyscy czterej. To uroczy domek, naprawdę śliczny, ale szkoda... Wysłałem ci kartkę, nie chciałem, żebyś wiedziała, że mi źle... A teraz, jak wrócę do szkoły, będzie okropnie... Wyrzygałem się do kaloszy Michaela i na twój sweter. Rozmawiali podniesionymi głosami i on zaczął mnie wypytywać o ciebie i co robi mój ojciec. Pani Reeves się wtrąciła i powiedziała... zadzierali nosa, bo mieszkamy w miasteczku. W porządku, jeśli się mieszka w Londynie, ale jeśli nie, to trzeba mieć dom na wsi... i Michael powiedział, że jesteś kucharką i pani Reeves powiedziała, że jej wujek poślubił swoją... a pan Reeves wtrącił, że kucharki to rasa na wymarcu — on był pijany — ciągle dolewał mi wina i w powietrzu wisiała awantura... i mnie zapytał, co robi mój ojciec, ja go nienawidzę i powiedziałem, że moja mama to hermafrodyta i chlusnąłem mu winem w twarz.

Hebe objęła go mocniej. Silas wziął głęboki oddech.

— Sprawdziłem w słowniku pana Quigleya, co to znaczy i teraz czuję się jeszcze większym idiotą. Jak go oblałem winem, to wyskoczyłem na dwór... zerwałem twój sweter ze sznura, na którym go powiesiła pani Reeves. Uprała go, ale nadal śmierdzi... Nie wiedziałem co robić, ale miałem szczęście, bo ludzie, których obserwowałem, jak łowili ryby, płynęli do St. Mary. Podrzucili mnie tam... Żałuję, że wszystko zostawiłem w domku, tylko wziąłem sweter... O nic się nie pytali... Następnego dnia udało mi się zabrać helikopterem. Pilot pamiętał, że miałem bilet powrotny. Kiedy wróciłem do domu, ciebie nie było, więc zacząłem płakać... Przepraszam. Amy i Hannah by wypytywały... Jim mnie znalazł i tu przywiózł... On i pan Quigley byli tacy dobrzy. Tak cudownie tu było z Feathersem i kotką... Ona nie ma imienia, pan Quigley twierdzi, że koty go nie potrzebują, ale on przynajmniej nie mówi o niej takim tonem, jak Reevesowie o swojej sprzątacze. Powiedzieli... Nie, tego nie powiedzieli, ale czułem, że chcą powiedzieć, że jestem mięczak... No, a oni też nie są twardziele. Michael płakał, kiedy ona go uderzyła i ja pomyślałem... Pomyślałem, że hermafrodyty nie biją swoich dzieci... To Giles zaczął. Pytał, czy jestem dzieckiem z próbówki, a ja odpowiedziałem, że nie, bo kiedy się urodziłem, jeszcze tego nie robili... Pożarliśmy się... Uderzyłem go... Wpadł między kapustę i krew mu poszła z nosa. Pan Quigley powiedział, że jego ojciec był nudny i zrobiło mu się bardzo przykro... Wrzucił mi kartkę: „Może twoja matka jest hermafrodytą”... Byłem z tego dumny, póki w słowniku... Jakie to wszystko okropne... Czy mam ojca?

— Nie — Hebe zrobiło się przeraźliwie zimno.

— Znałaś go? — Silas objął ją mocniej.

— Nie.

Silas, który siedział obejmując ją ramionami, spojrzał na nią, podniósł rękę i delikatnie zdjął jej okulary.

— Zaparowały — położył je na stoliku przy fotelu i przeciągnął ręką po włosach. — Są mokre od twoich łez — powiedział patrząc na swoją dłoń. — A może był chociaż hermafrodyt? — zapytał.

— Silas — zwróciła się do niego, myśląc, że nadszedł czas, by spalić za sobą mosty.

— Nieważne — powiedział. Poczul przyjemne odprężenie. Jest z matką i wyrzucił z serca wszystkie smutki.

— Nigdy nie potrafiłam ci o tym opowiedzieć, bo nie wiedziałam, jak zacząć. Byłam we Włoszech i po powrocie dziwnie się czułam. Wysłali mnie do lekarza, a on stwierdził, że jestem w ciąży. Oni... Nigdy ci nie wspominałam, że wychowywali mnie dziadkowie. Kiedy się dowiedzieli, byli wściekli... okropnie. Nadal prześladuje mnie ten koszmar. Słyszę ich głosy, jak mówią: „Kim jest ten mężczyzna?”, i „Długowłosa nicpoń, chuligan, Murzyn, bosa nogi, brudne paznokcie”. Ciągłe pytali: „Kim jest ten mężczyzna?”, a ja nie mogłam odpowiedzieć, bo sama nie wiedziałam. Nie uwierzyli. Chciałam ciebie urodzić, a oni chcieli, żebym poszła na zabieg. Wiesz, co to znaczy?

— Oczywiście. Ale tego nie zrobiłaś.

— Amy się mną zajęła. Sprzedałam najcenniejsze rzeczy Bernardowi Quigley i tak zostaliśmy przyjaciółmi. Nauczyłam się zarabiać pieniądze. Staralam się dociec, kim może być twój ojciec, ale nadal nie wiem. Tylko dostaję napadu panicznego lęku, słyszę głosy powtarzające w kółko coś o zabiegu, nazywające mnie dziwką i pytające, kim jest ten mężczyzna — Hebe zadrżała. Silas mocniej ją przytulił. W kominku strzeliło polano, a Feathers sapnął przez sen. — Kiedy mnie ogarnia przerażenie, słyszę ich głosy i widzę siebie uciekającą przez ciemne ulice. Biegnę i biegnę, a budynki wokół mnie są wyższe od drapaczy chmur, a ludzie wyglądają zza zasłoniętych okien. Wciąż słyszę, jak powtarzają: „Kim jest ten mężczyzna?” — Hebe mówiła coraz szybciej. — Muszę ci to powiedzieć, bo pewnie zrobi to ktoś inny. Poza gotowaniem od czasu do czasu puszczałam się dla pieniędzy, żeby nas utrzymać.

„I tak oto wszystko wyszło na jaw” — pomyślała.

— Zdajesz sobie sprawę... — Silas zeszytywniał w jej ramionach i spojrzał na nią. — Czy zdajesz sobie sprawę, że najprawdopodobniej zdarzyła ci się nieprzyjemna historia z narkotykami, chyba z LSD — powiedział sprawiając wrażenie starszego niż był. — Fascynujące.

— Nigdy w życiu się nie narkotyzowałam — Hebe była przerażona. — Co o tym wiesz? — wyprostowała się i utkwiała w nim wzrok.

— Mogli ci podać LSD w napoju. Ludzie uważają to za dowcip.

— Dowcip!?

— Sama nie wiesz, kiedy się zaćpasz. Wychowawca w szkole miał o tym pogadankę. Z kim wtedy byłaś? Zdarza się coś takiego na imprezach. Był tam hermafrodyt?

Hebe zaczęła się śmiać.

— I wtedy — powiedział Silas także się śmiejąc — on cię uwiódł.

— Och, Silas, sama już nie wiem.

— I to tylko te koszmary?

— Nie, jeszcze jedno. Zapach — wyprostowała się. — Mój Boże, Silas, właśnie tym pachniesz. Ależ to szaleństwo. Och, nawet ci nie wspominałam. Całkiem mi wyleciało z głowy. Amy jest chora. Jak mogłam zapomnieć?

- Umrze? — zapytał drżącym głosem.
- Miała atak serca. Teraz odpoczywa w łóżku.
- Słyszę, jak bije twoje serce. Amy nas nie zostawi.

Hebe ucałowała czubek głowy spoczywającej na jej piersiach. Później przyjdzie czas na martwienie się o Amy. Teraz dzięki Silasowi była radosna i spokojna.

- To ten sweter tak pachnie, Jim mi go pożyczył — powiedział.

Hebe go nie słuchała. Ulga, że go znalazła i mu o wszystkim powiedziała, wyparła wszystkie inne uczucia. Wciągnęła głęboko do płuc zapach domku Bernarda: dym z kominka, czosnek, parafina, zioła, kawa, wilgotne, słone powietrze płynące nad polami od morza. Westchnęła z ulgą. Może i Silas ma rację z tym LSD. Ona zwyczajnie nie pamięta.

- Co to zresztą za różnica? — powiedział Silas.
- Jaka różnica?
- Między ślubem dla pieniędzy i... — zawahał się — ...puszczaniem się? Nie widzę żadnej różnicy, poza jedną rzeczą...
- Tak?
- Że wydajesz się znacznie szczęśliwsza od matek chłopaków ze szkoły.
- Och!
- Jesteśmy obaj, Giles i ja, szczęśliwsi niż ci w szkole. Państwo Reevesowie nie wyglądają na szczęśliwych. Czy muszę wracać do tej szkoły?
- Ja...
- Wiesz, Giles, kiedy chce, mówi tak jak my, a kiedy jestem z nim, mówię jak on.

Hebe milczała.

— Giles tak mówi na złość Hannah, no i łatwiej żyć, jeśli człowiek się nie wyróżnia. Te lekcje wymowy Hannah to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Kto chce mówić jak pani Thatcher? — roześmiał się. — Jak myślisz, o co chodzi w tych koszmarach?

- Dziadkowie próbują się dowiedzieć, kim jest twój ojciec.
- I co mówią? Powiedz mi jeszcze raz.
- „Kim jest ten mężczyzna?” — szeptała Hebe. — „Długowłosey nicpoń, brudne nogi, może to cudzoziemiec, kim jest ten mężczyzna, zabieg, może to Murzyn, kolczyki, marihuana, brudne paznokcie, może to kryminalista, kim jest ten mężczyzna...”
- Mnie to nie rusza — powiedział Silas.

Rozdział trzydziesty pierwszy

— Zabierz mnie na ulicę Wilsona — odezwał się Bernard, który do tej pory trwał w milczeniu.

— Sądziłem, że chciałeś iść na film — powiedział Jim, który również siedział milcząc, dręczony przez gniew, podniecenie i wściekłość. Przez tę nieprzyjemną kombinację uczuć prowadził samochód tak nieuważnie, że podczas drogi parę razy cudem uniknął zderzenia z innymi pojazdami.

— Zmieniłem zdanie. Zatrzymaj się na rogu, chcę kupić kwiaty dla Amy.

Jim stanął przy krawężniku.

- Nie rozsądniej zaczekać na pogrzeb?
- Rozsądniej — prychnął Bernard, otwierając drzwi. — Zaraz wracam. Przemknął chodnikiem do kwaciarni.
- Zaparkowałem na podwójnej żółtej linii! — krzyknął za nim Jim. Obserwował, jak

nieubłaganie zbliża się ktoś ze straży miejskiej. „Jeszcze mi tego brakowało” — pomyślał. — Bębnił niecierpliwie palcami po kierownicy, przeklinając Bernarda. Osoba w mundurze powoli zbliżała się do niego, wsuwając mandaty pod wycieraczki.

— No, Bernard, chodź już — zawołał. „Dlaczego tak się wściekam? Czy to naprawdę ma znaczenie?” — zapytał siebie Jim. — Szybko! — krzyknął na staruszkę. Bernard wynurzył się ze sklepu z naręczem róż.

— O, witam — Bernard i strażniczka spotkali się przy samochodzie. — Karen, prawda? — odsonił w uśmiechu żółte zęby. — Bardzo pięknie wyglądasz. Jak się miewa twoja mama? Chyba się widzimy po raz pierwszy, odkąd skończyłaś szkołę. Bardzo przypominasz mamę.

— Panie Quigley, już wyszłam za mąż — zaszczebotała Karen.

— Boże, ależ ten czas... Czyżbyś miała zamiar wsunąć nam za wycieraczki jeden z twoich *billets doux**1

Śmiejąc się przytrzymała otwarte drzwi, gdy wsiadał do samochodu.

— Zaloty, co panie Quigley? — zagadnęła, zerkając na róże. Bernard znów pokazał zęby w uśmiechu. Zatrzasnęła drzwi. — I niech pan nie zapomina o pasach bezpieczeństwa.

Bernard oparł się o siedzenie.

— Kocham kobiety, nie mogę bez nich żyć — powiedział.

Jim odjechał, zastanawiając się, jakim cudem Bernardowi udało się w młodości uniknąć gwałtownej śmierci.

Zatrzymując samochód przed domem Amy, postanowił, że nie weźmie udziału w tym niesmacznym przedstawieniu, które Bernard zaplanował.

— Chodź — powiedział Bernard do Jima. — Co za kretyńskie ograniczenie nałożone na wolność jednostki — stwierdził, wyplątując się z pasów. — Głowa do góry i za mną.

Jim niechętnie ruszył za nim.

Bernard przemierzył chodnik i jednym pchnięciem otworzył drzwi.

— Nigdy ich nie zamyka. Głuptas, wreszcie się doczeka, że ją obrabują. — Wdrapawszy się po schodach, uchylił drzwi do sypialni Amy. Jim usłyszał słaby okrzyk i głos Bernarda:

— Ten dupek mi powiedział, że umarłaś. Kupiłem ci róże. Tylko mi nie mów, że miałaś atak serca.

— Nie tylko Louisa ma słabe serce — dobiegł go rzeński głos Amy.

— Po tylu latach nadal zazdrosna — wykrzyknął zadziornie.

— Niech na ciebie popatrzę. Nawet nieźle wyglądasz. Daj buziaka — powiedział i głośniejsze dodał: — Jim, wejdz do nas.

Jim wszedł do pokoju. Amy leżała, obejmując bukiet róż. Wolną ręką trzymała starczą dłoń Bernarda. Uśmiechnęła się do Jima.

— Myślałaś, że umarłam, co? Gdzie jest pies?

— Przybłąda — Jim poczuł się ogromnie zakłopotany. — Bardzo przepraszam, że tak wszedłem do pani domu. Chciałem...

— Siadajcie, obaj — wskazała im krzesła. Bernard usiadł, trzymając jej dłoń. Jim niepewnie zajął miejsce przy oknie. — Przyszedłeś obejrzeć moje przyciski — zwróciła się do niego. — Teraz mam prawdziwe kwiaty — mocniej zacisnęła palce wokół celofanu.

— To, że sądziłem, że umarłaś, niczego nie zmienia — głośno oświadczył Bernard.

— Ani nie umarłam, ani nie jestem głucha — powiedziała gniewnie. — Nigdy nie zakładałam, że się zmienisz.

Jim miał wrażenie, że wracają do starej kłótni.

* franc.: słodkich liścików (przyp. tłum.).

— Nie dostaniesz przycisków. Zostawiam je Hebe.
— Nie chcę twoich przycisków! — zawołał Bernard łamiącym się głosem.
— To dlaczego tu przyszedłeś? — spytała obserwując go uważnie. Jim wyczuł w jej głosie wrogość.

— Czy twoje serce wytrzyma tę nowinę? — Bernard wpatrywał się w jej twarz.
— Oczywiście. Wyrzuć to z siebie — Amy wzięła nad nim górę w tej odwiecznej sprzeczce.
— Zaskoczyć cię? — dopytywał się coraz głośniejsze.
— No, dalej.

— Jim, mój przyjaciel, ma podstawy sądzić, że jest ojcem Silasa — wpatrywał się w nią z lekko otwartymi ustami, jakby sam był zaskoczony tą wiadomością.

— Z wyglądu są bardzo podobni — powiedziała Amy nie okazując zdumienia. — Takie same nosy. Zanim posiwiłeś, miałeś chyba kasztanowe włosy — zwróciła się do Jima. — Chociaż Silas czy ma Hebe.

— Niech cię, Amy, musisz być taka spokojna? — zawołał Bernard.

— Lekarz zabronił mi się denerwować.

— Całymi latami jej szukał.

— I chce się z nią ożenić? Chcesz się z nią ożenić? — próbowała zobaczyć twarz Jima, który siedział tyłem do okna.

— Ja — zaczął — ja...

— Jest w niej zakochany — ochoczo wyjaśnił Bernard.

— Ha! Miłość! — wtrąciła Amy. — Ty jesteś zakochany we mnie — usłyszała jak Bernard prychnął. — I w Louisie. Była też mowa o miłości do Lucy, a nawet do Eileen. To babcia Hebe — zwróciła się do Jima. — I do wielu innych. Zabierał nas wszystkie do tego samego hotelu w Paryżu. Mówić o miłości to nic nie znaczy.

— Bzdury! — zawył Bernard. — Przecież jestem tutaj z różami!

— Przyszedłeś się upewnić, że umarłam i podwędzić moje przyciski.

— Nieprawda! — wrzasnął Bernard. — Przyszedłem, bo cię kocham.

— Też coś.

Zapadła cisza. Jim wstał, skrępowany groteskowym zachowaniem starszyców.

— Nadal utrzymujesz kontakt z Louisą — powiedziała oskarżycielskim tonem.

— Dzwonię do niej — przyznał Bernard. — Czasami.

— Dlaczego nie — Amy okazała się wspaniałomyślna. — Ale nie pozwalasz jej się zobaczyć, biedny trzęsący się starszeńku.

— Nie — powiedział Bernard przykrywając oczy. — Nie pozwalam.

— Nie chciał się ożenić z żadną z nas — Amy przeniosła swą uwagę na Jima. — Teraz to i tak bez znaczenia. Czy chcesz się ożenić z Hebe?

— Ja... — Jim czuł się oszołomiony. Jakim prawem ta starucha go odpytuje?

— To zależy od Hebe, prawda?

Bernard otworzył oczy.

— Tylko od Hebe? — zapytał.

— Dla mnie tylko ona jest ważna — Amy przenosiła wzrok od jednego mężczyzny do drugiego. — A dla Hebe wyłącznie Silas. On jest dla niej najważniejszy. Gdzieś zniknął. Nie wiadomo, gdzie się podział.

— Silas — odparł gładko Bernard — jest u mnie w domu, a Hebe razem z nim. Dlatego Jim przyszedł tu ze mną. Z wielkim taktem usunąłem go stamtąd, żeby hipotetyczny ojciec nie plątał się im pod nogami, co pozwoli Silasowi wyjaśnić, dlaczego uciekł z wysp.

— Sądziłam, że przyjechałeś odwiedzić zmarłą. Czy Silas dobrze się czuje?

— Doskonale. Zabawialiśmy go, jak ja — tu ścisnął jej dłoń — ...bawiłem ciebie.
Amy wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— Uważaj na serce.

— Prawdę mówiąc, już mi lepiej.

— Bo mnie zobaczyłaś — dodał przebiegle.

„Ci przebrzydli starszycy flirtują” — pomyślał Jim. Ciekawe, czy zauważyliby, gdybym się wymknął? Nie potrzebują audytorium przy spotkaniu po latach.

— W zasadzie tak — Amy wydawała się rozbawiona.

W tym momencie weszła do pokoju Hannah, z błyskiem w zielonych oczach i pokazując zęby w uśmiechu, a za nią pojawili się Terry i Giles.

— Na Boga, co to? Jakaś impreza? — patrzyła to na Jima, to na Bernarda. — Przyszliśmy się podzielić dobrą wiadomością.

— Podzielić? — spytała Amy, trzymając dłoń Bernarda.

— Jedno ze słówek Terry’ego. Zastanawialiśmy się, czy twoje serce to wytrzyma.

— Jest w zupełnym porządku.

Wychodząc z pokoju, Jim pomyślał, że dobrą wiadomością jest to, że biała dziewczyna i czarny chłopak są, z braku lepszego określenia, zakochani. Biegąc po schodach i dalej do samochodu, z niechęcią myślał o niemal widocznym blasku szczęścia, roztaczającym się wokół tej kiepsko dobranej pary. Ciągle miał przed sobą rozmowę z Hebe.

Jim zaparkował obok samochodu Hebe. Szedł szybkim krokiem przez pola, walcząc z chęcią powrotu do Londynu i uzbrojenia się znowu w tarczę, która przez trzynaście lat tak skutecznie chroniła go przez zaangażowaniem się w poważniejszy związek. Przedzierając się przez kapustę i pokonując płoty, wspominał dziewczęta, z którymi zetknął się w przeszłości. Wesole dziewczęta, ładne dziewczęta, mądre i głupie; przed głębszym uczuciem chroniło go wspomnienie idealnej dziewczyny z Lucca, która go opuściła i biegnąc razem z innymi, zniknęła w tłumie. Pamiętając wcześniej, jak Hebe pędziła przez pola, pomyślał, że nadal biega bardzo szybko. Zaciśnął zęby i zmusił się do wędrówki. Ona jest teraz w domu Bernarda. „Muszę to jakoś załatwić” — postanowił, wspinając się na ostatni płot przed domem Bernarda. „Skończyć z moim snem” — myślał niechętnie. „Stanąc twarzą w twarz z rzeczywistością. Zburzyć to wszystko”.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Z żalem i smutkiem myślał o tym, co utraci, ale było za późno na ucieczkę. „Gdybym wykazał się odrobiną rozsądku, powinienem był przestać jej szukać już dawno temu. Jeśli bym jej nie znalazł, coś jednak by mi zostało” — pomyślał.

Hebe siedziała na fotelu Bernarda, obejmując Silasa, który zwinął się obok niej. Oboje spali.

Jim usiadł w fotelu przy drzwiach. Feathers podszedł, machając ogonem i popiskując na powitanie. Przyciskał mu łeb do kolan, domagając się pieśczoć. Jim pogłaskał go po łbie i spojrzał na Hebe, która zerkała na niego nad głową Silasa.

— Już dobrze? — spytał, wskazując na chłopca.

— Tak — odparła spokojnie.

Feathers ułożył się znów u jej stóp. Jim czuł się bezbronny. Ona miała przy sobie Silasa, a teraz jeszcze i psa. Przełknął ślinę, ale nie wiedział, jak zacząć. Siedzieli przez parę minut, patrząc na siebie. Wreszcie Hebe powiedziała coś półgłosem.

— Słucham? — spytał.

— Ten zapach. Chyba go poznaję... pachnie jak sweter, który mu pożyczyłeś.

— Mówisz o mnie? Ja czymś pachnę?

— Tak.

— Pachnę kawą. Prowadzę sklep z kawą i moje ubrania przeszły jej zapachem. I co z tego?

— Mam ataki panicznego lęku, koszmary. A potem czuję ten przyjemny zapach.

— Cieszę się, że ci się podoba.

Przyglądał się jej uważnie. Obcięła włosy, oczy pozostały takie same, twarz zeszcupiała.

— Sprzedaję kawę w jednej części pomieszczenia, a antyki w drugiej — powiedział, starając się podtrzymać rozmowę.

— Aha — Hebe niezbyt mu w tym pomagała.

— Pracowałem w barze kawowym w Luce. Pamiętasz mnie? Pamiętasz fiestę, naszyjnik z orzechów, świece na parapetach okien, wąskie uliczki? Uciekłaś...

Patrzyła na niego. „O czym myśli” — zastanawiał się.

— Mój koszmarny strach — powiedziała.

— A dla mnie cudowne wspomnienie, które mnie nie opuszczało. Przykro mi, że dla ciebie to koszmar.

Wprawiło go to w osłupienie. Przez te wszystkie lata pamiętała tylko cholerny koszmar.

— Ten zapach łączy się jeszcze z czymś innym. Teraz wiem, że to byłeś ty. To coś innego, rezultat... ja... — spojrzała na niego zmieszana. — Próbowałam to opisać Silasowi i wiesz, co powiedział?

— Co?

— Że być może ktoś dał mi LSD.

— To by wiele wyjaśniało. Byłaś z grupą hipisów. Tak mówili ludzie, kiedy cię próbowałem znaleźć.

— Po prostu ich spotkałam. Mieszkałam u rodziny, pracując jako *au pair* i ucząc się włoskiego. Tamtych nie znałam.

— W Lucca?

— Następnego dnia miałam wracać do domu. Widać to wszystko wyrzuciłam z pamięci, kiedy później się zrobiło tak strasznie... Przykro mi.

— Jestem ojcem Silasa — powiedział Jim, zdobywając się na odwagę. „Teraz już nie ma odwrotu” — pomyślał. „Przez lata mój czarowny sen był dla niej koszmarem”. — Myślę, że to oczywiste. Popatrz na jego nos i włosy — to mój syn.

Hebe milczała. — Ma twoje oczy — dodał. — Może byśmy się mogli lepiej poznać — mówił dalej. Hebe nadal się nie odzywała.

— To wszystko wydaje się postawione na głowie. Nie chciałbym ci się naprzykrzać, ale Silas jest owocem naszego spotkania. Może, jeśli byśmy...

— Owoc — Hebe popatrzyła na chłopca. — Ja... — przytuliła go mocniej do siebie. „Obawia się, żebym mu nie zrobił krzywdy” — pomyślał Jim. „Muszę sprawić, żeby się przestała panicznie bać. Nie próbuje zaprzeczać mojemu ojcostwu”.

— Jeśli jesteś... — powiedziała przyjmując pozycję obronną.

— Na pewno jestem — powiedział. „Idioto, jeszcze się możesz wycofać” — myślał gorączkowo.

— Tak — nie miała zamiaru mu zaprzeczać.

— Posłuchaj, kiedy spotkałem wczoraj Silasa, był bardzo zdenerwowany. Może moglibyśmy zacząć od tego? Może mógłbym coś pomóc, jeśli wpadł w tarapaty. Co o tym sądzisz?

— I znów zacząć od niewłaściwego końca.

„Jest inteligentna. Bogu dzięki” — pomyślał.

— Postawić dobro Silasa na pierwszym miejscu i może przy okazji lepiej się poznamy.

— Możesz go poznać, temu się nie sprzeciwiam — odparła Hebe, zachowując siebie poza tym układem. „Nie mogę być zaborcza”

— pomyślała.

Jim, który siedział napięty i ponury, po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Nie znasz mnie jeszcze. Możesz zachować swoją prywatność tak dalece, jak zechcesz — powiedział. „Naprawdę wcale tak nie myślę”

— przyznał się sobie samemu. „Chcę ją poznać, ale przełamywanie tych oporów może nam zająć resztę życia”.

Hebe sięgnęła po okulary i włożyła je, by się lepiej przyjrzeć Jimowi. „Obejmuje nas już w swe posiadanie” — pomyślała. „Myśli, że może się wedrzeć w moje życie. Ojciec Silasa. Nie mogę zaprzeczyć, są podobni. Nawet mówi jak Silas. A co z moim »syndykatem«? Z gotowaniem? I jak on to sobie wyobraża, że znajdzie miejsce między Mungiem, Rorym, Louisą, Lucy i Hyppolyte, obok Silasa, dla którego żyję i pracuję? Sądzi, że może się tak po prostu zjawić? Czy chcę, by ten mężczyzna wdzierał się w mój świat?” W zamyśleniu mierzyła Jima spojrzeniem zza okularów.

„Zupełnie nie przypomina mojej wymarzonej dziewczyny” — pomyślał Jim. „Wygląda na bojową. A wymarzona dziewczyna była taka bezradna. Co ta kobieta, która trzyma w ramionach mojego syna, zrobi z moim życiem? Jak znajdzie miejsce między moim sklepem z kawą i antykami? A chłopiec, mój syn. Co z nim? Na Boga, czy ja naprawdę chcę tego wszystkiego?”

— Gdybyśmy pisali książkę — odezwał się Jim — byłaby to scena pełna radości.

— A w życiu przypomina stanie na ruchomych piaskach — dodała Hebe.

Wybuchnęli śmiechem i to obudziło Silasa.

Rozdział trzydziesty drugi

Silas, patrząc to na matkę, to na Jima, przypomniał sobie, gdzie jest. Wróciła, niczym czarna chmura, pamięć upokorzeń doznanych w czasie wizyty u Reevesów.

„I co będzie z moim workiem? Zostawiłem go tam” — przypomniał sobie. Torba z ubraniami zaczęła urastać do rangi niezwykle ważnego przedmiotu.

— Pani Reeves go jutro przywiezie. Możemy odebrać na lądowisku helikopterów — odparła Hebe.

— I z nią rozmawiać? — Silas był przerażony. — Spotkać ich wszystkich?

— Będziemy z tobą — Jim wstał i wyprostował się. — Strasznie mały ten pokoik, wręcz się tu duszę. Może byśmy poszli gdzieś na podwieczorek?

— Wspaniale. Za wzgórzem jest farma, gdzie podają coś do jedzenia. Możemy się przejść wzdłuż skał — Silasowi bardzo spodobał się ten pomysł. — Konam z głodu.

— No to chodźmy — powiedział Jim. Już dawno przestało padać.

— Dobrze — Hebe poczuła straszny głód i próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miała coś w ustach. Zjadła śniadanie u Louisy o świcie. „Czy to było dzisiaj?” — zastanawiała się. — Też jestem głodna — powiedziała ostrożnie.

Feathers pobiegł przed nimi z wysoko podniesionym ogonem, jak przewodnik na placu Św. Marka prowadzący grupę turystów. Przeszli przez drogę i podążali krętą ścieżką nad plażą. „Wyglądamy jak przeciętna rodzina” — pomyślał Jim, gdy tak szli gęsiego. „Pies, dziecko, mama i tata. Ale to nie nasz pies, tato nie zamienił z mamą słowa przez trzynaście lat, a syna spotkał po raz pierwszy dopiero wczoraj”. Zamykając pochód, obserwował plecy Hebe, jej długi krok i ciemne włosy spadające na ramiona. Ponad jej głową widział kobaltowe morze, spokojne teraz w blaskach popołudniowego słońca i skały bielejące na łąkach piasku odsłoniętego przez fale. „O czym ona myśli? Czy wiedziałbym to, gdybyśmy rzeczywiście byli zwyczajną rodziną, na jaką wyglądamy?” — zastanawiał się.

Silas prowadził ich drogą pod górę, która przecinała skarpe, biegnąc w dół ku osłoniętej zatoce. W połowie drogi znajdowała się farma. Na trawie umieszczono stoły, krzesła i ławki. Usiedli przy pustym stole. Jim zamówił podwieczorek. Hebe siedziała skulona, z pobladłą twarzą. Położyła okulary na stole dziwnie ostrożnym ruchem.

„Nie chce widzieć zbyt wyraźnie” — pomyślał Jim, obserwując ją spod oka.

— Kiedy ostatnio jadłaś? — spytał.

— Louisa wmusiła we mnie śniadanie.

— Głupiec ze mnie — powiedział Jim. Wstał i wszedł na farmę.

— Czy byłaby pani tak miła i ugotowała dla nas jajko? — poprosił kelnerkę. — Ta pani od śniadania nic nie miała w ustach.

— Biedactwo. Zrobię dwa i dodam jeszcze chleb z masłem.

— Dziękuję — Jim wrócił do stolika i siedział w milczeniu, dopóki nie pojawiło się jedzenie.

Silas obserwował, jak kelnerka stawia na stole czajniczek z herbatą, mleko, cukier, bułeczki, gęstą śmietaną i dżem. Następnie przyniosła dwa jajka.

— Jeszcze sól — powiedziała. — Czy tak dobrze? — spojrzała na Jima.

— Wspaniale — podziękował jej.

— Dla kogo są jajka? — spytał Silas.

— Dla twojej mamy. Zajadaj — zwrócił się do Hebe, posuwając jajka w jej stronę.

— Och — zmierzyła go szybkim spojrzeniem. — Dziękuję.

— Powinnaś włożyć okulary.

— Tak — posłusznie wykonała polecenie.

Jedli w milczeniu. Jim patrzył, jak rumieńce wracają na jej policzki. Silas rzucał resztki jedzenia psu. „Gdybym kupił dom na wsi, moglibyśmy żyć jak zwyczajna rodzina” — pomyślał Jim, obserwując Hebe i Silasa. „Moglibyśmy mieć własnego psa. Jakoś nie widzę jej w Fulham. Równie dobrze mógłbym prowadzić sklep w pobliskim miasteczku. Nie wierzę, by jej odpowiadało mieszkanie na tej obrzydliwej ulicy. Jej kotce też by się spodobało na wsi. Może znaleźlibyśmy coś w Dorset”. Wyobraził sobie Hebe na tle nadmorskiego pejzażu. Inne rodziny, po zjedzeniu podwieczorku, spacerowym krokiem ruszały w górę ścieżki wiodącej do drogi, gdzie zostały ich samochody. Z zabudowań dobiegały odgłosy zmywania, wybuchy śmiechu i dźwięki muzyki z radia.

— Widziałeś Amy? — odwróciła się, by spojrzeć na Jima. — Byłam zbyt przestraszona, żeby o to zapytać.

— Czuje się znacznie lepiej. Ostatnio flirtowała z Bernardem. Zupełnie jakby kiedyś mieli romans — nie zdołał ukryć zdumienia.

— Starzy ludzie też mają uczucia.

— Bernard chyba obdzielał nimi hojnie.

Hebe uśmiechnęła się. „A co z moimi uczuciami, którymi obdzielałam »syndykat«? Co z nimi?” — pomyślała.

— Czy oni się pobiorą? — spytał Silas. — Mogliby. Amy zajęłaby się panem Quigley.

— Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby Amy planowała stworzenie Bernardowi cichej przystani na starość — mruknęła Hebe.

— On jest zbyt niezależny na małżeństwo — Jim wystąpił w obronie rodu męskiego.

— Ale lubi romansować — powiedziała rozbawiona Hebe.

— Co z tego. Pewnie będzie dalej mieszkał samotnie w domu z dala od ludzi, aż któregoś dnia listonosz znajdzie go martwego.

— To by mu się spodobało — zgodziła się Hebe.

— Amy go oskarżyła, że się kochał w wielu kobietach.

— Zapewne to prawda — Hebe nie chciała rozwodzić się nad tym tematem. — Widziałeś Hannah? — spytała. — Zajmuje się Amy?

— Pojawiła się w pewnej chwili. Z przystojnym Murzynem u boku.

— O, tak, z Terryem — Hebe się zamyśliła. — Hmm, tak.

— Wręcz tryskali radością życia. Zdaje się, że tam też jest romans, czyż nie tak?

— Hannah określiłaby to jako połączenie wibracji.

— A co z Georgem? — dopytywał się Silas. — On jest dentystą — wyjaśnił Jimowi.

— Zbyt nudny. Hannah chce połączyć małżeństwo i romans.

— Czy się dogada z Terryem?

— Myślę, że tak.

— Skąd on jest? — zainteresował się Jim. „Jeśli dowiem się czegoś o jej przyjaciółkach, może odkryję i Hebe” — pomyślał.

— Z Londynu. Pracuje na własny rachunek, zarabia dużo pieniędzy. Kocha poezję, fantastyczne historie...

— Aha.

„Co brzmi w jej głosie? Uczucie?” — zastanawiał się.

— Interesuje się wieloma rzeczami: muzyką, antykami, poezją... Tak, potrafi ją uszczęśliwić. Cudowny kontrast, nie sądzisz? Bardzo jasna Hannah i ciemnoczekoladowy Terry?

— Hebe z entuzjazmem planowała przyszłość Hannah.

— Dzieci w kolorze mlecznej czekolady — powiedział Silas zajądając bułeczkę.

— Wspaniale. Wszystko się dobrze składa...

— Świetnie — zgodzili się wesoło Jim i Silas.

— A co z przeszkodami? — spytał poważnie Jim.

— Hannah z radością stawi im czoło. Widzisz, z Terryem nigdy się nie będzie nudzić — stwierdziła poważnie.

— Pan Quigley powiedział, że ojciec Gilesa był nudziarzem — wyjaśnił z własnej inicjatywy Silas. — To go bardzo zraniło.

— Sam widzisz — Hebe zdjęła okulary i skierowała na morze krótkowzroczne spojrzenie.

Obserwując ją, Jim pomyślał, że kiedy się spotkali w Lucca, to przecież nie mogła go wyraźnie zobaczyć. Nic dziwnego, że majaczyły się jej koszmary. Jim nie był pozbawiony próżności. „Ale nie przybliżyliśmy się wcale do tego, co ważne. Rozmowa o Amy, Bernardzie i Hannah wcale mi nie pomogła” — myślał.

— Może byśmy poszli nad morze — zaproponował Silas.

Jim zapłacił za podwieczorek i wróciwszy na ścieżkę, z trudem schodzili ku zatoce. Tym razem to Jim prowadził, a Hebe zamykała pochód. Po chwili usiadła na trawie.

— Idźcie dalej sami. Ja tu na was zaczekam — powiedziała. Patrzyła, jak mężczyzna i chłopiec schodzą ze skarpy, słyszała chrzęst kamyków pod ich stopami, gdy doszli na dół. Feathers przysiadł obok niej, dysząc ciężko. Hebe położyła się na plecach. Słyszała, jak Silas coś woła, a Jim mu odpowiada. Poddała się zmęczeniu, ukołysana ciepłem słońca i szumem fal uderzających o kamyki.

Na plaży Jim i Silas najpierw puszczali kaczki, a później rozebrali się i poszli pływać na łagodnych przyjemnych falach. Ścigali się do skał u wylotu zatoki, po czym wdrapali się na nie i leżeli wyciągnięci w ciepłe promieni popołudniowego słońca. Silas przysłonił oczy dłonią i spojrzał w stronę matki.

— Czy moja mama jest tą dziewczyną spotkaną we Włoszech, o której nam mówiłeś, że jej szukasz?

— Tak — Jim patrzył na morze, wściekły, że nie potrafi spojrzeć Silasowi w oczy. „Źle, powinniśmy sami dojść ze sobą do ładu, a nie mieszać w to chłopca. Znow stawiamy wszystko na głowie” — pomyślał.

— Tak przypuszczałem — powiedział Silas. Położył się i zamknął oczy.

„Mój Boże, czemu on nic nie mówi” — zastanawiał się Jim. „Cieszy się, czy jest mu przykro? Czy coś go to obchodzi? Leży tak spokojnie. Jest zupełnie podobny do matki”.

Silas słyszał, jak w uszach dudni mu krew. „A więc mam ojca. To ten mężczyzna, Jim. I co teraz zrobię? Co robi mama? Co oni robili we Włoszech?” Mocno zacisnęła powieki, czując na nich promienie słoneczne. „Czy całowali się, tak jak ci ludzie w telewizji, którzy wyglądają, jakby jedli banana? Co teraz będzie? Wrócę do szkoły, jak zwykle? Co mama robi? Będzie nadal kucharką i prostytutką? Czy będzie na mnie czekała na stacji?”

— Zimno mi! — zawołał zdjęty strachem i wskoczył do wody. Jim obserwował, jak chłopiec podpłynął do plaży i człapie po ubranie. Kiedy dwadzieścia minut później dołączył do nich, Silas siedział na straży przy swojej śpiącej matce i przyglądał się uważnie Jimowi wspinającemu się pod górę. Feathers zaszczekał i Hebe się obudziła.

— Czas wracać do domu — powiedziała. — Jutro czeka nas ciężki dzień. Spotkanie z panem Reevesem, panią Reeves, paniczem Reeves i workiem żeglarskim.

Ruszyła pod górę, a za nią mężczyzna i chłopiec. Przy samochodach zwróciła się do Jima: — Dziękuję za uroczy podwieczorek i jajka. Czuję się jak nowo narodzona — powiedziała zwracając się do Jima, kiedy dotarli do samochodu i wyciągnęła rękę jak do znajomego.

— Może... — zaczął Jim, ujmując jej dłoń. — Może moglibyśmy porozmawiać...

Hebe puściła jego rękę.

— Mamy albo zbyt wiele do omówienia, albo nic — stwierdziła z rozpaczą. Wsiadła do samochodu. — W tej chwili najważniejszą rzeczą wydaje się ten cholerny worek żeglarski.

Odjechała z Silasem siedzącym u jej boku. Jim ruszył za Feathersem do domu Bernarda. Nigdy w życiu nie czuł się tak samotny.

Rozdział trzydziesty trzeci

Ten dzień zdawał się ciągnąć bez końca. Kiedy już upewniła się, że Amy czuje się lepiej, a Hannah i Terry są szczęśliwi, jak na kochanków przystało, Hebe położyła się do łóżka, modląc się o sen. Była jednak zbyt zmęczona. W głowie jej huczało od nadmiaru wrażeń. Hałas na szosie, szczekanie psów, płatanina głosów, w której rozróżniała Louise i Bernarda, nieznanymi na autostradzie, kelnerka na farmie, obraźliwy ton Jennifer Reeves, Amy. Przebiegle wyłączyła z tej kakofonii Jima.

— „Na to nie jestem dość mocna” — powtarzała sobie.

Próbowała rozluźnić palce u rąk i nóg, powstrzymać drzenie, na dźwięk ryczącego w nocnej ciszy motocykla i odtworzyć w pamięci szum morza, który słyszała po południu, kiedy ucieła sobie krótką drzemkę.

Trip wpełznąła się pod kołdrę i zwinęła w kłębek, przytulając się do pleców Hebe.

„Nie mogę się teraz ruszyć” — pomyślała. — Choć to śmieszne, jednak bardziej przejmowała się wygodą kotki niż własną. Dwa motocykle jeden po drugim gwałtownie i hałaśliwie przejechały po ulicy. Słyszała pijane ochryple głosy.

— Mamo, nie mogę spać — Silas w piżamie pojawił się obok jej łóżka. — Porozmawiamy?

— Oczywiście — powiedziała siadając.

— Masz Trip? Poszła sobie ode mnie.

- Tak.
- Tylko przyniosę swoją kołdrę i owinę się nią.
- Dobrze.

Słyszała tupot jego bosych stóp na korytarzu i szelest, gdy wracał, ciągnąc kołdrę. Zapanowała nad chęcią zapalenia lampy.

— Chyba by to było tchórzostwo, nie wyjść po mój worek? I na spotkanie Reevesów — powiedział, sadowiąc się w nogach łóżka. Drobną figurką owinięta w kołdrę.

- Obawiam się, że tak.
- Wiedziałem, że tak powiesz.

Silas milczał przez chwilę. W ciemności nie widziała jego twarzy. Kolejny motocykl przemknął ulicą.

- Ależ oni okropnie hałasują, prawda?
- Strasznie — zgodziła się.
- Co zrobisz z Jimem?
- Ja...
- To mój ojciec, prawda?
- Myślę, że tak. Tak.

— Śmieszne, co? Szukał cię tyle lat. Opowiedział o tym wczoraj wieczorem panu Quigleyowi i mnie.

Wczoraj wieczorem, spacerując nad rzeką z Rufusem i pozostałymi psami, była szczęśliwa, a po powrocie do domu Louisy zastała tam Munga i Rory'ego. Inne życie.

— Jak do tego doszło? — zapytała.

— Pan Quigley zaczął żartować, żeby mnie pocieszyć. Spytał Jima, czy był kiedykolwiek zakochany i wtedy Jim nam opowiedział o dziewczynie, którą spotkał we Włoszech. Procesja, ludzie, wielki tłum, kadzidła i orkiestra grająca tram-tra-ta. Mamo, on tam naprawdę był, kupił ci naszyjnik z orzechów. I wtedy cię zgubił. Mówił, że od tego czasu cię szukał. Co się stało z tym naszyjnikiem?

— Zostawiłam go, kiedy uciekałam z domu.

Ze zdumieniem stwierdziła, że pamięta, jak wyglądał. Jakiś samotny motocykl przemknął ulicą, nie robiąc przy tym tyle hałasu, co poprzednie.

- Oni zdejmują dławiki z tłumików, żeby robić więcej hałasu. To oznaka „męskości”.
- Wiem, nie chcę motocykla.
- Cieszę się.
- Mamo, wyjdiesz za Jima?
- Nie wiem.
- Aha.
- Mało wiem o małżeństwie. A ty? — spytała.

Silas myślał przez chwilę.

— Też niewiele — roześmiał się. — Powinnaś usłyszeć, co Giles mówił o Hannah i swoim ojcu, i zobaczyć państwa Reevesów. Och, Boże, przecież ty ich zobaczysz jutro — powiedział nagle poważnie.

— Tak, jutro ich poznam.

Zegar wybił pierwszą. Jego dźwięk niósł się w powietrzu tchnącym spokojem po sztormie.

— Ale trafiają się szczęśliwe małżeństwa — odezwał się Silas.

— Myślę, że Hannah i Terry będą fantastyczni. Dla Gilesa to ekstra — powiedział z zazdrością.

— Tak.

- Mamo, a co ty wiesz o małżeństwie?
- Moje siostry...
- Siostry? To ja mam ciotki? — aż podskoczył ze zdumienia.
- Tak.

— Możesz mi o nich opowiedzieć, czy to tajemnica?

W szkole brak krewnych był bardzo krępujący. Chłopcy ciągle się nimi chwalili.

— Też są dziwkami?

— Nie, jestem jedyną dziwką w rodzinie.

— Och, mamo — przysunął się i zwinął przy niej. — Prawie usiadłem na Trip — powiedział. — Co się z nimi stało?

— Powychodziły za męż. Ann wyszła za Roberta. Mieli jaguara. Beata wyszła za Deliana. Mieli alfę romeo. Cara wyszła za Marcusa i mieli range rovera.

— Bogaci — stwierdził zdziwiony Silas.

— Na to wygląda — powiedziała przez ściśnięte gardło.

— Co masz na myśli? — zapytał zaniepokojony tonem jej głosu.

— No cóż — odpowiedziała już swobodniej. — Były znacznie starsze ode mnie. Przyglądałam się im i przysłuchiwałam ich rozmowom. Dużo mówiły o mężczyznach i małżeństwie. Gdy tylko któraś poznała kogoś nowego, zaraz nad nim debatowały. „Spotkałam kogoś” — mówiła jedna, a pozostałe zawsze pytały: „Bogaty?”. Jakby uroda czy zdolności nie miały znaczenia. Zawsze to samo pytanie: „Bogaty?”.

— Bogaty? — powtórzył Silas.

— Oczywiście wszyscy byli odpowiedni.

— Co to znaczy odpowiedni?

— To znaczy... Och, po prywatnej szkole, spokrewnieni z miłymi ludźmi, z naszej sfery. Pytały: „Bogaty?”, a później: „Czy to mili ludzie, z naszej sfery?”.

„Jezu, zupełnie jak w szkole” — pomyślał Silas.

— Ciągle wisały na telefonie, chichocząc i piszcząc do słuchawki. Nie przeszkadzało im, że wszyscy słyszą ich rozmowy. To był rodzaj rytuału.

— Urocze.

— Zawsze czułam, że do tego nie pasuję.

— Nie chcę być odpowiedni — stwierdził Silas.

— Nie przypuszczam, by ci to groziło.

— Mamo, strasznie zgłodniałem, może byśmy przeszukali spizarnię?

Owinięci w kołdry zeszli na dół. Trip rozzłoszczona zabranie jej ciepłego okrycia, zagrzebała się pod poduszkę. Hebe zrobiła kanapki z bekonem i wrócili do łóżka z talerzami i szklankami mleka. Trip uciekła przez okno, pogrążając się w ciemności nocy.

— Jacy byli twoi rodzice? — zapytał Silas z pełnymi ustami.

— Nigdy ich nie znałam. Zginęli w katastrofie lotniczej, gdy byłam niemowlęciem.

Wychowywali nas dziadkowie.

— Czy byli „odpowiedni”? — najwyraźniej przyswoił sobie to słowo.

— Spotkałam ich wczoraj rano.

— Co takiego? — gwałtownie postawił szklankę. — Gdzie?

— W drodze do domu. Na skrócie, którym jechałam, zderzyli się z land roverem.

Opisała mu całą scenę tak, jak ją pamiętała.

— Mieli ślicznego pieska. Odwołał go, kiedy chciałam go pogłaskać, a ja powiedziałam: „Znajdę wam długowłosego czarnego nicponia, żeby wam naprawił samochód”. Z czego się śmiesz? Wcale tak nie powiedziałam.

— Strasznie to zabawne. Co to znaczy? I dlaczego miałabyś tak powiedzieć? — Silas wybuchnął śmiechem.

Hebe zaczęła mu opowiadać o przesłuchaniu, naradzie rodzinnej, umówionym zabiegu, dziadkach, siostrach, szwagrach, ucieczce, podróży autostopem do Kornwalii, o tym jak w końcu przybyła do domu Amy i o powtarzających się koszmarach. Nie przeszkadzało jej, że chwilami Silas wybuchał niemal histerycznym śmiechem. Uznała, że tak samo potrzebowała jego śmiechu, jak on, by mu opowiedziała tę historię. Skoro raz zaczęła, nie potrafiła przerwać. Wyrzucała z siebie potok słów, opowiadając o swoim życiu, które dotychczas przed nim skrywała. Zegar na wieży wybił drugą i trzecią godzinę w nocy, gdzieś na wsi rozległo się pianie koguta i zaczęły krzyżeć mewy na dachach domów. Hebe skończyła swą opowieść. Silas, zwinięty pod kołdrą w kłębek, podniósł głowę, pocałował ją i powiedział:

— Moim zdaniem Jim nie jest odpowiedni.

Kiedy zasnął, Hebe okrywając się po uszy kołdrą w końcu się odprężyła. Czowała, że syn był jej teraz tak bliski, jak wtedy, kiedy nosiła go pod sercem.

Patrząc na uśpione dziecko, myślała o czekającym ją dniu.

Przed wszystkim trzeba odebrać od Reevesów torbę z rzeczami. Ciężkie przejście dla Silasa, który bał się tego spotkania. Czy chodzi tylko o worek żeglarski i Reevesów. A może o jeszcze coś innego? Teraz, gdy wyrzuciła z siebie wszystko, była znacznie spokojniejsza i mogła zastanowić się nad sytuacją Silasa. Czy Reevesowie nie reprezentowali tego rodzaju ludzi, miłych znajomych, w których towarzystwie miał się dobrze czuć w szkole?

— Ale on nie czuje się tam dobrze — wyszeptwała do kotki, która wróciła z obchodu i wsunęła się do łóżka. — Wcale się tam dobrze nie czuje. — Z jasnością, którą czasem wywołuje wielkie zmęczenie, jeszcze raz powtarzała w myślach plany robione dla syna: szansa zdobycia wykształcenia, poznania właściwych ludzi. Wszystko zaczęło się dobrze. Nim poszedł do szkoły z internatem, zostawiała go na krótki czas z Amy i gotowała u Lucy, Maggie Cook-Popham czy Louisy. Również na początku działalności „syndykatu” Amy opiekowała się Silasem. Później zaś Hebe pracowała wyłącznie w czasie roku szkolnego, tak że wakacje zawsze miała wolne i spędzała je tylko z nim.

— A teraz? — wyszeptwała do kotki, która ją grzała, leżąc przy jej karku. — Teraz Amy jest zbyt słaba, żeby mi pomóc, Silasowi nie jest tam dobrze, a ja muszę postanowić, co robić dalej. — Słuchając gniewnego krzyku mew, zadała sobie proste pytanie: Czy wysłała Silasa do szkoły dla jego dobra, by mógł zdobyć jak najlepsze wykształcenie, czy raczej wysłała go, żeby cieszyć się „syndykatem”? — Jest w szkole ze względu na mnie czy na siebie? — szepnęła do mrużającej kotki. Ale naprawdę nie miała cienia wątpliwości. Myślała o weekendach w Paryżu z Hippolyte, wypełnionych cudowną zabawą i doskonałym jedzeniem, o tygodniach z Mungiem, którego przecież lubiła.

— Bardzo się zmienił na korzyść i odbyliśmy tyle uroczych wycieczek — szepnęła kotce. Przed oczami stanął jej Rory, którego jeszcze nie wypróbowała, Rory, którego mogłaby z czasem polubić. „O Boże” — pomyślała nagle ze strachem. — „Jest przecież ten Jim, ojciec Silasa. Co z nim?” Poczowała się zagrożona.

„Nie łączą nas żadne wspomnienia ani gwałtowne uczucia. Nawet nie wiem, czy lubi koty” — pomyślała.

— To mnie przerasta — powiedziała głośno. — Trzeba zacząć od najważniejszego. Skoncentruj się na worku żeglarskim.

Rozdział trzydziesty czwarty

Mungo prowadził samochód z werwą i zapałem. Przenocowali w hotelu nad rzeką Helford. Kiedy Alison nalegała, by się zatrzymali w Truro przy aptece, zaczął się obawiać, że planuje jedną ze swoich pieprzonych migren (a ściślej, „nie pieprzmy się, bo mnie boli głowa”). Ale jego lęk okazał się bezpodstawny. Po kolacji, podczas której Rory bawił ich, opisując im swoje życie w charakterze kapelusznika, Mungo w doskonałym humorze, dzięki znacznej ilości wypitego wina, udał się do pokoju, gdzie stwierdził, że Alison nie kupiła, jak podejrzewał, aspiryny, ale pokaźny wybór prezerwatyw.

— Którą wolisz? — wskazała na kolekcję. — Ekstaza? Specjalna? Fiesta?

— Fiesta za każdym razem — zawołał. — A może powinniśmy — dodał, przypominając sobie noc w domu Louisy — zmienić im nazwę na „Jurny kowboj”?

— To się zaraz okaże — Alison pociągnęła go do łóżka. — Nie powiedziałabym nie, gdyby ktoś wspomniał o następnym dziecku.

— Wy, dziewczęta z Shires, coś w sobie macie — przytulił ją mocno. Jechali w stronę Penzance, a Mungo uznał, że podróż do Santa Barbara doskonale zrobiła Alison. „Jestem uczciwym mężczyzną” — myślał, prowadząc samochód. „Temu łajdakowi, Eli, należy się ode mnie serdeczne podziękowanie.” Nie przyszło mu do głowy, że Alison powinna być równie wdzięczna Hebe.

Podczas jazdy przez Kornwalię milczący Rory przysłuchiwał się rozmowie Munga i Alison. Sprawiali wrażenie zadowolonych, że spotkają się ze swymi dziećmi, tymi potwornymi chłopakami. A przecież rozżalony Mungo niedawno ich przeklinał, nazywając kamieniami u szyi.

— Powinniśmy zaprosić Michaela na wakacje — mówił Mungo.

— Należy się to Reevesom od nas.

— A może ich wszystkich na Boże Narodzenie? — podsunęła Alison. — Zaprosić całą gromadę.

— Ciężka sprawa. Jennifer to czasem kawał cholery.

— Ja się nią zajmę. Możesz zabrać Juliana na polowanie albo grać z nim w golfa.

— Załatwione — zgodził się Mungo, który był w dobrym nastroju.

— Zdaje się, że jest z nimi chłopiec ze szkoły Michaela. Jeśli Ian

i Alistair go polubili, moglibyśmy i jego zaprosić. Przyjaciół nigdy nie za wiele. Musi być w porządku, jeśli Jennifer go przyjęła.

— Czy ta Jennifer to... eee... — zapytał Rory.

— Ekspert — dopowiedział Mungo. — Rodzaj damy z koneksjami. Wie, kto jest kto, dąży do poznania wpływowych ludzi i wybiera dla swojego syna odpowiednich kolegów. Chłopiec, który zyskał uznanie w jej oczach, musi być... ee... no wiesz, co mam na myśli.

— Odpowiedni — zasugerowała Alison.

— Towarzystwo właściwy? — drażnił się Rory. — Właściwy? Jeden z nas?

— Oczywiście, że tak.

W zamyśleniu Rory porównywał Munga pojednanego z Alison, odgrywającego rolę kochającego męża, ojca rodziny, z Mungiem szalejącym za kochanką, który trzy noce temu dzielił z nią łóżko. „Dzięki temu będę miał większe szanse” — pomyślał, planując wędrowkę po warsztatach, gdzie być może znają samochód Hebe. Z nadzieją postanowił, że sprawdzi w biurze pomocy drogowej, a w ostateczności zwróci się do policji.

— Cholerny parking pełny — Mungo skręcił z szosy do wjazdu na lądowisko helikopterów.

— Pieprzę. I gdzie ja mam zaparkować?

Alison zacisnęła wargi.

Mungo rzucił jej czule spojrzenie.

— Niedozwolone słowo. Więcej mi się nie wymknie, chyba że w bardziej stosownym momencie.

Jak Hebe może wytrzymać takie zachowanie? — zastanawiał się Rory.

— To chyba ich helikopter — Alison zadarła głowę, wpatrując się w niebo, podczas gdy Mungo starał się wcisnąć samochód między inne pojazdy. — Jennifer mówiła, że lądują o dwunastej trzydzieści.

Silas, stojący przy Hebe w poczekalni, zdenerwowany perspektywą spotkania z Reevesami, znalazł nowe powody do zmartwienia.

— O, Boże, mam, pan Reeves pewnie musiał zapłacić za mój worek. Tutaj jest napisane — wskazał na cennik — opłata za dodatkowy bagaż wynosi trzydzieści pensów za kilogram.

— Zwróć mu, jeśli coś dopłacił. Nie martw się tak strasznie — powiedziała. „Sam się denerwuje i mnie się to udziela” — pomyślała Hebe, współczując synowi. — O, jest helikopter, to pewnie oni.

— O, Boże — mamrotał Silas. — I co mam im powiedzieć?

— Zachowuj się normalnie.

— Co to znaczy normalnie? — zawołał przerażony.

Obserwowali, jak helikopter schodzi do lądowania. Stali blisko siebie i przygotowywali się do konfrontacji.

Jim zjawił się później zatrzymany przez Bernarda, opętanego obsesją kupowania kwiatów dla Amy (chciał nadrobić pięćdziesiąt lat poważnych zaniedbań). Dlatego dojeżdżał do lądowiska, gdy helikopter już wyłączył silniki. Wbiegł do poczekalni, wpychając się między dwóch mężczyzn i kobietę, którzy najwyraźniej też na kogoś czekali. Nadchodząca grupa pasażerów wywołała poruszenie wśród oczekujących. Słysząc było głosy kipiące pewnością siebie. Dźwięczały w nich samogłoski, które niczym migocące kropelki połączyły się w cały strumień, wypełniały przestrzeń odbijając się od plastikowych blatów stołów. Rozległy się powitalne okrzyki, kiedy dostrzegli trójkę ludzi obok Jima.

— Alison, kochanie!

— Jennifer, skarbie, Julian!

— Mungo, mój drogi, witaj, świetnie wyglądasz.

— To mój kuzyn Rory Grant, Jennifer Reeves.

— Miło mi pana poznać. A tu jest Alistair, Ian i Michael. Och, jego pan zna. Kochanie, rozejrzyj się dokoła. Gdzieś tu powinna być ta okropna kobieta, żeby odebrać bagaż tego nieznośnego chłopaka.

Jim patrzył, jak Hebe i Silas stają przed tłumem obładowanych bagażami, opalonych, tryskających zdrowiem i pewnych siebie. Silas stał wyprostowany u boku matki. Miał potargane włosy. Brązowe oczy, tak bardzo przypominające oczy Hebe, patrzyły uparcie w dół. Jima wypełniła duma. Hebe, poznając Alison, Mungo i Rory'ego, z trudem opanowywała paniczny lęk. To był ten przerażający zbieg okoliczności, który lekkomyślnie uważała za niemożliwy.

Pasażerowie helikoptera przechodzili na parking, wkładali bagaże do samochodów, zajmowali w nich miejsca, zapinali pasy i odjeżdżali do Londynu, Bristolu, Birmingham, Stevenage i Harlow.

— Julian, rozejrzyj się dokoła, czy gdzieś widzisz tę kobietę — znów zawołała Jennifer Reeves swoim donośnym głosem.

— Nie trzeba daleko szukać — powiedziała Hebe podchodząc do nich.

Grupa pewnych siebie ludzi, tak charakterystycznie wymawiających samogłoski, stała bez

ruchu. Zastygli niczym sklejeni „towarzyskim klejem”, jak to później określił Silas.

— Bardzo ci dziękuję — Hebe wzięła worek od Michaela. — Czy jestem coś winna za nadbagaż? Silas się martwił. — O, cześć — zwróciła się do Juliana.

Julian, stojący tyłem do okna, przez chwilę przypominał jej mężczyznę, z którym miała tę nieprzyjemną przygodę w Rzymie. Hebe poczuła, że serce uciekło jej w pięty. Julian, który rozpoznał w Hebe kobietę, dla której warto było zaryzykować rozstanie z żoną, odpowiedział serdecznym „cześć” i rozradowanym uśmiechem. Jennifer, wyczuwając niebezpieczeństwo, zdecydowała się na błyskawiczną akcję obronną i odepchnęła wysuniętą ku dziewczynie dłoń Juliana, który mówił:

— Wspaniale, że Silas do nas przyjechał.

„Jeszcze chwila i zaprosi ich oboje. Muszę go powstrzymać” — pomyślała Jennifer.

Ale Hebe uśmiechała się z ulgą, bo zdała sobie sprawę, że Julian jest jedynie potencjalnym kandydatem na członka „syndykatu”. Była bez okularów i wpatrując się w nich wszystkich spojrzeniem krótkowidza, całą uwagę poświęciła ukryciu zgoła niestosownej wesołości. Tak różne uczucia i z taką siłą wybuchnęły między Hebe i Reevesami, że ich natężenie było niemal widoczne. Obserwującego to wszystko Jima opanowało wręcz szaleńcze podniecenie.

Alison, podchodząc do Hebe, ujęła dłoń, którą zamierzał ucisnąć Julian.

— Jak cudownie. To ty ratujesz życie mojej teściowej wspaniałym gotowaniem, prawda? Wszystkie te wykwintne potrawy — powiedziała trzymając dłoń Hebe.

— Tak, to ja — Hebe walczyła, by zachować spokój. — Uwielbiam u niej pracować, potrafi docenić moje starania.

— Jak i Mungo — powiedziała Alison, uśmiechając się do Hebe. Była od niej o głowę wyższa.

— A to wasi chłopcy, te kamienie u szyi? — roześmiała się sztucznie, by ukryć histeryczny chichot.

— Tak — Alison ścisnęła jej dłoń, nim ją wreszcie puściła. — Nie zawsze ich nienawidzi. Może będziemy mieli jeszcze jedno — zniżyła głos do poufalego szeptu i stojąc przy Hebe z najbardziej przyjacielskim uśmiechem na twarzy, odcinała się od poczynań Jennifer.

— Te kobiety! — Mungo jęknął z podziwem, patrząc na Rory’ego.

— Pocziwy Julian wprawdzie niemal sobie założył stryczek na szyję, ale równocześnie złożył akces.

— Jak śmiesz! — szepnął Rory z niesmakiem.

Ale Julian nie zniechęcony przez żonę nie poddawał się.

— Może byśmy się umówili? Na przykład... w kolejne wakacje...

— Nigdy się nie spotkałyśmy na dniu sportu czy na akademii ku czci patrona szkoły — wtrąciła Jennifer, walcząc o odzyskanie swojej przewagi.

— Obawiam się, że teraz to będzie jeszcze mniej prawdopodobne — odparła chłodno Hebe. — W pobliżu mam szkołę państwową, do której chodzi wielu miłych chłopców, bardzo odpowiednich.

Stojący przy niej Silas rozpromienił się z radości.

— O, jesteś — zwróciła się do Jima, który pojawił się u jej boku.

— Mogę wziąć worek? — spytał. — Dłużej już tego nie wytrzymasz — szepnął na stronie.

— Chyba nie znacie ojca Silasa — powiedziała Hebe głośno patrząc na ich twarze, które z powodu emocji i krótkowzroczności widziała bardzo niewyraźnie. — O, tak, weź torbę, kochanie — zwróciła się do Jima, wręczając mu bagaż.

Rory podszedł do Hebe.

— Miałem nadzieję... chciałem poszukać...

- Mnie?
- Tak. Twój samochód ma kornwalijskie...
- Numery rejestracyjne?
- Och, Hebe — powiedział stojąc przed nią.

Podczas gdy Hannah zdecydowała się nagle na powtórne zamążpójście i niemal natychmiast znalazła Terry'ego, Hebe też stanęła przed pokusą. Jakże łatwo byłoby przyjąć Rory'ego, który kochał bez zastrzeżeń. Kusząca perspektywa zamieszkania w białym domu z półokrągłym okienkiem nad drzwiami i kołatką w kształcie delfina. Jak uroczym byłoby spędzać weekendy w zagajniku ciotecznej babki Calypso, gdzie kwitły dzwonki. Tak prosto, bez najmniejszych kłopotów. Wreszcie żyłaby sobie spokojnie. Może nawet za bardzo spokojnie. To nie byłoby w porządku. Jej krótkowzroczne oczy napotkały jego zatroskane spojrzenie.

— Żegnaj, mój drogi. Pozdrów ode mnie bardzo serdecznie ciotkę Louise — powiedziała nie podając mu ręki. — Dla niej najbardziej lubiłam pracować. Pewnego dnia przyjadę i kupię jeden z twoich kapeluszy.

— I to wszystko? — zwykle niespokojne spojrzenie Rory'ego tym razem spoczęło wprost na niej.

- Boję się, że tak — odparła smutno.
- Zrobię... jeden szczególnie wspaniały — powiedział odważnie.
- Będę go nosiła od święta.
- Szkoda... szkoda, że ja nie mam czego świętować.

Rory z wahaniem ruszył za pozostałymi, którzy się rozchodzili zakłopotani, mówiąc:

- Hmm, chyba już musimy się zbierać.
- Do rychłego zobaczenia.
- Wszystko zabraliście?
- Może byśmy się umówiły na lunch?

Mungo zwrócił uwagę, że Alison w końcu nie zaprosiła Jennifer z całą gromadą na Boże Narodzenie.

Michael, Ian i Alistair w milczeniu patrzyli po sobie, unosząc brwi i starali się uchwycić wzrok Silasa, aby przypieczętować nie istniejącą przyjaźń.

Julian gorączkowo próbował się wydobyć z tarapatów i tłumaczył się żonie.

— Przysięgam, że nigdy wcześniej jej nie spotkałem — w jego głosie brzmiało poczucie winy.

— Nie wierzę ani jednemu słowu. Ona cię rozpoznała. Przecież powiedziała „cześć”.

— Przywitała się ze wszystkimi — zdesperowany chciał odwrócić uwagę żony od całej sprawy. — To zupełnie zwyczajna dziewczyna.

— Moim zdaniem to zupełnie zwyczajna dziwka. A teraz mi powiesz, gdzie i kiedy... — ruszając w stronę ich samochodu Jennifer rozpoczęła przesłuchanie. Grupę tak pewnych siebie ludzi połączyło na chwilę jedno: współczucie dla Juliana, który, tym razem niezaskuszenie, miał dostać po uszach.

— Zawsze podejrzewałem, że Jennifer to dobry numer. Taka świętsza od papieża. Udawaczka — powiedział Mungo wyjeżdżając z parkingu.

— Oczywiście, że to udawaczka — Alison przyjęła nową opinię o swojej znajomej. — I to głupie okazywanie zazdrości przy ludziach.

— Zawsze uważałam, że powinniśmy się zastanowić nad państwową szkołą dla chłopców zamiast Eton — dodała później.

Zdumiony Mungo prowadził dłuższą chwilę w milczeniu.

— Będziemy się musieli nad tym zastanowić, jeśli rodzina ma się powiększyć — stwierdził

w końcu.

— Gruchacie niczym turkaweczki — Rory'emu stopniowo zaczynał się poprawiać nastrój.

Ian i Alistair wymienili podejrzliwe spojrzenia, nie poznając rodziców. Mungo zaś wjechał na główną szosę, włączając się w strumień samochodów wracających z wakacji. Widzieli, jak Silas biegnie, skacząc przez skwer obok lotniska. Obserwowali każdy jego ruch, gdy wyrzuciwszy ramiona do góry, przefrunął nad grządką kwiatów i z wyrazem całkiem niedorosłej radości popędził szukać Gilesa. Później Ian powiedział Alistairowi, że Silas krzychał: „Nie jestem z próbówki!”. Ale brat uznał to za bzdurę.

Michael skulony na tylnym siedzeniu za walczącymi rodzicami ostatecznie wkroczył w fazę młodzieńczego buntu. Proces ten rozpoczął się podczas kolacji w czasie pobytu Silasa.

Rozdział trzydziesty piąty

Hebe i Jim nie zwracali uwagi na obsługę lotniska. Dzwoniły telefony. Pracownicy odbierali je, dokonywali rezerwacji miejsc, pijąc przy tym kawę. Następny helikopter wystartuje za półtorej godziny. Do tego momentu mogą wymieniać uprzejmości, flirtować, przekazywać najnowsze ploteczki.

— Muszę cię przeprosić za to „kochanie” — sztywno zaczęła Hebe.

— Nie ma sprawy.

— Uległam pokusie.

— Rozumiem.

— Dziękuję.

— Na zewnątrz jest ławka. Może byśmy na niej usiedli?

„Czy zauważył, jak mi drżą nogi? Nie mogę się zdradzić. Szkoda, że Silas pobiegł i zostawił nas samych. Szkoda, że nic nie czuję. Szkoda, że sama nie wiem, co czuję” — myślała gorączkowo.

— O, tutaj — powiedział. — Przyjemnie tak siedzieć na słońcu. Nie musimy rozmawiać.

„Skąd on to wie?” — pytała samą siebie, zajmując miejsce na ławce. „Do diabła, mamy przecież tyle do omówienia. Jakże to okropne. Czemu on się nie odzywa?”

Jim milczał.

— Słyszałaś, jak powiedziałam tej kobiecie, że Silas nie wróci do szkoły?

— Tak.

— Jemu tam nie jest dobrze! — wykrzyknęła. — Jest nieszczęśliwy.

— A więc podjęłaś właściwą decyzję.

— Tak uważasz? Naprawdę?

— Oczywiście.

— Tak bardzo chcę, żeby był szczęśliwy — zawołała.

— Tak.

— Och! I mój „syndykat” diabli biorą!

Jim nie zrozumiał, o czym mówi.

„Co powiedzieć, żeby jej nie urazić? Przecież jej nie znam. Do licha, co miała na myśli, mówiąc »syndykat«? Jak ją zapytam, może się na mnie rzucić z pazurami. Szkoda, że nie jestem w domu na Fulham, w moim sklepie z kawą i antykami, z dala od tego cholernego zamieszania” — myślał.

— Na Boga! Ty płaczesz! — krzyknął.

Wstrząsały nią łkania. Wyciągnął chusteczkę i podał jej. „Ależ się maże” — pomyślał. „W co

ja się wpakowałem?”. Wytarła nos. „Gdyby była mężczyzną, powiedziałbym, że go wytrąbiła” — przyszło mu do głowy. Przestała płakać. Wyglądała okropnie. Czekał, aż powie: „Wyglądam okropnie”, ale tego nie zrobiła. Po raz ostatni wydmuchała nos, zgmiotła chustkę i włożyła ją do torebki.

— Dzięki — powiedziała.

„To jedna z moich najlepszych chusteczek” — pomyślał, zachwycając się tempem, w jakim się opanowała. „Wątpię, czy ją kiedykolwiek zobaczę”.

— Wypiorę i ci oddam — powiedziała.

„To dzięki doskonałej znajomości męskiej natury czyta moje myśli” — stwierdził dumny ze swojej przenikliwości.

— A więc odzyskałaś worek żeglarski — zagadnął, by jakoś zacząć rozmowę.

— Tak.

— I zdecydowałaś o przyszłości Silasa.

— Tak.

— Zawsze jesteś tak impulsywna?

— Myślałam o tym już od jakiegoś czasu. Przez wiele dni.

— Wyglądał na bardzo zadowolonego, wręcz promieniał.

— Tak? Zdjęłam okulary i nie widziałam.

— Ten facet, Julian Reeves...

Hebe zaczęła się śmiać. „Jeśli go dobrze poznam, może mu opowiem o tym fiasku w Rzymie” — pomyślała.

— Szkoda mi było tego, który przypominał zająca.

— Królika. Robi kapelusze.

— A ten, którego żona stanęła po twojej stronie, był tym wszystkim bardzo rozbawiony. Jest twoją przyjaciółką?

— Może się nią kiedyś stanie.

— Ale on, jej mąż, sprawiał wrażenie, że cię dobrze zna.

Hebe, której oczy i nos zapuchły od płaczu, spojrzała na niego z politowaniem.

— Ach, rozumiem* — w końcu pojął Jim. — On jest jednym z...

— Tak.

— To jasne. Oni wszyscy...

— Niemal — przytaknęła i odwróciła wzrok.

Obserwując jej twarz, próbował odgadnąć, o czym myśli.

Siedzieli w słońcu.

„Powinniśmy rozmawiać” — pomyślał Jim. „Powinna mi opowiedzieć, co do diabła wyczyniała przez te lata. Opowiedzieć o swoich kochankach, o swoim życiu, o tym, jak sobie radziła. O gotowaniu i mężczyznach. Jasne, że z tymi tutaj już nie pociągnie, ale co z resztą? Powinna mi opowiedzieć o swoich przyjaciółkach, i o naszym dziecku”.

Hebe siedziała przy nim odprężona, trochę senna.

„Powiniennem jej opowiedzieć, jak ściagałem każdą dziewczynę, która choć odrobinę mi ją przypominała. Że zawsze o niej myślałem i miałem nadzieję ją znaleźć. Że zawsze byłem w niej zakochany. Ale czy jestem?” Patrzył, jak siedzi wystawiając twarz do słońca. Zamknęła oczy, a okulary położyła na kolanach. Zadrżał. „Jestem tchórzem” — pomyślał.

— W Lucca — przełknął ślinę. — Ja...

Odwróciła się do niego, włożyła okulary i zaczęła mówić, ważąc słowa.

— To tylko obraz, który zachowałeś. Nie jestem dziewczyną, którą pamiętasz. Od dawna nie jestem głupiotką i naiwna. Ty pamiętasz ją, ja pamiętam zapach. Do wczoraj nie wiedziałam, że

to twój zapach. Dziękuję ci za pomoc przy Silasie. Dziękuję za pomoc dzisiaj. Ja...

— Och, milcz! — zawołał wściekły.

— Tak zawsze mówił mój dziadek do babci.

— I dobrze robił — warknął Jim.

— Nie! — krzyknęła rozjuszona.

— Ile masz lat?

— Trzydzieści? A bo co?

— Chciałem obliczyć, ile nam zostało na rozmowy i utarczki.

— Och!

— Może byśmy zaczęli od kłótni? Powiesz mi o swoim cholernym dziadku — krzyknął Jim, tracąc cierpliwość. — A ja ci opowiem o sobie. Później ty, wszystko co wiesz o Silasie, naszym synu. Mamy wiele lat. No, już... — przestał żałować, że nie jest w domu na Fulham. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby ją spoliczkował. Pewnie by mu oddała. — No, już, zaczynaj.

— Dobrze — zgodziła się, myśląc, czy zdołają powiedzieć sobie choć połowę rzeczy i wiedziała, że to bez znaczenia. — Od czego zaczniemy?

— To już wszyscy? — zapytał.

— Jacy wszyscy? — udała, że nie rozumie.

— Cały „syndykat”? — próbował być cierpliwy.

— Hmm — zdjęła okulary. — Nie.

— Nie zdejmuj ich. Musisz wyraźnie mnie widzieć.

Ostentacyjnie włożyła okulary na nos i popatrzyła mu prosto w oczy.

— Ilu jeszcze? — zapytał odważnie.

— Jeden.

„Co z nim zrobi?” — spytał samego siebie zauważając, że serce zaczyna mu łomotać w piersi.

— Powinna zadzwonić. Masz drobne? To zamiejszcowa.

Opróżnił kieszenie z drobnych pieniędzy i patrzył, jak idzie do budki, wykręca numer, wrzuca monety, naciska guzik, zaczyna rozmowę. Zdjęło go przerażenie. „Co ze mnie za idiota! Dlaczego jej pozwoliłem zatelefonować? Ten przeklęty facet powie jej: »przyjeżdżaj natychmiast Nie, powie raczej: »zostań, gdzie jesteś. Jadę po ciebie«. Jak mogłem być tak głupi. Skończony debil. Oddałem ją ciepłą rączką, bez walki.” Obserwował, jak rozmawia, próbował coś odczytać z ruchu warg. Zadrżał, gdy się roześmiała, skrzywił, gdy powiedziała coś miłego. Czuł, że mógłby wtedy zabić człowieka, z którym rozmawiała. W końcu wróciła i usiadła przy nim.

— Więc — zaczęła mówić. — Więc...

Sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej.

— I co powiedział?

— *Quel grace**.

— Tak?

— To był Hippolyte. Założyciel...

— Twojego „syndykatu”? — znów poczuł, że ogarnia go wściekłość.

— Powiedziała mu, co się stało — mówiła cicho. — Hmm... wyjaśniłam. Ma teraz restaurację w Londynie. Zaprosił nas na kolację gratis, ile razy będziemy chcieli wpaść — uśmiechnęła się. Nie patrzyła na niego. Tak samo jak wcześniej podziwiała ją, gdy wzięła od niego chusteczkę, tak teraz wzbudziła jego szacunek tym, że nie powiedziała: „Na pewno go polubisz”. „Jak cholera” — pomyślał.

Hebe znów zdjęła okulary. Siedzieli w słońcu, a bicie serca Jima wróciło do normalnego

* franc.: Co za wspaniałomyślność (przyp. tłum.).

rytmu. Poczł się jak nowo narodzony.

— Wszystkie pawie odleciały — powiedział.

— Pawie?

— Chyba znasz mit o swojej imienniczce, Hebe. Czy mam ci o go opowiedzieć?

— Znam tę historię — przyznała.

— Powiedzmy, że się zgłoszę na ochotnika do zaprzęgu? Co ty na to? Muszę podkreślić, że uznaję wyłącznie jazdę w pojedynkę...

— ujął jej dłonie. Dotknął ją po raz pierwszy od czasu pobytu w Luce.

Pozwalając, by jej ręce spoczywały w jego, patrzyła w twarz Jima. Pragnęła wymyślić coś dowcipnego i oryginalnego, co by pamiętali przez wiele lat, ale powiedziała tylko:

— Jesteś przyjęty.

Jean, recepcjonistka George'a Scoopa, wzbudziła jego niepokój, przekazując mu plotki, krążące na temat wydarzeń na ulicy Wilsona. Dlatego postanowił przejechać w czasie przerwy na lunch obok lądowiska helikopterów. Panicznie obawiał się gwałtownych scen i unikał mieszania się w sprawy, które mogą okazać się nieprzyjemne, ale ciekawość zwyciężyła. Jechał, zachowując bezpieczną odległość.

Z niesmakiem zauważył, że Hannah, w wyzywającej fioletowej sukience, spaceruje ze swoim czarnym adoratorem, który był ubrany na białe, co jeszcze bardziej podkreślało jego ciemną skórę, kontrastującą z jasną karnacją Hannah. Zaśmiewali się do rozpuku, idąc promenadą razem z Gilesem i Silasem i zając lody. „Czarnoskóry, Murzyn” — myślał rozwścieczony. „Jakie ma wspaniałe zęby. A niech tego Gilesa szlag trafi”. Kiedy rozważał poślubienie Hannah, myślał, że stawi czoło wyzwaniu, jakie stanowiły zęby chłopca i doprowadzi je do porządku, ofiarowując to żonie jako prezent ślubny. „Dobrze, że się z tego wywinąłem” — pogratulował sobie. „Miałem rację, że ją odpaliłem”. Już sobie wmówił, że to on odpalił Hannah, a nie ona jego. „Niech chłopak idzie przez życie z takim zębami, jakie ma”

— stwierdził kwaśno, ignorując wymachiwanie ręką wesołej Hannah i radosny okrzyk Terry'ego. „To zupełnie nie dla mnie” — stwierdził.

Przejeżdżając koło lądowiska, wypatrzył Hebe siedzącą na ławce w towarzystwie nieznanego. Gapił się przez przednią szybę, próbując lepiej im się przypatrzeć. Płacze czy się śmieje? Zwolnił. „Może by jej zaproponować podwiezienie do domu? Powinienem ją lepiej poznać, dowiedzieć się, co to za dziewczyna” — pomyślał. Ale sposób, w jaki Hebe i nieznanomy siedzieli zwróceniu ku sobie na ławce, nie rokował wielkich nadziei dla kogoś trzeciego. Kierowca samochodu jadącego za Georgem nacisnął klakson. George dodał gazu i odjechał.